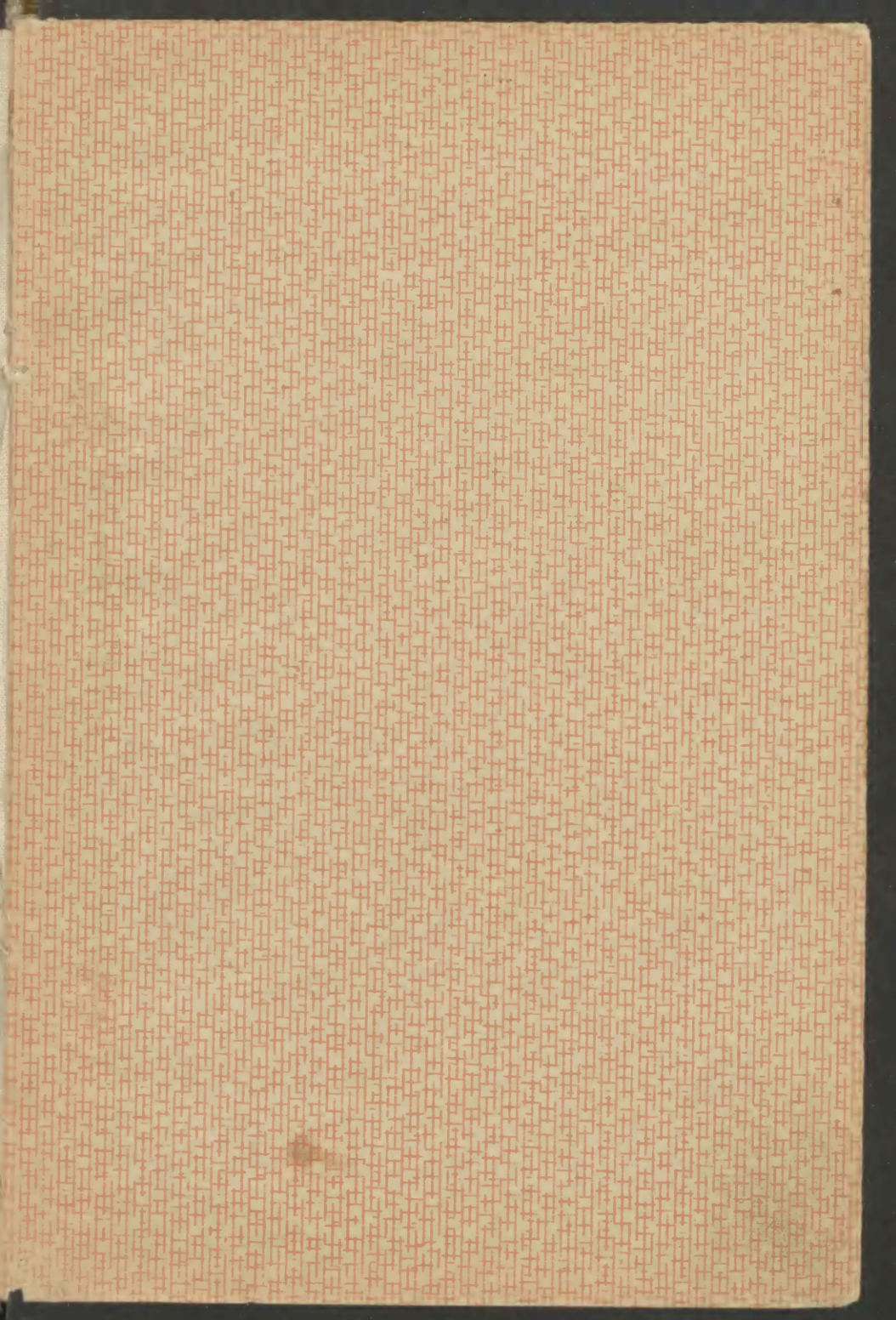


Handwritten text in a cursive script, likely a historical document or manuscript. The text is written in a single column, filling most of the page. The script is dense and appears to be from a European language, possibly Latin or Italian, given the historical context of such documents. The ink is dark, and the paper shows signs of age and wear.

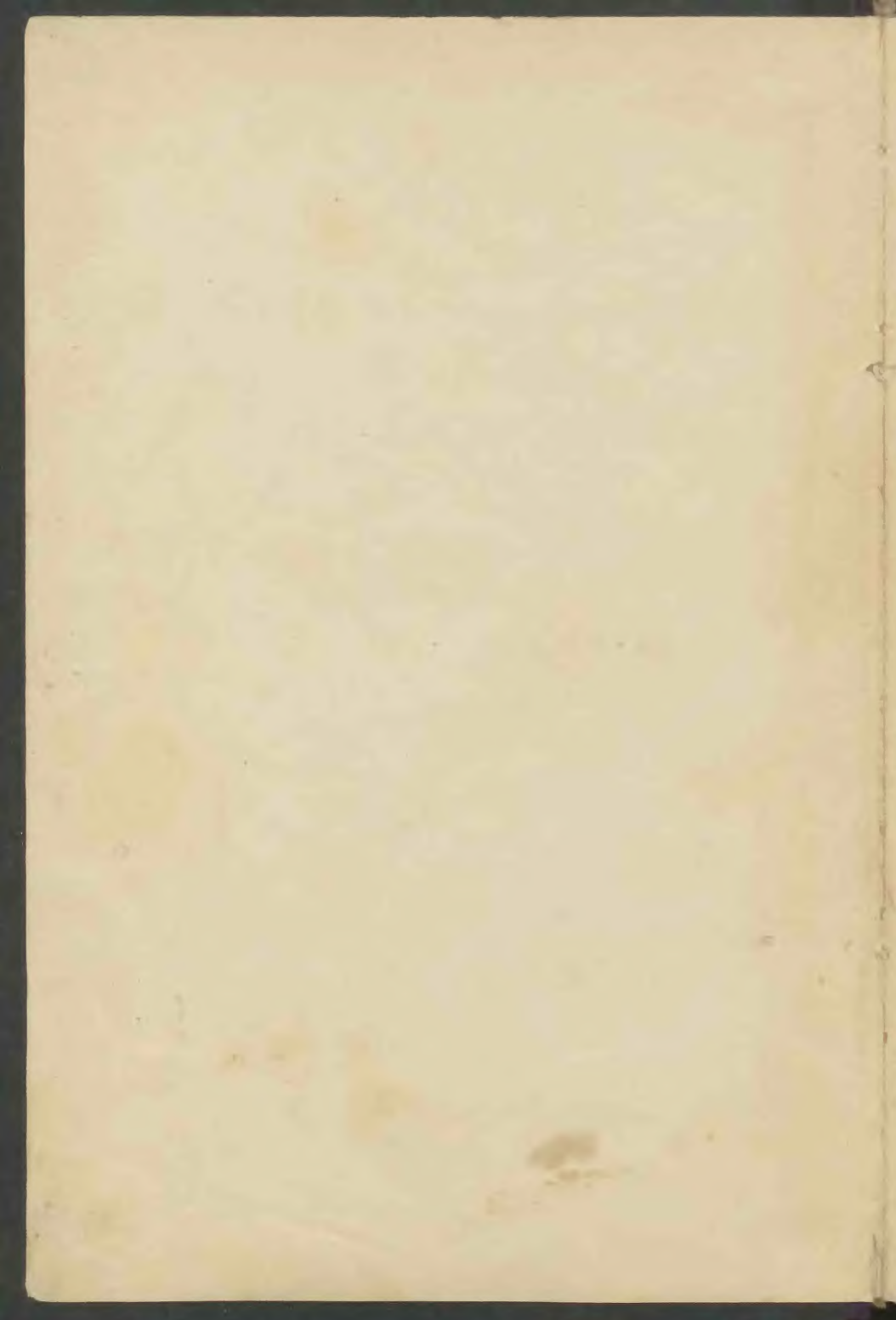




W. W. 13. 2

K. Roszko 1883

STARZY I MŁODZI.



(Jędrzej Młodziejewski)

Sewer.

Starzy i Młodzi

Powieść.



W KRAKOWIE,

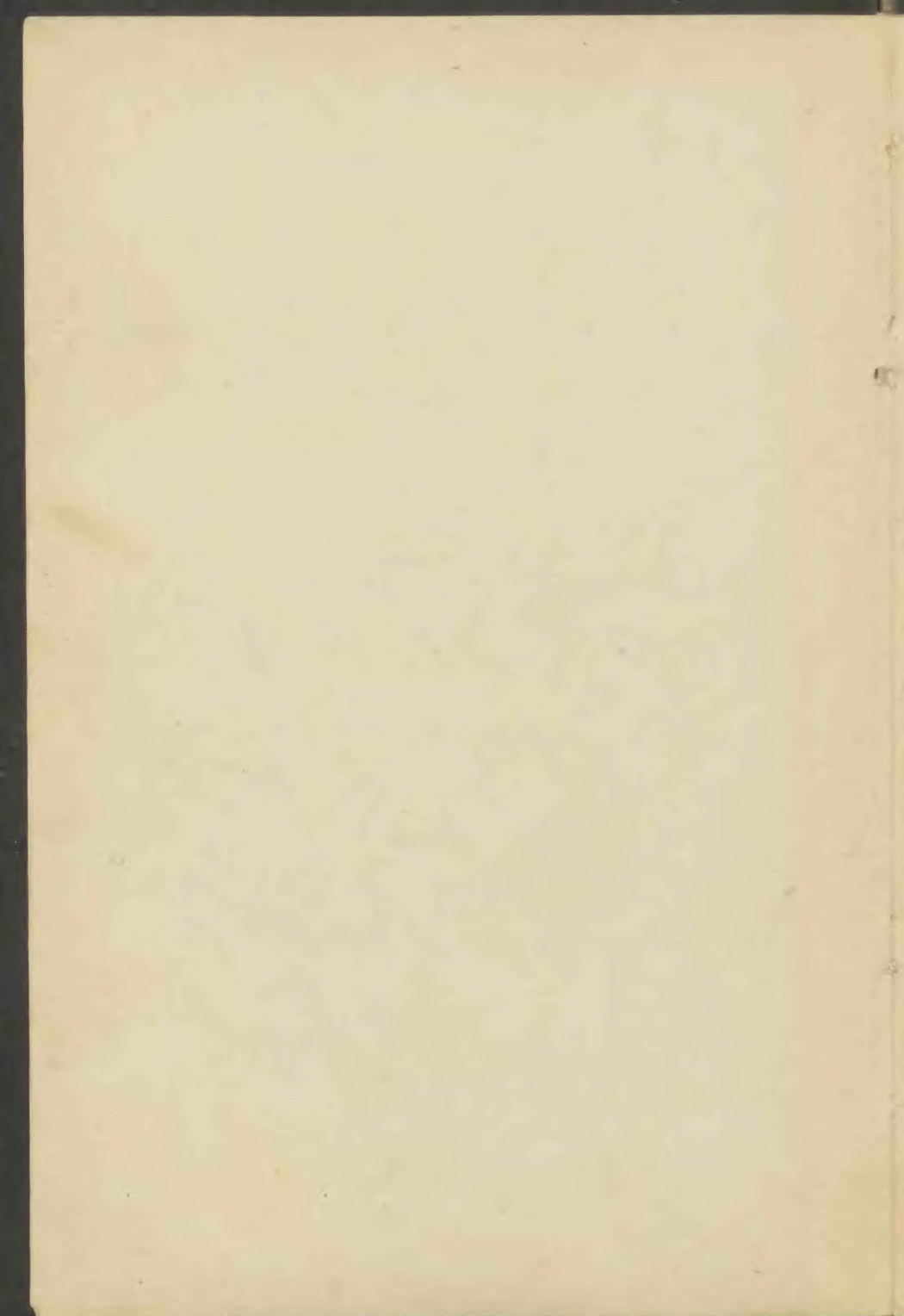
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1896.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Pisać powieści tendencyjne jest rzeczą arcytrudną. Cóż dopiero wystąpić z powieścią usiłującą poprawić istniejący porządek administracyi rolnictwa, a z nim zwyczaje, nawyknięcia i wyobrażenia naszych posiadaczy ziemskich.

Na ten to hazardowy krok porwałem się, występując do walki. Niechaj Czytelnik nie szuka zawitych intryg, sensacyjnych epizodów, kunsztownego przeprowadzenia osnowy powieści, lecz jeżeli w zamian za to znajdzie prawdę — typy i charaktery, zdjęte z natury — a w rezultacie przyzna, że wspólnymi siłami dużo dałoby się u nas zrobić na polu rolnictwa; a nareszcie, jeżeli się zgodzi, że moje uwagi i sposoby ratowania się są choć w części racjonalne, będę za mą pracę aż nadto wynagrodzony.



CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Ciemne chmury, piętrząc się jedno nad drugie, osłaniały horyzont. Parno było, ponuro i strasznie. Zdawało się, że przerażona ziemia słucha, jaki jej niebo zgotowało los. Błyskawice przelatywały jak węże, po których jeszcze straszniejsza ciemność panowała.

Nikogo — pusto. Sądzićby można, że ziemia i niebo w pierwocinach tworzenia gotują się do boju o byt i przyszłość. Ziemia milczy, idąc koleją swych przeznaczeń, a niebo za wykradzioną tajemnicę życia mści się i przeklina. Nikogo — cicho i dlatego smutno, jak przed ogłoszonym wyrokiem, lub na progu nicości.

Daleko, daleko, gdzieś na skłonie widnokregu, grzmoty, podobne ciężkim westchnieniom, przerywały ciszę; tuż za nimi przemknął wiatr, niosąc znakiem życia dobrą nowinę. Liście drzew przywitały go drżeniem radości — krople deszczu zaczęły cicho padać. Niebo łzami litości i przebaczenia darzyło na świtaniu ziemię; przebaczenia i litości w tej ciężkiej walce o byt, która jest prawem przyrody, a przeznaczeniem ludzi i ludów.

*

* .

*

Na bitej drodze, z za wzgórza, wśród mgieł oświeconych różową jutrenką, zamajaczał czarny punkcik; zbliżał się, a z biegiem powiększał. Turkot kół i odgłos kopyt koni przerywał ciszę... Nareszcie słońce rzuciło snop światła, ziemia się uśmiechnęła do słońca, zasłony spadały jedne po drugich. Zieleń i perły — tęczowe blaski i zapach — rodzimy zapach polskich lasów i łąk, świergot polskich ptaków i piękność polskich krajobrazów, roztoczyły się, kąpiąc się w świetle wschodzącego słońca.

Młodzieniec siedzący na wózku zrzucił burkę — odetchnął całą pierś, powstał, oparłszy rękę na ramieniu woźnicy i patrzył.

Woźnica wskazał biczem, mówiąc:

— Tam, tam, paniczu: przecie już widać.

Młodemu człowiekowi serce zaczęło bić, wyteżył wzrok, zatrzymał oddech i zaledwo mógł dojrzeć na wzgórzu, wśród fioletowych barw i ciemnych drzew białe ściany, resztę dorysowywała mu wyobraźnia.

Stary fornał zaciął konie, wózek potoczył się, młodzieniec usiadł, patrzył i dumał: pewno rozkosznie, bo z za ciemnych waśów wyglądał szczerzy, serdeczny uśmiech.

Musiał być marzycielem — mówiły o tem niebieskie, duże jego oczy, szerokie czoło i tęskny wyraz twarzy; lecz musiał być również namiętny i wrażliwy, nozdrza miał nieznacznie rozwarłe, a misternie wykrojone usta.

Konie biegły wyciągniętym klusem, spiesząc się do domu. Stary fornał półgłosem z niemi rozmawiał, młodzieniec chwytal powietrze całemi piersiami. Jechał z daleka — z daleka wiosna go nasza czarowała.

Stary ściągnął lejce, konie stanęły.

— Granica paniczu — odezwał się — a odtąd aż do dworu i za dworem ojcowizna.

— Jedźcie sami, Jakóbie — zawołał panicz, wyskoczył z bryczki i prosto ścieżkami wśród zbóż i traw, biegł do dworu na wzgórzu, świecącego z po za starych drzew białemi ścianami i błyszczącego blachą wysokiego dachu.

Jakób popatrzał na panieza jakoś słodko i rzewnie.

— A biegnijże, biegnij, mój Adasiu, bo ci serce wyskoczy — mruczał; ruszył lejcami, niecierpliwe konie poskoczyły naprzód.

Odgadł stary. Adasiowi serce chciało wyskoczyć. Smukła jego postać sunąc po krętej ścieżce, znikająca w dolinach i wynurzała się na wzgórzach, otoczona słonecznymi blaski, purpurą i złotem. Młodzieniec biegł, patrząc na białe ściany okazałego dworu. Biegąc, zatrzymywał się po drodze dla nabrania powietrza, rzucając ciekawe spojrzenia na zasiewy ozime i wiosenną uprawę. Zamyślił się nad lanem pszenicy, nawet westchnął, za chwilę jednak uśmiechnął się z pewnością siebie i poszedł dalej. Dotarł nad brzeg parku, przeskoczył otaczający go rów, przesunął się przez gęstwinę i szeroką aleję dostał się na kamienne schody dworu.

Cisza panująca dokoła, przestraszyła go, zapomniał o czasie. Był pewny, że matka i ojciec, ubóstwiana przez niego matka, otoczona córkami, będzie go czekać i witać na ganku. Spojrzał na zegarek: godzina piąta — uśmiechnął się smutno i cicho zeszedł na dół.

W ogrodzie odmawiał ranne pacierze pan Walenty, kolega wojskowy dziada Adama, przyjaciel, emeryt i stary sługa. Trzy pokolenia jednej rodziny wychował. Przywitanie było serdeczne i długie, wzruszony staruszek chciał lzy pokonać cisnące mu się do oczu i dlatego dławilo go coś w gardle; nie mógł przyjść do słowa, tuląc drżącymi rękami swego ulubieńca.

— Tyżeś to, mój Adasiu? Ty, z za dziesiątej granicy, z za piątego morza? Wiele ja łez wylałem za tobą, wiele pacierzy wysłałem do nieba!... Tak prędko, tak nagle zajechałeś! nie spodziewaliśmy się wcześniej cię zobaczyć jak w poludnie. Wszyscy w domu śpią. I nie budź ich.

Staruszek popatrzał na młodzieńca.

— Jakaś to zmęczniał, wypiękniał; wąs czarny...

Stał, i przytykając dłoń do czoła, znowu zaczął patrzeć.

— Adaś, mój Adaś; ho, ho, to nie Adaś, ale pan Adam, doktor wyzwolonych nauk!

— Panie Walenty, dla was pozostanę po staremu Adasiem.

— Złote dziecko — szeptał staruszek — złote. Aleś ty głodny, szafarki się nie dobudzisz — wielkie to teraz państwo! Chodź, napijesz się kawy u mnie. Rano wstaję, ktoby się tam doczekał, sam sobie gotuję.

— Mama, ojciec, siostry, brat? — pytał gorączkowo młody człowiek.

— Zdrowi, chwała Bogu; sióstr nie poznasz, wyrosły, wypiękniały, wielkie panie, księżniczki — kawalerowie cisną się jak ćmy do świecy.

— I cóż? — przerwał Adaś.

— Dotąd jakoś cicho.

— A Julek?

— Julek w Warszawie, na uniwersytecie, zagrzebany w księgach. Mówią, uczony aż strach!

Weszli do mieszkania pana Walentego.

Staruszek rozpalil ogień, dmuchał na węgle — zgarniał łyżeczką tworzący się na śmietance kożuszek, rad był, wesół i szczęśliwy. Młody człowiek rozkoszował się widokiem starca, schludnym pokojem pełnym gratów, a nawet rozkoszował się ogniem kominka i warzącą się śmietanką.

— Co ty, mój Adasiu, musisz mieć do opowiadania, tyle świata zjechać — tyle lat! Łądy, morza, kraje — mój Boże — mój Boże. A co się tam musiało w tę głowę napakować rozum...

Adaś się uśmiechnął.

— Śmiej się, śmiej ze starego. Abo nie prawda? Umiałeś ty patrzeć na rozliczne kraje i narody, i z nich rozum jak pszczoła miód z kwiatów ssać. Abo cię to nie znam? Potrzebnyś tu, oj potrzebnyś bardzo... Ja po staremu trzymam magazyn, rachunki prowadzę, i tak bieduję jak mogę.

Gorąca kawa została rozlana — znalazły się chleb, masło, i starzec z młodzieńcem zabrali się do śniadania z żołnierskim apetytem.

Staruszek uśmiechał się, ręce zacierał i gwarzył szczęśliwy.

— Trzy noce nie spałem — rzekł Adaś — ale jeszcze wytrzymam, dopóki rodzice i siostry nie wstaną.

— Nie wytrzymasz — odparł stanowczo stary — wstają o dziesiątej. Połóż się, połóż. Pamiętaj, jak ostatni raz smacznie tu spałeś, chociaż, Bóg widzi, nie jechałeś na bal? Za godzinę obudzę cię.

Pociągnął młodzieńca ku łóżku, położył, wyszedł i drzwi za sobą na klucz zamknął.

Po dwóch przesiedzianych nocach w wagonie, a jednej na wózku, sen pochwycił w objęcia ofiarę. Staruszek rad z siebie, uśmiechnięty, gięstykułując rękami, poszedł w gumna.

— Nie puszcze cię pierwej, aż gdy już wszyscy zasiądą na ganku przy kawie... Podprowadzę pod same schody — i staniesz wśród nich!

Nie udał się plan panu Walentemu. Panna Wanda piła wody, wstawiała więc rano, około ósmej; Jakób powiedział Zosi, że panicza przywiózł — Zośka pędem pobiegła do panienki.

— Panicz przyjechał! — szeptała zdyszana.

— Adaś?

I błądą ze wzruszenia, pocichu, na palcach przesunęła się do pokoju przeznaczonego dla gościa. Pokój był pusty, a jednak złożone rzeczy świadczyły o przyjeździe.

— Niema go, gdzież jest? — pytała zdziwiona.

Służba rozbiegła się za paniczem. Widziano go z panem Walentym, szukano starego, lecz napróżno; dopiero ogrodniczek wydał, że panicz zamknięty w oranżeryjce.

Wanda pobiegła do ogrodu, po drodze urwała różę, upinając nią czarne swe włosy.

Przebudowana północna strona oranżeryi służyła za mieszkanie panu Walentemu. Drzwi były zamknięte na klucz, a również niestety i okno. Młody człowiek leżąc na łóżku spał i uśmiechał się przez sen.

— Adasiu! otwórz, przebudź się. Adasiu! to ja, Wanda!

Wolaniom towarzyszyły pukania różowemi paluszkami w szybę okna, lecz napróżno. Zrozpaczona odchodziła już, gdy szczęśliwym trafem znalazł się ogrodnik.

— Proszę jaśnie panienki, poradzimy sobie, jeżeli panienka tylko pozwoli.

— Jak, jak, radźcie moi drodzy — mówiła szybko.

— Okno troszkę wyważę i wyjmę, byle tylko jaśnie panienka nie zdradziła mnie przed panem Walentym.

— Wybornie, wyjmujcie!

Zamiar dobrze się powiódl, okno zostało wyjęte; ogrodnik ławeczkę przystawił, i wychuchane, wypieszczone dziewczę stąpając lekko, dostało się do pokoju: dwa kroki — już była przy łóżku.

— Adaś!

Zerwał się na równe nogi, pochwycił w ramiona siostrę — pocałunek braterski ich złączył.

Długo, długo milezeli.

— Jakaś ty piękna! — zawołał.

— Dwadzieścia trzy lat skończyłam. Ależ ty mój drogi. Ty urosłeś, zmężniałeś. Byleś szczupły, wątły, dziś już mężczyzna. Tęskniliśmy wszysej. Mama najwięcej. Ojciec często cię wspominał. Celinki i Marynki nie poznałbyś, dorosłe panny. Mamie przybyło dużo siwych włosów; ojciec wybornie wygląda i nigdy humoru nie traci. Już u nas nie tak wesoło jak dawniej, ale bo też i czasy cięższe. Lecz ty, mój drogi, mówże o sobie. Coś ty się musiał nateśknić, tyle lat sam na Bożym świecie!...

Ujęli się pod ręce i zniknęli wśród drzew i klombów ogrodu. Patrzał za nimi odszukany pan Walenty, przykładając rękę do oczu.

— Piękna para — szeptał — złote dzieci, wychowane na książątka, a tu?... — machnął ręką — wiem ja najlepiej, lecz cóż poradzę. — Spostrzegł wyjęte okno, uśmiechnął się, i napowrót je wsuwając, powtarzał:

— Złote dzieci, złote!

Tymczasem wieść gruchnęła o przyjeździe panicza z za dziesiątej granicy, a piątego morza. Służba wybiegła na ogród, podglądała, chowając się, gdy panicz nadchodził. Brat i siostra zajęci sobą, uśmiechnięci, szczęśliwi, różowi ze wzruszenia, przyśpieszonych kroków i potoku słów. Kochali się serdecznie — i nie dziw, byli najstarsi i najlepiej się znali.

Wanda, biała brunetka, miała oczy Adasia niebieskie, podobna mu wzrostem. I usta miała brata, które również okalał ledwo dla bystrych oczu widzialny ciemny puszek. Uśmiechała się, pokazując szereg białych zębów; pierś jej falowała i może dlatego rumieniec zatkwil na matowej białości twarzy.

— Adasiu! Adasiu! dziecię moje! — rozległ się drżący głos po ogrodzie.

— Mama! — szepnęła Wanda.

— Matka! — zawolał Adam, biegnąc w kierunku głosu, ile mu sił starczyło.

— Adasiu! Adasiu! — wtórowały matce pieszczone głosiki.

Adam biegł, przesadzając strumyki, deptając gazony. Syn wpadł w objęcia matki — Celinka i Marylka otoczyły go. Służba wystąpiła i zaczął się głośny płacz radości. Kobiety zawodziły — matce płynęły łzy z oczu; Celinka i Marylka śmiały się nawpół z płaczem. Zjawił się pan Walenty. Objawom radości i rozczulenia nie było końca.

— Chodźmy do taty — zawyrokowała Wanda.

— Do taty, do taty! — powtórzyły siostry.

Syn prowadził matkę, naprzód biegły Celinka z Marylką, obok brata szła najstarsza siostra, za nimi giestykujący, krzepki staryszek.

Pan Stefan dumny, pewien siebie, sarkastycznie uśmiechnięty, tylko co wstał. Z ciemnych jego oczu strzelał dowcip, włosy krótko ostrzyżone, siwiejące a rzadkie; wysoki, dobrze zbudowany. Do pokoju wpadły Celinka z Marylką.

— Tato, Adaś idzie!

— A zatem rozstapcie się rzesze! Szpaler dla mego syna i następcy — zawołał wesoło, idąc naprzód.

Ojciec i syn przywitali się serdecznie, raczej jak dwóch przyjaciół. Należy przypuszczać, że często widywali się za granicą. Lecz dla matki, która syna swego nie widziała całe lat sześć, dla sióstr, które odjechał prawie dziećmi, dla Wandy, której był jedynym przyjacielem, dzień dzisiejszy stanowił wielką uroczystość.

Cała rodzina rozpromieniona radością, wyszła na świądanie na ganek.

Matka posadziła syna obok siebie, Wanda zajęła miejsce tuż przy nim, siostry naprzeciw, ojciec w pośrodku, pan Walenty na rogu stołu. Rozmowa nieustannie przerywana, biegła żywo. W oczach matki często świeciły łzy, Wanda była dumną z brata, Celinka wyrzucała race świecące wesołością i dobrym humorem, pan Stefan dowiepkiwał i bawił się wybornie.

— Uważacie, pan Walenty czatuje na Adasia, jak diabeł na nieochrzczonej dusze. Dopiero się to posypie żalów i skarg na mnie. Adasiu, przygotuj się, ojciec twój będzie upieczony, utłuczony w móżdżerzu i wypity w kieliszku anyżówki.

— Nie pijam anyżówki — odparł pan Walenty rezolutnie — dobrego węgryna, to co innego.

— Ej! nie zepsulbyś kieliszka węgierskiego taką przyprawą.

— Panie Walenty — rzekła pani domu — wypijemy starego, na uroczystość powrotu Adasia.

— Pana Adama, doktora wyzwolonych nauk — dokończył dumnie pan Walenty.

Nastąpiła cisza, towarzystwo spojrzało na Adasia z dumą. Pan Stefan przerwał ciszę dowcipem. I znowu wrócono do zwierzeń i opowiadań. Pan Walenty czekał, kiedy jego Adaś, a pan doktor, sam nareszcie zacznie opowiadać swe dzieje i da dowody wielkiego rozumu, który jak pszczoła miód z kwiatów ssal z mózgów obcych narodów. Nie doczekał się

i odszedł. Adaś w tej chwili był dzieckiem, szczęśliwym dzieckiem — pieszczony przez matkę, kochany przez siostry.

— Szkoda, że to nie jesień, wyprawilbym polowanie i zaprezentował okolicy syna — mówił pan Stefan.

— Jeżeli zawczasie na polowanie, to zdaje się najwłaściwszy czas na balik, kochany tato — odezwiała się Celinka, lubiąca namiętnie tańczyć i niezawodnie bawić się.

— Balik, balik — powtórzyła Marylka. — Mamo, będziemy mieć balik!

— Oświadczam wam, że zanim miesiąc upłynie, musi być balik — zdecydował z powagą ojciec — mam w tem swój dyplomatyczny plan.

— Wybornie, doskonale! — zawołały dziewczynki.

Matka uśmiechała się, patrząc na syna, Wanda poważnie milczała.

II.

W izdebce pana Walentego, przy lampie, siedział pochylony nad księgą Adam. Pan Walenty chodził i rozprawiał.

— Nie jestem ja, mój Adasiu, uczonym buchalterem — mówił — ale każda rzecz ma swoją rubrykę, a każdy dział swoją księgę. Pisaniny i papieru dużo, ale masz wszystko jak na dłoni. Ściskam jak mogę, pilnuję, strzegę, ale cóż to pomoże. Ja zbieram po ziarnku, a wyrzucają korcami, ja zbieram korce, a setki puszczają. Gembalski kłania się nisko, narzeka, skarży się Bogu i ludziom, ziemię i niebo przeklina, gospodarstwo upada, a on majątek robi. Sałacka mu pomaga, kochają się jak brat z siostrą. Abo to kto dopilnuje? Dzieci, złote dzieci — ale powiedz któremu o gospodarstwie! — ale widzisz, te święte mało się rozumieją na ziemskich rzeczach.

— A zatem, kochany panie Walenty — przerwał Adam.

— A zatem — powtórzył staruszek — indemnizacya poszła na zapłacenie starych długów, na jedną podróż, i na wiele innych drobiazgów, tak, że na zaprowadzenie i podnie-

sienie gospodarstwa, aby tylko szło, należało zaciągnąć pożyczkę. I zaciągnęło się małą sumkę, bo ośm tysięcy rubli, które pan Stefan zaręczał, że spłaci z dochodów gospodarstwa w przeciągu dwóch lat, gdy tymczasem po dwóch latach dopożyzył dziesięć, po czterech piętnaście, a po sześciu dwadzieścia tysięcy rubli. Do tego dodaj Towarzystwo, niedobór w gospodarstwie, wzrastające procenta i z każdym rokiem nadzwyczajne wydatki — panny dorosłe. Smutno, kochany Adasiu, i jeżeli tak dalej potrwa... A niechże się trafi której z panien za mąż, a wyprawa, posag? Gdy o tem pomyśle, dreszcze mnie przechodzą.

Adam zadumany, z oczami utkwionemi w jeden punkt, siedział nieruchomie, a pan Walenty giestykulując, rozprawiał.

— Spodziewam się, panie Walenty, że Gembalskiego doglądacie.

— Tu — ale na folwarkach któż go dopilnuje? A nawet tu, gdy jest w znowie z Salacką.

Młody człowiek powtórnie się zamyślił, z rysów twarzy przebijał ból i przygnębienie.

— Myśl, myśl, kochany Adasiu, niechaj ci głowa pęka, a ty myśl, bo jak nie wymyślisz, ha! rodzina się rozleci, pójdziecie w poniewierkę, a w waszem rodzinnem gnieździe zasiądzie jaki szoldra i będzie z nas sobie drwił, naśmiewał się — lud rozpije, zdemoralizuje i zuboży.

— A któż się teraz tym ludem zajmuje? — zawołał Adam.

— Prawda że nikt, ale lud ma dobre instynkta, i jak go kto nie psuje, sam idzie zwolna ku lepszemu. Nie wierzy panom, wygaduje na nich, jest hardy — i najlepiej go zostawić samemu sobie.

Do pokoju wpadł lokaj.

— Pan prosi panicza — wygłosił i wyszedł.

— Pewno się boi pan Stefan i dlatego cię wyciąga ode mnie — rzekł staruszek.

— Ależ panie Walenty, zdaje się, że są goście, lub ojeiec ma do mnie pilny interes — tłumaczył Adam.

— No, no, niech i tak będzie, a nie zaniedbuj starego, który was wszystkich kocha, jak własne dzieci — i dlatego drży i boi się. Ciężko na starość poniewierać się!

Adam wybiegł, starzec książki przeglądał — podkreślał cyfry i wzdychał.

We dworze z okien salonu bilo światło, a w pokoju pana Stefana wesoło było i gwarno. Kilku sąsiadów, kanonik i gospodarz grali na dwa stoliki wista, krajac podczas rozdawania kart Europę na szmaty — z odwagą, na jaką nie zdolbyłby się żaden kongres.

Pan Stefan zobaczywszy syna, odprowadził go na bok, szepecząc mu do ucha:

— Przyjechała z matką panna Anna Radłowska, jest i Artur — proszę cię, przebierz się, baw pannę Annę, a bądź uprzedzająco grzeczny dla Artura. To powiedziawszy, uśmiechnięty wrócił do party i krajania na szmaty Europy. Adamowi nie pozostało, jak spełnić wolę ojca.

W salonie panowała atmosfera elegancyi i dobrego tonu. Rozmowa toczyła się, potrącając z jednakową swobodą i lekkością plotki powiatu, literaturę i zdobycze nauki. Adam nie mając wprawy w podobnego rodzaju popisach i zabawie, zamilkł i spoważniał, tem bardziej, że mu ciągle świdrowały mózg cyfry pana Walentego. Im więcej się bawiono i uśmiechano, tem więcej smutniał.

— Adasiu, pani Radłowska nie poznaje cię — mówiła Wanda. — Panna Anna posądza, że jesteś zakochany. Napróżno mama cię tłómaczy, składając winę na zmęczenie i zagranicę.

Adam się uśmiechnął, patrząc na siostrę, gdyż Wanda w tej chwili była rozpromieniona i czarująca. Niebieskie jej oczy rzuciły blaski szczęścia, a czarne włosy wpadały w granat. Do Wandy zbliżyła się panna Anna, jasna, niska, tłuścawa blondynka. Nie była ładną, lecz mówiono, że była dobrą; nie była dowcipną, ale utrzymywano, że była łagodną; nie była wreszcie zgrabną, ale za to poważną. I uczoną nie była, ale... bardzo bogatą.

Panna Anna lubiła dużo mówić o miłości i przytem objawiać swoje zdanie i opinie, malując jaskrawemi farby wielkie cierpienia młodej osoby, która pragnie bezgranicznie kochać, a jest niestety bogatą, gdyż dla tego właśnie nieszczęścia spowodowanego bogactwem, wyradzają się w jej umyśle podejrzenia, że ci, którzy się do niej zbliżają, więcej są zdolni kochać jej złoto, aniżeli ją samą. I gdyby się o tem kiedyś przekonała, nie przeżyłaby tego. Takie obawy wygłaszane były przy każdej sposobności, nie dziw, że i Adam je wysłuchiwał.

— Rozdaj pani co masz, a będziesz szczęśliwą — zdo był się na ewangeliczną odpowiedź.

Zdawało się, że północny wiatr zawiał, mroząc wesolość towarzystwa. Spostrzegł to młody człowiek, że wystąpił zbyt szczerze, dlatego pośpieszył dodać:

— W takim wypadku najwłaściwiej ufać tylko posiadającemu więcej.

— Takby być powinno — zawyrokowała mama panny Anny, gdy matka Adama spojrzała na syna z pewnym rodzajem wyrzutu.

— A jeżeli taki się nie znajdzie? — szepnęła bohaterka.

— Szukać go — odparł Adam, i wyszedł z salonu.

Stało się — wysilenia Wandy do rozbudzenia powtórnego życia w salonie, rozbiły się o zły humor panny Anny i zasępioną minę jej mamy.

Cesia, najlepsza wirtuozka z trzech sióstr, zasiadła do fortepianu, chcąc brawurą Liszta rozpędzić chmury, a wywołać uśmiechy na ustach Radłowskich pań. Uwolniona Wanda pobięła do Adama, przeglądającego *Tygodnik ilustrowany* w drugim pokoju.

— Adasiu, cóżś ty zrobił, naraziłeś sobie te panie na całe życie — mówiła cicho, siadając przy nim.

— Jeżeli twoja przyjaciółka uważa za wielkie dla siebie nieszczęście być bogatą, to przecież bardzo łatwo zostać biedną, a zatem i szczęśliwą.

— Ależ wyszukiwanie idealnych cierpień stało się już potrzebą jej serca; lubi namiętnie cierpieć.

— Winszuję!

— Powiem ci prawdę, niezręcznieś się znalazł.

— Przyznaję, lecz nie mnie tak nie drażni, jak ten nasz rodzimy sentymentalizm wyszukiwania powodów do cierpień tam, gdzie ich nie ma, a odwracania się od rzetelnych, jeżeli nie swoich, to społeczeństwa i kraju.

— Bo widzisz — mówiła dalej przyciszonym głosem — ojciec ma projekta, mama się na nie zgadza, i my również dla twego szczęścia.

— Jakiego projekta, dla jakiego szczęścia? — pytał zdziwiony.

— Dla naszego ogólnego, dla całej rodziny.

W pokoju ukazał się Artur, trzydziestoczteroletni mężczyzna, drobnej, delikatnej budowy, smagławy brunet, z czarnymi jak węgle oczyma, które zdawało się świeciły w ciemnościach. Rysy miał regularne, lecz zbyt miękko wyrzeźbione; nieco ostrożny w obejściu, choć w ruchach zdradzał wytworność i pewność siebie. Młoda dziewczyna przeglądała się z rozkoszą w czarnych jego oczach, szukając dla siebie wyroku przyszłości i szczęścia.

Poufna gawędka przeplatana dowcipem, ubarwiona wesołością Wandy, uprzejmością dla niej Artura, ożywiła Adama. Uśmiechał się, nabrał wymowy, opowiadał z zapalem, to też gdy wezwano do kolacyi, wszedł do salonu rozpromieniony, podając ramię pannie Annie, ze swobodą paryzkiego salonowca. Podrażniona bogata dziedziczka była tego wieczoru nieprzeblaganą; siedząc między Adamem i Arturem, zajmowała się tylko tym ostatnim.

Nie wolno nie odczuwać cierpień bogatych dziedziczek. Pan Stefan sądził jednak, że to są zwykłe panińskie manewra, wierzyła w to również pani Stefanowa. Wanda w duchu podzielała ich zdanie i dlatego bawiono się dobrze, gdyż uprzejmy Artur umiał z jednaka łatwością odpowiadać pannie

Annie, a bawić Wandę. Przy końcu kolacyi rozmowa weszła na ogólne tory spraw i potrzeb krajowych, w której zabierali głos mężczyźni. Panie wróciły do salonu, za nimi powoli poszła młodzież, wino zaostrzyło dowcip, podbudzało wesołość: — panna Anna rozpromieniła zachmurzoną buzię, i — i wróciło ciepło wiosny — marzeń i nadziei.

Okna były otwarte, Celinka z klawiszów fortepianu wydobywała nocturne Chopina; rozmarzone dziewczynki wpatrywały się w gwiazdy, ciemny szafir nieba i fantastyczne obrazy powstałe z cieni drzew, wody, białych kamiennych figur i światła księżyca.

O czem marzyły młode główki? Młodzież była pewna, że tylko o nich, gdy młode główki rozważały, o ile ta młodzież jest w nich rozkochana.

III.

Nazajutrz rano Wanda stuknęła do pokoju brata.

— Adasiu, schodzę do ogrodu, przychodź, ważne sprawy.

— A więc Artur jest w łaskach u pani — zagadnął obcesowo Adam, podając na przywitanie rękę siostrze w grabowej alei.

Zarumieniła się dziewczyna.

— Tak niespodziewanie napadasz na mnie.

— Jeżeli mają być dziś obrabiane ważne sprawy, to zdaje się, że jest najważniejszą.

Wanda wsunęła rękę pod ramię brata, aby tym sposobem nie mógł dostrzedz zmian rysów jej twarzy.

— Lecz powiedz mi, co się stało ze Stanisławem. Już trzeci dzień się zaczyna, jak jestem wśród was i ani razu nie słyszałam wymówionego jego imienia. A przecież dawniej podobno kochaliście się... Gdyś była dzieckiem, nazywał cię żoną.

— Nie bywają u nas — odparła tajemniczo.

- Jakto, zerwane stosunki, nawet pan Leon?...
- Nieporozumienia z tatą i...
- Slucham.
- Widzisz Adasiu, pan Stanisław i jego ojciec dziwne na nas robią teraz wrażenie.
- Aż dziwne, tak się zmienili?
- Gdym była dzieckiem, podobała mi się odwaga pana Stasia, siłą i wiadomościami imponował mi.
- A obecnie?
- Raził mnie jego matematyczny, a raczej rachunkowy rozum, na tle złośliwego sarkazmu.
- To niepodobna — szepnął Adam.
- Na to się zgodzisz, mój drogi, że pan Leon zawsze był materyalistą. Syn idąc w jego ślady, przeszedł ojca. Są to egoiści, okrywający swoją chciwość frazesami o dobrobycie — bogactwie narodu i wytrwaniu na stanowisku. Dobre są to hasła, ale żeby się dla nich wyrzec wszystkiego — żeby sobie wszystkiego odmawiać?...
- Staś egoistą — zawołał zdziwiony Adam.
- Gdy był młodym chłopcem, nie znać było tego.
- Ależ on w szkołach należał do najuczynniejszych kolegów. Serdeczny i wesoły, kochany był przez wszystkich.
- Teraz wesołość zmienił na szyderstwo, i dlatego pewno takie zimno wieje od niego.
- Ciężko mi uwierzyć — odparł Adam.
- Przekonasz się, gdy będziesz w Dobiesławicach.
- Lecz o cóż istotnie ojciec z nimi zerwał.
- Zwyczajnie tata chciał pożyczyć kilka, czy kilkanaście tysięcy rubli, a pan Stanisław oświadczył stanowczo, że tylko wtedy ojciec jego pożyczę, jeżeli tata wszystkie te pieniądze włoży w gospodarstwo. I wyobraź sobie, że niemal dyktowali ojcu jak je ma użyć! Nie koniec na tem, nie chcieli tych pieniędzy dać tacie do rąk, oświadczając, że sami niemi porobią ulepszenia, i zamiast kapitału, oddadzą rachunki. Po prostu nie wierzyli, i mieli odwagę powiedzieć, że nie mają

innej gwarancyi odbioru kapitału, jak tylko umieszczonego tym sposobem.

Adam posmutniał i zamyślił się.

— Cóż ojciec? — zapytał.

— Starł się z panem Leonem, powiedział parę słów prawdy panu Stanisławowi, i gdy wrócił z Dobiesławie, nie mógł z gniewu i oburzenia przyjść do siebie.

— Dawno to było?

— Już przeszło rok.

— I nie mi nie pisałaś?

— Tata prosił nas, aby nie wspominać o tej sprawie, ze względu, że nie chciał psuć opinii młodemu człowiekowi. Tata jest zawsze dobry i szlachetny.

— Przykro mi bardzo, Stanisław najlepszy mój przyjaciel — mówił smutno Adam.

— Ależ tata nie będzie miał przeciw temu, abyś odwiedził przyjaciela — sam o tem wspominał.

— Jeżeli tak postąpili z moim ojcem, nie pojadę. Żal mi serdecznych stosunków, lecz sama przyznasz, jechać nie mogę.

— Możesz się z panem Stanisławem spotkać lub udać, że nie nie wiesz.

— Nie, nie pojadę — zawyrokował. — Boli mnie ta historia. Inaczej marzyłem, inne układałem plany. Widzę, dużo się zmieniło przez te lat kilka. Żal mi przeszłości, tych uroczych chwil, spędzanych podczas wakacyj. Dla Stasia byłaś królową — boginią. W twojej obecności wesołość jego promieniała, gdy zmarszczyłaś brwi, milkł i smutniał; gdy się rozśmiałaś, oczy jego błyszczały radością. Kochał cię całą siłą młodzieńczego uczucia, całą namiętnością swej szlachetnej duszy. Byłaś dumną i zdawało się szczęśliwą, jak każda kobieta, gdy jest kochaną przez człowieka wyrastającego po nad tłumy.

— Wtenczas byliśmy dziećmi — szepnęła Wanda.

— Tak, dziećmi, lecz tylko względem swych rodziców. Ty miałaś siedmnaście, on dwadzieścia trzy lat. Tego rodzaju

natury jak Staś nie zapominają łatwo. Czy Artur jest zdolny kochać również silnie i serdecznie, nie wiem, nie znam go. Zrobił na mnie sympatyczne wrażenie, lecz może się mylę — przeczuwam jakiś ukryty w nim chłód, który mi nie pozwoli być z nim tak szczerze, jak byłem ze Stasiem.

— Ależ, mój Adasiu, uprzedzasz się do pana Artura, gdy on tobie okazuje tyle sympatii. Należy być sprawiedliwym względem ludzi, których się mało zna.

— Moja Wandziu, mówiłem przecie: zdaje się. Bądź spokojna, nie będę ci przeszkadzał, ani wybranemu przez ciebie dokuczał.

— Wybranemu? — powtórzyła Wanda — dotąd nie wiemy, czy pan Artur zdecydował się w wyborze.

— Gdy ty pewno już dawno zawyrokowałeś. Strzeż się tego!

— Ty tylko, mój Adasiu, wyrokujesz naprzód.

— Przyznaję, przepraszam i słucham.

— Pan Artur pochodzi z Lubelskiego, z zamożnej i starej rodziny. Po powrocie z zagranicy i rozdzieleniu majątku, kupił Klonów i zaczął gospodarować. Prowadzenie się jego dotąd jest wzorowe, zachowanie się w towarzystwie widziałeś, o wykształceniu własny sąd wydać możesz.

— To tylko powiem, że jest ładniejszy od Stasia — lecz nadto wypieszczony i wymuskany. Musi dobrze wiedzieć, że jest piękny i nie zapominać o tem nigdy.

— Kochany braciszku, pogniewamy się — przerwała Wanda.

— Staś ma rysy wyraźne — mówił Adam dalej — nieco ostre, lecz za to jego czoło, postawa...

— Rysy jego mocno zgrubiały, powiem ci prawdę, nadto jest barczysty. Zrobił się z niego prawdziwy, a jak lud mówi, rzetelny gospodarz.

— Z upodobaniem prześladujesz Stasia.

— Odwzajemniam ci się tylko za pana Artura.

Zamilkli. Adam raptem stanął.

— A jeżeli Artur nie zdecyduje się w wyborze? — mówił, patrząc w oczy siostry.

Dziewczyna zbladła — po chwili oczy jej zaszkliły się łzami.

— Kochasz go? — szepnął.

— Łzy stoczyły się po bladej twarzy dziewczęcia.

— Powiedział ci, że cię kocha?

— Nie.

— Lecz daje ci to poznać.

— O ile na to formy towarzyskie pozwalają.

— Dlaczego się nie oświadcza?

— Może się obawia o brak wzajemności z mej strony.

— Bądź spokojna, nadto dużo ma wprawy, aby nie spostrzegł w promieniach twych oczu błyszczącego uczucia, wychylającego się z twego uśmiechu, zdradzającego się brzmieniem twego głosu.

— Wczoraj byłem z wami tylko chwilkę i odrazu odgadłem.

— Mówisz, że pan Artur domyśla się mej dla niego sympatii? — spytała cała różowa.

— Jestem pewny. Jak długo bywa?

— Blisko rok.

— I mileży dotąd?

Ze strony Wandy nie było odpowiedzi.

— Cóż ojciec?

— Nie mówiłam z tatą otwarcie.

— Mama?

— Radzi czekać. Mama jest tak cierpliwą!

— Jeżeli się zgadzasz, rozmówię się dziś stanowczo z ojcem.

— Mój Adasiu, o jedno cię tylko proszę, bądź bardzo oględnym, nie stawiaj kwestyi zbyt ostro i wierz mi, że Artur należy do najszlachetniejszych ludzi.

— Jest to zwykła piosnka zakochanych.

— Adasiu!

— Przysięgam ci ogłędność, ostrożność, przywiązanie braterskie i przestrzeganie wszystkich cnót teologicznych w rozmowie z ojcem o Arturze.

* * *

Celina i Marylka w rannych negliżykach wybiegły do ogrodu kapać się w złotych promieniach słońca, lazurach wiosny i ciepłym wietrzyku, wiejącym z południa. Kochane, pie szczone i pielęgnowane jak drogocenne okazy, rozwijały się na podziw ludziom, a czasem i samym sobie.

Celinka duszą całą artystka, marzycielka. Żywy i namiętny jej temperament rwał się do szlachetnych porywów, ścieśnione życie kółka rodzinnego i stosunków nie pozwalało młodej dziewczynie rozwijać się swobodnie, a brakło jej formy artystycznej do wydobywania z siebie i ukształtowania swych marzeń i pragnień. O czynach nie było mowy. Zostało jej jedynie ośm ubogich oktav fortepianu do ulżenia falom myśli, przepływającym przez główkę. Pożerała książki bez wyboru, bo któż zajmuje się systemami w wiadomościach kobiet? Ulubienica u nas ojca, bo po nim odziedziczyła żywość, humor i fantazyę. Taką była Celinka, smutna, uciekająca w ciemne aleje parku, lub rozpromieniona wesołością, biegnąca do ludzi, aby wśród nich błyszczeć dowcipem, lub porywać czarami swej fantazyi. Nie była piękną, lecz pociągającą — miała szczęście — panowała bez żądzy władzy, i dlatego była przeciwieństwem Wandy, zawsze poważnej, spokojnej, spokojnej, pogodnie uśmiechniętej — uśmiechem królowej. Była również przeciwieństwem Marylki jasnej, złotowłosej, ośmnastoletniej blondynki, nieśmiałej, lękliwej, o arystokratycznych upodobaniach i nawykniach, o arystokratycznym obejściu, arystokratycznym unikaniu wszystkich i wszystkiego, co mogłoby spowodować nadwężenie przepisanych form, lub narazić majestat jej na zwyczajne stosunki dnia powszedniego.

Adam, zbliżony wiekiem i usposobieniem do Wandy, przepadał za Celinką, rozkoszując się jej żywością i wesołością,

a szanując samotność, gdy zadumana kryła się w ciemne aleje parku, lub z żalów swych i tęsknoty zwierzała się ośmiu okładowom klawiszy. Marylkę traktował jak dziecko.

Dziewczynki nie mogły się jeszcze nacieszyć bratem, szukały go, aby się z nim bawić, pieścić go, nadszakać mu i służyć. Nawet Marylka odstąpiła od swych zasad, śmiejąc się jak zwyczajna mieszczaneczka.

— Adasiu — mówiła szybko Celinka — źleś się wczoraj zasłużył rodzinie, ojczyźnie i samemu sobie.

— A to czem?

— Czem? — nie umiałeś cierpieć razem z milionem rubli, prześladować pannę Annę. Nie umiałeś cierpieć z panną Anną z powodu jej nieznośnego miliona — nie zdradziłeś nawet ochoty ocierania milionowych łez. A wiesz że ojczyzna potrzebuje milionów, gdy one łatwo obejdą się bez ojczyzny. Rodzina również ich potrzebuje — a one uciekają od niej. Jedynie panna Anna czuje ich ciężar i cierpi, że nie ma ramię, któreby jej pomogły dźwigać jego brzemię. Jednem słowem, nie umiesz uczuć niedoli bliźniego, jesteś egoistą, cynikiem, zimnym glazem! »Precz z mego serca — precz z mej pamięci« — powiedziała sobie wczoraj panna Anna. Ojczyzna i rodzina płaczą, ty cierpisz i cierpieniem swym zbliżasz się do panny Anny. Może ci więc przebaczy na pociechę tych dwóch wiecznie głodnych, wielkich instytucyj ludzkości.

Adam serdecznie się roześmiał.

— Jeżeli się zdecydujesz cierpieć — mówiła dalej wesoła dziewczynka — czyli inaczej schylić się po miliony, będziemy mieli bratową cieszącą się przy swych cierpieniach — wzorowym apetytem, wzorowym podług regul humorem, i... dobrą tuszą. Cierpienia i dobra tusza — dobra tusza cierpiąca z powodu przygniatającego ją ciężaru — miliona rubli! Adasiu nie gniewaj się!...

— Ej! trzpiocie, ty trzpiocie — odparł z uśmiechem Adam — właśnie ukarzę cię, nie dam ci bratowej, z której

mogłabyć żartować. I będzie ci smutno, fortepian będzie jęczał samemi nocturnami — a aleja grabowa — westchnieniami...

— Adasiu, ostrzegam cię — przerwała Wanda — Celinka nie znosi krytyki i nie lubi, aby jej przypominano ciężkie dni.

— Jak czasem, moja Wandziu; są chwile, kiedy pozwałam się krytykować, krytyka bawi mnie i rozwesela, gdy na tobie robi zawsze najfatalniejsze wrażenie, jeżeli krytykujemy kogoś, którego — któremu — o który!...

Wanda się zarumieniła.

— Cicho — mówiła poważnie Celinka — cicho, wulkan się burzy, płomyki występują na powierzchnię — szanujmy tajemnicę sere, o której wie proboszcz ze swą parafią i milczmy.

— Cóż powiesz o tym którym? — pytał Adam.

— Czyż Wandzia pozwoli?

— Pan Artur jest jednym z najdystyngowańszych ludzi, jakich poznałam — wygłosiła Marylka.

— Ależ jest on stworzony, wychowany i ułożony specjalnie dla Marylki — tylko przez pomyłkę zakochał się w Wandzi. Marylka i on byłyby to najdobrańsze dwie pary glansowanych rękawiczek. Onby tylko całował jej rękawiczki. Nawet przy oświadczeniach pysznaby była scena. On (domyślajmy się w świeżych rękawiczkach): »Pani! kocham cię i gotów jestem umrzeć u twych stóp, jeżeli... Ona: »Panie! zaraz panu odpowiem, tylko w tak ważnej chwili mego życia, pozwól mi pan włożyć moje rękawiczki... Czy pan Artur mógłby egzystować, gdyby przyszedł na świat przed wynalezieniem rękawiczek, a pewno już wiecie, że nasza siostra kapie się w rękawiczkach.

— Jest to pierwszy i niezbędny strój ludzi dobrze wychowanych — odparła z powagą Marylka, poprawiając rękawiczki zapięte na pięć guzików.

— Czy pierwszy, to kwestya, czy najniezbędniejszy, to jeszcze większa kwestya. Co też ty nie wygadujesz czasem droga Marylko!

Wesoly śmiech Celinki rozległ się po ogrodzie.

Serdeczny śmiech rozbraja i budzi weselość. Śmiał się Adam, śmiała się Marylka a nawet uśmiechała się Wanda.

— Opisałaś pana Artura — odezwiała się z cieniem wymówki — jak gdyby nie w nim nie było.

— Ależ jest wszystko — przerwała Celinka — dystynkcya, rozum, dobroć — ale przy rękawiczkach.

— Jest to więc człowiek w rękawiczkach — powiedział Adam.

— Wyborne określenie! I jeżeli byłabym autorką, napisałabym dramat »Człowiek w rękawiczkach«.

— Dlaczego nie komedję?

— Bo by się Wanda obraziła. W komedyi »Człowiek w rękawiczkach« musiałby być śmiesznym, w panu Arturze niema śmieszności. W dramacie musi być bohaterem.

— Prawda, moja Cesi — a więc próbuj.

— Już próbowałam — mówiła smutno Cesia — i próby wypadły fatalnie. Ogień je pożarł! I znowu jestem sama jak zaczarowana księżniczka z zamkniętymi ustami.

— Cesia z zamkniętymi ustami — powtórzyła cicho Marylka.

Adam i Wanda spojrzeli na Marylkę. Dziewczynka zrozumiała wymówkę, a że była dobrą, przybiegła do Cesi i pocałowała ją w różowe usta.

— Oj ty Sfinksie! — mówiła — kto cię odgadnie?

— Jedyńie Artur — odparła — jeżeliby się odważył odważył zdjąć rękawiczki, lecz ich niestety nie zdejmie. A może odgadnie mnie pan Stanisław za pomocą matematyki.

Dobry humor Celinki został uratowany.

— Radbym bardzo — rzekł Adam.

— Ależ nie nie wiesz o swym przyjacielu, który tak się roznamiętnił do rachunków, że idąc drogą, patrzy w niebo, rachując nieustannie. Z tego powodu ma częste wypadki, staje się do fosy, lub idąc drogą wpada do kaluży.

Gdy jeszcze tu bywał, raz spacerując po ogrodzie, liczył głośno i swoim zwyczajem patrzył w niebo, mija mostek i... panie Stanisławie! zawołałam, obejrzał się. Spojrzyj przed siebie — dodaję. Spojrzył, uśmiechnął się i zawrócił, a idąc ku mnie, nieustannie rachował. Usunęłam się z drogi. Czuwam nad panem — rzekłam. Skinął mi głową i poszedł dalej, patrzył w niebo i szeptał, wymawiając same cyfry. Nareszcie skończył.

— Cóż to za ważna sprawa — możesz pan sprawdzał rachunek wymiarów odległości księżyca od ziemi?

— Tem się nie zajmuję — odpowiedział. — W tej chwili obliczałem, co lepiej: czy mleko sprzedawać w naturze, czy też w postaci masła, lub sera.

— I cóż? — spytałam.

— Rachunek oświadczył się za serem.

— Kiedyż zostanie otwartą fabryka?

— Po ożenieniu — odpowiedział z najzimniejszą krwią — gdyż to będzie specjalnością mej żony.

— Cóżżeś mu odpowiedziała? — spytała się z miną obrażonej dumy Marylka.

— Ponieważ jestem kandydatką do stanu małżeńskiego, a wtedy pan Artur już się zaprezentował — milczałam. Mógłby pomyśleć, że się gniewam, ujmując się za siebie sama, wołałam żartować z matematyki.

— Jakże się bronil? — odezwał się Adam.

— Mówił mi, że cechą każdego porządnego człowieka jest nieustający rachunek. Należy się z każdą sprawą naprzód obliczyć, zanim się coś postanowi lub przedsięwzięmie.

— Wyborna i racjonalna uwaga — przerwał Adam.

— Ja zaś wzięłam na odwagę i spytałam go, czy i w kwestyi małżeństwa będzie się trzymał tej zasady?

Popatrzał na mnie chwilę — potem spojrzył w niebo jak gdyby chciał coś rachować i nareszcie rzekł:

— Reguła ta nie znosi wyjątków.

Wanda się zarumieniła, pewno ze wstydu, Adam nie znalazł na razie odpowiedzi.

— Cynizm tego człowieka jest oburzający — szepnęła Marylka.

— Zwyczajny śmiertelnik — dodała Celina.

— Odważny — zdecydowała Wanda.

— To prawda, że odwagi ma więcej od nas — rzekł Adam.

— Jakiej? — pochwyciła Cesia.

— Nazywania rzeczy po imieniu.

— Nie rozumiem cię.

— Przed chwilą swatając mnie z panną Anną, mówiście z szacunkiem o milionie, a żartowały z panny Anny.

— Niech każdy obraca się w swej sferze — odezwiała się Marylka.

— Ależ to inna historia — przerwała Marylce Cesia, zwracając się do Adama. Ty się poświęcasz dla rodziny, a twój przyjaciel nie potrzebuje się poświęcać dla nikogo.

— Ja się poświęcam, a Staś jest cynik.

— O, tak — poświadczyły siostry seryo.

Adam uśmiechnął się z powagi siostr, lecz i na niego samego niekorzystnie oddziaływała rachunkowa namiętność przyjaciela.

W rannym, białym stroju, do gromadki swych dzieci, zbliżał się szybko pan Stefan.

— Dosyć tych tajemnic i zwierzań — mówił wesoło, całując w czoła dziewczynki — trzeba wrócić do pracy i dlatego zabieram wam Adasia.

— Wrócić do pracy — powtórzyła Celinka — cóż ty na to Marylko?

— Prawda — odpowiedziała seryo Marylka — trzeba wrócić, nie jestem jeszcze uczesana i nie wiem jaką dziś suknię włożę.

Celinka wybuchając śmiechem, zawołała:

— Moja ty pracownico!

— Proszę się nie śmiać — zabrał głos pan Stefan — zadanie nielada, można się zmęczyć... ze względu, że podobno dzisiaj ma przyjechać pan Króweczyński.

Zarumienila się z oburzenia dziewczynka, i nie dając odpowiedzi, odeszła.

— Ależ Krówezyński dobry chłopiec i nie masz żadnego powodu nienawidzieć go — wołał za odchodzącą pan Stefan.

— Jeżeli pracą ma być narada o interesie, może i nam tata pozwolisz pracować, a przynajmniej słuchać — mówiła Celinka.

— Przepraszam cię — pochwycił prędko pan Stefan. — Zajęcia, w których główną rolę gra arytmetyka, nie są odpowiednie dla kobiet.

— Jak jaka — powtórzyła Celinka, biorąc pod ramię Wandę — jeżeli matematyka przypomina mi pana Stanisława — żegnamy panów. Bawcie się, raczej nudźcie się, matematykując, byleśmy tego nie słyszały. Do widzenia, a nie pracujecie zbyt długo i ciężko.

To mówiąc, zrobiła zgrabny dyg i razem z Wandą odeszły. Zostali ojciec z synem.

— Dowiedziawszy się, że część wczorajszego wieczoru przepędziłeś u pana Walentego, byłem pewny, że przyjdiesz do mnie.

Ojciec podał cygaro Adamowi, zapalili oba — idąc w głąb ogrodu.

— Przeglądałeś rachunki — zaczął po chwilowem milczeniu.

— Przeglądałem — odpowiedział Adam.

— I wysłuchałeś czarnych horoskopów pana Walentego. Ruina, upadek rodziny, rozbiegnięcie się na wszystkie strony świata i głodna śmierć.

Tu pan Stefan się rozśmiał.

— Nie bój się, tak źle nie będzie!

— A jednak, ojcze, cyfry pana Walentego mówią wyraźnie i przekonująco.

— Prawda, gdybyśmy interesa zostawili naturalnemu biegowi wypadków. Lecz my czuwamy.

— Od jak dawna? — spytał Adam.

— Od bardzo dawna, tylko że pora działania mogła się dopiero rozpocząć z chwilą twego przyjazdu.

— A zatem ja jestem najgłówniejszym czynnikiem.

— Jesteś najgłówniejszą osobą w rozpoczęciu tej akcyi, albo lepiej, sam rozpoczynasz akcyę.

— Rozkazuj ojcze.

— Broń Boże, ja tylko cię prosić mogę. Zaczynam. Czyżów dzisiaj wart najmniej dwakroć pięćdziesiąt tysięcy rubli. Towarzystwa pięćdziesiąt tysięcy, innych mniejszych długów około trzydzieści, z tych dwadzieścia tysięcy na pierwszej hipotece. Zostaje nam przeto sto trzydzieści ośm tysięcy na Czyżowie, którego las, lekko biorąc, cenią na sześćdziesiąt tysięcy.

— A zatem długi przewyższają trzecią część wartości majątku.

— Prawda, ale sprzedaż lasu odrazu odmazujesz połowę długu.

— Lecz znacznie zmniejszam wartość całego majątku.

— Niekoniecznie. Jest dosyć lasów w okolicy, drzewo tanie, ziemię z pod wyciętego lasu łatwo wykarczować i stworzyć nowy folwark.

— Ależ my, drogi ojcze, ziemi którą już posiadamy, nie jesteśmy w stanie należycie obrobić, czyli do warsztatu, który przedstawia, za mało mamy kapitału gotówki i kapitału pracy, aby kupiony warsztat czyli ziemia, dawała odpowiedni procent!

— Znać mój Adasiu, że jesteś świeżo z pod igły wyszły doktor wyzwolonych nauk. Mówisz tak uczenie, jak profesor niemiecki, który umyślnie wysadza się na zawikłane, a mało zrozumiale apostrofy.

— Sądzę, mój ojcze, że tłómaczę się jasno, nasze dwa tysiące morgów są obciążone trzecią częścią swej wartości — las bez pracy przynosi procent składany.

— To już mniejsza, jaki procent przynosi, rezultatów ze składanego procentu nie doczekamy się, tymczasem las nie daje więcej jak trzy, gdy po wycięciu go, odbieramy sześćdziesiąt tysięcy, a pozostała ziemia będzie przynosić dziesięć procentów.

— Przepraszam ojca, lecz mamy nieszczęśliwy zwyczaj idealizowania naszych dochodów i obliczeń podług najświeższych rezultatów i najurodzajniejszych lat, nie pamiętając o klęskach.

— Więc już zawsze ma się nie rodzić? Skazujesz nas na wieczny głód — z pewnem rozdrażnieniem zawołał pan Stefan.

— Weźmy ojcie pierwsze lepsze 30 lat i obliczmy, a przekonamy się, że najmniej w tej trzydziestce dziesięć było nieurodzajnych.

— Właśnie teraz nadechodzące trzydzieści mogą być same urodzajne.

— Drogi ojcie, to niepodobna.

— Widzę, chcesz być prorokiem.

— Przeszłość... nauka...

— I cożeście nią zbudowali?

— Wiemy prawdę.

— To niewiele.

— Nie ludzimy się.

— To za mało. Wracając do przedmiotu — orna ziemia więcej przyniesie dochodu, jak las na razie.

— Być może, jeżeli w trzysta morgów po wyciętym lesie włożymy odrazu dwadzieścia tysięcy rubli najmniej, a więc zostanie kapitału na spłacenie długów tylko czterdzieści tysięcy, i zmniejszona wartość całego majątku najmniej o trzecią część.

Pan Stefan stanął, patrząc na syna.

— Zrobiliś się mój Adasiu wielkim pesymistą.

— Nie, mój ojcie; lecz nauczono mnie nieco rachować.

— Więc jesteś przeciwnikiem sprzedaży lasu?

— Jestem stanowczym przeciwnikiem wycięcia naszego lasu, chyba w ostatniej konieczności.

— Jesteś przeciwnikiem wycięcia lasu, a zgadzasz się, aby ratować podszarpany nasz majątek.

— W zupełności — zawołał Adam.

— Pewno już wiesz, że Artur stara się o Wandę.

— Wiem, że mu się Wanda bardzo podoba, widziałem to wczoraj; lecz aby się o nią starał?...

— Więc coś przypuszczasz, że ją balamuci do krośset!... Pan Stefan zmarszczył brwi; silny rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Ani na chwilę tego nie przypuszczam — odparł żywo Adam — lecz Artur bywa już rok i podobno ani na krok nie postąpił.

— Przeciwnie — przerwał pan Stefan — coraz więcej asystuje Wandzi.

— I na tem się kończy. Mając rok czasu, mógł już coś stanowczego postanowić. Niezawodnie cała okolica mówi, że się żeni; wszyscy o tem wiedzą prócz nas: należałoby tę nie pewność przerwać.

— Należałoby — powtórzył ojciec — ale jak? Pytać się go i zrażać do siebie, gdy jest to jedyna partya dla Wandzi.

— A jednak Wandzia ma już dwadzieścia trzy lat skończonych... niechże jeszcze niepewność Artura trwa rok. Dla panny w dwudziestym piątym roku życia zaczyna się pewne niebezpieczeństwo.

— Prawda, prawda, zgadzam się; lecz jak przeprowadzić tę drażliwą kwestyę: tracę głowę. Mam nadzieję, że Artur posagu zaraz nie wymaga. Bogaty i bezinteresowny, duży ma majątek; urządza go, buduje.

Zamyślił się.

— Nie, to niepodobna, aby żądał gotówki — zawolał z mocą. — Nie wierzę w to.

— W tem właśnie kwestya, moj ojcze; gdy moglibyśmy być pewni, że Staś nie wymagalby jej.

— A dajże mi pokój z tymi jadownicie śmiejącymi się egoistami. Nudne kompatury, nadęte i złe!

— Ależ, mój ojcze!

— Żadne ale, egoiści i rzecz skończona. Ty bo pewno nie wiesz...

— Wandzia mi opowiadała — przerwał Adam.

— Lecz nie opowiadała ci, że Leon wyciął mi naukę moralną — a syn narzucał się na kontrolera.

— Z pomocą — rzekł cicho Adam.

— Nieproszoną! Zresztą bywaj jeżeli chcesz, ale mnie uwolnij od nich.

— Bywać nie będę, ponieważ ty ojciec nie bywasz.

— Dziękuję ci. Wracam do Artura, mówiłeś o nim z Wandą?

— Mówilem, Wanda go kocha.

— Rzetelnie?

— Prawdziwie, ani sentymentalnie, ani po marzycielsku. Wanda jest poważną; kobiety dumne, łagodne a wytrwale nie żartują z miłości. Jeżeli kochają, to długo, cicho, a silnie. Z tego to powodu grozi nam pewne niebezpieczeństwo. Zdaje mi się, że miękkiego, słabego charakteru Artur, przecuciem skłania się do Wandy, jako do silniejszej.

— Tak, skłania się, wyraźnie się skłania, szuka jej — powtórzył z naciskiem pan Stefan.

— Lecz czy słabość jego pozwoli mu zdobyć się na stanowczy krok?

— Powinienby.

— Czy istotnie interesa jego nie wymagają gotówki?

— Tak się zdaje, taką ma opinię.

— Lecz pewności nie mamy żadnej.

— Trudno o pewność w tego rodzaju sprawach.

— Cóż okolica mówi o nas pod względem majątkowym?

— Dotąd wszystko dobrze. Zdaje się, że nie wiedzą o zaciągniętym długu hipotecznym — a o mniejszych, to już z pewnością nikomu przez myśl nie przejdzie, wyjąwszy Leona i Stanisława, ale chociaż są to egoiści, wierzę w ich prawosć, milczeć umieją i ręczę ci, że tajemnicy nie zdradzą.

— To co mówisz, mój ojciec, jeszcze więcej mnie zadziwia, dlaczego Artur tak się kryje ze swymi uczuciami, ze swą sympatyą dla Wandy.

— Podzielam twoje zdanie i trzeba to wybadać.

— A gdy zażąda posagu?

— Tak, bez ogródki, cynicznie, nie odważy się.

— Może żądać z ogródkami.

— Jeżeli tak, mój Adasiu — mówił wolno pan Stefan, wpatrując się w syna — ty się musisz poświęcić i ratować rodzinę.

— Ja ratować rodzinę i poświęcić się? — powtórzył Adam.

— Kupisz dobrze Czyżów, splacisz siostry i brata, nam zapewnisz dożywocie i rzecz skończona.

— Kupię — lecz za co?

— Za miliony panny Anny, a nareszeie i na jej imię. Wtedy na Czyżowie będziesz eksperymentował podług najświeższych teoryj przywiezionych z Belgii.

— A więc niema innego ratunku nad bogate ożenienie się z osobą, do której nie czujemy najmniejszego pociągu?

— Mój drogi — przerwał pan Stefan — nie mów w liczbie mnogiej, proszę cię, panna dla mnie jest nader sympatyczną.

— A więc niema innego ratunku? — powtórzył Adam.

— Ja nie widzę, jeżeli ty masz, wskaż go.

— Sądzę, że umiejętność jaką zdobyłem — praca, wytrwałość...

— Wybornie, ale jak i czem będziesz pracował? Lasu sprzedać nie chcesz i masz słuszość. Zkąd weźmiesz kapitał nakładowy?

— Staś chciał...

— Bawić się w doświadczenia na mym • gruncie i na mój rachunek, gdy ja potrzebowałem pieniędzy na zapłacenie rat Towarzystwa, podatków i procentów — przerwał pan Stefan z widocznem rozdrażnieniem. — Kochany Adasiu, wiem, że jesteś najszlachetniejszym z młodych ludzi, że kochasz rodzinę — a przytem masz wrodzoną łagodność i dobroć serca, i chociaż się nie ożenisz z miłości, nie zrobisz żony nie-szczęśliwą.

— Lecz ja, mój ojcze, pragnąłbym kochać, jedyne to szczęście, do jakiego mamy prawo na tej ziemi.

— A, jeżeli tak — odparł cierpko pan Stefan — to zniżenia postać rzeczy; sądziłem, że miłość rodziny wystarczy ci.

— Moi panowie! — wołała, biegnąc Celinka — dosyć tych dysput i matematyk, przyszła poczta, są gazety i listy dla taty — podała je ojcu.

Pan Stefan rzucił okiem na adresy, i nie roztworzywszy listów, szybko wsunął je do kieszeni żakietki.

— Tata nieciekawym jesteś rozpieczętować i przeczytać; ja zaś, gdy odbieram list od Mani, ręce mi drżą z rozdrażnienia i ciekawości.

— Dla ciebie są to zabawne nowinki.

— Tajemnice, ojcze — przerwała z dramatycznym ustrojem.

— A dla mnie rzeczy wiadome. Znam wybornie treść przysyłanych mi listów, które streszczają się w trzech słowach: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

— Jacysż wiele dyplomaci pisują do taty. I cóż tata z nimi robi?

— Gdy mam pieniądze, odsyłam, gdy ich nie mam, nie odpowiadam i listów nie czytam.

— Wyborny, jedyny sposób, aby zawsze być w dobrym humorze, nie irytować się i nie gniewać na ludzi, którzy tego nie są warci. Braciszku, podaj mi ramię i chodź odpocząć po pracy. Pan Walenty już pochwycił dzienniki i czyta je namiętnie, utrzymując, że jedynie w nich może jeszcze znaleźć ratunek i wyczyta zbawienie.

— Jeżeli tylko ztąd — rzekł Adam — słaba nadzieja.

— Nie znamy przyszłości — odpowiedział pan Stefan. — I po cóż być ponurym prorokiem?

— Ależ obydwaj panowie — pochwyciła Cesia — wyglądacie areyponuro. Oto do czego prowadzą matematyczne dysputy, które tylko zostawiają po sobie rozdrażnienie i niesmak. Raz na zawsze zróbmy rozbrat z tą przekłątą matematyką, a będziemy weseli i szczęśliwi. Matematykę zostawmy

przyjacielowi Adasia. Troszkę więcej, czy troszkę mniej, wszystko jedno.

— Chodź do mnie, nieodrodna moja córo — zawołał pan Stefan — my tylko rozumiemy się wybornie. Nie szkodaż życia na te nieustanne obliczania i rachunki?

Celinka poskoczyła do ojca, twarz pana Stefana rozpromieniała się. Jeden Adam nie mógł pokonać tłoczącego mu serce smutku, a że był marzycielem, myślał, raczej snuł obrazy weselszej i lepszej przyszłości.

IV.

Starej daty ekonom Gębalski, znał swe rzemiosło, bo znał słabe strony swych panów; umiał z nich zręcznie korzystać, i nie źle mu się działo, a zaczęło się dziać dobrze, bardzo dobrze, odkąd został przyjęty do Czyżowa. Z początku ekonom na folwarku, później awansował na ekonoma w głównym majątku, a nareszcie dostał się na jeneralnego rządę, ciesząc się łaską i zaufaniem pana Stefana. Gębalski znał swe rzemiosło, i dlatego umiał być głośnym, bardzo głośnym; płuca miał pułkowego dowódcy, przerażającego marsa i zawiesiste wąsy. Klaniał się nisko, skarżył się Bogu, do nieba wzdychał, ziemię i ludzi przeklinał, a cicho robił majątek.

Gdy wrócił z odpustu lub jarmarku, a wtedy zwykle był w dobrym humorze, lubił się zwierzać.

— Nie bój się Kundziu, jeżeli mi Bóg pozwoli pożyć ze trzydzieści lat, zobaczysz, Czyżów będzie nasz.

— Nie obrażałbyś Pana Boga napróżno, stary — odpowiadała pani Gębalska. — Jeszcze kto gotów podsłuchać i piorunem wylecisz.

— A kto? Ten stary pies, pewno się kolo pałacu uwija. — Tak zwykł nazywać Gębalski pana Walentego.

— A ja ci mówię, nie ciągnij zanadto, bo pęknie.

— No, no, moja Kundeczko, jeszcze się doczekasz, że

o Józię naszą oświadczy się pan Adam lub Julek. Zobaczysz. Będą cię całować w rękę, ty się rozsiędziesz na kanapie w czyżowskim pałacu, a ta indyczkowata gaska, co to do człowieka ani nie zagada, ani nie spojrzy, będzie ci stołeczek przystawiać pod nogi.

Pani Gębalska namiętnie kochała jedynaczkę Józię, Gębalski znał tajemnicę serca swej Kundzi, dlatego też wiele razy straszyla go, bojąc się sama zbyt dużego hazardu, uspakajał ją przyszlēm szczęściem Józi.

— Ej! nie szalej, mój stary! A nareszcie trzeba mieć Boga w sercu — persadowała.

— A cóżto nie modlę się, nie poszczę, nie jeżdżę na odpusty, nie oddaję Bogu co boskiego? Jestem ci może jaki farmazon? A zresztą — dodał przyciszonym głosem — nie wezmę ja, to wezmą drudzy, a jak drudzy nie wezmą, to i tak się zmarnuje na zbytki, albo zabierze Sałacka, rozkradną lokaje! Nie lepiej, że poczciwy człek na starość dla siebie i dziecka coś uciula?...

— No, tak — mówiła udobruchana pani Gębalska — tylko na miłość Boską, ostrożnie.

— Ho, ho, jak się człek zestarzeje, to ci powiedzą: »Staryś, ruszaj se umierać pod płotem, kiedyś był tak głupi, żeś o sobie nie umiał pamiętać«.

— No, tak — powtórzyła pani Gębalska — tylko na miłość Boską ostrożnie.

— Znam ja ich, bom się to nie napatrzał na własne oczy? A co zrobili z Hartkiewiczem, a co zrobili z Rzepeckim? Harował całe życie, pilnował, strzegł pańskiego jak oka w głowie i jaka za to wszystko zapłata? Gdy już nie mógł dojrzeć, gdy mu się nogi trzęsły, wygnali go jak psa i zmarniał gdzieś tam u żyda. Żona, dzieciska, wszystko poszło w poniewierkę.

Pani Gębalskiej wypadło w tym punkcie westchnąć, i westchnęła ciężko.

— Znam ja ich — wołał Gębalski — tych faraonów. Boga w sercu ani za trzy grosze, a podchlebiają, a liżą się:

»Mój Gębalsiu, mój Gębusiu«, — ale stój w przedpokoju, ani kroku — wara ci!... Dam ja wam.

— Tylko na miłość Boską, ostrożnie.

— Co mi tam będziesz ciskać w oczy ostrożność, wiemci jak trawa rośnie — zawołał z mocą — nie złapią mnie. A choćby widzieli, to i tak muszą oczy zamknąć. Za sześć lat pensya niezapłacona.

— Zapłaciłeś ty ją sobie — przerwała pani Gębalska.

— Zapłaciłem czy nie, to moja rzecz, a pensya pensya. A zkad wezmą odrazu tysiąc ośmset rubli, gdy każdym złapanym groszem trzeba im zapychać rozmaite dziury? Muszą zamykać oczy i basta.

— Co ty nie wygadujesz stary — zawołała pani Gębalska, łamiąc ręce. Teraz pewno pan Adam weźmie na siebie gospodarstwo i będzie inaczej.

— Będzie lepiej! Każdemu mądrali na niemieckich książkach prędej oczy zamydlisz, jak zwyklemu gospodarzowi, co to orze, sieje, gnój wywozi, pilnuje i Boga chwali. Już moja Kundo, ty się do tego nie mieszaj, boś na te rzeczy głupia, jak ta gęś nieprzymierzając.

Gębalski ujął się pod boki i wydał policzki.

— Patrzcie go, Gębala — odparła polowica — jak to zhardział! Że czuje w kieszeni parę groszy, to już i żonę po-niewiera. A jakeś mnie brał, gdyś jeszcze był Gębala — po-niewierałam tobą — chociaż jestem z porządnego domu?

— Fiu! fiu — rozśmiał się Gębalski.

— Co Kosmacińska to nie Gębala, stary ośle, rozumiesz?

Pani Kosmacińska z domu, tupnęła nóżką.*

Gębalski zbity z tropu nadrabiał miną, i kładąc ręce w kieszenie, mówił sam do siebie:

— Kosmacińska, wielkie mi państwo! a wzięłam ją z jedną spodnicą! Żeby też jaki grosz, choćby na żart się zawadził.

— A ty coś miał — krzyknęła rozgniewana Kosmacińska z domu — jedna kapota przykrywała ci plecy; dopiero

gdym ja znalazła i wyprosiła miejsce w Czyżowie, zaczynasz hardziej i pomiatasz mną, gdy w pierza z mojej łaski obrastasz.

— Z twojej? — krzyknął Gębalski, rzucając z całej siły czapkę o ziemię.

Otworzyły się drzwi, wszedł Adam; Gębalski stanął jak wryty — Gębalska zbladła.

— Ja...śnie ja...śnie — zaczął się jąkać, uśmiechać słodko i nisko klaniać.

— Cóżto, małżeńska sprzeczka? — pytał wesolo Adam.

— Dokucza mi — zawołała pani Gębalska i załala się łzami.

— Szanuj pan żonę — mówił młody człowiek; — Kosmacińscy znani są, kobieta z dobrego gniazda...

— Dziękuję jaśnie panu — zawołała nieszczęśliwa niewiasta, płacząc. — Pracuję mu od świtu do nocy, oszczędzam jak mogę, a on mi jeszcze wymawia.

— Ha! cóż jaśnie panie, bieda gnicie, to i nie dziw, że się czasem człek uniesie — pochwycił Gębalski.

— Bieda? — powtórzył Adam, i uśmiechnął się.

Uśmiech Adama, jakby od jednego zamachu, przeszył sztyletem dwoje naraz sere państwa Gębalskich.

— Ha! cóż jaśnie panie, pensyi już od sześciu lat nie widziałem ani grosza...

— A jednak jakoś pan żyjesz — odparł Adam.

— Łata się jak może i ciągnie jak może, aby szło, aby bliżej grobu, cóż robić?

— Kiedy bieda, to cierp i milcz, a nie dokuczaj mi.

Pani Gębalska nważała za potrzebne westchnąć i lzy chusteczką otrzeć.

— Bądźcie państwo spokojni, pensyę wypłacę.

— O! dziękujemy, bardzo dziękujemy jaśnie panu, popłaca się długi i człek jakoś się z biedy troszkę otrząsie — odezwiała się smutno pani rządczyni.

Adam się znowu uśmiechnął i znowu zimny sztylet przeczyl serca państwa Gębalskich.

— Ponieważ mam dziś wolny czas, każ pan konie okulbaczyć, radbym obejrzeć pola i zasiewy.

Gębalski wypadł na dziedziniec krzycząc swoim zwyczajem.

— A gdzież córka? — zapytał Adam Gębalskiej.

— W Radomiu, proszę jaśnie pana, u ciotki; zlitowała się i wzięła ją do siebie, aby się dziewczyna w szkole choć czytać nauczyła — mówiła słodko wznosząc oczy ku niebu.

— Walek, a gdzieżeś ty... Że tożto żadnego doprosić się nie można! A jest tam który? A to lajdaki! Jak święto, to tylko do karczmy lecą jak opętani — rozlegał się na dziedzińcu donośny bas pana rządu.

Walek stanął we drzwiach stajni.

— Kulbacz zaraz konie. A przejechałeś je choćby po raz szczotką? Ale to próżniaki, tylkoby jedli i spali.

— Drzyj se głowę, drzyj, bo panicz w gumnach — mówił do siebie Walek kulbacząc konie.

— Należało dopilnować, aby konie były oczyszczone rano — odezwał się łagodnie Adam za plecami Gębalskiego.

— Abo to nie wolam, nie krzyczę, nie pilnuję? Lecz cóż to pomoże?

— Pomoże, gdy się każe przy sobie oczyścić.

Gębalski oczy wytrzeszczyl i znowu stanął jak wryty.

— Bo, bo też oczyszczono — rzekł z cicha.

— A więc pocóż krzyczeć? — Niesprawiedliwy krzyk oburza ludzi i gniewa.

— Dam ja im gniew! — pogroził zamaszycie.

— A częsty krzyk — kończył Adam — nie robi żadnego wrażenia i proszę nie męcz się pan nim.

— Jakże inaczej z chłopstwem poradzić?

— Łagodnością i pilnością.

— Jużto, proszę jaśnie pana, pilności mi nikt nie zgani.

— Tem lepiej, a proszę mnie nie oświecać tak zbyt, wystarczy pan Adam.

Gębalski roztworzył buzię dość szeroko, albowiem miał ją rozdartą, jak utrzymywał Walek. Zakazano mu krzyczeć

i nie pozwolono używać »jaśnie pana«, z którym się wychował, wzrósł, pomimo że się na niego gniewał. Nie dziw, że wystraszony zaczął coś podejrzывать.

Walek przyprowadził konie.

— No cóż Walek, pan rządea bardzo krzeczy?

— Ej żeby to zważać na te wszystkie krzyki, toby człek chyba głowę stracił. — Krzyczą, bo już tak do tego włożeni i już.

Adam spojrział na Gębalskiego z tym samym uśmiechem, co w pokoju pana rządey.

— Nie krzyczmy więc panie Gębalski napróżno — powiedział, siadł na konia i na miejscu zawrócił. Korzystał z tego pan Gębalski i pięścią pogroził Walkowi, ale Walek wzruszył ramionami odpowiadając na groźby w stajni:

— Tylko mnie rusz, to zobaczysz, pójdę zaraz do panicza ze skargą.

Topolową aleją mknął naprzód Adam, za nim otyły Gębalski jak mógł podążał. Jakieś go trapiły ciężkie myśli, bo był czerwony, niespokojnie oczami strzelał i chustką pot z czoła ocierał. Stanęli nad lanem pszenicy.

— Panie Gębalski, jakie pańskie zdanie o tegorocznych zbiorach?

— A cóż ja temu winien? — zawołał. — A to przecie starszy pan świadkiem...

— Czego?

— Jaka to była jesień, jaka ciężka uprawka, a perzu, Boże zlituj się! Nie można było pluga wrążyć, tylko perz i perz. Myślałem sobie, co ziemię przewracać napróżno? Nie lepiej nawozem zwalić i głęboko przyorać, to i perz djabli wezmą. I cóż ja winien, że znowu wylazł? Zima mokrzuteńka wszystkiemu winna i basta.

— Źleś pan myślał — rzekł sucho Adam.

— Abo to mam odpowiedni sprzężaj? Nie takiego tu sprzężaju potrzeba na taką ciężką ziemię, co jak się zeschnie, to skala!

— Trzeba się starać aby mieć dobry sprzężaj.

— Starać, ale czem? temi dziesięcioma pałkami. Koniska żebami świecą...

— Pańskie sześć koni nie świecą żebami.

— Jakie sześć, proszę jaśnie pana — jakie?

— Cztery dorosłe i dwa żrebacki dwuletnie.

— Ależ to wszystkie żróbki, nędzne żróbki, co jeszcze nie przestały ssać.

— Dobrze wyglądają.

— Bo młode, bo nie w pracy; ale niech-no one w pługu pochodzą...

— Szkoda ich do pługa.

Gębalski się zamyślił.

— Bo ja właśnie — zawołał nagle — chciałem je wychować dla starszego pana do fornalki.

— Zamiast prezentów, spojrzyno pan na te zagony — przerwał Adam dyplomatyczny wybieg Gębalskiego.

Abo to można było w takim perzu, w takiej ziemi skibę do skiby dosadzić?

Adam zwolna jechał naprzód, za nim Gębalski obcierał pot z czoła a w duchu przeklinając odpusty, Kundzię, która go do pasy przyprowadziła i mądrali uczonych na niemieckich książkach.

— Słyszał — wszystko słyszał, jak pana Boga kołham słyszał — powtarzał sobie — albo go ten »stary pies« podjadł. A bodajbyś z piekła nie wyszedł!

Żyto, kartofie, buraki, konieczyna, jęczmień, mieszaniki uległy krytyce i też same usłyszały usprawiedliwienia. Wszyscy byli winni, a nareszcie ziemia »bestya, galgan« i niebo robiące na złość dobrym chęciom pana Gębalskiego. Tylko on jeden był czysty, nieskazitelny, niewinny jak gołąbek, pracujący od świtu do nocy, pilnujący pańskiego, jak oka w własnej głowie,

— Gdyby panu pański rzadca tak gospodarował, cobys mu powiedział?

— Miałbym przeciw woli Boskiej występować? — zawołał Gębalski.

— Niebyś mu pan nie powiedział?

— Podziękowałbym mu chyba, że przynajmniej tyle jest.

— A więc i ja dziękuję panu.

Adam zwolnił lejce, koń skoczył galopem. Gębalski chciał również pogonić, lecz się zmiarkował i zatrzymał.

— A leć na złamanie karku, leć, ty mądralo niemiecki. Zobaczmy jak to będzie, gdy ty tu zaczniesz sam gospodarzyć.

— Jakże chcesz, żeby tu kto po tobie plony zbierał — odpowiedziało Gębalskiemu sumienie.

Roześmiał się na te wyrzuty własnego sumienia.

— Jadłeś chleb, robileś majątek i tak dbałeś o powierzone ci dobro? — przemawiało dalej sumienie.

— Ha! dobrze im tak tym faraonom (przypuszczam, że Gębalski miał na myśli faryzeuszów). Rozpierają się w pałacach, piją, jedzą i nic nie robią, a ty im pieniądze zbijaj.

— Nie w tem rzecz — odpowiedziało sumienie. Ty zamiast spełniać swe obowiązki, kradłeś, a kradnąc musiałeś mieć współników i milezących świadków, który oplacałeś tolerowaniem ich próżniactwa. Robili co chcieli, a tyś krzyczał gdyś pana zobaczył, a śmiał się i drwinkował za jego plecami. Łajdak jesteś!

— Łajdak? — powtórzył głośno Gębalski — ha! ha! ten kto ma kieszeń naladowaną, ten nie łajdak: znam ja ludzi i świat. — Józie wydam za pana...

— A tymczasem wygnają cię — zawyrokowało sumienie.

— Nie tak bardzo — odpowiedział głośno sumieniu swemu pan Gębalski i powoli skradał się do zabudowań dworskich.

Wjechał w gumna, Walek wyszedł po konia.

— Pan Adam wrócił? — zapytał.

— Panicz wrócili już dobrą chwilkę.

— Mówił co?

— Był jakiś markotny i zły.

— Patrzajcie go — zły?

— A miałby się też czem kontentować po obejrzeniu zasiewów.

— Ej Walek, nie ujadaj, bo ja ci jadaczkę zamknę.

— Tak, a pan »rzońca« dali mi najgorszy zagon pod ziemniaki — odpowiedział z rodzajem wymówki Walek.

— Cicho, cicho, ty łajdaku: zrzucisz sobie wieczorem z wozu dwa korce, gdy będziesz pańskie zwoził na jesień.

— Ej! zdaloby się choć ze trzy — odezwał się Walek.

— Patrzcie, jaki to cheiwy, zwyczajnie chłopska dusza. A cicho mi być, ani pary z gęby.

— Będę ja ci zwał, ale co wieczór po dwa. I co mi zrobisz? — A jak ty mnie, to ja tobie. A znalazłoby się do gadania, żeby i na wołowej skórze nie spisał.

Tak rozumował Walek, odprowadzając konia pana »rzońcy« do stajni, gdy pan »rzońca« niespokojnie strzelając na pałac oczyma, szedł do oficyny. Pani Gębalska, nie zapominajmy Kosmacińska z domu, stała w oknie; zobaczywszy małżonka kiwnęła nań paluszkami.

Dobrze ci tak! — zawołała, gdy Gębalski drzwi zamknął.

— Cicho Kundziu, nie doprowadzaj mnie do pasy, bo się mogę zapomnieć i znów będzie awantura.

— Awantura już się skończyła — odparła pani Kundzia.

— Co ty mówisz?

— Co mówię, to mówię, a widziałam na własne oczy jak pan Adam wpadłszy galopem, oddał konia Walkowi i pędem szedł do pałacu. Zastąpił mu drogę pan Walenty.

— Oj, ten stary pies — mruknął Gębalski.

— Nie przeszkadzaj a słuchaj — krzyknęła zirytowana kobieta. — On będzie miał do wszystkich pretensye, gdy sam winien.

Gębalski oczy wystraszone wytrzeszczył.

— Jak się spotkali — mówiła dalej — tak stanęli i wtedy pan Adam zaczął opowiadać, a był zły, bo nogą tupał a pan Walenty rękami rozkładał. Otworzyłam lufcik, myślałam że co usłyszę, ale mnie stary zobaczył i poszli.

— Pewno do pałacu?

— Nie, do oranżeryi.

— Do budy tego starego psa.

— A nie mówiłam ci, nie perswadowałam, nie zaklinałam, że lepiej przez dwadzieścia lat wziąć po tysiąc rubli i wyjść z honorem, jak przez dwa po trzy. Ale cóż, lakoma natura chłopska przemogła. Jak zaczął drapać bez miłosierdzia a próżnować, tak go teraz samego wydrapia.

— Nie tak prędko, moja rybko, nie — odpowiedział nadrabiając miną małżonek — a pensją za sześć lat i z góry za cały rok?

— Cicho bądź razem ze swoją głupią pensją, gdyś tu opływał jak pączek w maśle. Wszystko miałeś coś chciał, na każdym jarmarku byłeś, gości wiele ci się podobało; herbatę pijeś z »romem« jak wodę, a teraz gdy wleziesz na dzierżawkę, będziesz ty w palce chuchał.

— A może i na swoje — odparł Gębalski wydymając policzki.

— On tyłkoby dał, ma tam parę rubli i już mu się zachciewa dziedzietwa. Żebyś tu jeszcze posiedział choćby z piętnaście lat, tobyś mógł i na wioskę wleźć.

— Kundziu, trzeba radzić.

— A to se radź sam i pij piwo coś je nawarzył.

— Możeby pogadać z Walentym (nieśmiał go już nazywać starym psem).

— A to strzelił jak kulą w płot! — Pójdiesz wieczorem do dworu jak gdyby nigdy nic — a ja zamówię się o co do samej pani. Jeżeli ci co starszy pan mówił, to wiesz co masz odpowiadać, a ja dam już sobie radę z panią.

Widocznie butny i hałaśliwy pan Gębalski był pod wpływem i władzą Kosmacińskiej z domu.

V.

Pani Gębalska zgadła. Adam z panem Walentym poszli do oranżeryi.

— Nareszcie się przekonałeś, mój Adasiu, na własne oczy — mówił starszek zamykając drzwi swego pokoju. Pan Stefan, gdy mu przedstawiał całą sprawę, odpowiadał mi: »Upředzenia! Gębalski robi co może; obywa się czembadź, i malemi środkami prowadzi gospodarstwo«.

Widocznie Gębalski był mu na rękę: pensyi nie brał, a usłużny, a klaniający się, a gładki — na wyskoki, czapkę w rękę trzyma: Jaśnie — panuje za każdym słowem.

— Poczciwy Gębalski — powtarzała pani Karolina — nie ma tylko lask u pana Walentego.

— Jaki tam jest, to już mniejsza, ale jak zniszczył i zapuścił rolę — przerwał Adam.

— Tak, tak, to sto razy gorsze — pochwycił pan Walenty.

— Nie można go trzymać ani chwili dłużej — mówił Adam. — Obejmuję sam gospodarstwo.

— Wybornie, doskonale!

— Czyż to prawda, że całe sześć lat nie brał pensyi?

— Prawda, patrz.

Pan Walenty rozłożył książkę. Ani jednego grosza, prócz ordynaryi, a jak żył!

— Zkądże wziąć tysiąc ośmset rubli, kiedy pustki w kasie? Chyba sprzedać na pniu rzepak?

— Już sprzedany. Pan Stefan sprzedaje go zawsze w pierwszych dniach maja.

— Pożyczyć?

— Tak, pożyczyć, ale zkąd? Zwolywać żydów nie można, a zresztą czy żydzi pożyczą, to pytanie jeszcze.

— Wiedzą? — pytał przestraszony Adam.

— Nie wiem, ale czegoby żydzi nie wiedzieli. Może oni lepiej znają interesa pana Stefana, jak on sam. Kto ich tam wie.

— A zatem nie ma punktu wyjścia?

— Może i jest — rzekł z dumą a tajemniczą miną staruszek.

Adam się zerwał.

— Tylko mój Adasiu musisz mi przysiądz, że nikomu ani słówka nie pīsiesz.

— Przysięgam — odparł z uśmiechem.

— Mam ja tu troszkę grosza z ojcowizny jeszcze. Kupilem Listy zastawne — obcinałem kupony i znów je na Listy zmieniałem. Myślę sobie, jak już pracować nie będę mógł, to pocóż być komuś ciężarem. Wtedy przeniósłbym się do jakiego dworka pod miasteczkiem i cicho czekał śmierci. Teraz już nie składam, bo pensyi nie biorę; któżby ją śmiał brać?

Z ciężkiej okutej skrzyni z pod samego spodu wyjął dębową szkatułkę, drzwi na klucz zamknął, a szkatułkę otworzył.

— Ale kiedy ty, Adasiu, potrzebujesz, żeby się pozbyć największego wroga, kiedy ty chcesz majątek ratować — ha, to ci dam do ostatniego grosza. I nie żał mi. Przecież mi tam na starość kącika nie odmówisz.

Staremu głos drżał.

— Nikt ci nie odmawia i nie odmówi nigdy — mówił wzruszony Adam.

— Wierzę, wierzę — o to tylko idzie, abyście go sami zawsze mieli. No, ale kiedy ty, mój Adasiu, bierzesz się do dzieła; nie umrę z głodu. Masz!

To mówiąc rachował drżącemi rękami uskładany przez całe życie grosz. Wszystkiego razem było siedm tysięcy rubli.

— Nie przyjmuję więcej nad dwa tysiące — rzekł Adam.

— Albo wszystko, albo nic, nie lubię dzielić. A czyś ty pomyślał, jakie cię czekają wydatki na początek gospodarstwa? A kto ci da? Kto ci pozwoli robić wkłady z dochodów?

A czy je nawet godziłoby się robić? Pomyśl, pomyśl i bierz wszystko, bo się pogniewamy.

— Nie mogę — odparł stanowczo wzruszony i zawstydzony młody człowiek.

— No, no, zobaczymy — mruczał stary.

— Proszę jako pożyczkę do przyszłych zbiorów na zapłacenie Gębalskiego.

— Dobrze, ale tajemnica, mój Adasiu.

— Zaręczam.

— Jadę na noc do miasteczka zmienić Listy i niby ztamtań gotówkę przywiozę. Nie chcę podziękowań, ani wdzięczności.

Pieniądze utonęły w wielkim czerwonym pugilaresie z długimi czarnymi tasiemkami, którymi pan Walenty okręcał cały swój skarb; zawiązał na pętlicę i schował w głęboką kieszeń surduta.

— Wstydzę się teraz troszkę, bo wiele razy pytano mnie o pieniądze w gwałtownej potrzebie, a tych gwałtownych potrzeb jest u nas najmniej raz na miesiąc, tyle razy odpowiadałem: »nie mam — nie wiem z kąd wziąć«, chowając je na prawdziwą potrzebę. Prawdziwa dopiero teraz nadeszła, bo ty bierzesz gospodarstwo w ręce. I gdybym nie dał, miałbym się za nikiemnika. Kłamałem tyle razy, aby raz uczciwie postąpić. A ty mi i tego zabraniasz.

— Panie Walenty! — zawołał Adam.

— Basta! nie mówię więcej w tej materii. Chodźmy do pana Stefana oświadczyć, że bierzesz gospodarstwo od jutra.

— Mówilem już z ojcem.

— Mówileś i cóż?

— Zgodził się — chociaż, zdaje mi się, mało wierzy w moje zdolności.

— Nie bój się, pokażemy co umiemy. O dymisji Gębalskiego uprzedzisz?

— Powiem po skończonym fakecie.

— Wybornie!

Gębalski u pana Stefana, pani Gębalska, jako Kosmacińska, u pani Karoliny, serdecznie i laskawie przyjęci — wrócili do domu w dobrych humorach nie prze czuwając jutrzejszej burzy, nagły jednak wyjazd pana Walentego, zaniepokoił ich mocno.

VI.

— Oto cała pensya za sześć lat do świętego Jana — mówił z butną miną staruszek, rozkładając ośmnaście sztuk sturubłówek na jadalnym stole pana rządecy.

Państwo Gębalscy oniemieli na razie wpatrując się martwo w ośmnaście sztuk tęczowych papierków.

— A teraz, dla porządku, proszę poświadczyć odbiór.

— Nie podpiszę — ryknął Gębalski chwytając się rękami za głowę. Tak nagle, przed samym św. Janem wypędzać jak psa z żoną i dzieckiem na rozstajne drogi i nie zapłacić mu pensyi z góry na rok naprzód, i nie dać mu na cały rok ordynaryi, i nie wyżywić mu tej pary sztuk inwentarza. O, to się prawo za mną ujmie!

— To tak teraz panowie wynagradzają dziesięcioletnią ciężką służbę — zawołała za mężem z płaczem Kosmacińska z domu.

— Pracuj, nogi uchodź, ręce pourabiaj a jak przyjdzie fantazya — precz, ruszaj, choćbyś z głodu miał jutro umrzeć.

— Z głodu nie umrzecie — rzekł pan Walenty z uśmiechem.

— A cóżto, majątku dorobiliśmy się tutaj? To pan przez złość i przez zemstę do mnie, wypędzasz nas — zawołała pani Gębalska.

— Przez zemstę do pani? — powtórzył staruszek.

— Tak, przez zemstę. A nie przychodziłeś pan do mnie przed dziesięciu laty co dzień? Nicsię nie wskórał i teraz się mścisz.

Pan Walenty się rozśmiał.

— Moja pani, dajże mi też pokój. Nie nie chciałem wskórać i nie nie wskórałem.

— To pan mnie będziesz jeszcze przed mężem ponie-
wierał?

— Dobrze, będzie i to w procesie — odezwał się pan
Gębalski. Wyrzucić się z taką hańbą nie damy.

— A zresztą starszy pan nas przyjmował i starszy pan
ma prawo wydalać, więcej nikt — zawołała hardo pani Gębalska, popychając lekceważąco ręką rozłożone na stole ruble. Nam milsza dobra opinia u ludzi, niż te nędznych kilka sztuk bibuły.

— Bo macie ich więcej — odparł z flegmą pan Walenty.

— Widziałeś je pan? — krzyknęła pani Gębalska. To pan złodziejami nas robisz? — Lzy oburzenia stoczyły się po zarumienionej jej buzi.

— Bierzecie czy nie bierzecie?

— Ani się ich dotkniemy — odparła z mocą.

Koło okien przechodził Walek.

— A zawołaj tam pana pisarza, niech przychodzi prędko —
dał rozkaz pan Walenty.

Walek poskoczył, Gębalscy zamienili spojrzenia.

— Chcecie calorocznej pensyi z góry i grozicie procesem? dobrze — mówił dalej ataruszek — pensya się zapłaci, ale się wyda inwentarz tylko podług kontraktu, nadkontraktowe sztuki zostają w skarbie.

— Starszy pan widział i nie nie mówił — zawołała czerwona z gniewu Gębalska.

Wbiegł pisarz prowentowy. Z oczu mu patrzyła filuterya i spryt. Usuwał się z drogi Gębalskim, lecz ich nie cierpiał za ich chciwość, a przedewszystkiem nienawidził Kosmacińskiej z domu, za jej arystokrację. Pani ta nazywała go zawsze Kosturem, chociaż dla powagi przed ludem dostał nominację na Kosturkiewicza i tak był tytułowany przez dwór i pana Walentego.

Milezał Kosturkiewicz, bo się bał zemsty Gębalskiego, lecz za to zwierzał się ze swych spostrzeżeń, pod wielką tajemnicą, przed panem Walentym.

— Panie Kosturkiewicz!

— Słucham wielmożnego pana.

— Przybliż się — dał rozkaz staruszek.

Kosturkiewicz podszedł do stołu, za Kosturkiewiczem wsunął się ciekawy Walek.

— Przerachuj te banknoty, stukając palcem po nich.

Kosturkiewicz rachował stukając palcem w każdy z osobna papier.

— Ośmnaście storubłówek — wygłosił.

— Przysięgniesz?

— A dlaczegożby nie.

— Co nie mamy przysięgać — poświadczył stojący przy drzwiach Walek.

— A ty tu czego? — zawołał Gębalski.

— Smarowidła.

— Precz mi ztąd!

Walek wybiegł, drzwi jednak nie zamknął nasłuchując w sieni.

— Macie państwo wolne mieszkanie do świętego Jana — zdecydował pan Walenty. Klucze od stodoły gdzie są?

— U mnie — odpowiedział Kosturkiewicz.

— Będiesz je teraz odnosił do mego mieszkania.

Wyszli, staruszek żwawo i energicznie, Kosturkiewicz za nim.

Pani Gębalska pełna gniewu i łez rzuciła pioruny na wielką, czerwoną i tłustą głowę męża.

— Moja Kundziu, tu nie pomogą krzyki i płacze, tu radzić trzeba — powtarzał przyciśnięty do muru mąż.

— Radzić? I cóż wymyślisz?

— Ażeby na ten przykład pieniądze odnieść starszemu panu, zawsze mu ich okrutnie potrzeba.

— Spróbuj — pochwyciła — tylko się spiesz, może jeszcze ubiegiesz.

Gębalski wdział czarny tużurek, jako już dymisywany,

zapiął go do góry pod samą szyję, zgarnął pieniądze, wsunął czapkę na uszy i wybiegł.

Pani Gębalska wyjęła z komody szal turecki, zarzuciła go na swe chude plecy i poszła wolno za mężem, kierując się drogą do palacu.

Silne miał pan Stefan pokusy. Lubił Gębalskiego, a tysiąc ośmset rubli jak raz przydałyby się na opłacenie procentów świętojańskich. Gębalski płakał, zaklinał się, prosił, chciał darmo służyć, byle mu nie robiono tej krzywdy i nie wyrzucano go sromotnie. Całą winę składał na pana Walentego, skarżąc się na jego nienawiść i zemstę.

Wszystko to jednak nie pomogło. Pan Stefan nie chciał się narazić synowi; za dużo miał taktu, i zwracanej sobie dysmisyi wraz z tysiąc ośmiuset rublami nie przyjął.

Pani Gębalska również energicznie pracowała w gabinecie pani Karoliny, zdradzając tajemnice zemsty pana Walentego. Jedynie żelazny pancerz enót Kosmacińskich, który z honorem dźwigała, uratował ją od niecných jego zasadzek.

Tymczasem wieść o upadku ministerstwa Gębalskiego, rzucona przez Walka i Kosturkiewicza, rozniosła się lotem błyskawicy po całym Czyżowie.

Wszyscy byli pewni, że pan Walenty obejmie władzę i jemu też schlebiano, ciężko oskarżając upadły gabinet. Walek widząc, że projekt zrzucania przed swą chatą kartofli upadł, zaczął się mścić za wązki zagon. Za nim poszli karbowi i polowi. Kosturkiewicz uzupełniał podawane wiadomości.

Tak zwykle bywa na wielkich dworach, dlaćżegóż miałoby być inaczej na dworze czyżowskim?

— Co tam nie wygadują teraz ludzie na pana, to żeby była prawda, to chybaby pan miał tysiące i mógł sobie w mieście kamienieć kupić — mówiła Kaśka, służąca i faworytka pani Gębalskiej.

— Niech skarżą, niech kłamią, jeszcze nie ich wygrana, bo jak jutro wrócę do służby, uciszę ja ich, ale batem, — hałasował na postrach Gębalski.

— A któż tam najwięcej przewodzi? — pytała pani Gębalska.

— Walek i Kosturkiewicz, i kto nie chce to nie gada.

— Ten Kostur myśli, że on będzie rządził, głupi jak mój dziurawy but — wołał Gębalski.

Kaśka wyszła.

— Należało Walkowi gębę zatkać — zawyrokowała Kundzia.

Gębalski posmutniał, i wielką okragłą a tłustą swą głowę zwiesił w milezeniu na piersi.

* * *

Szczęśliwym trafem w kancelaryi męża bawiła pani Karolina w chwili, gdy wszedł Adam, wracając z pola.

— Nareszcie pozbyliśmy się, dzięki panu Walentemu, największego nieprzyjaciela Czyżowa — zawołał weselo.

— Upredzasz się mój drogi — przerwał kwaśno pan Stefan.

— Upredzasz się Adasiu, i zbyt ślepo słuchasz pana Walentego. Nie przeczę, zacny człowiek, kocha nas z samego przyzwyczajenia, ale uparty i mściwy.

— Pan Walenty mściwy? — rzekł zdziwiony Adam.

— Niezawodnie. Chciał sobie oblaskawić pocziwą Gębalską, kiedy była jeszcze młoda, ale to mu się nie udało.

— Pan Walenty chciał oblaskawić Gębalską? — powtarzał Adam.

— Sama mi to mówiła zalewając się łzami, lzy nie kłamią.

— Prawda, dobry człowiek, lecz uprzedzający się pesymista — dodał pan Stefan.

— Jużto do Gębalskiego trudno być uprzedzonym.

— No, cóż — pochwycił pan Stefan — że nie ma urodzajów, a gdzież dziś są? Że Gębalski coś tam weźmie, a któryż nie bierze? Lecz za to mileczy, nie naprzykrza się, i w ryzach ludzi trzyma. A tak zmarnowaliście gotówki tysiąc ośmset

rubli bezpotrzebnie, któreby teraz w samą porę bardzo się przydały, i podszarpali kredyt w mieście.

— Ależ, ojcze, kredyt nie jest nadszarpany — tłumaczył się Adam.

— Toście pewno pszenicę na pniu sprzedali.

— I to nie, pan Walenty ma własne swe stosunki i źródła.

— Na wypędzenie ekonoma znalazł w parę godzin gotówkę, a gdy w domu gwałtowna potrzeba, nie ma jej nigdy.

Adam, związany słowem, milczał.

— Mój Adasiu, jeżeli mnie kochasz, to zostaw jeszcze Gębalskiego, choć z rok czasu, aż się sam o wszystkim przekonasz — oświadczyła pani Karolina.

— Ależ, droga mamó, jestem aż nadto przekonany o niesumienności Gębalskiego, a nawet o jego złej woli.

— Nie można go przecież o to posądzać, aby sam chciał lub starał się o to, żeby nie było urodzajów.

— Ale można mu dowieść, że się nie starał, aby były.

— Bo też piekielne czasy: ty o tem nie wiesz, siedząc za granicą — tłumaczył Gębalskiego pan Stefan.

— Przecież, mój Adasiu, bez ekonoma się nie obejdziesz — mówiła matka.

— Lecz będąc sam rządcą, obejść się bez rządcy. Przeszkadzalibyśmy sobie nawzajem.

— Nie jedną zdrową radę mógłby ci taki stary praktyk, jak Gębalski, dać — dodał pan Stefan.

Adam się uśmiechnął.

— A zresztą Gębalski pod twem okiem musi to spełniać co mu każesz.

— Będzie spełniał, ale źle, droga mamó.

— Dopilnujesz go.

— Nie będę miał na to czasu.

— Tak myślisz pracować — spytała — to tem więcej Gębalskiego pomocy będziesz potrzebował.

— Przepraszam drogą mamę. Gębalski może mi tylko przeszkadzać i psuć moje usiłowania, gdy tymczasem znajduję

młodego człowieka, którego za parę lat wyrobię przy sobie, a będzie kosztował zaledwo czwartą część tego, co bierze Gębalski.

— Ktoby tam zwracał uwagę na takie drobnostki, korzec więcej, korzec mniej, gdy się sprzedaje rocznie oziminy tysiąc korey.

— Lecz nie w tym roku, mój ojeze.

— To się sprzeda na przyszły.

— Nareszcie powiem rodzicom prawdę, że Gębalskiego uważam jako demoralizatora całej służby.

— A ja ci powiem, kochany Adasiu — dodał pan Stefan, cicho — że wypędzony Gębalski będzie się mścił, i może nam bardzo szkodzić.

— Taki Gębalski może nam szkodzić?!

— Nie znasz, mój drogi, tutejszych stosunków i malej solidarności naszego społeczeństwa.

— Cokolwiekbyś, drogi ojeze, wybierając jedno z dwojga, wolę ratunek z zemstą Gębalskiego, jak upadek z jego pomocą.

— Rób jak chcesz — zawyrokowała pani Karolina — my cię terroryzować nie będziemy. Przyznam się, żal mi tej potulnej Gębalskiej, i nie wierzę, aby ona się mścić lub dokuczać nam mogła. Nareszcie coś powie?

— Rób jak chcesz — powtórzył ojciec — tylko jako nowo mianowany pełnomocnik Czyżowa, myśl, aby na święty Jan zapłacić dwa tysiące rubli procentów. Wełna i rzepak sprzedane — dodał.

— Pomyślę, ojeze — odparł Adam i uradowany ze swego zwycięstwa wybiegl, na drodze spotkał Wandę, pocałował ją w czoło i szepnął jej:

— Nadzieja!

Wanda sądziła, że Artur zdecydował się oświadczyć i zarumieniła się cała.

— Co za nadzieja, Adasiu?

— Ratunku — i nie czekając na dalsze pytania pobiegł. W parku czytająca książkę Celinka zatrzymała go.

— Nowiny! — zawołał do niej wesolo.

— Słucham.

— Gębalski upadł.

— I złamał nogę?

— Ależ nie — dymisywany.

— I cóż nas to obchodzi? — spytała zdziwiona.

— Dziecko jesteś.

— Nie zaprzeczam, lecz przykro mi, że już więcej nie będę widzieć miłutkiej pani Gębalskiej i nie usłyszę jej słodziutkiego głosiku.

— Żalujesz tego?

— Nadzwyczajnie. Ale dlaczegoż ty jesteś tak rozpromieniony?

— Zajmuję jego posadę.

— Ty ekonomem? żartujesz ze mnie.

— Od dziś dnia jestem rządcą Czyżowa, ekonomem, pisarzem, jak ci się podoba.

— Nie wierzę ci — zawołała Celinka.

— Proszę cię, uwierz. A gdzież Marylka?

— Pracuje, czeszą ją a ona suknię wybiera. Jeżeli się dowie o tej posadzie, zemdleje.

— Przygotuj ją powoli do tej strasznej wiadomości.

Adam pobiegł do pana Walentego. Celina wróciła do Musseta, który ją rozmarzał i jednocześnie dowcip jej zaostrzał.

— No cóż? no cóż? — pytał niespokojnie staruszek.

— Zwycięstwo! — zawołał Adam — prezentuję się kochanemu panu, jako już nominowany następca Gębalskiego.

Staruszek ujął w ręce twarz młodego człowieka i pocałował.

— Musiałeś mieć ciężką przeprawę?

— Podwójną, z ojcem i mamą. Ojciec bronil Gębalskiego, mama pocziwiał Kosmacińską z domu.

— A wierzę, pewno i na mnie wysłuchałeś rozmaitych skarg nie mało. Ja to głównie intryguję przeciw tym pocziwcom.

— Nareszeie wszystko skończone — przerwał szybko Adam — tylko, że ojciec, jako od nowego naczelnika ministerstwa, zażądał...

— Pieniądzy — dokończył pan Walenty. — Domyślałem się tego.

— Dwa tysiące rubli na święty Jan.

— A nie mówiłem, że na tem się skończy? A złem zrobił, że chowałem, co? Chwała Bogu, że tylko tyle, zostanie nam jeszcze trzy tysiące na pierwsze początki.

Staruszek wyjął olbrzymich rozmiarów pugilares, rozwiązał czarną tasiemkę, i zaczął po raz trzeci liczyć.

— Stało się, kochany panie Walenty — odezwał się Adam — pieniądze przyjmuję, lecz je zahipotekuję na Czyżowie i sumiennie procent płacić będę.

— Dobrze, dobrze, tymczasem dasz mi skrypt, procentu płacić będziesz sto pięćdziesiąt rubli na rok, bo przecież i stary ma swoje wydatki. A teraz bierz pieniądze i zanieś ojcu, tym sposobem zamknienym drogę do powrotu Gębalskim.

— Tak odrazu — cóż ojciec sobie pomyśli?

— Odrazu, odrazu — bo gdy Gębalski przyniesie do schowania wypłaconą mu pensję — zostanie. Pan Stefan najzaniejszy człowiek, wychowałem go przecież — dodał z dumą — ale widzisz, jak gwałtowna potrzeba człowieka przy ciśnie — to radby pieniądze z pod ziemi wydobyć, lub sam się pod ziemię skryć. Biegnijże więc żywo, skrypt napiszemy wieczorem.

Przyniesione przez Adama dwa tysiące rubli, mocno zdziwiły ojca. Pewny był, że staruszek odkopał skarb, lub odziedziczył wielki spadek, kryjąc się z nim. A że w rodzie Czyżowskich fantazyja przeważała, posiadał ją i pan Stefan w wysokim stopniu, i dlatego lubił wierzyć w pomyślne wieści, które często sam sobie wytwarzał. Nie sprawdzał ich i nie dociekał — wierzył i to mu wystarczało.

Od tej chwili papiery Gębalskiego bardzo nisko spadły. Przekonał się o tem ten zaenny mąż po południowej wizycie,

w której położył pieniądze na stole w kancelaryi pana Stefana z prośbą, aby mu wolno było jeszcze choć jeden rok przemieszkać tylko w Czyżowie.

Przekonała się o tem również i pani Gębalska po wizycie u pani Karoliny, która kochała bezgraniczną miłością męża, zawsze rada była być jego zdania, uważając go za wyrocznię i doskonałość. Kochała, jak po większej części kochają Angielki, a również i Polki, bez krytyki, bez sądów — z zamkniętymi oczyma. Miłość taka jest rozkoszą tych, którzy kochają, lecz często psuje ukochanych. Pan Stefan był również psutym, lecz ponieważ z gruntu był dobrym człowiekiem, nie szkodziło mu to. Zresztą miał wyrobiony charakter, opinie i skłonności, szedł śmiało z wiarą, swobodą i uśmiechem, niezbyt troszcząc się o jutro.

Typ to nasz rodzimy, sympatyczny i pociągający.

VII.

Nie omyliły Wandy przecucia. Po obiedzie nadjechał Artur, jak zawsze w świeżych paryzkich rękawiczkach, ubrany podług ostatniej mody.

Dziś szczególnie był tak ożywiony, że nie widziano go jeszcze w Czyżowie w tak wybornym humorze, dlatego pewno i Wanda promieniała radością. A że radość rozjaśnia i wypięknia, była piękną ze swym czarownym uśmiechem, głębokością spojrzenia i różowemi obłoczkami przebiegającemi po matowej białości jej twarzy. Granatowe włosy, upięte ciemną różą i czarna sukienka uwydatniająca jej wyrzeźbione klasyczne kształty, czyniły ją tak pociągającą i uroczą, że ten kto dotąd dla niej miał tylko sympatyę, widząc ją dziś, powinien się rozkocharć, jeżeli kochać umiał, miał serce i stać go było na rzetelne uczucie, oparte na odwadze, wierze w przyszłość i energii do torowania jej sobie.

Ojciec patrząc na Wandę, pomyślał:

Stanowcza chwila nadeszła, i jeżeli się dziś nie oświadczy — nie oświadczy się nigdy. Tego samego zdania był Adam. Wierzyły w to i siostry. Pani Karolina wpatrywała się w córkę z pewnym rodzajem zachwyty i upojenia. Celinka była rozmarzona, Marylka milcząca.

Zachód słońca rzucił snopy purpurowego światła między liście drzew, ozłocił niebo, rozświecał krzyż na wieży kościółka postawionego na wzgórzu, a promienie swe łamał na niebieskich wodach sadzawki. Wanda w pośrodku między Arturem i Adamem zbliżała się do białych, kąpiących się w złocie i purpurze kamiennych posągów, które, tak się jej zdawało — uśmiechały się do niej; mijala kwiaty, a te z kielichów swych posyłały jej czary upajającej woni; trawki uchylały się pod jej stopami cicho i tajemniczo, wietrzyk gładził jej włosy i rozmawiał z liśmi o jej przyszłym szczęściu... Ptaki zamilkły, może dlatego, że on miał mówić, zamilkły, aby nie straciła ani jednego wyrazu. Tak się jej to wszystko dziś wydawało, serce biło w takt przyspieszonych i bezładnych myśli. Coś ją przygniatało, dręczyło, a jednak uśmiechała się i patrzyła, że kamień powinienby pęknąć lub stopnieć, a serce ludzkie drzeć pod ciepłymi promieniami jej oczu.

Pan Walenty ukazał się na ścieżce i zabrał Adama. Wanda i Artur poszli dalej na kopiec, patrzeć na zmieniające się barwy, na grę kolorów, na pocałunki światła i cieni, posyłane na dobranoc słońcu. Milczeli oboje, chociaż serca głośno im były. Chwilę stanowczą poprzedza zawsze cisza. Ciszą tą dręczyła Wandę, nie śmiała podnieść oczu, nie śmiała przemówić słowa.

— Są dni w naturze, czy może w sercu człowieka — zaczął cicho Artur — w których świat cały dziwnie uroczom nam się przedstawia, gdy w zwykłych a powszednich chwilach nie umiemy odczuć wszystkich przejawów jego piękności.

Wanda milczała.

— Chwile te — mówił dalej — są wskazówkami, raczej są one światłem naszego serca, w którym mówić mu wolno.

Obłoczek różowy oblal twarz jego towarzyszki i znikł. Po nim przysła jeszcze większa błądź. Dziewczynka spojrziała, młody człowiek zadrżał, zarumienil się i spuścił oczy. Milczeli oboje.

— I spowiadałoby się biedne serce ze swych uczuć — zaczął młodzieniec, ciężko westchnawszy — gdyby właściciel jego nie był skrupowany, nie był niewolnikiem świata i siebie samego.

Wanda chwytala każdy wyraz, serce jej się lekko ścisnęło dziwnem przecuciem, lecz jeszcze nie rozumiała wszystkiego.

— Biedne nasze serca...

— Być może, że my je tylko biednemi mieć chcemy — odezwala się cicho.

— Nieraz musimy być jego katami — dokończył piękny młodzieniec wolno lecz dobitnie.

Nareszcie zrozumiała, nogi jej drżały, postąpiła parę kroków i zsunęła się na darniową ławeczkę.

— Pani! — zawołał Artur i poskoczył, aby podać rękę dziewczynie.

— Racz pan poprosić Celinę, przepraszam — wyszeptala.

— I mam zostawić panią samą?

— Proszę o to.

Artur pobiegł prędko, o ile mu pozwalały formy, które sam sobie przepisał, wierzył w nie i pilnował ich wykonania.

Boleść oprzytomniła dziewczynę, samotność przywróciła jej równowagę, a duma dodała sił. Powstała biała lecz silna, poważna i majestatyczna.

Wystraszona Celinka przybiegła do siostry, za nią szedł Artur.

— Droga moja Wandziu, nareszcie jesteś szczęśliwą, upadasz ze wzruszenia!... Cóż, jak? — pytała cicho.

— Nie — odpowiedział Wanda.

To jedno *nie* wymówione na pozór zimno, odrazu rozjaśniło rzecz całą sprytniej dziewczynce, domysliła się co zaszło między nią i Arturem.

— Oj! ci ludzie w rękawiczkach — szepnęła oburzona.

Nadszedł Artur, pytając się troskliwie jak się czuje jego towarzyszka wycieczki na kopiec. Odpowiedziano mu grzecznie, lecz krótko i sucho. Przy przecięciu się dróg, Wanda skinieniem głowy pożegnała młodego człowieka i razem z Celinką odeszła w przeciwną stronę ogrodu.

Artur nieco zakłopotany wrócił sam, przyjęty przez pana Stefana z serdeczną grzecznością, przez panią Karolinę sympatycznie, nawet czule. Marylka była z nim jak z przyszłym szwagrem, Adam jak z bratem. Pomimo to zabawił w ich towarzystwie ledwie chwil kilka i wyjechał.

Siostry długo chodziły po ogrodzie. Celinka pieścizotami i współczuciem zmusiła Wandę do powtórzenia rozmowy na kopcu.

— Ten człowiek w rękawiczkach jest skończonym nikczemnikiem — zawołała oburzona.

— Oszczędzaj mnie — szepnęła Wanda — ja go jeszcze kocham.

I wtedy suche jej świecące oczy wypełniły się łzami, ciepłe krople spadły na rękę Celinie.

Rozdrażniona, egzaltowana a szlachetna dziewczyna, znająca ludzi tylko z książek, aniołów lub szatanów, pochwyciła w objęcia siostrę, tuląc do wzburzonego serca.

Na tę scenę nadbiegł szczęśliwy, wesoly Adam, wysłany przez rodziców na zwiady. Celinka dała mu znak, aby milczał i odszedł. Uśluchał, lecz ciężkie myśli, pełne podejrzeń i smutnych przeczuć obsiadły mu mózg. Błąkał się po ogrodzie, nie śmiał wrócić do ojca i matki, nie miał odwagi i siły iść do siebie.

Celinka cicho i niepostrzeżenie wprowadziła Wandę do jej pokoju, utuliła ją jak mogła i umiała; położyła do łóżka, przyrzekła wrócić, a sama wysunęła się szukać brata.

Spotkali się w grabowej alei, w milczeniu ścisnęli za ręce,

— Przegrana — odezwał się pierwszy Adam.

— Raczej wygrana — pochwyciła Celinka. — Ten elegancki młodzieniec jest to skończony nędznik, okrywający swą

nikczemność piękną powierzchownością, salonowym układem i paryskimi rękawiczkami.

— Co mówisz! — zawołał Adam.

Celina powtórzyła treść rozmowy siostry z Arturem na na kopcu, ubarwiając ją i komentując na swój sposób. Zakipiała gorąca krew w młodym człowieku i obudziła w nim nienawiść i zemstę.

Z okien pokoju pana Stefana biło światło. Szczęśliwy ojciec chodził rozpromieniony, palił cygaro i marzył o świetnym losie swego dziecka. Wszedł Adam. Z rysów twarzy syna odgadł prawdę; cofnął się przestraszony i blady.

— Ojcze! tego nikczemnika jutro wyzwę.

— A to jakim prawem, na jakiej zasadzie, w imię czego? Nie możesz go wyzwać, chyba mszcząc się za honor swej siostry, czyli inaczej, każesz opinii wierzyć, że istotnie musisz zmazać krwią jej niesławę. Arturowi wedle kodeksu, a nawet praw towarzyskich, nie możemy nie zarzucić.

— Więc nie ma obrony, ani kary?

— Nie ma — odparł z boleścią ojciec.

— Mamy stać z założonemi rękami?

— Musimy, inaczej dobra sława twej siostry upada.

— Ach! ojcie, ojcie, nie było lepiej rozmówić się z tym człowiekiem pół roku pierwej?

— Toby znaczyło zamknąć drzwi wszystkim młodym ludziom w okolicy. Zresztą dotąd, do tej chwili nie mogę go nazwać nikczemnikiem; cała jego zbrodnia, że nie oświadczył się dziś wieczór.

— I nie oświadczy się nigdy.

— Zobaczymy. Jutro w tajemnicy przed Wandą pojedziesz wybadać go. I narreszcie dowiemy się prawdy. Nie unośmy się i nie rozpaczajmy przed czasem.

Celinka pocichu, aby nie obudzić podejrzeń, wróciła do pokoju siostry, lecz już zastała matkę siedzącą na łóżku, zalaną łzami. Wanda z wypieczonemi rumieńcami trzymała jej rękę w swych dłoniach. Milezała, oczy jej świeciły gorączkowo,

pierś się wznosiła krótkim, urywanym oddechem. Cisza panowała ciężka i przygniatająca. Celinka nie mogła znieść tej ciszy, potrzebowała mówić i dużo mówiła, aż póki różowy świt nie rozjaśnił pokoju. Wanda zamrużyła oczy, puściła rękę matki.

VIII.

Po twardej, gliniastej drodze toczył się odkryty elegancki powozik. Jakób dumny był z nowej uprząży, białych swych rękawiczek, czerwonej kamizelki i z panicza, którego wiozł. Kochał go, chociaż zdawało mu się, że go tylko lubił.

Adamowi, im więcej się zbliżał do Klonowskiego dworu, tem silniej serce biło. Obawiał się groźnych następstw swej wizyty, a miał jeszcze troszkę nadziei, że wszystko może dobrze się skończy.

Powozik zatoczył się przed murowany dwór, na ganek wyszedł w liberyi służący.

— Jaśnie pan w polu — rzekł, pomagając wysiąść Adamowi — ale mam rozkaz, aby natychmiast posłać po pana.

Adam wszedł do salonu. Uderzyła go czystość, elegancja a nawet wykwintność; wszędzie widniały porządek i systematyczność w drobiazgach, których było pełno. Książki pięknie oprawne, dzienniki symetrycznie ułożone, dużo cacek, lecz każde z nich miało dobrze obmyślane dla siebie miejsce.

— Wanda ożywilaby te holenderskiej czystości pokoje — pomyślał Adam.

Uprzejmy gospodarz nie pozwolił mu długo myśleć i rozglądać się. Widział powozik toczący się po drodze, spał konia ostrogami i w pięć minut już witał gościa serdecznie, o ile stać go było na serdeczność, a zawsze uprzejmie.

Adam się nieco zmięszał, był nawet trochę sztywny i zaambarasowany, lecz gospodarz rozbroił go swobodą. Niepodobna w nim było odkryć żadnych śladów wczorajszych przeżyć. Opowiadał, że wybornie spał, rano się zerwał, odebrał

przyjemne listy i dobre wiadomości z poczty, jest zdrów i wesół, gospodaruje, uśmiecha się do życia i przyszłości.

Mówili o polityce, sąsiadach i książkach, o zagranicy i Warszawie. Artur był bardzo ożywiony i rozmowny, a ponieważ Adam nie znał Klonowa, wyjechali obejrzeć cały obszar nabytego majątku. Gospodarz chciał zasięgnąć rad skończonego agronoma i doktora nauk wyzwolonych.

Klucz klonowski składa się z trzech folwarków, blisko po 500 morgów nieulej, ornej ziemi, do tego sześćset morgów zniszczonego lasu i dwieście zaniedbanych łąk. Majątek, o ile stosunkowo kupiony bardzo tanio, o tyle był i opuszczony, *Arabia deserta*, gdyż u nas, raz z powodu optymistycznego usposobienia, a zatem różowej nadziei utrzymania się na stanowisku, a powtórę z powodu malej konkurencji czyli braku nabywców, jest fatalny zwyczaj wyczekiwania na kawałku ziemi do ostateczności, a wyrażając się w utartej mowie, do ostatniego tehu. I dlatego zmuszeni jesteśmy sprzedawać za pół darmo nasze posiadłości, nie robiąc również żadnej laski nabywcom, którzy z powodu tego samego optymistycznego usposobienia i różowych nadziei, radzi są mieć masę ziemi, nie troszcząc się o środki do jej zagospodarowania, a głównie użyźnienia.

»Byle jak najwięcej posiadać ziemi«, opinia ta przetrwała mózgi, weszła już w krew naszą. Rozumni i ograniczeni, dobrzy i źli, gospodarze praktyczni i ideologi marzą (choć już się czasem wstydzą mówić o tem głośno), aby tylko jak najwięcej posiadać. Posiadanie dużych obszarów stało się tradycją przechodzącą z pokolenia w pokolenie; wielkość obszaru identyfikujemy z bogactwem i zamożnością. Pojęcie to za dawnych pańszczyźnianych czasów miało pewną rację, lecz już się przeżyło. Zmieniła się postać rzeczy, jednak tradycja została.

Wielka jest u nas różnica w wyrażeniu — właściciel folwarku o trzystu morgach, a pan na tysiącu morgach, bez względu na dochody. Cóż więc dziwnego, że samych nawet arystokratycznych naszych przekonań, które są cechą naszego narodu, starać się o tysiąc morgów, zamiast poprzestać na trzystu?

Nie nauczyliśmy się jeszcze mierzyć wartości naszych majątków podług dochodów.

Pan na Klonowie, właściciel dwóch tysięcy morgów, choć opustoszałej ziemi, lepiej był i serdeczniej przyjmowany w Czyżowie, aniżeli gdyby był posiadaczem dobrze zagospodarowanej wioski o pięciuset morgach urodzajnej ziemi.

— Kupilem Klonów na niewidziane — mówił Artur. — Ogłosili licytację, adwokat mój mówił mi, że mogę go nabyć za pół darmo; nie było czasu oglądać, objeżdżać. Zresztą zima. Sta nałem do licytacji i o parę tysięcy rubli wyżej wywołania nabyłem.

— W każdym razie mogę panu tylko powinszować, kupno nadzwyczaj tanie; — mógł wypada mało co więcej nad dwadzieścia pięć rubli — odparł Adam.

— Prawda, lecz nie zdarzyło mi się widzieć tak przerażającej pustki. Niema już mowy o gruntach, nie zastałem jednak prawie żadnego budynku. Musiałem się więc zabrać do najpierwszej rzeczy — do przebudowania i urządzenia domu.

— O, to coś nie podług zasad naszej teorii — pomyślał Adam.

— Patrz pan, tutaj na przykład była stodoła waląca się, podparta ze wszystkich stron dragami, stajnia ze zgniłym dachem i spróchniałymi ścianami; należało natychmiast postawić stodołę i stajnię.

— Czyż koniecznie, jeżeli jeszcze chociaż lat parę egzystować mogły?

— Balem się, aby się czasem nie zawałily. Zresztą przyznam się drogiemu panu, nie mając pewności czy się utrzymam na Klonowie, wolalem włożyć w budynek jak pakować w rolę, na żywność której mało kto zwraca uwagę?

— Nie masz pan pewności? — zawołał zdziwiony Adam.

Oprócz Towarzystwa, które jest nieco zamale, zapłaciłem wartość gotówką, obowiązując się do spłacenia pozostałych trzydziestu tysięcy rubli po dwóch latach od daty nabycia — po dziesięć tysięcy w trzech półrocznych ratach. Zapasowa

gotówkę wydałem na zabudowanie jako tako majątku, a urodzaje mnie zawodzą, nie mam czem dalej forsować — i cóż robić?

Adam spojrzal na towarzysza i przekonał się, że mówił szczerze.

— Nie wątpię, że pan moje wyznanie, wiary zachowasz przy sobie; utrzymuję się bowiem dotąd w Klonowie opinią kapitalisty, i jako taki, mogę go w przyszłości z pewnym nawet zarobkiem odsprzedać. W przeciwnym razie jestem zgubiony.

Adam głęboko się zamyślił.

— Trzydzieści tysięcy rubli wyratowałyby mnie.

— Pożyczyć — szepnął.

— Lecz zkąd — odparł Artur — nie chcąc się zabijać lichwiarskimi procentami? Mam bardzo bogatego szwagra na Podolu, byłem pewny, że mi pożyczy tę sumę; ale cóż, przystąpił do jakiejś wielkiej spekulacji, i ta mu pochłonęła całą gotówkę. Dobrze, jeżeli za nią i ziemia nie pójdzie. Właśnie odebrałem parę dni temu list od siostry, która mi się zwierza ze swych smutnych przeczuć.

Adam nie odpowiedział.

— Czyż można się dziwić, że w takich warunkach nie możemy iść za głosem naszego serca; lecz często nawet siłą całej duszy i energią charakteru głos ten staramy się stłumić?

Zrozumiał nareszcie Adam wszystko. Zabawił tak długo, ile mu formy towarzyskie nakazywały i wyjechał.

— A zatem — spowiadał się przed samym sobą Artur, patrząc za odjeżdżającym — albo Wanda z trzydziestoma tysiącami posagu, albo zerwane stosunki.

— Kocham ją — zawołał dramatycznie, zapalił cygaro i rzucił się na kanapę. — Kocham ją — powtarzał — myśli moje wciąż uciekają do niej, po promieniach księżyca spływa ku mnie — we śnie uśmiecha się ku mnie. Kocham ją — jej czarny włosy, niebieskie oczy, królewskie czoło i uśmiech, za którym poszedłbym do piekła. Wszędzie poszedłbym za nią, lecz tylko nie w objęcia nędzy. Nie jest to towarzystwo ani dla mnie ani dla niej...

W każdym razie, gdybym tylko chciał polować, mógłbym dostać dwakroć sto tysięcy rubli; lecz ponieważ kocham, ponieważ pragnę wytrwać w miłości, postanowiłem ciężko pracować, byle się tylko móżdż utrzymać na Klonowie.

Czekałem na dzisiejszą wizytę Adama. Byłem pewny, że po wypadkach wczorajszego dnia przyjedzie — powiedziałem wszystko otwarcie i szczerze. Oddaję sprawę mego serca pod ich sąd. Zejść z dużego majątku na małą wioskę, aby zostać ekonomem na własnym zagonie, czyż można? Sądzę, że tego wymagać odemnie nie mogą, nie mają nawet prawa. Kocham moją Wandę, czuję, że jestem kochany; lecz są granice, po za które przechodzić nam nie wolno. O cóż idzie, o nędzne trzydzieści tysięcy rubli! Nie więcej nie pragnę.

— A jeżeli dziewczyna umrze z miłości? — Uśmiechnął się. Pochlebiała mu śmierć pięknej dziewczyny z miłości dla niego, lecz przeląkł się jej, zerwał i wybiegł w pola walczyć, cierpieć i przezwycięzać się.

I pan Stefan również nie mógł dosiedzieć w swym pokoju, oczekując syna. Długość wizyty pozwalała mu mieć pewne nadzieje, ciekawość i wrodzona niespokojność drażniły go. Nie czekając na wieczorną herbatę, zabrał Celinę i poszli razem naprzeciwko Adama, aby bez świadków mogli się swobodnie porozumieć i naradzić.

Na rozstajnych drogach, pod krzyżem usiedli odpocząć. Celinka była oburzoną na brata z powodu jego wizyty do nędznika, jakim był w jej przekonaniu Artur. Ojciec bawił się nadzieją, snując swoim zwyczajem optymistyczne obrazy. Nie chciał ich głośno powtarzać i dlatego milczał.

Już dobrze po zachodzie słońca Adam nadjechał, wyskoczył z powozu, konie poszły naprzód.

— I cóż? — pytał gorączkowo pan Stefan.

— Artur wypowiadał się ze wszystkiego — odparł.

— Oświadczył się? — pochwyciła Celinka.

— Dziecko jesteś — rzekł Adam.

— W czymże jest dziecko? — odezwał się pan Stefan.

— Bo gdyby się miał oświadczyć, oświadczyłby się wczoraj Wandzi.

— Tak, prawda — powiedziała smutno dziewczynka.

Pan Stefan posmutniał i zmarszczył brwi.

— Artur — mówił dalej Adam — kupił majątek za wielki na swe kapitały.

— Przecież nie robi długów.

— Lecz nie ma czem podźwignąć gospodarstwa.

— Buduje! — zawołał z przekonywającą mocą pan Stefan.

— Właśnie, że najniepotrzebniej w budynki zagrzebał cały obrotowy kapitał, i tym fatalnym błędem może stracić całą fortunę.

Ojciec uśmiechnął się z doktrynerstwa syna.

— Pierwszy raz o tem słyszę, aby wystawieniem budynków we własnym majątku, można się zarzązać. Przesadzasz, kochany Adasiu.

— Ależ ojcie, kto zamiast uprawiać, nawozić, siać, buduje — ten nie zbiera. Miał jeszcze gdzie chować zebrane zboże. Teraz ma piękne stodoły ale puste.

— Wszak grunta klonowskie mają dobrą pszenną glebę?

— Dobrą, lecz jałową.

— Wyrobilby ją powoli.

— Gdyby mógł, gdyby miał na to czas.

Pan Stefan, zwyczajem charakterów optymistycznych, umyślnie przedłużał dyskusję, aby nie usłyszeć przykrego wyroku.

— Zaczynacie panowie dysputy agronomiczne w chwili, gdy się rozstrzyga los mej siostry — przerwała rozgorączkowana Celina.

— Prawda, lecz dyskusya agronomiczna właśnie daje rozwiązanie — odparł Adam.

— Słucham samego rozwiązania — pochwyciła dziewczynka.

— Gdyby Artur inaczej rozporządził swemi pieniędzmi, gdyby znał wartość kapitału obrotowego, gdyby go zresztą

lepiej umiał użyć, nie byłby w finansowych kłopotach, grożących mu ruiną; oświadczyłby się wczoraj o Wandę, zabezpieczyłby jej los, a sam niezawodnie byłby szczęśliwy, gdyby umiał nim być.

— Mów otwarcie, kochany Adasiu.

— Tak, mów otwarcie — powtórzył pan Stefan. — Bo jeżeli tylko kocha i pragnie, możemy znaleźć ratunek.

— Że kocha i pragnie, mówił to wczoraj Wandzi, a mnie dziś powtórzył. Aby jednak mógł się ożenić i utrzymać na Klonowie, potrzebuje najmniej trzydziestu tysięcy rubli kapitału. Pewny był, że mu je pożyczysz szwagier, zawiódł się, jest zrozpaczony, i dlatego się cofa.

— Jeżeli tylko trzydzieści tysięcy — rzekł pan Stefan — mam nadzieję, że je znajdziemy. Stać nas przecie na tę ofiarę.

— Ciężko, drogi ojcze, w dzisiejszych stosunkach.

— Ciężko — zawołała Celinka — dotąd słyszałam, że jesteśmy bogaci; mówiono mi, że będę mieć posagu najmniej pięćdziesiąt tysięcy rubli, a ty, mój Adasiu, utrzymujesz, że ciężko będzie Wandzi dać nędzne trzydzieści tysięcy, jeżeli jeszcze zdecydowani jesteście zrobić ofiarę.

— Możemy zrobić ofiarę, i ja się od niej nie usuwam, jeżeli ojciec zdecyduje się sprzedać na święty Jan Czyżów.

— Ależ przesadzasz — zawołał mocno rozdrażniony pan Stefan.

— Więc aby zyskać trzydzieści tysięcy, trzeba aż sprzedać rodzinny majątek? — spytała zdziwiona Celinka.

— Tylko i jedynie — rzekł Adam.

— Stanowczo utrzymuję, że przesadzasz, a nawet tak troszkę wygląda, jak gdybyś żartował. — Mówiąc to, pan Stefan zmarszczył brwi i spojrzał znacząco na syna. — Niepotrzebnie straszysz Celinkę — dodał po chwili.

Zrozumiał Adam, że się nieco zagalopował, albowiem córki mało znały interesa rodziców. Nie poznałby ich również odrazu i syn, gdyby go nie objaśnił pan Walenty.

— Nie tylko straszysz, ale mnie przerażasz — mówiła Celinka — i proszę cię, nie dokuczaj mi więcej, a raczej mów, jakimby sposobem mógł Artur wrócić do Wandy.

— Bardzo prostym, gdybym mu jutro na rachunek posagu Wandy wręczył trzydzieści tysięcy rubli.

— Ależ tata załatwi tę sprawę — prawda tato?

— Bądź spokojna, moje dziecko, nie ma ofiary, którejbym dla was nie zrobił, nawet ofiary nad me siły, jednak w tym wypadku — dodał — mam nadzieję, obejdzie się bez ofiar.

— Wierzę w to, drogi ojcze; przecież nie jesteśmy tak już straszliwie biedni.

Zwróciła się do Adama.

— Mów teraz, kochany braciszku, coś widział, jak zastałeś Klonów wewnątrz, dwór, ogród, a w nich jak wygląda gospodarz, piękny, w rękawiczkach gospodarz.

— Jest on istotnie w swoim domu jak w rękawiczkach. Wszystko zdaje się tam świąteczne, wychuchane, czyste do zbytku, udekorowane cackami; przytem uprzejmy, gościnny, a nawet zdaje się serdeczny.

— Serdeczny? — zawołała Celinka — aż serdeczny? Czy to czasem nie za wiele?

— Dlaczegożby nie miał być serdeczny? — pytał się pan Stefan.

— Bo dla ludzi w rękawiczkach serdeczność, jestem pewna, najtrudniejszą jest rzeczą.

— Moje dziecko, przykro mi, że w naszej rodzinie panują same uprzedzenia.

— Ależ żadne uprzedzenia, kochany ojcze; mam podstawy mniemać, że najtrudniejszym ze wszystkiego dla pana Artura zdjęć rękawiczki, i umieć być serdecznym.

— Mniemania bezpodstawne.

— Przepraszam cię, drogi ojcze, utrzymuję stanowczo, że mają one murowaną podstawę. Wczoraj Wanda była tak piękną!... Przyznam się, kochałam się w niej, ubóstwiałam ją. A teraz, wyobraźcie sobie, ta piękna nasza Wanda stoi

na kopcu, słoneczne blaski złocą ją, przy niej młody człowiek, który, wierzymy w to, kocha ją. I zamiast paść jej do nóg — mówi, że jest niewolnikiem stosunków, a myśli o trzydziestu tysiącach rubli. Stosowną wybrał chwilę. Przypuśćmy, żeby się podobnie zachował nieznany nam młodzieniec, lub że przeczytaliśmy o tem w książce... Nie, takby się nie znalazł pomimo całego swego egoizmu nawet Stanisław — nigdy!

— Dziękuję ci Celinko za ten ostatni wykrzyknik — rzekł Adam.

— Dziękuję ci Celinko za ten ostatni wykrzyknik — rzekł Adam.

— Dajmy pokój w tak ważnych chwilach deklamacyom i Stanisławom. Stało się, Artur powinien i musi być mężem Wandy. Jeżeli się bał o swą przyszłość, to również bał się i o przyszłość Wandy.

— A więc zrehabilitowany i rozgrzeszony — odezwała się Celinka.

— Zupelnie — zdecydował ojciec.

— Ja zaś, gdybym była na miejscu Wandy, nie przyjęłabym go więcej.

— Bo masz przewróconą główkę idealizmem, romansami, które pożerasz, i nie kochałaś nigdy. Nie tracę nadziei, że mu Wanda przebaczy.

— Jeżeli tylko powróci — dodał Adam.

— O tem nie wątpimy — zawołała Celiuka — albowiem tata przyrzekł dać trzydzieści tysięcy. Zawracać kawalera rublami? to jednak straszne!

— Ha, takie czasy, moje dziecko — rzekł filozoficznie pan Stefan.

— Celinko, wszak prawda, że Stasia nie potrzebaby zawracać rublami — spytał Adam.

— Przypuszczam — odparła dziewczynka.

— A jednak Staś jest egoistą.

— Artur się boi o swą i Wandy przyszłość, a Stanisław i jego ojciec bali się o swe pieniądze. I woleli stracić

przyjaźń, jak je. W tem jest różnica — oświadczył pan Stefan, i zdaje mi się, przekonał córkę, a może w połowie i syna.

Zamilkli, zbliżając się zwolna do czyżowskiego dworu.

— Kochany Adasiu, sprawozdanie z twego pobytu w Kłownowie pozwól mi sam osobiście przedstawić matce. Wanda nie wie o twojej wizycie, i nie męczmy jej zwierzeniami, prawda Celinko?

— Doskonale ojezulku, bierzesz sam wszystko na swe barki, zatem i my jesteśmy spokojni. A ponieważ Wanda kocha Artura, pocóż jej zdzierać iluzye?

— Mojem zdaniem, Artur zasługuje na wzajemność — rzekł pan Stefan dobitnie i stanowczo, wstępując na kamienne schody czyżowskiego dworu.

— Adasiu, wiesz ostatnią nowinę? — wołał zdaleka pan Walenty.

— Słucham.

— Gębalscy opuszczają Czyżów. Dziś w nocy pan rzadca we własnej osobie wyprowadził swój dobytek ze stajni, ośm koni, dwanaście sztuk bydła, i popędził je do wspólki z najętymi ludźmi. Gębalska od świtu pakuje rzeczy i wysyła furami. Podobno osiedlają się tymczasem pod Skaryszewem, u szwagra pani Gębalskiej. Pewno coś kupią, albo wezmą dobrą dzierżawę.

— Wybornie się stało — zawołał Adam — nareszcie mamy już zupełnie rozwiązane ręce i — do pracy!

— Do pracy! — powtórzył staruszek z zapalem.

— A teraz, wywdzięczając się, powiem drogiemu panu również wielką nowinę, ważniejszą jak nagły wyjazd Gębalskich.

— Domyślam się — rzekł z uśmiechem staruszek.

— Naprzykład.

— Pan Artur oświadczył się o naszą Wandzię. Chociażem stary, ale przecie mam oczy i widzę, co się koło mnie dzieje; dlatego umyślnie cię wczoraj od nich odciągnął. Niechże sobie młodzi powiedzą to, co mają na sercu — myślałem. No i wygadali. Spodziewam się, że posagu nie pragnie.

A toż przecie nasza Wanda piękna jak królewna, i za niąby jeszcze okupu śmiał żądać?

— Niestety, żąda go — odparł Adam.

— Żąda — zawołał staruszek, łamiąc ręce — to już chyba trzeba sprzedać Czyżów, albo go w zastaw puścić.

— Albo las wyciąć — dokończył Adam.

— I cóż będzie wart Czyżów bez lasu? A co zostanie dla Celinki, Marylki, dla Julka, ciebie i rodziców?

— Ja, kochany panie Walenty, dam sobie radę.

— A toż przecie wierzyciele dlatęgo tylko dotąd cicho siedzą, że las widzą. Jak lasu nie stanie, rzucą się na nas jak sępy i kruki. Cóż myślicie teraz zrobić?

— Ojciec całą sprawę wziął na siebie.

— I co poradzi, co? Zawody i cierpienia. Kapitału teraz nie znajdziesz i na pierwszą hipotekę... Nie ma jakiej rady na tego waszego wymuskanego panicza? Sambym pojechał do niego, i albo go przekonał, albo wyzwał.

Stary pokręcił z animuszem wąsa.

— Jest jeden — szepnął cicho Adam.

— Jakiż? — również tajemniczo spytał staruszek.

— Aby Wanda zapomniała Artura, a przypomniała sobie Stasia.

— Nie zapomni, a Stanisław nie będzie się chciał jej przypominać. Ho! ho! zhardzieli oni teraz. Stary składa grosz pewno już od czterdziestu lat, i dziś ten twój Staś, pan całą głęba, rządzi, gospodaruje — rachuje i znowu składa. Nie wróci, i rzecz skończona. Obydwaj zimni, wyrachowani jak Angliey. Zwyczajni egoiści. Bogactwo ludzi zmienia. Ten twój przyjaciel ostrożny — namyśla się, nim krok postawi. Nie wiem, czyby cię nawet tak serdecznie jak dawniej przyjął. Możeby się obawiał, abyś mu nie zaproponował pożyczki. Ludziom najlepiej się wiedzie, gdy są egoistami, to też najprędzej nimi zostają.

Adam miał zamiar cicho, w tajemnicy, pojechać do Dobiesławic. Ostatni argument staruszka, którego kochał, pokonał go.

— Mogą pomyśleć, że przyjeżdżam po to tylko, aby ich prosić o pomoc — myślał. — A więc nie pojedę. Tymczasem do pracy. Róbmę swoje. Ziemia ładna i dużo jej — mam troszkę na początek grosza, głowę na karku i naukę. Do dzieła! do dzieła! — powtarzał, chcąc temi hasłami zagłuszyć wątpliwości, rodzące się w jego umyśle.

IX.

Pan Stefan z dwoma tysiącami rubli wyjechał do Warszawy szukać «nędznych trzydziestu tysięcy» i zapłacić procenta.

W Czyżowie, w niedzielę, po nabożeństwie, a przy wyjściu z kościoła Artur spotkał panie. Wanda nieco pobladła, lecz niezem nie zdradziła stanu swego serca.

Po odbytej parę dni temu naradzie z ojcem, Adam zaprosił jak dawniej młodego sąsiada na obiad. Wszyscy w domu byli dla niego uprzedzająco grzeczni, mimo to czuć było, że usiłowali jak najlepiej grać swe role, a grali je z widocznem wysileniem. Celinka starała się być dowiepną i wesolą, a często była niezręczną; Marylka usiłowała dać poznać bardzo delikatnie swą niełaskę panu Arturowi, a nikt się nie domyślał, czego właściwie chce. Wanda, przy której według zwyczaju siadł Artur, uśmiechała się, lecz była milezącą, zamyśloną, dumną. Panował przymus, Artur dobrze znał jego powody, lecz czekając rezultatów propozycyi swej, bał się hazardować. Cała ta sprawa najwięcej gniewała Walentego, widział w zachowaniu się Artura upokorzenie domu i branie na tortury Wandy. Szczęściem Wanda nie wiedziała o wizycie brata w Klonowie i propozycyach — oszczędzano ją. Celinka i Adam dotrzymali słowa.

— Ten wasz Artur wygląda jakby się targował i jak każdy handlarz jest twardy jak kamień. Jabym z nim pogadał, gdybym był waszym ojcem.

— Dałem mu delikatnie do zrozumienia, żeśmy jego

sprawę wzięli do serca, i dołożymy wszelkich starań, aby ją załatwić pomyślnie — szepnął staruszkowi Adam.

Pan Walenty machnął ręką swoim zwyczajem i wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem waszej dzisiejszej młodzieży — i basta. Możem ja już stary i głupi, ale tego rodzaju frymarki nie mogą mi się pomieścić w głowie.

Irytowała pięknego młodzieńca odporna postawa tej, o którą raczył się starać. Był zły, lecz się uśmiechał, zwracając promienie czarnych swych oczu ku Celinie, i to mu jednak nie pomogło. Obrażonej dziewczynce za siostrę udało się dosięgnąć go swem ostrym żądzielkiem. Ukłuty zamilkł i zamyślił się. Jedną pani Karolina zawsze jednakowo dobra, jednakowo serdeczna, zakochana w swych dzieciach, nie zmieniła swej sympatii dla gościa, widząc w układającym się związku szczęście córki.

* * *

— Mała daje mi uczuć swą wyższość, swą wielkość, narzeczcie łaskę — mówił do siebie młodzieniec w rękawiczkach. wracając z Czyżowa. Piękną jest jako królowa. I pewno byłaby królową salonów warszawskich, a niezawodnie i innych — dodał w duchu a bardzo po cichu — gdyby miała sto tysięcy rubli, ja zaś do tego czysty Klonów. Piękna byłaby z nas para — zawołał. — Nie pojmuję, jak mogłem się tak zagłupować w te przeklęte budynki. Adam zdaje się niepraktyczny ideolog, a jednak prawdę mi powiedział... Zawsze podobnie wychodzą ci, którzy gospodarują w myśli spekulacyjnej pozbycia się jak najprędzej kupionej ziemi. Należało forsować i rezerwowo kapitalik pakować w to, co zaraz przynosiłoby dochód: w inwentarz i rolę. Stało się — a że jestem zdecydowany poprzestać na trzydziestu tysiącach rubli, to dowód, jak kocham małą, która tak ładnie umie się bawić w królowę, być dumną i upokarzać mnie.

Marzył, uśmiechał się do swej fantazyi, zadając sobie często pytanie: czy też pan Stefan przywiezie pieniądze z Warszawy?

— Nie wiem dlaczego, lecz dziś mniejsze robił on na mnie wrażenie, jak kiedykolwiek — mówiła cicho Wanda do Celinki, za co Celinka pocałowała ją w jej mistrzowsko wykrojone usta.

— Wiesz Adasiu, przychodzę do przekonania, że może ten twój rachujący Stanisław byłby lepszy dla Wandy od tego człowieka w rękawiczkach — zwierzała się bratu Celina. — Lecz cóż!

— Lecz cóż? — powtórzył Adam.

— Gdy Artur zaczął bywać, Wanda Stanisława traktowała z góry, daleko więcej jak dziś Artura; tak samo jak Marylka Krówczyńskiego.

— A ty gdybyś miała do wyboru między człowiekiem w rękawiczkach a rachmistrzem?

— O! jabym go oduczyła rachować — zawołało dziewczę z zapalem i roześmiało się głośnie ze swego wybuchu. Bo ty może sądzisz, że mnie ten rachmistrz co obchodzi? — spytała.

— Ja nie nie sądzę — ja słucham tylko, moje dziecko.

— Ciagle mi powtarzasz dziecko, a ja już dwudziesty rok zaczęłam.

— Tem więcej trzeba myśleć o mężu.

— Gotów jesteś mnie prześladować.

— A ty gotowaś się mścić za to.

— Na kim?

— Na Arturze a może Stanisławie — i zbałamucić jednego i drugiego.

— O! gdyby było w mej mocy, dałabym ja im — pogroziła. — A wiesz, Wanda zaczyna się rozczarowywać.

— Tem lepiej, bo zdaje się, że ojciec nie przywiezie pieniędzy z Warszawy.

— Ależ to niepodobna.

— Nie znasz się wcale na interesach w ogóle, a tem mniej na sprawach majątkowych Czyżowa — i dlatego jesteś dzieckiem.

— Lecz się również na nich nie znają mama i Wanda.

— Tem gorzej.

— Czy bardzo jest źle z nami?

— Nie wesoło, moja droga.

— A my tyle wydajemy na stroje i tyle kosztujemy rodziców!

— Należy oszczędzać.

— Oszczędzać, mnie jednej? Mój Adasiu, czy to podobna?

— Prawda — rzekł Adam smutno.

— A czy można zmieniać cały porządek, nie zrobiwszy przykrości rodzicom, którzy nas tak kochają. Oni już wzrosli z tem co ich otacza, zdaje im się, że niepodobna, aby mogło być inaczej. Zmianę uważaliby za upadek, upokorzenie, nie-szczęście.

— W tej chwili moja Celina już nie jest dzieckiem. — Brat pocałował siostrę w czoło. Bądź spokojna, mam nadzieję, że sam podołam, nie pozbawiając was waszych galganków, a kochanych rodziców przyzwyczajeni.

— To dlatego wydaliliś Gębalskiego i sam zostałeś rządcą Czyżowa?

— Dlatego.

— A ja byłam takim dzieckiem, że tego nie zrozumiałam. Im więcej cię poznaję, tem więcej kocham.

— Siostrzyczka bawi się w komplementa — roześmiał się Adam.

— Widzisz, ja cię bardzo mało znałam, byłam dzieckiem gdyś nas tak raptownie opuścił, sześć lat czasu, to dla nas młodych bardzo dużo.

X.

Adam dotrzymał słowa, biorąc się energicznie do pracy. Lubil zresztą namiętnie gospodarstwo, a pragnął jak najprędzej urzeczywistnić swe marzenia, zrealizować wiedzę na własnym gruncie i zastosować widziane u obcych rezultaty ich pracy.

Kosturkiewicz został zamianowany ekonomem na głównym folwarku w samym Czyżowie. Pensya została mu podwójną ze stu na dwieście rubli rocznie. Pan Walenty objął teki skarbu, handlu, spraw zagranicznych, i oprócz tego został jeneralnym kontrolorem całego państwa. Staruszek cieszył się i ręce z radości zacierał. Nie bał się pracy, pragnął jej, szukał a skarżył się, gdy mu jej odmawiano.

Dla wprowadzenia porządku i ładu należało pousuwać zdemoralizowanych przez Gębalskiego ludzi — a że zwykle próżniacy są najniebezpieczniejsi, bo nie tylko że sami nic nie robią, lecz podmawiają do próżniactwa drugih, wydano tak nazwanych »luźnych« do wszystkiego, a zatem do niczego. Luźny Walek przeniesiony został na fornała na folwark — luźny połowy dostał posadę leśnego, a dla luźnego parobka, pan Walenty jako minister spraw zagranicznych i handlu, kupił cztery woły na jarmarku.

— Orać, włóczyć i znów orać i włóczyć — wołał z entuzjazmem Adam.

— Orać i włóczyć — powtarzał za nim pan Walenty, i dlatego dokupił fornalnę złożoną z czterech młodych a silnych mierzynów.

— Mój Adasiu, Gębalski wyprowadził dwanaście sztuk bydła z naszej obory, a chociaż już niewiele gotówki mamy, trzeba koniecznie brak ten zapłacić. Wiesz, że nawozu nie mamy za dużo.

Każdego dnia o świcie Adam był już na koniu, pan Walenty na bryczce objeżdżał folwarki, lustrował, liczył, zamykał, pilnował, doglądał rozkazów swego faworyta, w którego rozum wierzył jak w ewangelię.

Wyszedł rozkaz pozmieniać zagony z cztero- i sześcioskibowych na ośmio- i dwunastoskibowe. Rad był Adam odrazu przejść w płaską uprawę, lecz z powodu niewyrównanej ziemi nie mógł tego dokonać. Polowi na te zmiany kiwali znacząco głowami, ekonomowie na folwarkach radzi byli protestować; lecz nauczeni smutnym losem Gębalskich, milczeli,

tem więcej, że każdemu z nich można było dowieść współnictwa z dymisyjonowanym rządcą.

Dziwiła nieco młodego pracownika pewnego rodzaju obojętność, a nawet apatya rodziny na jego zapal gospodarski i mozolną pracę. Wanda po ostatniej wizycie Artura, więcej jeszcze spoważniała i przycichła. Nie można było dostrzedz w niej rozpaczy, lecz uderzała niechęć jej do świata i ludzi.

— Niepotrzebnie się męczysz, mój Adasiu — powiedziała parę razy niby tak od niechcenia pani Karolina.

— Trzeba pracować, moja mamó — odparł syn z powagą męża stanu — jeżeli chcemy się wydobyć z kłopotów.

— Zostawmy już te kłopoty ojcu, bo gdy on nas nie wyratuje, to cóż ty mój biedaku poradzisz? Zmarnujesz młodość i zdrowie.

Taką była miłość tej cichej i łagodnej kobiety, tak wielkie miała zaufanie do powagi i rozumu męża, uważając pracę swych dzieci za mozolną rozrywkę.

— Niepotrzebnie się Adaś bawi w to gospodarstwo — powtarzała nieraz w sekrecie przed dziećmi. Opalił się jak cygan, zehudł i zmizerniał. Boję się, aby mu nie było trudno zrobić dobrej partyi.

Biedny Adam nie znalazł w rodzinie ani poparcia, ani uznania — postanowił jednak wytrwać na stanowisku.

Jedna Celinka, wypadkiem obznajmiona nieco ze stanem interesów, nadgradzała bratu trudy jego jak mogła i umiała. Nieraz chodziła z nim w pole dógłądać uprawy roli, przypatrywać się łanom pszenicy, okopywaniu buraków, przechodzącemu w strączki rzepakowi. Adam lubił mówić dużo o gospodarstwie, a że nie miał słuchaczy, rad zwierzał się ze swych projektów na przyszłość siostrze. Słuchała go z zajęciem, a że była zdolna i sprytna, odgadywała jego myśli, wtajemniczając się w plany, odtwarzając je na swój sposób.

Nieraz się z niemi spotykał wracający z folwarków pan Walenty. Wtedy było dużo radości i zabawy. Starsuszek w tych czasach bywał w wybornym humorze, dowcipkował — Celinka

pomagała, ucząc się go kochać, gdyż mogła go bliżej poznać — a poznając odkrywała w nim skarby przywiązania do rodziny. Oboje jednakowo nie lubili Artura i jednakowo zaprawiali na nim swój dowcip.

Powrót do domu był zwykle ożywiony, a po powrocie dziewczynka w zetknięciu się z rzeczywistością i przyrodą stawiała się trzeźwiejszą w sądach i jaśniej patrzyła na otaczające ją stosunki.

XI.

Nareszcie wrócił z Warszawy pan Stefan i jak przeczuwał Adam, pieniędzy nie przywiózł, lecz za to dużo projektów do ich wydobycia.

— Znajdziemy nowe źródła kredytu — mówił do syna. — Pracują w tym kierunku w Warszawie, a nawet podobno myśli o tem i Towarzystwo kredytowe. Ono to więzi nasze kapitały — zawołał z mocą — i ono je znów pod pewną gwarancją zwracać nam jako pożyczkę powinno. I zrobi to, byleby tylko z naszej strony wyszła inicytywa. Postaramy się o nią, bądź spokojny. Do Artura napiszę o tych projektach — mam nadzieję, że zaczeka. Przecież na Boga, kocha Wandę! Nie tylko trzydzieści tysięcy, lecz będę mógł dostać pięćdziesiąt — a tym sposobem pospłacamy i najpilniejszych wierzycieli. Przecież to musi się zmienić. Nasze Towarzystwo kredytowe ma miliony, a my na brak kredytu usychamy. Oczywiście anomalia.

— Ale czy Towarzystwo będzie mogło zmienić swój statut, a za tem czy otworzy nowe źródło kredytu?

— Otworzy, bo musi, potrzebuje tylko z naszej strony inicytywy, poparcia i pewnego rodzaju teroryzmu. Bardzo cię proszę, nie zniechęcaj mnie i nie zrażaj swym pesymizmem i to w chwili, gdy potrzebuję zachęty i dodania mi odwagi. Nieraz cię będę prosił o radę i pomoc, pocóż więc samym straszyć się wątpliwościami? Idźmy naprzód śmiało do celu.

Zresztą, ja cię nie zrażam do twych zajęć, chociaż nie wierzę, abyśmy podniesieniem produkeji ziarna mogli się wydobyć z kłopotów.

— Nie odrazu, lecz przy pilności i wytrwałości.

— Za późno — spłacić tyle długów i dziewczyny powydawać za męż.

— Idzie na razie, aby nie zaciagać nowych.

— Dalby Bóg — zawołał pan Stefan.

Na tem się skończyła narada.

Poslaniec jeszcze tego samego dnia wysłany z listem do Klonowa, powrócił wieczór z odpowiedzią, w której Artur winał i cieszył się z projektów pana Stefana, zachęcał do nich, przyrzekał nawet pomoc po powrocie — gdyż w tych dniach wyjeżdża do siostry i szwagra na Wołyń — i dlatego łączy najserdeczniejsze ukłony paniom, uściski Adamowi, a wyrazi podziwu i czci, dla głowy tak zacnej i szlachetnej rodziny.

Panu Stefanowi wypadł z rąk list, krew bila mu do głowy. Dal rozkaz, aby natychmiast przyprowadzono osiodlanego konia. Wierzchowiec stał przed dworem, pan Stefan chodził szerokimi krokami po swym pokoju. Nareszcie polecił przywołać Celinę.

— Czytaj, moje dziecię — mówił cały wzburzony — czytaj.

Celinka szybko przebiegła wzrokiem podany jej list.

— Ależ, drogi tato, Wanda zaczyna już stanowczo zniechęcać się do tego człowieka w rękawiczkach.

— Wybornie się stało, że wyjeżdża — odzwyczai się, zapomni o nim! Przecież tak piękna jak nasza Wanda znajdzie męża, który może nie będzie żądał do niej dopłaty.

— Mniejsza o niego, lecz my jesteśmy skompromitowani, nasz dom, nasz kredyt! Wanda — Adam i ja.

— On najwięcej — przerwała Celinka.

— Kto?

— Człowiek w rękawiczkach. On ucieka, my zostajemy. Nareszcie wolno mu jechać, a nim wróci, Wanda z mamą

wyjadą do Krynicy, Szczawnicy lub Marienbadu. I wszystko pójdzie swoim trybem.

— Starał się, wiedzą o tem. Nie mieliśmy powodu nie przyjmować go — wyjeżdża, a więc zrywa. Dlaczego? Przeczul lub dowiedział się, że posagu nie możemy dać, powie opinia.

— Tem lepiej, bo tym sposobem młodzi ludzie, którzy się o nas będą mieli zamiar starać, nie będą narażeni na zawody i zrywania, a my na cierpienia, kompromitacje. Pierwszemu lepszemu młodemu człowiekowi przestępującemu próg naszego domu, oświadczam słowami skąpca Molierowskiego:

»Bez posagu! bez posagu! bez posagu!«

— Ależ wy będziecie mieć posag, macie do niego prawo i musicie go mieć!

— Lecz drogi tato, dziś nie mamy go i nie rozpaczamy — a gdy dostaniemy, tem większa i miłsza niespodzianka będzie dla nas i dla naszych mężów.

— Dziecko jesteś!

— Taty, ukochane!

— Tymczasem gdy się rozniesie wieść po okolicy o stanie naszego majątku, stracimy kredyt.

— Wybornie, nie będziemy mieli długów; tata będzie zawsze w doskonałym humorze, a nam wystarczy co mamy.

— A Wandę chcesz wysłać z matką do wód?

— Koniecznie.

— Lecz za co?

— A wełna, pszenica, żyto, rzepak...

— Za mało.

— Nie wystarczą, Adaś mówi, że tego roku nie będzie urodzajów.

— No, to już ostatni raz pożycz tata tysiąc rubli, najostatniejszy — więcej już nigdy, nigdy — prawda? Bo przecież Wandzia musi jechać.

— A widzisz? Tych ostatnich razów znajdzie się tego roku pewno ze dwanaście. A gdy się kredyt straci?

— Ależ to jeden, jedyny, ostatni raz!

Pan Stefan się roześmiał. Zniecierpliwiony oczekiwaniem koń bił żelaznymi podkowami o kamienne płyty. Celinka wyjrzała.

— Adaś pewno przyjechał?

— Nie, to ja wyjeżdżam rozmówić się z tym, który zabrał sen memu dziecku.

— Nie ojcze, tego nie zrobisz — przerwała z dumą i spokojem dziewczyna.

— A to dlaczego?

— Musiałbyś go prosić.

— Przedstawię mu całą sprawę z najzimniejszą krwią.

— Czyli będziesz nalegał, aby został twoim zięciem.

— Nigdy — idzie o wytłumaczenie mu moich projektów.

— I po cóż? Gdy wróci, sam zobaczy, że projekta się urzeczywistniają, a wtedy będzie miał czas zdecydować się. Nie jedź, drogi ojcze, nie jedź, zaklinam cię.

Dziewczynka przytuliła główkę do piersi ojca.

Wszedł Adam — pan Stefan podał mu list Artura.

— Byłem pewny takiej a nie innej odpowiedzi. Ojciec wyjeżdżasz?

— Chciałem, lecz Celinka zakazuje mi.

— Podzielam zdanie Celinki — wyprawa ta mogłaby być dla nas ciosem.

— Lecz za to szanowny pełnomocniku, musisz postarać się najmniej o tysiąc rubli, dla matki i Wandy do wód.

— Tak, tak, braciszku, musisz, musisz koniecznie, niezbędnie. Za to my będziemy oszczędzać, okropnie oszczędzać. Zobaczysz, przekonasz się. Wandzia musi wyjechać. Znasz ją — milczy, lecz czuje głęboko i cierpi.

— Trudno to będzie, dołożę jednak wszelkich sił, aby pieniądze na podróż dla mamy i Wandy wydobyć.

Pan Stefan się uśmiechnął z tego dokładania wszelkich sił, był bowiem przekonany, że do wydobywania gotówki Adam potrzebował tylko przebyć drogę ze dworu do oranżeryi. Z każdą chwilą coraz bardziej wierzył, że pan Walenty odkrył skarb, a że w fantazyi swej powiększał go, miał do starego żal.

— Czy pan Walenty wie o wymaganiach Artura? — spytał raptownie.

— Ależ wybornie — zawołała Celinka — mówiliśmy o tem nieraz.

— I jakże?

— Gniewa się na tę wykrochmaloną lalkę, jak go nazywa.

— I nie więcej?

— Żałuje że nie ma kapitału — dodał Adam.

— I musi cierpieć z tego powodu, żal mi go.

Pan Stefan uśmiechnął się.

— Ojciec może przypuszcza, że pan Walenty ma gotówkę? — spytał Adam.

— Ja nie nie przypuszczam — odparł pan Stefan.

— Kochany ojculek nie podobnego przypuszczać nie może, gdyż przypuszczenia te ubliżałyby panu Walentemu, który nas kocha jak własne dzieci i gotówmy dla nas oddać nawet życie.

Nie nie odpowiedział, całując w czoło faworytkę. Nowe temata przybywały dla pracy jego myśli i fantazyi. Wanda u wód — najpiękniejsza, najdystyngowańsza — królowa. Rój bogatej młodzieży z pięknymi nazwiskami u jej nóg — pan Walenty skąpy starzec, powoli rozwiązuje swe worki...

— Nie traćmy nadziei — zawołał. — Wanda z matką jadą w tych dniach.

— Jak najprędzej — dodała Celina.

— Adasiu, każ odprowadzić konia i ełdźmy odpocząć, aby jutro stanąć z nowym zapasem sił do pracy. Ty do swojej, ja do swojej — zdecydował ojciec.

Adam odprowadziwszy Celinę, pobiegł do izdebki swego starego przyjaciela.

Staruszek nie spał, czytając przy pomocy swych okragłych dużych okularów, niedoczytane w południe gazety.

Starzec z młodzieńcem długo rozprawiali, rachując po razy kilka wydobyte z czerwonego pularesu pieniądze. Było ich wszystkiego dwa tysiące sto dwanaście rubli, pozostałej

reszty z siedmiu tysięcy. Nareszcie staruszek odłożył dziesięć sztuk sto-rublowych. Adam je schował.

— Pamiętaj Adasiu, że to ostatnie. Powiedz ojcu, że ostatnie, i staraj się wytłumaczyć, że ja nie żaden Krezus.

— Tak to, kochany panie Walenty, rozwiały się nasze projekta podniesienia twym kapitalikiem gospodarstwa.

— Ha, cóż robić, zostawić dziecko z czarną rozpaczą samo? — zawołał stary, odkładając okulary na czoło.

— Lepiej już gospodarstwo zostawić samo z czarną rozpaczą — dokończył Adam.

— Lepiej — odpowiedział starzec — stokroć lepiej, choć ciężiej. W każdym razie, kochany Adasiu, postępujmy jak prawi ludzie. Już ja ci nie zabiorę miłości twej do rodziny.

— Gdy tymczasem ja, drogi panie, zabieram ostatni grosz, któryby mógł wyratować nas — i poświęcam go dla chwilowej rozrywki rodziny. Słabi jesteśmy, uczucie zwycięża nas! Kapitalik pana roztrwoniony — z siedmiu, zmarnowane pięć tysięcy, stało się ciężarem.

— Co ty pleciesz, jakim ciężarem? Cóż to poszłę wam egzekucję?

— Tak, ciężarem, ciężącym na Czyżowie i mem sumieniu — zawołał Adam — a nie dającym żadnej korzyści, gdy tymczasem te siedm tysięcy przyniosłyby dwanaście procentów, a może i więcej użyte produkcyjnie, jako dźwignia całej maszyny gospodarstwa.

— Prawda moje dziecko, prawda, ale jakaż na to rada?

— Kredyt i długi nas nie niszczą, lecz złe użycie pożyczonej gotówki, czyli użycie jej niewłaściwe. Wtedy to kredyt staje się ciężarem niszczącym rodziny i społeczeństwa.

— A cóż można było lepszego zrobić?

— Nie pożyczać — odparł stanowczo Adam.

— No, no — rzekł poważnie staruszek — jesteś rozdrażniony i bredzisz. Nie pożyczać i wyjść na ostatniego lotra. Co ci się dzieje! Dobranoc — dobranoc, pozwól mi spokojnie zasnąć.

Adam wyszedł.

Stary nie mógł ani czytać ani pisać, powtarzając: — co robić — co było robić... Dobrze to rozprawiać o kredycie i ekonomii, gdy się nie ma dzieci a dużo pieniędzy. A gdy stosunki człowieka jakby za gardło pochwycą, gadać mu wtedy o ekonomii i tych tam naukach, będzie cię słuchał...

XII.

Pani Karolina z Wandą, z gorączkowym pośpiechem wybierały się w podróż. Marylce było bardzo przykro zostać samej z Celinką, dwa razy nawet z tego powodu płakała. Ojciec zobaczył łzy, a że kochał dzieci, zawołał dzierżawcę młynów i wziął od niego trzysta rubli, które dołożył na kosztą wyprawy dla Marylki.

— A Cesia? — spytała smutno pani Karolina — Cesia miałaby sama zostać i nudzić się, gdy my się bawić będziemy.

— Ja, droga mamó, stanowczo zostaję i nie mam najmniejszego zamiaru nudzić się. Będę gospodarować z Adasiem — opiekować się ojcem — grać, czytać i nareszcie pisywać do was listy. Któżby wam donosił o wielkich wypadkach czyżowskiej okolicy? Adasia nie można zostawić samego — zamęczylby się (pani Karolina westchnęła), ani taty — smutnoby mu było bez swej faworytki.

— Tata, mam nadzieję, przyjedzie po nas — odezwiała się Maryla.

— O, nie wytrzyma i przyjedzie — mówiła pani Karolina. — Lecz ty Cesiu niepotrzebnie się poświęcasz.

Cesia znając stan interesów, postanowiła się poświęcić, i to była pierwsza wygrana płynąca ze znajomości przez dzieci spraw majątkowych rodziny.

W wigilię wyjazdu zdaje się, że umyślnie na pożegnanie przyjechał pan Króweczyński. Imię mu było Hipolit, jak gdyby Hipolit miało oznaczać nieśmiałość, pewne zakłopotanie wobec dam i brak rutyny w salonowych stosunkach.

Hipolit Króweżyński był blondynem, dobrze zbudowanym, okragłej i rumianej twarzy. Po skończeniu Puław, odziedziczył po ojcu dobrze zagospodarowaną wioskę.

Z okien swojego dworku tęskno spoglądał na białe mury ściany czyżowskiego pałacu. Nie dlatego, aby mu one miały imponować pięknnością, lub przygniatać go ogromem, lecz że tam w tych murach mieszkał stary ród, a on był tylko Króweżyńskim.

Hipolit lubił stare rody, czcił je i zazdrościł im. Radby był za jakąkolwiek cenę zbratać się z tym rodem, tem więcej, gdy złote włosy, niebieskie oczy i biała okragła buzia magicznie działały na jego fantazję, powiedzmy prawdę, i serce. Traktowany po tyrańsku i bardzo z wysoka przez panią swych myśli i pragnień, która mu na każdym kroku dawała uczuć, że jest tylko Króweżyńskim, tracił resztki śmiałości i pewności siebie, co mu jednak nie przeszkadzało uwielbiać arystokratyczną dumę dziewczęcia.

Pan Stefan brał go w opiekę, lecz często li tylko dla dowcipu i żartów, które go więcej jeszcze przygniatały; Wanda ignorowała nieśmiałego młodzieńca, Celinka patrzyła na niego z uśmiechem, ważącym się między litością a pobłażaniem. U jednej pani Karoliny dużo miał łask, przez wdzięczność, że kochał jej dziecko bez nadziei, gdyż pani Karolina nie wyobrażała sobie, aby córka jej mogła się nazywać Króweżyńską.

Adam go pierwszy raz zobaczył, choć znał już z żartów ojca, obrażającej się dumy Marylki i litości Cesi. Przywitał go szczerze, uściśnął podaną sobie dłoń serdecznie, rozmawiał jak z kolegą i sąsiadem, szanując w nim pracę, oszczędność i wykształcenie. Ośmielał go słowem, brał w protekcyę, czem obrażał Marylkę i wywoływał zdziwione spojrzenie u pani Karoliny i Wandy.

Jedna Celinka zaczęła domyślać się prawdziwych powodów grzeczności Adama, i serce jej, demokratyczne serce, ścisnęło się na samą myśl, aby siostra jej mogła zostać Króweżyńską. I dlatego myśl tę coprędzej wypędziła z swej główki.

Celinka była demokratką przez wpływ literatury francuskiej, którą pożerała, lecz tylko wtedy, gdy trzymając książkę w ręku, żyła z Francuzami. Na stosunki rodzinne, miejscowe, patrzyła oczami ojca, mamy, sióstr i sąsiadów.

Gdyby Krówczyński był Ernanim, nareszcie Mussetowską kreacją, gdyby walczył, sztydził lub nienawidził!... Lecz Krówczyński był cichym, potulnym Krówczyńskim; ciężko pokutującym za swój grzech pierworodny, raczej fatalizm nazwiska. Celinka zapomniała, że gdyby Krówczyński był innym, nie bywałby w Czyżowie.

Wszyscy w domu, oprócz może Adama wierzyli, że zamierzona przejażdżka do wód przyniesie świetne rezultaty, a nawet sam Adam, wiele razy spojrzal na Wandę, powtarzał:

— Taka piękna, taka piękna... Czyżby już u nas nie było ludzi serca, czyżby już w nas szlachetne uczucia wygasły? Czyżby piękność przestała być siłą?...

Marzył, marzeniami temi pocieszał się, wzmacniał na duchu, chociaż gdy siostry nie widział, tracił nadzieję i wątpił.

— Czyż koniecznie spotka godnego siebie? Może pokrewna jej dusza błąkać się będzie wprost w przeciwnej stronie? A gdy go spotka, czy go zobaczy?... Czy go zobaczy? — powtarzał dręczony smutnemi przeczuciami.

Adam wątpił, rodzina za to zdradzała wyborny humor. Pan Stefan błyszczał dowcipem, Celinka mu wtórowała, pani Karolina z uśmiechem przyjmowała dowcip męża, Marylka marzyła. Nie dziw, że i pocziwemu Hipolitowi dostała się odrobina z jasnych promieni weselości rodzinnej.

Gdy podano kolację, Adam zręcznym obrotem umieścił go przy Marylee, i o dziwo, Marylka czoła nie zmarszczyła, a nawet uśmiechnęła się dobrotliwie, za co jej przysiałł dożgonną miłość Krówczyński. Adam siadł przy nim, bawiono się, lecz nie Hipolitem; Hipolitowi pozwolono również się bawić, Adam go ośmielał, i wtedy Hipolit zdradzał dużo bystrości w poglądach, troszkę humoru w opowiadaniu, a najwięcej wykształcenia. Dziwiło to pana Stefana, lecz po nad

zdziwienie, żadna mu myśl nie przesuwała się po głowie. Dziwilo to również Adama i zdziwieniu swemu zadawał pytanie: dlaczego i za co żartowano sobie z Króweczyńskiego?

Króweczyński nie zadawał sobie żadnych pytań, radość opanowała go, zaczął mieć troszkę nadziei.

Gość odjechał, Adam odprowadził go do stopni powozu. Pożegnali się dwaj dobrzy przyjaciele. Hipolit pokochał Adama za jego serdeczną poufalość i otwartość, a Adam polubił Hipolita. Czuł do niego sympatyę, cenił w nim skromność — pokora młodzieńca ujmowała go.

Rodzina zajęta przygotowaniami do jutrzejszego odjazdu pracowała, Adam tylko i Celinka osieroceni, znaleźli się w parku.

Nadszedł pan Walenty.

— No, i cóż Króweczyński? — spytała Celinka brata.

— Sympatyczny i zdaje się dobry...

— Chłopiec, choć do rany przyłóż — przerwał pan Walenty. — Ciche to, potulne, grzeczne, w domu ład, w gospodarstwie porządek, dba o lud, pomaga, wspiera — i gdyby nie te fanaberye, byłby miły i użyteczny sąsiad.

— Co za fanaberye? — pochwycił Adam.

— Jakto, nie spostrzegłeś ich?

Adam uśmiechając się, że się niedomyśla i dlatego odparł:

— Nic nie rozumiem.

— Ależ Adaś tylko drażni pana Walentego — odezwiała się Celinka.

— Proszę was, mówcie otwarcie — pochwycił Adam.

— Temu biednemu Króweczyńskiemu pokiłbaśilo się w lepetynie i zaczyna myśleć — wiesz o kim?... O naszej Marylce.

Stary zalał z oburzenia ręce.

— Więc cóż z tego? — odezwał się spokojnie Adam.

— Jeszcze się pytasz? I pozwolilbyś, żeby panna Czyżowska, twoja rodzona siostra, została Króweczyńską i mieszkala w Górcie o miedzę od Czyżowa?

— Pozwoliłbym — rzekł Adam z powagą.

— Jeżeliś się tego nauczył u obcych, to bodajbyś do nich nie jeździł. A może lepiej było, abyś nie wracał.

Stary pierwszy raz uniósł się na swego faworyta, a że był gorączka, odwrócił się i szybko odszedł.

— Panie Walenty! — wołała za nim Celinka — Adaś tylko żartuje.

Ponieważ jednak Adam nie poświadczał i nie przyzywał go, poszedł.

— No, i widzisz Adasiu, obrazileś niepotrzebnie najlepszego swego przyjaciela — mówiła z wymówką Celinka.

— Nareszcie moja droga, nie mogę dla każdego z mych przyjaciół zmieniać przekonań.

— Ależ to nie są żadne przekonania, bo przecież seryo nie myślisz, aby Króweczyński został mężem Marylki.

— Myślę na seryo; byłby to dla niej najodpowiedniejszy mąż.

Celinka zaśmiała się tak serdecznie, że aż jej lzy stanęły w oczach. Śmiech ten Adama obraził i na twarz wydobyl rumieniec.

— A więc siostra moja może tylko temu oddać rękę, ktoremu się z góry gotówką za nią zapłaci.

Króweczyński nie żądałby z góry gotówki, zaręczam ci.

— Celinka uczuła bolesne uklucie, lecz nie przestawała się śmiać.

— Króweczyński — wymówiłeś to »Króweczyński« tak dramatycznie, że jak mamę kocham, zdawało mi się, iż Hamlet na mnie woła: »Idź do klasztoru!«

— Skończycie swoje role na świecie jak Ofelie. I dla kogo? Dla braku gotówki tym, których uznajecie godnymi was.

— Mówisz o Ofeliach, jakbyśmy szukały napół zwaryowanych Hamletów.

— O, nie — odezwał się sarkastycznie — wy szukacie trzeźwych Rozenkranzów i Güldersternów, którym płacić trzeba za wszystko, nawet wtedy, gdy się zbliżają do niewinnych

i szlachetnych dziewczyn. Płacić tylko dlatego, że jeden nazywa się Gülderstern, a drugi Rosenkranz.

— Niech się nazywają jak chcą, ale niech się nie nazywają Króweczyńskimi — odpowiedziała również rozdrażniona dziewczyna.

Rozeszli się pierwszy raz rozgniewani na siebie.

Adam obszedł ogród, zajrzał przez szyby okna do pana Walentego, i widział, jak staruszek mierzył wielkimi krokami izdebkę osrebrzoną promieniami księżyca, i swoim zwyczajem rozmawiał sam ze sobą. Wsunął się cicho, stając przy drzwiach. Pan Walenty odwrócił się i patrzył groźnie.

— Jesteście dziećmi jednego Boga na niebie — rzekł dobitnie Adam.

— Ale pocóż my mamy zmieniać pierwsi porządek rzeczy? — odparł z mocą staruszek.

Adama już nie było, wysunął się z pokoju i znikł w ciemnej alei.

Pan Walenty przetarł oczy.

— Adaś! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Wybiegł do ogrodu.

— Adaś, Adaś! — powtarzał coraz głośniejszym głosem — nikt nie odpowiadał.

Powrócił do siebie, zapalił lampę i zamyślił się głęboko.

— Widziałem go na własne oczy — powtarzał w duchu — przecież lunatykiem nie jestem. — Zawołał ogrodniczka.

— Spałeś?

— Co miałem spać — odpowiedział chłopak, bojąc się przyznać, że chrapał przed chwilą. — Co miałem spać? proszę pana!

— Nie był tu kto u mnie?

— A ktośby tu przychodził? Przysięgnę, że nikogo nie było. A czy to wielmożnemu panu co zginęło?

Staruszek kazał odejść chłopcu, położył się — otaczała go cisza, srebrne promienie księżyca osrebrały izdebkę. Nie mógł jednak zasnąć, rozważając, czy to był rzeczywiście Adam,

czy też widzenie, wywołane rozgorączkowaną wyobraźnią i głosem sumienia, odzywającym się z dna jego serca. A że staruszek był nabożny, charakter miał prawy, widzenie wziął za przestrożę.

* * *

Nadeszła chwila odjazdu. Przy pożegnaniu dużo było serdeczności, westchnień, a i łez troszkę. Celinka błagała o listy, Marylka przysięgała, że co tydzień pisać będzie — Celinka zapewniła, że na każdy list tego samego dnia odpowie. Pani Karolina zaklinała męża i syna, aby koniecznie przyjechali na parę tygodni odpocząć i rozerwać się. Pan Stefan miał nieklamana ochotę, lecz nie chciał się nią zdradzać wobec pana Walentego, syna i zapowiedzianych wielkich swych prac.

Wanda uścisnęła brata w milezeniu. Rozmawiała wczoraj wieczór długo z Celinką o interesach, i nareszcie zaczęła rozumieć stanowisko Adama w Czyżowie.

Przy wsiadaniu zbliżyła się służba, całując po kolei na pożegnanie, panie w kolana i ręce. Ród niewieści, obfitujący w łzy, wylewał je. Przyjemnie, a nawet nieco zabawnie było patrzeć, jak po okrągłych, rumianych, wypasionych policzkach spływały łzy, które zawsze wzruszały panią Karolinę, a troszkę i Wandę. Marylka uważała je jako hold, oddany jej wielkości, i wdzięczność za pozwolenie ucałowania jej ręki.

Odjechali. Pan Walenty za odjeżdżającymi zrobił znak krzyża świętego, Celinka powiewała chusteczką.

— No, a teraz moje dzieci, bawcie się, ja idę do pracy — odezwał się pan Stefan, gdy powóz znikł w topolowej alei.

Pan Walenty spojrział mocno zdziwiony, lecz milczał.

— Celinko, przygotuj się — rzekł ojciec z uśmiechem do córki — ciężkie cię obowiązki gospodyni czekają. Musimy wystąpić i zaimponować szlachcie.

— W takich razach tata najlepiej umie dysponować, i najlepiej się z nas wszystkich zna na takich rzeczach. Cóż ja biedna dziewczyna poradzę, nieświadoma tych sposobów,

za pomocą których można zjednywać sobie opinię dla swych projektów? Nie jestem dyplomatką.

— Ależ tu nie idzie o dyplomacyę, lecz o zdobycie sere i rozumów braci szlachty.

— Do sere młodszej braci spróbuję przemówić — odparła figlarnie dziewczynka — lecz czaszki starszych, ten niezmierny obszar królestwa myśli i wielkich planów oddaje tacie — zawojuj je, opanuj i rządź absolutnie.

Rozśmiali się, pierwszy pan Stefan, za nim pan Walenty i Adam. Celinę tryumfowała, ojciec pelen otuchy odszedł do kancelaryi pisać listy, pan Walenty odprowadził Adama.

— Kochany Adasiu — mówił zakłopotany — rozgniewałem cię wczoraj, przebacz staremu gorącze.

— Nie miałem nawet myśli gniewać się. Każdy ma prawo mieć swoje przekonania, naszym obowiązkiem szanować je.

— Właśnie ja nie szanowałem twoich. No, no przebacz mi. Bo widzisz, mnie boli tylko to, dlaczego my pierwsi mamy rozpoczynać i dawać z siebie przykład, gdy tyle jest ludzi i rodzin na świecie.

— Nie my pierwsi i nie my ostatni, drogi panie. Kiedyś i my byliśmy dorobkiewiczami razem z Tarnowskimi i Zamojskimi — dziś upadamy — inni zajmą nasze miejsca, będą mieli rozgłos i sławę — o nas nikt nie wspomni.

Staremu zaświeciły łzy w oczach, machnął rozpaczliwie ręką i odszedł, aby się nie zdradzić łzami.

Adam kazał zaprządz do wolantu, jadąc w pole, zabrał Celinę.

Zamknięty w swym pokoju pan Stefan pisał list za listem. A że dobrze władał piórem, wyrażał się zwięźle, praca szła mu łatwo i szybko.

*

*

*

Trzeciego dnia po odejździe kobiet młody dziedzic czyżowski przestąpił próg domu w Górcie. Uszczęśliwiony gospodarz nie wiedział, jak go przyjąć, gdzie posadzić.

Pierwszy to raz gość z Czyżowa zawitał do niego. Pan Stefan zaledwo pozwalał bywać u siebie Hipolitowi, uważając to ze swej strony za wielką łaskę. Nie pytano się o cichego i potulnego chłopca i mało się nim zajmowano.

Tymczasem Adam zobaczył wygodnie urządzonego domek, ładną, dobraną przez samego Hipolita bibliotekę z najświeższych a pewnej wartości dzieł. Przed domem gazon, klomby, kwiaty, z drugiej strony duży ogród wzorowo utrzymany. Zabudowania obielone, w oborach bydło poprawne, fornalki rosłe, ludzie cisi i schludni, przytem ład, porządek, oszczędność i wygodą. Adam był wszędzie, wszystkiemu się z ciekawością przyglądał — o wszystko pytał. Poszli razem w pole: urodzaje ładne, konieczyna imponującej wielkości, rzepak gęsty, gruby i obfity w strączki. Dziś właśnie było jego żniwo.

Krówczyński rad był pochwalić się, jakby chciał powiedzieć:

— Chociaż jestem tylko Krówczyńskim, jednak patrz, umiem się rządzić i pracować. I nie tylko mnie samemu dobrze, lecz i memu otoczeniu nie jest tu źle. Kwiaty nie skarżą się na suszę, bydło na głód, a ludzie na przeciążenie pracą.

Krówczyński nie forsował, z uzyskanych oszczędności robił wkłady, długów nie miał żadnych, a jak żydzi mówili w miasteczku, zmieniał dwa razy na rok kupony.

Rozgadał się młodzieniec i o dziwo, był wymowny, wesół, dowcipny!

Adam wpatrywał się z pewnym rodzajem podziwu w tę twarz, a uśmiechając się sympatycznie myślał w duchu:

Mając tyle przymiotów — mając tak dogodne i dobre stanowisko, roztwarte drogi na wszystkie strony świata — mając tyle wykształcenia i rozumu, dlaczego i poco do nas się ciśniesz, gdy my oprócz łaski, którą przy każdej sposobności obdarzamy cię, nie nie jesteśmy dać ci w stanie? Czyżbyś nie mógł w okolicy lub nareszcie w Warszawie znaleźć sobie młodą dziewczynkę, tyle ładną, o ile nią jest Marylka, a pewno rozumniejszą i bogatszą od niej? Czyżbyś nie znalazł

gdybyś tylko chciał rodziny, któraby cię przyjęła z otwartemi rękami, a gdyby była uboga, ze łzami wdzięczności, i oddała ci z błogosławieństwem ukochane dziecko? Uszczęśliwiłbyś jedną zacną rodzinę, siebie i tę którąś ukochał. Gdy my oprócz bolesnej łaski, jaką cię karmimy, a do tego jeszcze wymagań za tę łaskę wdzięczności choćby idealnej, nie innego dać nie jesteśmy w stanie. Czy to jest wadą twego organizmu, całego narodu? Może my nie mamy odwagi sami iść naprzód, torować sobie dróg, wyrabiać stanowiska i uznania. Czyż zawsze musimy odgrywać rolę powojów pnących się po starych dębach, często spróchniałych. Sami o własnych siłach nie jesteśmy zdolni wyprodukować odrębnego życia?

Hipolit pod wpływem wzroku swego gościa i jego liutościwego uśmiechu zarumienił się. Adam wyciągnął do niego rękę.

— Wszystko co tu widzę, robi na mnie jak najlepsze wrażenie. Sądzę, że gdybyś pan miał odpowiednią samodzielność do swej niezależnej pozycji, mógłbyś się bardzo szczęśliwie rozwijać, rozszerzać swój wpływ i dużo, bardzo dużo rzeczy dobrych i użytecznych przeprowadzić.

— Marzę o tem — zawołał młodzieniec — i gdy się tylko ustalę — gdy serce — gdy pragnienia me... — urwał i zarumienił się.

— Gdy się pan ożenisz — mówił dalej Adam.

— Tak — szepnął zcicha.

— Radziłbym tylko znaleźć godną siebie kobietę, któraby panu chciała i umiała pomagać.

Hipolit nic nie odpowiedział, nie wiedząc, jak ma tłumaczyć wyrażenie Adama.

Weszli w wieś witani przez gospodarzy, kobiety i dzieci serdecznie, otwarcie i śmiało. Hipolit umiał do każdego przemówić, odpowiednio się zapytać, pocieszyć, lub radośnie uśmiechnąć.

— Jak widzę, znasz pan wybornie interesa wszystkich sąsiadów?

I znowu Hipolit zarumienił się, sądził, że Adam mówi o sąsiadach całej okolicy.

— Zazdroszczę panu — mówił dalej Adam — bo tym tylko sposobem wyrabia się zaufanie, za zaufaniem idzie wpływ. Ja nie mam do tego ani czasu, ani specjalnych zdolności. Czuję, że mnie lud czyżowski lubi, lecz jest względem mnie nieśmiały, a ja niestety, nie potrafię go ośmielić.

— Czyżów posiada tak wielkie obszary, że trudno byłoby...

— Otóż to są niedogodności — przerwał Adam — posiadania zbyt wielkich obszarów. Jestem pewny, że pan stosunkowo ze swego obszaru masz dwa razy większy dochód, aniżeli my. Bardzo naturalnie, bo masz i możesz mieć dwa razy lepsze gospodarstwo.

— Ależ Górka nie może się porównać z państwem czyżowskiem!

— Gdy tymczasem Czyżów ma długi, a Górka podobno kapitalizuje połowę swych dochodów.

Hipolit na tak szczere wyznanie nie znalazł odpowiedzi. Był wdzięczny za nie Adamowi, rad był zawołać: Nie pragnę gotówki! i rzucić mu się na szyję, i całować go i płakać ze szczęścia, ale nie śmiał. Widać jednak było wzruszenie, malując się na jego twarzy.

Zobaczył je Adam, i bojąc się wybuchu, zmienił przedmiot rozmowy.

Wieczorem gość odjechał, pożegnany serdecznie uściskami Hipolita, niskim ukłonem służącego i gromadą dworskiej służby, patrzącej zdaleka z odkrytymi głowami, i dziwiącej się »wielkiemu państwu«, które przyjechało nawiedzić ich młodego pana.

— Kto to wie, może niedługo do dworu naszego zawita pani — mówiono w kuchni. — Ho, ho — pani z pałacu!

— A czem tu będzie takie hrabiątko karmić, co mu dawać? — odezwała się kucharka.

— Ej! takie to delikatne, to musi ino kawę pić, a w mleku się kapać — zdecydował polowy.

— Po ziemi to nie chodzi — dodał kredensowy chłopak.

— A po czemże — zainteresowała kucharka, nieco obrażona za przesadę kredensowego chłopca.

— A po «tafetach». Cóż to nie wiem, że w czyżowskim dworze nie ma podłogi, tylko same «tafety».*

Przekonani kiwali frasośliwie głowami.

Hipolit słyszał przez okno wyprowadzane w kuchni wnioski z wizyty Adama. Serce mu biło z radości, pobiegł do ogrodu, aby tam w ciszy zwierzać się ze swej radości kwiatom i gwiazdom, czekając na księżyc.

*

*

*

— A to zkad tak późno? — pytał pan Stefan wchodzącego do sali jadalnej Adama.

— Prosto z Górki — odparł wesoło, siadając przy Celinie.

— Z Górrrki... od Krówczyńskiego.

— Od Hipolita Krówczyńskiego, dziedzica Górki, zanego i dzielnego młodzieńca, który, mam nadzieję, zostanie...

— Czem, czem? — przerwał rozdrażniony.

— Moim przyjacielem — dokończył spokojnie Adam.

Celinka, siedząca przy stole, dawała ojcu mruganiem oczu znać, aby nie stawiał na ostrzu noża tej kwestyi. Pan Stefan zrozumiał, uśmiechnął się do córki i odpowiedział:

— Dobrześ zrobił, żeś nie zapomniał o tym chłopcu. W każdym razie trzeba być zawsze dobrze wychowanym. Mnie staremu ciężko było jeździć do młokosa — wyręczyłeś mnie i dziękuję ci.

Na tym punkcie zatrzymała się dyskusya.

XIII.

Zjazd! Na hasło i wezwanie czyżowskiego pana stawili się wszyscy sąsiedzi, ci, którzy bywali i ci, którzy nie bywali w Czyżowie. Jedni przyjechali radzić, drudzy coś usłyszeć,

trzeci szukać ratunku na biedę, a byli i tacy, którzy raz w życiu pragnęli zobaczyć salony czyżowskie. Okragła suma zebranych ziemian dochodziła do sześćdziesięciu.

Gwarno było, wesoło i ochoczo, jak za dobrych czasów. Pan Stefan czuł się w swoim żywiole, rozpromieniony, uśmiechnięty, łatwy w obejściu, umiał każdemu przyjemne słówko powiedzieć, każdego o coś przyjemnego zapytać. Tu chwalić, tam się dziwić, śmiać się serdecznie z dowcipów braci szlachty lub wzdychać, gdy który z nich smutną rzecz opowiadał. Podano nazwaną skromnie przekąskę, która raczej była obfitem, podług wszelkich reguł i znajomości sztuki, urządzonem śniadaniem.

Po śniadaniu przystąpiono do rozpraw, wybierając jednogłośnie na prezesa, dożywotniego radcę Towarzystwa kredytowego. Na sekretarza wezwano Adama. Głos zabrał gospodarz domu.

Pan Stefan mówił długo i dobrze. Przedstawił ciężkie położenie ziemianstwa, spowodowane przejściami przy zmianie stosunków społeczno-gospodarczych. Przekonał wszystkich cyframi o upadku dużych gospodarstw i zbliżającej się ruinie, jeżeli szybko i energicznie nie znajdzie się radykalnego środka ratunku. I dlatego też nad środkami ratunku proponuje dyskusję.

Mowę pana Stefana przyjęto z entuzjazmem.

— Sąsiedzie, mów dalej — odezwano się z kilku miejsc.

— Ma głos, ma głos — niech mówi — powtórzono chórem.

Pan Stefan skłonił się, uśmiechnął, spojrzał tryumfująco na syna i powtórnie zaczął, proponując, aby Towarzystwo kredytowe mające miliony, które są zbiorową własnością ziemian, rozdzieliło je powtórnie, pod postacią pożyczki. — Zgromadzać aby rozdrabniać — i znów zgromadzać, to powinno być podstawą i celem naszego Towarzystwa, jak jest celem wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń. Towarzystwo nasze z naszych pieniędzy zebrało miliony, a my umieramy na chorobę zwaną brakiem kredytu!

Wielkie hurra, oklaski i zapal prawdziwie polski nagroził mowcy krople potu, które mu wystąpiły na czoło, a które kłaniając się na wszystkie strony obcierał.

— Panowie! — przerwał prezes — jako radca Towarzystwa kredytowego czuję się w obowiązku odpowiedzieć zażenemu mowcy a czcigodnemu gospodarzowi. Towarzystwo robi swoje!

— Ho, ho! — dały się słyszeć głosy.

— Towarzystwo — podniesionym głosem mówił radca dalej — Towarzystwo, powtarzam, robi swoje, pożyczka tyle ile może — więcej mu robić nie wolno, bo regulamin jego na to nie pozwala. Czterdzieści do pięćdziesiąt sześć razy pomnożony podatek gruntowy, jako norma pożyczki, nie jest to znów tak bardzo mało.

— A wolno mu dawać miliony, obcym — odezwał się ktoś z tłumu.

Radca przeczuwał burzę i w niej widział swój upadek. Zrozumiał, że należy obronić Towarzystwo, lub ustąpić miejsca panu Stefanowi.

— Nareszcie oświadczam panom — mówił dalej — że Towarzystwo nie naruszając swych statutów, znalazło środek zaradczy.

— Słuchamy, słuchamy — wołano.

Nastąpiła cisza.

— Towarzystwo wygotowało projekt udzielania pożyczki na melioracye, ale po dokonaniu melioracyi.

— Proszę panów, jakież u Boga pieniędzmi będziemy meliorować — odezwał się cienkim głosem niski, chudy szlachcic — kiedy człek ledwo bokami robi. To tak samo, jakby kazać szyć szewcowi buty wtedy, gdy skóry niema.

Ogólny śmiech odbił się o ściany salonu.

— W obecnych stosunkach nie może być mowy o melioracyach — zabrał głos pan Stefan. — U niejednego z sąsiadów zorać 300 morgów gruntu, odlogiem leżących i zasiać, byłoby najlepszą melioracją.

— Wszelkiego rodzaju melioracye mogą być uwzględnione — zrobił uwagę radca.

— Pan Stefan się rozpalil.

— Dla niejednego z nas — zawołał — najlepszą melioracyą byłoby pospłacać wierzycieli i pozbyć się procentów wynoszących piętnaście do dwudziestu czterech od sta, gdy ziemia daje pięć do sześciu, a zmeliorowana do dziesięciu.

Nastala cisza wywołana zdziwieniem. Atmosfera wido-
cznie oziębla. Pan Stefan zagalopował się i dowiódł, że nie
był dobrym dyplomatą.

Sąsiedzi byli pewni, że dziedzic czyżowski ujmuje się za
bracią szlachtą, czyli inaczej poświęca się; gdy tymczasem
odkrył swe słabe strony, mówiąc prawdę — zdemaskował się.

Pan radca zobaczył porażkę przeciwnika i zanotował ją
sobie w pamięci.

Przy całem naszym egoistycznym usposobieniu, a skut-
kiem wad wychowania, dobrej dozy hipokryzyi, a pewno do
niedawna i skutkiem wpływu literatury, lubimy z namiętnością
wyszukiwać wszędzie poświęceń. W spokojnych ludzi wma-
wiamy walenrodzizm, w zwyczajnem spełnianiu obowiązków
wyszukujemy nadzwyczajności; nawet narody dzielimy na po-
święcające się i niepoświęcające! Nikt nie chce zrozumieć zwy-
czajnej i naturalnej podstawy stosunków ludzi cywilizowanych.
W interesie ogółu widzieć własny interes, a w interesie wła-
snym, interes ogółu.

I dlatego właśnie, że pan Stefan zdradził swój własny
interes, który chciał złączyć z interesem ogółu, zastraszył a nie
pociągnął.

Wierzono dotąd, że dobra czyżowskie, oprócz Towarzy-
stwa nie mają innych długów, naraz dowiedziano się, że jest
inaczej, że i tu płacą piętnaście i dwadzieścia cztery procentów.

Przy całym naszym idealizmie i skłonności do wyszuki-
wania poświęceń, bogactwo uważamy za siłę, za potęgę, przed
którą korzystać się lubimy. Człowiek jeżeli przestaje być boga-

tym, choćby z winy fatalizmu, traci wpływ, uznanie, a często u wielu i szacunek.

Pan Stefan zdemaskował się i czuć było, że traci grunt pod nogami. Zrozumiał to sam, jak również Adam i zebrani goście.

Napróżno usiłował odrobić niezręczność swą, omawiając długimi apostrofami niefortunne wyrażenie. Fakt się stał, zapal ostrył i czuć było pewne napięcie w dalszych obradach.

Radca w duchu triumfował.

Roztwarły się drzwi sali obrad, na progu ukazał się kamerdyner, wzywając na obiad.

Pan Stefan odetchnął, miał bowiem nadzieję przy obiedzie powetować kłeskę.

Młodzi z braci szlachty, nie znający stosunków, dziwili się dlaczego damy nie ukazały się przy stole, uważając to za arystokrację i chęć upokorzenia ich. Szczęściem radca spytał się głośno o panie, na co również głośno odpowiedział mu pan Szymon, że są u wód, oprócz jednej córki, którą ma nadzieję przedstawić szanownym gościom.

Takie wyjaśnienie rzeczy uspokoiło młodszą bracię szlachtę, która będąc, czego jej nie mamy prawa brać za złe, od czubka swych czupryn do paznogi arystokratyczną, rada była posądzać przy każdej sposobności, czego nie mamy jej za dobre, zamożniejszych od siebie o arystokrację względem niej, gdy nie zawsze o arystokrację chodziło, lecz częściej o uprzejmość i dobre wychowanie.

Obiad był wyborny, znakomicie obmyślony i świetnie ułożony. Pan Stefan złożył tutaj większe dowody znajomości dyplomacyi, niż w sprawach ekonomicznych. Wpływ jego z każdą chwilą, z każdą potrawą wzrastał. Dobre wino rumieniły policzki sąsiadów, chwila toastów nadeszła.

Pan Józef od lat już kilku trzymał berło powiatowego mowcy. On to więc nie kto inny dawał hasło mów, gorących dysput, wiwatów, serdecznych wniesień, często szczerych łez i uścisków.

Wiedział on kiedy powstać i kiedy mówę swoją, zwykle naprzód ułożoną, wygłosić na cześć gospodarza, w której dużo było o zasługach przodków, dzielności ich synów, często o wdzięczności ojczyzny, o harcie dusz, energii, wytrwałości i — i nareszcie o poświęceniu.

Zapanowała cisza. Pan Józef zaczął, a potężny to był organ, bo i potężna budowa. Plecy szerokie, pierś na miarę Fidiasza, kark gruby i tłusty, twarz duża, oczy płowe, melancholijnie patrzące i uśmiech sentymentalny na ustach. Mówił basem, troszkę dla efektu ponuro, często grobowo i dlatego wzruszał tem więcej, że wierzył w to co mówił. Mówiąc, patrzył na surowe twarze i podgolone czupryny Czyżowskich, rozwieszonych po ścianach sali jadalnej.

Chwila była uroczysta, pan Józef mówił grobowo, a był heraldykiem nielada, i nielada historykiem rodzin mieszkających w powiecie. Gospodarz słuchał mowy wzruszony. Adam był blady, serce mu bilo na myśl, że mogą go wyrzucić z gniazda przodków, którzy umieli walczyć i cierpieć. Pan Walenty obcierał łzy, Hipolit Króweczyński w tej chwili stracił zupełnie nadzieję. Wzruszenie opanowało starszą i młodszą bracię szlachtę. Przykre wrażenie wywołane wyznaniem pana Stefana, zostało głęboko pogrzebane w przepaściach serc.

Pan Józef skończył, podnosząc kieliszek w górę. Entuzjastyczne wybuchy i głośnie uniesienia napelnily salę. Całe towarzystwo żyło przeszłością i z niej snuło najświetniejszą przyszłość, nie zajmując się już zupełnie bieżącymi wypadkami. Otoczono pana Stefana. Jedni go serdecznie i kordialnie ścisnęli, drudzy, młodsza bracia, składali mu czolobitność schyleniem głów, na co jednak pan Stefan odpowiedział, podając każdemu z kolei rękę do braterskiego uścisku.

Pan Józef był dumny, mimo to melancholicznie patrzył, sentymentalnie się uśmiechając do ludzi. Czuł się potrosze wielkim, a jednak był skromny i cichy, a że posiadał apetyt zastosowany do rozmiarów swej budowy, siadł i dalej w milczeniu dary Boże spożywał.

— Rozdmuchałem burzę — mówił w duchu do siebie — i jestem pewny, że huragan uczuć rozleje się.

— Panie Józefie, a niechże cię nie znam — zawołał rozczulony jeden ze starszych sąsiadów — mówisz jak Woronicz, albo może Skarga.

Pan Józef uśmiechnął się sentymentalnie.

— Prawda, wszystko nam zabrano — mówił dalej głośno sąsiad, zwracając się do zgromadzenia — lecz nam nie odbiorą uczucia, serca i zapału i dlatego wytrwamy na wyłomie!

Wzniesiono toast wytrwałości, miłości i zgody sąsiedzkiej, solidarności. Kochajmy się!

Nikt już prócz pana Józefa nie siedział przy stole, tworzyły się grupy dyskutujące żywo, a ochoczo.

W jednych rozprawiano o nadchodzących wyborach, w innych o starych rodach, nadziejach urodzajów, a najwięcej o polityce.

W tej ostatniej gromadce trzymał głos pan Walenty, starając sobie skaptować stronników natychmiastowej europejskiej wojny, która jako wielka burza przejdzie świat i zmieni w nim porządek rzeczy. Słabi staną się silnymi, silni osłabną.

Adam częstował biesiadników wyborcami hawanami, pan Stefan przechodził od gromadki do gromadki z protekcyjnym uśmiechem. Mięszal się do każdej rozmowy, rozweselał ją dowcipem, a w końcu nakręcając dyskusję na tory nierozwiązanych zagadnień przed obiadem, przyrzekał w dzień nadchodzących wyborów do Towarzystwa, przywieźć z sobą projekt ratunku, dla którego prosił o poparcie.

Przyrzeczono mu jednogłośnie pomoc. Z dosłyszanych szeptów można było spodziewać się, że pan Stefan zostanie obranym radcą Towarzystwa kredytowego i wejdzie do dyrekcyi dla przeprowadzenia swego projektu.

Dotychczasowy radca, zamożny obywatel, prezydujący we wszelkich możliwych zebraniach, mąż trzymający moralną władzę w całym powiecie a wielki konserwatysta, zamyslił się. Czuł, że trzeba będzie ustąpić i zejść na drugi plan.

Z władzą choćby tylko moralnego panowania, zwykle rozstajemy się ciężko. Żal jej nam, przyzwyczailiśmy się do niej; zrosli z nią czujemy się bez niej osamotnieni — a jeżeli jesteśmy drażliwi — zapomnianymi przez ludzi i opuszczonymi.

Radea się zadumał, wzrok utkwil w jeden punkt i ciężko, wolno a długo oddychał.

Zadumę radey przerwał odgłos otwierających się drzwi salonu.

Wrzawa głośnych rozmów raptownie ustala. Pan Stefan ujął pod ramię pana radeę prowadząc go naprzód. Za nimi sunęło zgromadzenie. Sala się wypełniła. Na środku w czarnej sukni przyjmowała gości Celinka. Błada troszkę, zmieszana i niepewna siebie, wkrótce jednak odzyskała właściwy jej humor i przytomność umysłu. Udało jej się rozehmurzyć czolo radey, a dożywotniego prezesa zająć rozmową dygnitarzy powiatowych, i zaintrygować młodzież.

Pan Stefan wprowadzeniem gości do salonu i pokazaniem córki rozbroił młodszą bracię szlachtę, stał się popularnym i pozyskał sympatyę.

Przerzedziło się. Starzy roztasowali się na werandzie i kamiennych schodach pałacu. Pan Walenty dalej rozprawiał. Bil Niemców Francuzami, Austryaków pakował do Saloniki, Greków do Konstantynopola, egoistów Anglików upokarzał, Włochy rozszerzał; złączył Danię ze Szwecyą, i Bóg wie tylko, jakich cudów nie robił, przy pomocy swych dzielnych i wytrwałych towarzyszków a sąsiadów.

Losy Europy były rozstrzygnięte. Każdy naród dostał co mu się należało, egoistom Anglikom odebrano Irlandyę i Indye, gdy pan Stefan prowadząc pod rękę Celinke, otoczony młodzieżą ukazał się na werandzie i dalej po kamiennych schodach zeszedł do ogrodu. Do ich towarzystwa przyłączył się Adam.

Radea a prezes patrzył z werandy za odchodzącymi poważnie i smutnie.

Wtedy pan Zygmunt, podszarżany dziedzic Wielkich Dębów, odezwał się cicho do towarzysza wioskowego szlachcica, który oszczędnością i ciężką pracą całego życia, zebrał dość znaczny kapitałik.

— Panna Celina nie jest to piękność, ale za to dowcip, dystynkeya, ułożenie!... Nie jednaby jej hrabianka pozazdrościła. I gdyby tak posag...

— Jakto, takie państwo i nie miałaby posagu — odparł zaintrygowany szlachcic wioskowy.

— Bo państwo kosztuje. Spróbujno sąsiad zabawić się w pana, jak pan Stefan.

— Ależ ja jestem chudy pacholek!

— I dlatego uciulałeś niemało grosza.

— Ja, ja? żartujesz sąsiad. — Wioskowy szlachcic zaczął się śmiać. Pochlebialo mu to, lecz lubił się zapierać, troszkę z obawy, troszkę aby drażnić i wyzywać.

— Uciulałeś, kochany panie Izydorze i basta. Pan Stefan tego nie potrafi. Gdyby zresztą Czyżów był czysty...

— Jakto, a więc Czyżów oprócz Towarzystwa.

— Ma jeszcze towarzystwo brodatych — dokończył pan Zygmunt.

— Bój się Boga, sąsiedzie!

— Boję się i mówię prawdę. Zresztą sam słyszałeś do czego się przyznał pan Stefan w swej mowie. I jeżeli patrząc na pannę Celinę myślałeś o swym Franiu, to cię ostrzegam.

— Za wysokie to progi dla mego Frania.

— Spróbuj tylko, a zobaczysz jak progi się zniżą.

Pan Izydor znów zaczął się uśmiechać, lecz jakoś teraz czule a serdecznie.

— Ale cię ostrzegam. To są panie do dywanów tylko, libery i karet stworzone. Fortunka Frania ulotniłaby się w dwa lata — pani wróciłaby do Czyżowa, a Franio traciłby czas na szukaniu posady ekonoma.

Pana Izydora na samą myśl ekonomstwa Frania, dreszcz przeszedł po ciele. Widział to pan Zygmunt, wziął go pod rękę i wprowadził w ogród.

— Pan Stefan nadto się czulił do starego dorobkowicza, abym nie odgadł o co mu idzie — myślał pan Zygmunt. A ponieważ i ja potrzebuję gotówki, a więc ostrzedz sąsiada mam sobie za obywatelski obowiązek.

Wesołość panowała w otoczeniu Celinki. Dziewczyna z usposobienia żywa, czuła, że spełnia misję, że popiera projektu ojca, że się nareszcie poświęca. A że niewiasty nasze lubią się poświęcać, poświęcała się, rzucając iskry dowcipu dokoła. Dla wszystkich umiała być wytwornie grzeczną, na każde pytanie odpowiedzieć z uśmiechem, nie żalując nikomu pochlebstw, które zdawały się słuchaczom tylko słuszością, lub ustępstwem przed potęgą ich słowa.

Celinka dyplomatyzowała wybornie, z wdziękiem właściwym naszym kobietom. Ojciec był dumny z córki, Adam ją podziwiał, młodzież czuła się oczarowaną, a starsi często głośno się śmiali.

Przysłuchiwali się ożywionej rozmowie pan Izydor z Zygmuntem. Pan Izydor dziwił się i nieco usta roztworzył, gdy Zygmunt pokazał mu oczami Frania zapatrzonego w Celinkę, przytem ścisnął go silnie za rękę, jakby mu chciał dać czuć, że pod ciepłym spojrzeniem dziewczyny stopnieje uciulany ciężką pracą całego życia jego grosz.

Pan Izydor przeląkł się po raz trzeci, lecz gdy Celinka w tej chwili zwróciła się do Frania, darząc go przelotną rozmową, uśmiechnął się serdecznie, i spojrzał na Zygmunta, jakby mu rad odpowiedzieć:

— Widziałeś? Senatorskie dziecko nie mija mego Frania!

— Ale bo też to chłopiec, mój panie, chłopiec jak panna, mości dobrodzieju! — dokończył głośno...

Celinka zdecydowała się grać. Zwrócono się do salonu. Za drugimi szedł Franio ze spuszczoną głową, za Franiem

jego ojciec Izidor, tuż obok kroczył pan Zygmunt, obłożony obywatelskimi obowiązkami.

Gra rozmarzonej dziewczyny porywała młodych, stojących w dramatycznych pozach. Oddech ich był ciężki, piersi się wznosiły, wzrok niesiony na falach myśli, błakał się po polach, których nazwy wyrte ma każdy z nas w sercach.

Z pod palców dziewczyny wydobywały się naprzemian tony rzewne i wesołe, te same, któremi nas usypiają przy kołysce, rozpalają krew w żyłach w młodości, a z oczu lży wyciskają na starość. Wiedziała czem schwytać wszystkie serca odrazu.

Franio patrzył na nią oczami błędnego rycerza, a Izidor patrzył na Frania, kiwał frasośliwie głową, a w duchu się cieszył.

Po zachodzie słońca goście się rozjechali.

— Dyplomatko, uściskaj ojca! — zawołał pan Stefan do córki, wyciągając ramiona, gdy ostatnia bryczka minęła bramę.

Celinka przytuliła się do ojca. Czula, że zasłużyła na pieczętę, wysoko szacowała swe zasługi w dzisiejszej kampanii, bo była pewną, że przechyliła szalę zwycięstwa.

Ojciec ją tulił, głaskał i pieścił, dziewczynie oczy błyszczały, wiedziała, że myśli młodzieży wracały do niej. Wiedziała smętne spojrzenia Frania, uśmiech pana Izidora, pamiętała pochlebne słówka Władzia, Jasia i Antosia. W myśli jej odbijały się obrazy czci i uszanowania, jakimi ją otaczali młodzi i starsi. Celinka pierwszy raz spróbowała swych sił i odwagi, pierwszy raz występowała w dyplomatycznej świetnie odegranej roli i pierwszy raz czula, że królowała.

Nadbiegł Adam.

— Wszystko poszło wybornie — zawołał pan Stefan — plan się udał, oczarowanie ogólne, zapal i wspólna chęć ratunku.

— Szkoda tylko, że ojciec podczas obrad nie podał swego projektu pod dyskusję.

— Jakiś ty niepraktyczny, mój Adasiu, Boże zmiłuj się! Jak ty nie znasz naszej szlachty! Przedstaw im choćby najlepszy projekt na dwa tygodnie naprzód przed głosowaniem nad nim, to jak go zaczną obrabiać, jak zaczną dyskutować, przekręcać, poprawiać, potworzą z niego dziwolągi. Trzeba znać szlachtę, mój drogi, i pamiętać, że po za nauką jest jeszcze cała szkoła życia, nazwana praktyką.

Pan Stefan był nieco zarozumiały co do znajomości szkoły życia, i na tym punkcie uważał się za wielkiego praktyka.

— Już to kochany Adasiu — mówiła żywo Celinka — jesteś najlepszym synem i bratem, lecz ze swoim racjonalizmem nie wiem jakim, lecz pewno angielskim, musisz ustąpić pierwszeństwa tacie, w znajomości świata i ludzi.

Adam ustąpił, usiedli na werandzie. Upojeni powodzeniem, odtwarzali głośno w swej pamięci tylko co minione chwile. Przypomnienia i uwagi Celinki były trafne i dowcipne, pana Stefana łaskawe, Adama sprawiedliwe.

Zgodzono się jednogłośnie, że mowa pana Józefa zrobiła silne wrażenie. Pan Stefan nie wspominał o swem zagalopowaniu się przy obradach, Adam również nie poruszał tej kwestyi.

Gwiazdy na niebie zapalały się jedna po drugiej, dziewczynka pochyliła głowę na ramię ojca. Adam patrzył w przestrzeń oczami ducha. Milczeli. Myśl dziewczyny biegła po ciemnym szafirze nieba do gwiazd, z nich spływała na kwiaty, których kielichy wśród cieni nocnych pochylały się do snu. Wsluchiwała się w muzykę wieczorną i powoli zaczęła się dziwić swym czarom, swej sile, wielkości i sobie samej. Pan Stefan powtarzał w myśli mowę pana Józefa, a Adam układał plany gospodarstwa i ratunku w razie zdobycia kapitału. Czuli się troszkę szczęśliwym, swobodnym, panem swojej woli i przyszłości... Ha! jesteśmy egoistami, robi nas takimi porządek rzeczy, układ świata, własna obrona i indywidualizm. Gdybyśmy to mogli być głodni głodem drugich, zziębnięci zimnem bliźnich...

Bywa i tak czasami, lecz w każdym razie należy to do wyjątków.

XIV.

Szczawnica roila się gośćmi. Wszystkie prowinye przysłały swych reprezentantów. Królestwo jak zawsze dostarczyło kontyngens najliczniejszy, i najokazalszy. Warszawianki miały toalety z »szykiem«, same były zgrabne, swobodne, wesołe, urocze. Młodzież z Królestwem opowiadała o tem z dumą i pewnością siebie, bo wierzyła w to, co opowiadała. Poznańskie nadrabiało miną jak mogło, Galicya tworzyła dwa odrębne światy. Jeden zamknięty w sobie, odosobniony, nieliczny i znużony, drugi rozłożony obozem na Miedziusiu, troszkę hałaśliwy, giestykulujący, organizujący się do każdej zabawy i wycieczki, rozprawiający, krytykujący wszystko, a mało z czego zadowolony. Światy te spoglądały na siebie z góry. Nie знаły się zupełnie, lecz nienawidziły serdecznie. Przy zetknięciu się jednak ludzi dwóch tych światów, pierwsi byli grzeczni i uśmiechnięci, drudzy wdzięczni za uśmiech, pokorni i usłużni.

Po za obozami Towarzystwo szczawnickie rozbiło się na małe kółka, obserwujące się ze zwykłą nam nieufnością.

Wielki świat galicyjski zamykał się coraz szczelniej. Plotki mu znosili Binio i Sunio, za cenę przypuszczenia ich do towarzystwa. Binio tłustawy, bladej cerwy, okragłych oczu brunet; Sunio spiczasty blondyn. Niecierpieli się wzajemnie, zazdroszcząc sobie lask dam i śmiechów panów, a mimo to, nie rozłączali się. Jedne mieli przymioty: usłużność, wdzięczność, dobry humor i... naiwność. Po za wielkim światem, ludzie, ich namiętności były im obce, pragnienia nie egzystowały, ambicie nie funkcyonowały. A jednakże Binio miał swoją filozofię, Sunio swoją, choć jednej byli wiary i tych samych przekonań.

Ubierali się jednakowo u jednego krawca we Lwowie, jednakie mieli grzywki na czole i podobnie zaczesane włosy.

Tak rzeczy stały aż do dnia przyjazdu naszych pań, najętym powozem z Sącza. Zajechały przed Garanową — góral

na osobnej furze wiózł kufry. Zajęcie środkowej pozycji między zamkiem a doliną dobrze oddziało na obóz, rozłożony na Miedziusiu.

Pierwszy Binio zobaczył wysiadające damy, widział je i Sunio. Binio wpadł do Garanowej.

— Panie Czyżowskie — szepnęła mu właścicielka — trzy pokoje na pierwszym piętrze, kamerdyner i panna służąca, dwa pokoje na górze.

— Kamerdyner i panna służąca, trzy pokoje od frontu — matka i dwie panny — powtarzał Binio, biegnąc do zamku.

Uprzedził go Sunio, i gdy stanął na progu salonu, słyszał jak Sunio z wyraźnem lekceważeniem mówił:

— Jakieś Czyżowskie...

— To »jakieś« ubodło Binia, i dlatego z pewną emfazą zawołał:

— Kamerdyner, panna służąca, trzy pokoje od frontu..

Damy się uśmiechnęły z silnego wrażenia, jakie na galicyjskim Biniu robił kamerdyner. Sunio wzruszył ramionami, mówiąc w duchu.

— A to osioł!

— Czyżowskie — odezwiała się poważna matrona z dobrotliwym uśmiechem, szukając w pamięci. Czyżowskie nie są to »jakieś«, panie Suniu. Senatorska rodzina, dobrze znana w historyi i w kraju. I gdyby Czyżów był w Galicyi, Czyżowscy byłiby pewno hrabiami. Binio spojrział z dumą na Sunia; uśmiechnął się litościwie, a w duchu dodał:

— A to osioł!

— Lecz oprócz kamerdynera — odparł Binio, zamyślając się — panie te są bardzo dystygowane.

— I nie wiecie nawet panowie, czy są ładne? — odezwiała się panna Ida.

— Czy są ładne — niepodobna było zobaczyć z po za gestych woali.

— Przychodzicie z taką ważną wiadomością, i odkrywa-

cie tylko pół tajemnicy. Panie Czyżowskie muszą być dystyn-
gowane, lecz mogą być brzydkie.

— Z pewnością nie są tak piękne, jak nasze galicyanki —
rzekł Binio, patrząc melancholijnie na pannę Idę, wysoką,
szczupłą blondynkę, siedzącą w fotelu z książką w ręku. Binio
kochał się w niej bez nadziei, a kochał się dlatego, że panna
Ida była hrabianką. Kochać się choćby bez nadziei w hra-
biance, uważał za zaszczyt, rad był, aby o jego miłości cała
Szezawnica mówiła. Uczucie to miało mu pomódz do karyery.

Uśmiechnęły się nieznacznie damy z wyrażenia Binia.
Uśmiechnął się również i Sunio.

— Za pół godziny, mam nadzieję, powrócę z dokładnym
opisem pań Czyżowskich — rzekł z pewnością siebie Sunio,
patrząc z góry na Binia.

Za Suniem wybiegł Binio.

— Ach jakże są nudni, moja mamó — odezwała się
hrabianka Ida do hrabiny matki.

— Zawsze to chłopcy dobrych chęci i usłudni, przez
nich nareszcie wiemy, co się około nas dzieje — odparła ma-
trona, babka panny Idy.

Wieść o przybyciu pań czyżowskich rozbiegła się lotem
ptaka po całej Szezawnicy.

— Piękne czy brzydkie, młode czy stare — pytania
przelatywały z ust do ust. — A czy bogate? — kończyli
młodzi ludzie w duchu — nie śmiejąc mówić głośno, aby się
zadość stało sentymentalizmowi. Lubimy głośno rozprawiać
o bezinteresowności, lecz za to cicho dobrze rachujemy.

Obóz rozłożony na Miedziusiu postanowił trzymać się
wyczekująco i na tę ewentualność zaczął się organizować. Filar
partyi, pan Dorotyński, który rano chodził jak zwykły śmier-
telnik, a co wieczór wdziewał kontusz, układał w tajemnicy
plan, aby panią Czyżowską, jeżeli nie ugrzęźnie po uszy w ary-
stokracji — wyrażenie filaru — prosić na gospodynię balu,
mającego się odbyć na Miedziusiu.

W chwili, gdy Binio zaglądał do Garanowej, zobaczył obok niej Sunia, zatrzymał się na progu i słuchał opowiadań tłustej damy.

— Mówię panu, że piękne i rzecz skończona. A zresztą zobaczycie je panowie na deptaku. Panna służąca odświeża suknie i przysięgała się, że panie jej za godzinę wyjdą.

Binio znikł, wpadł do zamku i śmiejąc się, że mu się tak wybornie udało podejść Sunia, powtórzył paniom relacye Garanowej.

Deptak się zaludnił, muzyka grała. Hoże, w czarnych gorsetach góralki rozdawały »Józefinkę«. Damy z zamku wiedzione ciekawością, wystąpiły w komplecie, mając po skrzydlach Binia i Sunia. Wystąpił również i Miedzius ze swym komitetem balowym na czele. Warszawiacy zadawali szyku, Warszawianki doborem barw swych ubrań, gustem, zręcznością i powabem, budziły powszechną zazdrość u pań. Wiedziały o tem i dlatego miały prawo być troszkę szczęśliwe, o czem uśmiechy ich mówiły.

Powstał szmer, mimowolnie robiono miejsca, stawano i szeptano... Pani Karolina w towarzystwie córek wkroczyła w wielki świat szczawnicki. Wanda z cieniem smutku na czole olśniewała pięknnością, Marylka wychuchana, biała, mrużąc arystokratycznie niebieskie oczy, otwierała je szeroko przy każdej sposobności. Matka dobrocią a wszystkie trzy swobodą ruchów, wykwintnym choć naturalnym układem, nie wiedząc o tem, zapanowały.

Panie z zamku lornetowały je z laskawością uznania. Warszawianki po zrobieniu przeglądu tualet i określeniu ich jednym doniosłym i wielkim wyrazem »szyk«, zawyrokowały głośno o piękności Wandy i sympatycznej buzi Marylki. Warszawiaci drażliwi na wielkość Królestwa, a piękność swych kobiet, z góry spoglądali na zakordonowych braci, jakby się chcieli pytać »czemże wy biedni Galileusze pochwalić się możecie?« Czamarami Miedziusią lub blademi mieszkankami zamku?... Szanowano dumę narodową królewików i milezano.

Zagrała muzyka, zrobiło się wesoło a gwarno; rozmowy stały się więcej ożywione, opinie więcej stanowcze...

Pan Odrzywolski mówiący głośno, śmiejący się jeszcze głośniejsze, szukający od świtu do nocy towarzystwa, zaczepiający ludzi, popisujący się sarmackim doweipem, zastąpił drogę pani Karolinie, roztwierając szeroko ręce.

— Uniżony! pani dobrodziejce — łaskawej, kochanej sąsiadce! — Pan Odrzywolski zdjął kapelusz, ujął rękę pani Karoliny, składając na niej z wyraźnym afektem głośny pocałunek.

Znajomość pani Karoliny ze starym zamożnym szlachcicem nie zdziwiła nikogo. Pan Odrzywolski znał całą Koronę i pół Litwy, jak sam o tem głośno rozповідаł, lecz zdziwiła nieco panie z zamku znajomość pań Czyżowskich z młodym inżynierem z Warszawy, który wprawdzie budując koleje, dorobił się w paru latach znacznego majątku, mimo to nazwisko miał obce i był tylko inżynierem.

Pan Feliks Geran, kolega Adama, starszy od niego o lat parę, przepędził z nim święta Wielkanocne w Czyżowie, kiedy jeszcze obydwaj byli uczniami Szkoły głównej. Zmęczony pracą, przyjechał odpocząć w góry, zobaczył Wandę i panią Karolinę, przypomniał je sobie, przybliżył się i poznany towarzyszył im.

— Pewno zrujnowane — pomyślała matka hrabianki Idy, widząc obok Wandy inżyniera. Piękność Wandy przynęcała matki bladych, wysokich i chudych córek.

— To panie te w takim świecie żyją — szepnęła matrona i zamyśliła się.

Binio i Sunio nie wiedzieli, jak mają opiniować o tym fakcie i dlatego milczeli, palając żądzą wybadania Odrzywolskiego. Radzi byli wymknąć się od towarzystwa swych pań, nie śnieli jednak odłączać się i mieszać z tłumem inżynierów — zostali.

Tymczasem w obozie rozłożonym na Miedziusiu, towarzystwo inżyniera jak najlepsze zrobiło wrażenie. Dorotyński wezwał swoich na naradę, z której wypłynęła deputacya.

Nazajutrz o godzinie jedenastej zajechał przed Garanową najęty powóz. Wysiadł z niego pan Dorotyński w kontuszu przy karabeli i w białych rękawiczkach, a za nim trzech mężów przybranych w czarne fraki i białe krawaty.

Zrobił się pewien popłoch na sali, cała służba wybiegła, a z nią i kamerdyner naszych pań.

— Melduj deputacyę z Miedziusia — dał rozkaz z godnością przewodniczący w kontuszu.

Kamerdyner znikł, deputacya raczyła się przechadzać po salonie. Pan Dorotyński z jasnogranatowego kontusza odrzucił wyloty, a żupan miał amarantowy, ujął jedną ręką karabelę, zrobił marsa, gdyż mu się zdawało, że za długo czeka, gdy wtem kamerdyner wydekłamował: Panie proszą!

Dorotyński sunął naprzód, za nim trzech mężów. Deputacyę przyjęły panie nieco zdziwione, a nawet wystraszone. Przewodniczący uspokoił je, wygłaszając w pełnej krasomówczych zwrotów mówce zamiar deputacyi i jej cel.

Panie wysłuchały wodza opozycyi i zaproszenie na gospodynie balu przyjęły.

Dumna i zadowolona z siebie deputacya wróciła, obóz rozłożony na Miedziusiu przyjął ją z entuzjazmem. Zaczęto się organizować gorączkowo, Dorotyński zdjął kontusz i wziął się do pracy.

— Bal na Miedziusiu, panie Czyżowskie gospodyniami! Rozpędzona plotka rozniosła wiadomość lotem krakowskiej dewotki po całej Szczawnicy.

Inżynier przedstawił przybyłym damom najświetniejsze egzemplarze młodzieży warszawskiej. Nie były to nazwiska stare, bo też młodzież była młoda, ochocza, rzeźka. Maryłka rada była przymrużać oczy, lecz się bała. Chciała się bawić, królować, potrzebowała otoczenia dworu, uśmiecicha się więc sympatycznie i szczerze.

Binio i Sunio zaatakowali Odrzywolskiego i dowiedzieli się, że Czyżów co do obszaru jest małym księstwem, pałac najokazalszy w powiecie, park angielski, labędzie...

— Łabędzie — powtórzyli obydwaj i odeszli szybko.

Odrzywolski kręcił głową zdziwiony, dlaczego ciche te ptaki tak raptownie odstraszyły dwóch zuchów?... Gdy istotnie łabędzie dobiły, czyli szalę na stronę pań Czyżowskich stanowczo w sercach ich przechyliły.

Biegli obydwaj z raportami. Przez drogę Sunio rozumował, albowiem tylko w drodze miał czas rozumować.

— Ponieważ ja jestem synem radcy, urodzony z hrabianki galicyjskiej, a panna Czyżowska młodsza nie jest ani córką radcy, ani urodzoną z hrabianki, a więc jestem świetną partją dla panny Czyżowskiej młodszej. Starszą zostawiam — Biniowi — dla mnie za piękną, za majestatyczną i pewno za uczoną. — Mówiąc to, spojrzał się na Binia z szyderczym uśmiechem.

Głęboko zamyślony Binio nie tylko uśmiechu lecz i samego Sunia nie widział.

— Może ten osioł ma te same projekta — pomyślał Sunio i po raz drugi uśmiechnął się, ale już litościwie.

Po opowiedzeniu w zamku o księstwie Czyżowskim, pałacu i łabędiach, Sunio wzdychając dodał:

— Młodsza panna Czyżowska prawdziwe pieścidelko. Możnaby było w niej się zakochać. Zdaje się, że nie razilaby nawet na recepcyach u naszego namiestnika.

Binio się zarumienił, lecz udał obojętnego.

— Będziemy pana popierać, jeśli zasłużysz na to — rzekła mama panny Idy.

Sunio zerwał się, całując rękę mamy.

— Co innego pan Binio, który nie uznaje żadnych innych piękności prócz galicyjskich — odezwiała się ze źle utajonym uśmiechem panna Ida.

Młodzieniec po raz drugi zarumienił się jak wiśnia.

— Binio na tym punkcie jest wytrwały — mówił Sunio, szczęśliwy, że mógł delikatnie ukłuć swego przeciwnika.

— A może Ida zazdrości — pomyślał Binio.

— Nie, Ida nie zazdrości — odzywał się duch rozsądku pogrzebany na samem dnie mózgu dużej głowy Binia.

— I cóż myślicie — zabrała głos babka panny Idy po wyjściu Binia i Sunia.

— Sądzę, że należy natychmiast napisać list do Kazia — odpowiedziała hrabinie córka.

— Może telegrafować?

— Gdybyśmy miały własny klucz, gdy tymczasem telegrafista rozniesie po całej Szczawnicy plotkę.

— A więc Kłociu pisz.

I pani Klotylda napisała:

Kochany Kaziu!

»Mamy tu coś, pod względem piękności i wszelkich innych prawdopodobieństw, godnego ciebie. Przyjeżdżaj!!«

— Przyznam się, że Wanda robi na mnie wrażenie osoby nienaturalnej — zaczęła, odkładając książkę panna Ida. — Widocznie pozuje na poetkę lub może nawet wiersze pisze!...

— Może ona lubi tak wiersze pisać, jak ty czytać — odezwiała się dobrotliwie matrona.

— Przecież, moja babciu, wierszy nie czytam — odparła wnuczka. — I w każdym razie nie można życzyć wujaszкови, który ich umie setki na pamięć, aby mu je sporządzała własna żona. Sądzę, że i babcia nie życzy tej klęski własnemu synowi.

— Mnie Wanda bardzo się podobała, a jeżeli istotnie wiersze pisze, Kazio ją prędko oduczy, deklamując arcydziela.

— Zaczynamy być zazdrosne o Wandę — prawda mamó.

— Nie, nie bój się ty moja pieczętka — mówiła z łagodnym uśmiechem babcia, całując wnuczkę w błąd jej buzie.

— Na bal iść musimy — zdecydowała pani Klotylda.

— Pójdziemy! ja jako chora nie tańczę — a więc wybornie się zabawię.

— Poznamy Czyżowskie.

— Zobaczymy, jak Wanda otoczona dygnitarzami Mie-dziusia, poetycznie będzie pozować.

— Wanda jest piękną — zawyrokowała babka.

-- Lecz za to jej siostra, to kopia z obrazka, przylepionego do pudeleczka z cukierkami.

— Sunio lubi słodczyce — odezwała się mama.

— Zdaje się, że i Binio jest ich amatorem, tylko się zagalopował względem mnie, i teraz nie śmie się odrazu wycofać.

Panie się roześmiały.

— Muszę go za to ukarać, a przy tej sposobności rozzerwać się — zdecydowała panna Ida.

Binio i Sunio chodząc po deptaku, czatowali na Odrzywolskiego i nasze panie. Aliści zobaczyli je w gronie młodzieży warszawskiej, na którą Sunio i Binio spoglądali z wysoka, z bardzo wysoka. W środku szedł Odrzywolski, rozprawał głośno i głośniejsze jeszcze śmiał. Odrzywolski, jak wielu szlachty z Królestwa, nie umiał utrzymać się na swem stanowisku i bratał się z byle kim. Takiego zdania byli Sunio i Binio. Oburzeni, poszli użalić się paniom.

Raport młodzieńców zrobił dziwne, a nawet dość przykre wrażenie na zamku.

Fałszywość Czyżowskich zaczęła się powoli utrwałać w przekonaniu dam.

Sunio przez wzgląd na siebie wybadywał po obiedzie w tym kierunku Odrzywolskiego, lecz taką od niego dostał odprawę, że przestał wątpić i dlatego postanowił zakochać się stanowczo w Marylce. Pewny nie tak siebie, jak swych sto-sunków i rodu, swych manier, żartował sobie z Warszawianków, ich szyku i dowcipu.

XV.

Niecierpliwie oczekiwany przez całą Szczawnicę dzień balu dobiegał swego kresu. Miedzius się odświeżył i wystroił, salę przybrano w zieleń jodeł i świerków. Zorganizowany obóz z dumą i pewnością siebie oczekiwał pewnego zwycięstwa.

O godzinie siódmej wieczór komitet balowy stał na środku pustej sali ze swym prezesem na czele i zapinał białe rękawiczki... Dorotyński zarzucił wyloty, poprawił pasa, spojrzął na swe żółte buty, tupnął i zawołał:

— Góra idzie do nas, myśmy zostali!...

Wiadomo było komitetowi, że »góra« przysłała po bilety.

O ósmej powóz wysłany przez komitet, przywiózł gospodynię balu i jej dwie córki.

Dygnitarze przyjęli damy u drzwierek powozu ze znaną światu rycerską galanterią. Przy wejściu do sali Dorotyński dał znak, muzyka zagrała zamiast hymnu, poloneza. Damy przestąpiły próg, komitet stanął jak wryty. Piękność Wandy olśniewała, Marylka w tej chwili naprawdę wyglądała jak zdjęta z obrazka. Uśmiechała się naiwnie, bawiła ją sala przybrana w jodły i świerki, i bawiły groźne a dumne miny panów komitetowych.

Służące podglądające przez otwarte okna do sali, rozbiegły się, dając znać swym paniom, że już się goście zjeżdżają i że przyjechała panna piękna jak królewna.

Było to hasło do tłumnego zjazdu. Pierwszy kontyngens pań dostawił Miedzius, za nim poszły Warszawianki.

— Jakaż dziś piękna — szeptały, patrząc na Wandę. Zazdrość i zawiść ucichły. Zwycięstwo Wandy było stanowcze, ogólne. Pod tym względem panowała zgoda. Warszawianki oddały hold królewiance.

Muzyka zagrała poloneza. Dorotyński, jako dyrektor Miedziusia podał rękę gospodyni balu, komitetowi powybierali najstarsze damy. Bal otwarty, »góra« nie przybywała.

Nareszcie drzwi się otworzyły, i dziewięć dam pod opieką jednego poważnego hrabiego stanęły na sali. Dorotyński zbladł, serce zaczęło mu bić ze wzruszenia, lecz nie tracąc fantazyi, wysunął się naprzód, damy się serdecznie do niego uśmiechnęły, hrabina babka podala mu rękę. Dorotyński ze wzruszenia pocałował ją.

Wanda pięknnością i majestatem imponowała.

»Góra« w tej chwili przekonała się, że kwestya co do nieprawdziwości Czyżowskich upada. Sunio i Binio przedstawili się paniom. Obaj stanęli obok Marylki, bawiąc ją rozmową po francuzku. Marylka pomyślała:

— Zabawne chlopecy.

Wogóle więcej młodzieży otaczało Marylkę. Wanda nadto była królewsko poważna, zamyślona; mówiono, że zimna. Zbliżano się do niej z pewną czcią. Inżynier zdaleka pożerał ją wzrokiem. Oparty o filar, marzył, lecz nie miał odwagi zbytecznie się zbliżyć, bał się, aby mu nie rozwiano jego snów jednym ostrem spojrzeniem lub słowem. Inżynier matematyk, realista, był marzycielem. Często się to zdarza na świadectwo tym, którzy matematykę jako abstrakcyę uważają za najwyższą poezyę.

Wanda widziała w przelocie zapatrzonego w nią, a rozmierzony wzrok młodego człowieka, lecz tylu młodzieży patrzyło i marzyło, że nie zwróciła na to uwagi, zniechęcona do ludzi, nie wierzyła im.

Damy z zamku z właściwą im łatwością zbliżyły się do naszych pań. Marylka i matka jej były bardzo rade temu, że nareszcie znalazły się w swem towarzystwie. Jedna Wanda niedostępna, była grzeczną, lecz o serdeczności nie było mowy.

Hrabianka Ida, przyćmiona przez Wandę, szeptała babci:

— Założę się, że ta piękna w tej chwili wiersze układa.

Zagrano walca. Sunio i Binio jednocześnie stanęli przed Marylką; zobaczyła to hrabianka Ida, przypomniała sobie zemstę za zuchwalstwo Binia, przywołała go do siebie, a ponieważ nie tańczyła, kazała mu bawić się i służyć sobie. Biedny Binio cierpiał, lecz słuchał.

Suniowi nie lepiej się powiodło. Warszawiacy znani w Europie tancerze, odrazu go zaćmili. Sunio z góry spoglądał na Warszawiaków, lecz tego nie widziała Marylka, i Warszawiacy nie widzieli.

Stary hrabia szepnął hrabinom babce i matce, że gdyby Czyżów leżał w Galicyi, to pan Stefan jedynie skutkiem zrzecz-

ności i taktu swych kobiet, mógłby popularnością dojść do marszałkowstwa.

— Patrzcie, one tu świecą jak słońca, wszystko koło nich się obraca. Trzy podobne bale we Lwowie, a cały Lwów miałby za sobą.

Zrozumiały hrabiny babka i matka potęgę popularności, zaczęły się uśmiechać do obozu zgromadzonego w sali, i stał się cud, srogość obozu stopniała, jak śnieg na górach od poddmuchu południowego wiatru.

Hrabina babka posadziła Dorotyńskiego przy sobie, rozmawiając z nim całe pół godziny. Hrabina matka zrobiła też samo z drugim komitetowcem, hrabianka Ida oświadczyła, że jeżeli z kim tańczyłaby dzisiaj kadryla, to jedynie tylko z gospodarzem, w dowód uznania za tak świetnie urządzoną zabawę.

Stał się cud, obóz Miedziusia był w połowie balu u stóp »góry«, która sama przysła do niego.

Taka to już jest nasza galicyjska, demokratyczna zawziętość. I gdyby nie Warszawiacy, i gdyby nie Sunio, a z nim stary hrabia, panie nasze zostałyby opuszczone. Lecz Warszawiacy umieją sztandar swój trzymać wysoko, ogłosili Wandę królową, i panowanie jej do samego ostatka nie było niczem zachwiane.

Biedny Binio stojąc za krzesłem na usługach panny Idy, przeklinał swój los. Parę razy prześladowała go myśl, zadając mu pytanie, ażali hrabianka Ida nie jest w nim zakochaną i nie zazdrości. Lecz rozsądek wydobywający się coraz silniej z dna jego mózgu, odpychał natrętną myśl. Sunio tryumfował, śmiał się w duchu i powtarzał sobie:

— Kochana hrabianka dzielnie mści się za zuchwalstwo Binia i dzielnie mi pomaga.

* * *

Nazajutrz rano Dorotyński oddał wizytę »górze« w kontuszu i białych rękawiczkach.

Obóz rozłożony na Miedziusiu uznał to za właściwe i konieczne ze względów wyższej polityki. Dwóch tylko radykalów protestowało, oświadczyli, że zdrada i odeszli groźni. Lecz któżby zwracał uwagę na krzyki radykalów wobec uznanych kombinacyj politycznych?

Po rannej wizycie trybuna, oświadczone w zamku, że zdobywanie obozów, które się tak łatwo poddają, nie sprawia żadnych wzruszeń, ani wywołuje dumy.

Stary hrabia, brat stryjeczny babki hrabiny, zachwycony był Wandą, nie tylko jej pięknością, lecz majestatem, wdziękiem, taktem, słodyczą i rozumem. Był to człowiek szczerzy i serdeczny, odczuwał piękno, odgadywał szlachetne instynkta i bez kastowych uprzedzeń lgnął do ludzi. Wybornie się bawił z Marylką, lubił rozmawiać z panią Karoliną.

— Posłać po Kazia — zawołał, gdy drzwi zamknięto w salonie na zamku.

— Kochany stryju, wczoraj pisałam.

— List; ja zatelegrafuję dziś.

Nie było odpowiedzi i stary hrabia zatelegrafował.

— Wszystko to wybornie, kochany stryju, przypuśćmy nawet, że i Kazio będzie również zachwycony Wandą, ale pamiętaj o tem, że Kazio potrzebuje...

— O to jestem spokojny, zamożne fortuny szlacheckie w Królestwie, są często lepsze od naszych magnackich. Wanda zrobi furorę na wiedeńskim dworze, daję wam słowo!

Ida się uśmiechnęła.

— Dziadzia używa Wiednia, jako próby złota. W Wiedniu między Niemcami nie sztuka imponować. Gdybyś to hrabia wspomniał Paryż, Londyn, w zimie Rzym i Neapol... Ale w Wiedniu wśród chudych niemiek i tłustych węgierok, nie trudno zwrócić na siebie uwagę. Może i jabym się podobala w Wiedniu.

— Zawsze i wszędzie moje dziecko, a Wiedeń jest tak dziś dobrą stolicą europejską jak Paryż.

— Co do fortuny — przerwała matka hrabina — Odrzy-

wolski cuda opowiada. Lecz pocziwy ten szlachcie zwyczajem szlacheckim przesadza. Być może, że Sunio osobiście zainteresowany w tej sprawie, dowie się czegoś pewnego.

— Czyż Sunio naprawdę myśli o tej malej?

— Naprawdę — rzekła Ida — i dlatego zatrzymałam przy sobie Binia, aby mu nie przeszkadzał.

— Ależ to niepodobna.

— Dlaczego niepodobna, Sunio najodpowiedniejszy dla tej naiwnej, puciołowej dziewczynki. Lepszego nie znajdzie.

— Sunio nic nie ma.

— Za to ona powinna mieć za niego i za siebie.

— Sunio jest urzędnikiem, biuralistą, a wiecie jakie są wyobrażenia w tym kierunku w Królestwie.

— Nie łatwiejszego jak im wytłómaczyć, że podobno u nas panuje teraz autonomia i konstytucya — rzekła z powagą młoda hrabianka.

Stary hrabia się uśmiechnął. Hrabina babka obawiała się, aby między jej bratem a wnuczką nie przyszło do starcia i dlatego pospieszyła dodać:

— Proszę was, dosyć już mamy Sunia, zostawmy go — da on sobie radę, a w każdym razie prędzej się czegoś pozytywnego dowie niż kto inny.

Ida i dwie hrabiny знаły wartość Sunia.

Stary hrabia rad był ożenić synowca z Wandą, raz, że jakoś przyłgnał do tej rodziny sercem, a również i dlatego, aby jego synowiec mógł imponować Wiedeńczykom, jak on im kiedyś przed trzydziestu laty imponował. Widocznie, że synowiec do imponowania potrzebował mieć piękną żonę i... obfitą gotówkę.

Zbliżenie się towarzystwa z zamku do naszych pań oziębiło stosunki ich z Warszawiakami i Królestwem. Damy galicyjskie posiadały wyborny dar odstraszenia od siebie tych ludzi, którzy podług ich zdania nie byli im potrzebni. Nie umiały bowiem bawić się z nimi i zamiast się bawić, ciężko pracowały. A że nad pracę przekładały *furniente* i objawianie

w swem kółku myśli, tak jak im przechodziły przez głowę powszednie myśli zebrane z powszednich ciągnących się leniwie dni, nie dziw, że ludzi mroziły obojętnością i zimnem. Panna Ida cierpiała niedokrewność, a że była jedynaczką, musiała być rozpieszczoną, a że była słabą, musiała być kapryśną.

Odstraszeni Warszawiacy nie dali jednak za wygrane. Ruchliwa młodzież już na czwarty dzień po balu urządziła na cześć naszych pań wspaniałą wycieczkę do Czorsztyna. Wyprawę prowadził młody inżynier.

Obóz rozłożony na Miedziusiu dowiedział się o projekcie w wigilię dnia wyprawy wieczorem. Z tego powodu zaczął głośno powstawać przeciw nagłości wniosku. Chciał się organizować, lecz nie było czasu, chciał wysłać deputację w celu zaproszenia «góry», ale i na to nie było już czasu. I nazajutrz rano bez organizacji, jak kto mógł i umiał zdobyć sobie wózek góralski, siadał i jechał. Muzyka ruszyła naprzód.

Napróżno Dorotyński wzruszał ramonami, napróżno mówił w duchu, patrząc na Warszawiaków:

— Waryaci, dzieci, nie mający pojęcia o porządku i organizacji. Nie umieją nawet wysadzić jednego komitetu...

Wśród tych żalów znalazł przypadkiem miejsce na wózku i nie namyślając się skorzystał z niego.

Do wyprawy przyłączyli się stary hrabia, Sunio i przemycanym sposobem Binio.

Hrabia wyprosił sobie miejsce na wózku, przeznaczonym dla Wandy. Obok niego siadł inżynier. Kalwakata złożona z dwudziestu wózków a ośmdziesięciu osób, ruszyła. Armia tą dowodził inżynier z dwoma pomocnikami, cicho, spokojnie, bez mów, głośnych komend, rad i komitetów.

Nie znać było prowadzącej ręki, a mimo to wszystko szło w porządku.

Dzień był przepyszny, słońce rozjaśniało ciemną zieleń świerków i jodeł, złocąc aksamit meków. Nagie skały stroiły się w srebrne gazy porannej mgły, na wysmukłych górskich

kwiatach kolysały się krople rosy. Dunajec szumiał, hałasował, głośno się skarżył i rozprawiał, a jednak ujęty w prostopadłe skały, pędzony fatalnością, musiał iść wytkniętą drogą, podobny do galicyjskiego opozycjonisty.

Stary hrabia siedząc obok Wandy, nie dziw że był wymowny i wesoly; to pozwoliło inżynierowi wpatrywać się w nią w milczeniu, zachwycać się jej uśmiechem, podziwiać jej białe zęby i mileczeń. W milczeniu rozkoszował się i marzył.

Wanda zapatrzona w strojącą się promieniami słońca przyrodę, rozweselona wesolością hrabiego, nie zwróciła zbyt wiele uwagi na zamyślonego młodego człowieka, nie domyślała się, że ją pochlaniał wzrokiem i przez promienie swych oczu dagerotypował rysy jej w swem sercu. Niczego się nie domyślała, bo jej myśl nie miała odwagi, ochoty i czasu iść w tym kierunku. A gdyby się kiedykolwiek zwróciła, uśmiechnęłaby się litościwie i odsunęła ją od siebie. Byłaby to dla niej nowość, nad którą nie umiałaby się zastanowić. Przeczynał to młody inżynier i patrzył wtedy, gdy Wanda nie widziała, był dumny, i dlatego mileżał, był poważny, nie umiał weselo bawić, powiedzmy prawdę — był zakochany i dlatego był smutny.

Zobaczył stary hrabia melancholię smutku i głęboki wzrok młodzieńca, spoczywający z rozkoszą na jego towarzyszce, domyślił się wszystkiego, lecz prócz litośnego uśmiechu, na nic innego stać go nie było.

Rozbawiła się dziewczyna, lecz mimo to była zamyśloną i smutnie uśmiechniętą. Smutny jej uśmiech rozbrajał ludzi i przykuwał ich do niej.

Drugi wózek rozbrzmiewał wesolością i serdecznym śmiechem Marylki. Sunio i Binio dokuczali sobie wzajemnie, choć delikatnie, ośmieszali jeden drugiego, choć się zdawało, że jeden drugiemu prawi komplementa. Bawilo to młodą dziewczynkę. Śmiech jej pobudzał zapaśników do walki i nareszcie jeden drugiego w oczach dziewczyny mordował śmiesznością. Co spojrziała na którego z nich, to się uśmiechnęła. Wesoly

uśmiech dziewczyny wzięli za oznaki sympatii i każdy z nich był pewny, że jest w nim zakochana.

U podnóża Czorszyńskiego zamku muzyka przywitała gości. Spacer, oglądanie górskich widoków i obiad zajęły główną część dnia. Przy obiedzie Dorotyński wystąpił z długą mową, lecz żywość Warszawiaków i ich dobry humor, przerwały nieco nudny zapal mowcy.

— Dosyć, dosyć! — wołano — siadaj, nudzisz!

Powstał szmer niezadowolenia w obozie Miedziusia, z kolei rzeczy przyszło do separacyi i cichych narad, jak ukarać zuchwalstwo krzykaczy. Zanosilo się z jednej strony na burzę, gdy druga część towarzystwa oswobodzona od ciężkiego balastu, bawiła się wybornie.

Jeden z młodych Warszawiaków wyśpiewał przy akompaniamencie muzyki udatny wierszyk na cześć dam. Śpiew się udał, wiersz pochlebiał paniom. Posypały się toasty krótkie, niekiedy dowcipne.

— Górą Królestwo! — zawołał stary hrabia, pochylając głowę przed Wandą.

— Niech żyją Warszawianki!

— Wiwat Warszawiaci!

Po tym toaście dali się słyszeć sykania z obozu Miedziusia, wrzawa jednak i muzyka zagłuszyły je.

Wracano wieczorem w tym samym porządku, lecz ma-
leńkimi czołnami, Dunajcem, oświeconym bengalskimi ogniami,
dyrygowanemi przez inżyniera i jego pomocników.

Księżyc oświecił czarne skały podobne olbrzymom, zdawało się, że się ruszają, patrzą, przybliżają i oddalają. Łódki, pędzone wartkim nurtem wody, staczały się po kamiennych progach, prowadzone zręcznością i siłą górali. Kobiety, nieprzyzwyczajone do tego rodzaju niespodzianek, bały się, mniej odważne krzyczały.

Gwarno było, wino szumiało w głowach młodzieży, iskrzyło oczy, rumienilo policzki. Utworzył się chór przerywany karambolami łódek:

Wesoło żeglujmy, wesoło
Po życia burzliwym potoku...
Jak orły w gradowym obloku,
Choć wichry, pioruny w okolo,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Pierwsze czołno, wiozące Wandę, hrabiego i inżyniera, zbliżało się do najwyższej kaskady. Góral nie ostrzegł, gdy wtem zdawało się, że łódka stacza się w przepaść. Wanda zbladła, powstała, tracąc równowagę, zachwiała się. Młody człowiek pochwycił ją w objęcia, dziewczyna oczy zamknęła, mimowolnie przytulił ją, serce mu bilo, ręce drżały, oddech zaparł się w piersiach. Stary hrabia uchwycił się rękami brzegów czołna, które skacząc jak długonogi góral, rzucone bystrością wody, przesunęło się po spienionej wodzie, i znów płynęło cicho i spokojnie. Wanda otworzyła oczy, rumieniec oblał jej twarz, usiadła szybko mileżąca, lecz gdy wzrokiem rzuciła po za siebie, powtórnie zbladła z przerażenia. Po spadzistej skale zlatywała łódka, unoszona przez prąd wody.

— Mama — zawołała z rozpaczą.

— Nie nam się nie stało. Harybda przebyta szczęśliwie — odpowiedziała Marylka. — I gdyby nie pan Binio, który chcąc nas ratować, wyskoczył z czołna, wszystko byłoby dobrze. Biedny pan Binio zmaczał się!

Ognie bengalskie zaświeciły na nowo. Na górze zapalono beczułkę ze smolą; zrobiło się jasno i fantastycznie. Cienie i czerwone światła łamały się, tworząc dziwnie głębokie odcłanianie i przepaście, wśród których płynęła ciemna rzeka od czerwonych ogni czerwona.

Wanda, nie śmiejąc spojrzeć na młodego człowieka, patrzyła zadumanemi oczyma w głębie sztucznych pieczar. Hrabia żartował z Binia, gdy tymczasem młody inżynier patrzył na Wandę jak na zaczarowaną królewnę, otoczoną czarami wysmukłych Pionin i krętego Dunajca.

— Nie miałam pojęcia, aby piękność naszych widoków była tak czarującą — szepnęła dziewczyna.

— Dawniej zdawało się nam, że nie mamy języka, nie chcieliśmy szukać w nim piękności, nie wierzyliśmy, aby je znaleźć można było. Dopiero gdy nam je pokazano, pokochałiśmy go. To samo się dzieje z pięknością naszej ziemi. Teraz zaczynamy dopiero piękność jej poznawać.

— Dziękujemy za jej pokazanie. — Hrabia wyciągnął rękę do młodego człowieka. Młodzieniec podając swoją, zarumienił się; zdawało mu się, że wywołał podziękowanie.

— Powinniśmy być panu wdzięczni za dzisiejszą wycieczkę — dodała Wanda.

— Pani — pochwycił młody człowiek.

Wesoło żeglujmy, wesoło
Po życia burzliwym potoku...
Jak orły w gradowym obłoku,
Choć wichry, pioruny w okolo,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Zabrzniał chór Warszawiaków. Echa wydobyte z głębi Pionin, roznosiły młode i świeże głosy. Zdaleka kobza skocznie przygrywała, na szafiry nieba wypłynął księżyc. Czary natury upajały ludzi, zapomnieli o przeszłości, nie myśleli o przyszłości, żyli pięknością nocy letniej, serca ich dostroiły się do muzyki stworzonej szmerem rzeki, odgłosem wiosel górali, szumem smukłych świerków i śpiewem młodzieży. Ludzie rozmawiali z wrażeniami swemi, myśli ich wybiegały w przestrzeń daleko, błąkały się chwilkę i wracały w kotlinę Dunajca. Było im tu tak dobrze!

XVI.

Noc wytrzeźwiła z czarów towarzystwo szczawnickie. Wanda upojona holdami i czcią rozpogodziła lica, na ustach jej coraz częściej ukazywał się uśmiech, wesołość tryskała z oczu, mimowolnie stawiała się coraz dumniejszą. Na wspomnienie Artura marszczyła gładkie czoło i brwi ściagała. Odga-
dywała przyczynę, dla której cofnął się i przyzwyczaiła się powoli gardzić nim, pragnąc się zemścić i upokorzyć go. Żalowała wczorajszego przestrichu, rumienila się na jego wspomnienie i postanowiła za to ukarać inżyniera. Ciepło jego spojrzenia rozbrajało ją, nieśmiałość pochlebiała jej. Ciche objawy czci uważała tylko za należyty hold swej piękności.

Marylka nie chciała nikogo karać. Sunio z powrotem dokuczał Biniowi coraz wyraźniej, Binio coraz silniej się mścił. Wszystko to razem bawiło młodą dziewczynkę tem więcej, że się domyślała zapalów Sunia i Binia i celu ich wzajemnej walki.

Ważny fakt dnia tego zanotowany został w rocznikach Szczawnicy. Hrabia Kazimierz przyjechał, syn hrabiny matki, brat hrabiny matki, synowiec starego hrabiego.

Po odbytej familijnej naradzie, w której stary hrabia głośno przemawiał za Wandą, hrabina babka popierała go, hrabina matka radziła ostrożność, a panna nie nie radziła, śmiejąc się z poetyczności Wandy, hrabia Kazimierz zrozumiał sytuację, utworzył sobie charakter Wandy, ułożył plan działania i przystąpił do rzeczy.

Hrabia Kazimierz, szatyn, okragłej twarzy, uśmiechnięty dla jednych jowialnie, dla drugich szydersko, imponował Niemcom w Wiedniu lat parę i przeimponował fortunę. Zdolny, wykształcony i sprytny, wielkiej pamięci i niedawno wielkich nadziei młodzieniec, podszarpawszy majątek, spoczął na mieliźnie, nie mógł z niej się dotąd wydobyć i dalej popłynąć. Pomimo dwukrotnych zabiegów dostania się do Rady państwa, upadał pobity paroma głosami. Starał się o panny posażne

i choć zrezygnował z wielkich rodów w zamian za dobre posagi, nie udawało mu się, nie dlatego, aby nie miał szczęścia, lecz że mało zadawał sobie trudu w pozyskaniu serc mam a łask ojców. Żartował sobie z tego, pocieszając się humorem, który się z nim rzadko rozstawał.

— Ida jest złośliwa — rozmyślał, przechadzając się po deptaku w nadziei zobaczenia naszych pań, widocznie zazdrości, i dlatego piękność Wandy musi być imponującą. Co do kochanej siostrzyczki, ta zwykle chodzi śladami swej córki... Przyszła dama mego serca poetyczna?... Wybornie! wolę to, niż gdyby była zawołaną gospodynią. Jedyne rodzaje, do którego mam wstręt. Będziemy poetyzować oboje. Lubię poezję wieczorem po zachodzie słońca, po wybornym obiedzie i przy prawdziwym hawannie.

Hrabia Kazio uśmiechnął się, widocznie był sybarytą, przepadał za wybornymi obiadami i prawdziwymi hawannami.

— Jeżeli do tego moja pani ładnie deklamuje — dodał — można będzie znaleźć przyjemną rozrywkę.

Chodząc i marząc po deptaku, wybornie się bawił. Przewszystkiem w życiu szukał rozrywki i zabawy. Czytał dużo, bo lubił ten rodzaj rozrywki, a czasem i pisał, gdy się nudził, i pragnął czas zabić.

— I nareszcie ożenię się, jeżeli nie każą mi zbyt ciężko pracować, przeskakiwać przepaści, drapać się na skały... — Zobaczył panie, przystanął. Odrazu poznał Wandę, panią Karolinę i uśmiechniętą z przymrużonemi oczami Marylkę. Towarzyszył im hrabia stryj.

— Piękna — szepnął nasz bohater. Stryj przedstawił siostrzeńca i zawiązała się żywa rozmowa, pełna humoru ze strony Kazia i pełna wdzięku ze strony pań.

* * *

Szczawnica dnia...

»Kochana, dobra, poświęcająca się Celinko!

Codzień z mamą mówimy o tobie, żalując, że cię tu niema. Bawimy się wybornie, i gdyby nie myśl, że się tak okropnie nudzisz w Czyżowie, byłybyśmy naprawdę szczęśliwe. Brak cię nam na każdym kroku, ciągle, zawsze.

Wanda odżyła i nie jest już tą smutną, zamyśloną Wandą, chodzącą jak zakłeta po czyżowskim parku. Wanda w Szczawnicy jest odczarowaną, prawdziwą, okrzykniętą przez naród szczawnicki królową.

Posadzamy ją z mamą, że zapomniała o Arturze i dziękujemy za to Bogu. Do tego zapomnienia przyczyniły się holdy, jakie Wanda od wszystkich odbiera, a może troszkę i hrabia Kazio, bardzo przyjemny, bardzo wesoły, już nie młodzieniec ale mężczyzna. Deklamuje Słowackiego i Ellego, Musseta, Lamartina i Wiktora Hugo. Lubi dużo mówić a często jest tak zabawny, że wszyscy, nawet Wanda i mama śmieją się serdecznie. Jest u nas codziennym gościem, towarzyszy nam zawsze na deptaku, tylko nie należy do żadnych wycieczek; widocznie nie chce narażać swego szacownego zdrowia, potrzebnego jak mówi dla ojczyzny. A gdy wybiera się na Miedziusz, daje nam uczuć wielkość swego poświęcenia.

Domyślasz się pewno, moja Cesi, że hrabia Kazio nie szuka nas dla przyjemnej rozmowy z mamą lub ze mną. Odgadujemy zamiary pana Kazimierza; lecz nie zwierzamy się z tem przed Wandą, nie chcemy ani jej zrażać, ani przestraszać naszą domyślnością. Wanda widocznie lubi hrabiego Kazia, z chęcią z nim rozmawia, uśmiecha się, gdy go zobaczy, wita go jak przyjaciela. Nie robi on na nią tego wrażenia, co Artur, ale też Wanda, mówi mama, jest starsza doświadczeniem i przebytami zawodami.

Czy Wanda poszłaby za hrabiego Kazia, to znowu inna kwestya. Co do mnie, wierzę, żeby się zdecydowała. Jest on sympatyczny dla wszystkich, ma przed sobą przyszłość, jak tutaj mówią polityczną. W Szczawnicy bawi cała jego rodzina,

matka, stryj i starsza siostra z córką. Panie te są bardzo dystygowane, lecz mają swój odrębny sposób bycia, podobno galicyjski, nudzą się, a wszystko biorą na wagę plotki i traktują jako plotkę. Zawsze spragnione nowych wrażeń i plotek.

Prawda, Cesi, żeś spoważniała i może myślisz, że zma-drzałam troszkę. Przyznam ci się więc, że nie jest to moja opinia o tych paniach, ale pana inżyniera Geran, tego samego, co to już dawno, gdy byliśmy dziećmi, przyjechał z Adasiem do Czyżowa, a teraz prosił mnie choć w liście uściskać braciśzka. Proszę cię, zrób to. Rodzina hrabiego Kazia jest bardzo grzeczną dla mamy i Wandy, to dużo z ich strony. Mamie i Wandzi pochlebia ich uprzejmość i... nie piszę już więcej, bo nie wiem sama, co z tego wszystkiego będzie i jak się to wszystko ułoży.

Wyobraź sobie droga Cesi, już drugi raz złapałam naszego inżyniera na gorącym uczynku. Wtedy gdy Wanda go nie widzi lub nie zwraca nań uwagi, wpatruje się w nią jak w cudowny obraz! Gdy się obróci lub spojrzy, oczy spuszcza. Lecz może myślisz, że tylko on jeden to robi, jest ich więcej, mówią, że wszyscy Warszawiacy kochają się w Wandzi.

Pan Geran własnym kosztem urządził wspaniałą wy-cieczkę do Czorsztyńskiego zamku na cześć Wandy. My o tem nie wiemy, lecz mówiła to naszej Zosi Geranowa, u której mieszkamy. Inżynier jest nieśmiały, mama go za to lubi i dla-tego bywa u nas.

Ale czy uwierzysz, że twoja młodsza siostra jest boha-terką? Dwóch młodych ludzi, Sunio i Binio, bardzo zabawni chłopcy, pojedynkowali się o mnie, ale tylko niestety, na pa-lasze. Sunio nosi rękę na temblaku, Binio ma obandażowane ucho. Obaj są z tego bardzo dumni i obaj poważni. Sunio jest urodzony z hrabianki, lecz niestety jest urzędnikiem. Mó-wią, że robi ministeryalną karierę. Spojrzawszy na Sunia, plotka ta wywołuje bardzo komiczne wrażenie. Binio jest sy-nem barona, lecz galicyjski baron bardzo mało znaczy w Ga-licyi. Każdy szlachcic za perę tysięcy guldenów mógł zostać

baronem. Chłopcy są komiczni, należą jednak do towarzystwa i bawię się z nimi wybornie. Hrabia Kazio często żartuje sobie z nich, lecz tak delikatnie, że tego dojrzeć nie mogą. Nie myśl przecież, żeby to były partye. Nie myślę o sobie, póki się los Wandy nie rozstrzygnie.

Droga Cesi, wołają mnie do »pracy«, muszę się ubierać. Hrabia stryj będzie dziś u nas na obiedzie. Dla mnie, jest to najprzyjemniejszy mężczyzna w Szczawnicy.

Mama i Wanda serdecznie cię ściskają, ja całuję cię w różowe usteczka. Pisz, pisz, twoja

Marylka.

Droga Marylko!

Nie dotrzymujesz przysiąg i dlatego szczęście, że Sunia i Binia nie uważasz za partye, bo mogłabyś ich zdradzić dla starego hrabiego.

Historję pojedynku opowiedziałam Krówczyńskiemu. Zbladł, zamyślił się i smutny odjechał do domu. Od tego jesteśmy kobiety, abyśmy dręczyły tych, którzy nas kochają.

Po wielkim u nas zjeździe, na którym i ja miałam szczęśliwe chwile — pewno dlatego, że byłam sama, cicho. Drogi ojczulek często wyjeżdża, lub pracuje u siebie, Adaś z panem Walentym i ja z nimi gospodarujemy zawzięcie. Urodzaje tego roku są mniej niż średnie, Gębalski miał podobno zaniedbać rolę. Ale za to jakie będą na przyszły rok, mówi pan Walenty, który wierzy w Adasia tyle, ile ty w hrabiego Kazia.

Adaś pracuje, lecz jakiś smutny i zamyślony. Dałam mu twój list do przeczytania. Przeczytał go, a potem długo chodził po ogrodzie. Przybiegłam do niego i wystaw sobie, o czem mówił ze mną, nie zgadniesz! Otóż, ni mniej ni więcej, tylko o swoim koledze Karolu Geranie. O jego zdolnościach, wielkiem sercu, skromności i dobrym wychowaniu. Nie śmiałam mu się sprzeciwiać, jest rozdrażniony i często wybucha.

Nareszcie rzekł jakby do siebie:

— Gdyby on był z nami, dalibyśmy sobie radę. Stanowisko nasze byłoby uratowane.

Nie rozumiem przytoczonego wyrażenia Adasia i dlatego proszę cię, ustępu tego nie czytaj ani mamie ani Wandzi.

O hrabi Kaziu nie wspominał. Za to nasz ojezulek i ja cieszymy się serdecznie. Dla mnie młody hrabia jest bardzo sympatyczny, i dobrze się stało, że nie pojechała do Szczawnicy, pewnobyśmy się w nim rozkochali i wywiązałyby się z tego dramat, którego byłabym zrozpaczoną bohaterką. Jestem również wielką przyjaciółką hrabiego stryja, nie tracę nadziei, że panów tych niedługo zobaczymy w Czyżowie. Radabym upokorzyć Artura i zemścić się na nim. Mówiła mi Salacka, że jest spodziewany z powrotem.

Wyobraźcie sobie, jestem bardzo zajęta najprozaiczniejszymi rzeczami w świecie. Adaś utrzymuje, że Salacka jest bardzo kosztowną i że nas potrosze rujnuje. To zabawne, żeby Salacka mogła nas rujnować!... Prosił mnie więc, abym jaką taką utrzymywała nad nią kontrolę. Nudzi mnie to, ale mu się nie sprzeciwiam, on tak bardzo pracuje.

Smutno u nas i pusto. Rano zwykle rozprawiam z Salacką i niby wydaję, później gram i czytam, po południu wyjeżdżam z Adasiem w pole, tam spotykam się z panem Walentym, a czasem na koniu przyjeżdża Krówczyński... Ta twoja fruująca krówka, moja Marylko, jest łaskawe i dobre stworzonko. Adaś bardzo go lubi, a on kocha go tyle co ciebie.

Mieliśmy wielką ochotę z ojezulkiem wpaść do Szczawnicy, tylko że jakoś nadzwyczajnym wypadkiem zabrakło u nas gotówki, a również i dlatego, że tata niedługo musi jechać na wybory.

Zatem wy, moi kochani, wracajcie: Mama ze starym hrabią, Wanda z młodym, a ty schowaj do pudeleczka od cukierków dwóch rywali i przewieź ich kontrabandą do Królestwa, jako ludzi bardzo niebezpiecznych dla naszych biednych serc. Mamie całuj rączki, Wandzi zamyślane czoło, a tobie, moja Marylko, całuję szczebioczące usteczka.

Wasza tęskniąca

Celina«.

XVII.

W chwili gdy list Celinki przyniesiono z poczty, Marylka była w kąpieli. Pani Karolina ciekawa nowin z domu, prosiła Wandy, aby list rozpieczętowała i przeczytała.

Poważna dziewczynka zaczęła czytać głośno, nagle zarumieniała się, zbladła, dokończyła cicho. List oddała matce i wyszła z pokoju na ganek.

Gniewały ją badania tajemnic jej serca przez siostry. Od ostatnich wypadków z Arturem była rozdrażnioną a z natury skrytą.

Pani Karolina doczytała list, żalując w duchu pośpiechu. Wyrzucała sobie nieostrożność, lecz pocieszała się tem, że Wanda pogrymasi troszkę i rozpogodzi piękną swą buzię. Na wzmiankę w liście o interesach, nie zwróciła uwagi. Ufała mężowi z tą naiwną wiarą, nieznoszącą cienia wątpliwości. Po namyśle postanowiła pomówić z Wandą stanowczo o stosunkach szeczawnickich.

Odgadła zamiar matki dumna i zamknięta w sobie dziewczyna, i dlatego z salonu przeszła na ogólną salę, a z sali do gabinetu, gdzie stał otwarty dla gości fortepian. Aliści zaledwo grać zaczęła, gdy wszedł młodzieniec z powagą oznajmującą pewność siebie; szykiem zdradzał Warszawiaka, uklonił się z godnością, położył list przed Wandą i wyszedł.

Dziewczyna zbladła, chciała coś mówić, odejść — młody człowiek znikł — spojrzała na biały papier, przeczytała swe imię i nazwisko, drżącymi rękami podjęła list — rozerwała kopertę.

»Pani!«

»Przebacz, lecz już nie mogę dłużej patrzeć na męki tego, którego kocham jak brata, a szanuję jak ojca. Niepodobna, abyś Pani nie wiedziała, że jesteś kochaną tyle, co Helojza przez najszlachetniejszego z ludzi, niepodobna, abyś miała serce z marmuru!... Jest on rozumny, dobry i bogaty. Ma tylko

tę jedną wadę, że nie ma starego polskiego nazwiska. Lecz my na to w Warszawie nie zwracamy uwagi. Będziesz wśród nas szanowaną i czczoną. Czyż po za nazwiskiem nie potrafiłabyś zobaczyć człowieka? Karol jest dumny, dlatego nigdy ci pani nie odkryje głębi swego serca, i czyż dlatego ma być nieszczęśliwy? Ty możesz i powinnaś wyciągnąć do niego rękę. Raz jeszcze proszę o przebaczenie, jeżeli ten co spełnił swój obowiązek, zawinił.

Nie było podpisu.

List wypadł jej z rąk, stała chwil kilka zamyślona. Raptem pochwyciła list, schowała go do kieszeni i zimna, poważna przeszła do swego pokoju, wdziała kapelusz, pocałowała matkę w czoło, skinęła na kamerdynera i wyszła.

Przeczuwała, że spotka inżyniera, przecucia ją nie zawiodły. Chodził zamyślony po deptaku; gdy zobaczył Wandę, zmieszał się, kłaniając pośpiesznie. Dziewczyna zatrzymała się, przywitała go, a tym sposobem upoważniła towarzyszyć sobie. Szli chwil parę w milczeniu.

— Masz pan wielu przyjaciół między tutejszą warszawską młodzieżą — odezwała się drżącym ze wzruszenia a może i gniewu głosem.

— W jakim celu pytasz się mnie pani?

— Opiekują się panem.

— Mną? — rzekł zdziwiony.

— Sądzę, że pan opiekę tę tolerujesz, lub zezwalasz na nią. Podala mu odebrany list.

Młody człowiek szybko przebiegł go wzrokiem, nie zdradzając żadnego wzruszenia.

— Czy pani sądzisz, żem ten list dyktował?

— Nie sądzę, bo styl zdradza młodość autora.

— Lecz pani wierzysz, że był pisany pod moim wpływem, lub natchnieniem.

— Domyślam się tylko.

— niesprawiedliwie się pani domyślasz. Sądzilem, że pani posiadasz więcej łagodności, żłem się wyraził, więcej umiesz

ocenić boleść drugich i więcej znasz ludzi. Przebacz pani młodemu chłopcu, który chciał mi dać dowód swej przyjaźni. Żegnam panią.

Młody człowiek skłonił się, list schował i odszedł.

Wanda chciała go zawołać i przeprosić. Czula, że mu wyrządziła krzywdę, że popełniła wielki błąd, lecz nie miała odwagi. Walczyła jedną krótką chwilę, duma zwyciężyła. Odwróciła się szybko i odeszła.

Hrabia Kazio zobaczył ją z okna mieszkania swej siostry i wybiegł na spotkanie. Wanda wzruszona podala mu rękę serdecznie, jak gdyby w nim szukała ratunku. Wyrażenie Adama o swym koledze, powtórzone w liście Celinki, przesłaadowało ją.

Ośmielony ciepłem przywitania młody człowiek, postanowił skorzystać i oświadczyć się.

Lecz zaledwo wszedł na tę drogę, zaledwie Wanda mogła odgadnąć jego zamiary, uprzedziła je:

— Panie Kazimierzu, miej się pan na ostrożności, ostrzegam pana.

— Przed czym?

— Mógłbyś pan wyrzec słowo, przed którym honor nie pozwoliłby panu cofnąć się, dlatego oświadczam, że jesteśmy w interesach i jak na teraz nie mam posagu.

Hrabia Kazio zmięszal się, troszkę nawet zbladł, za chwilkę jednak odzyskał równowagę.

— Pani droga, chciałem to samo o sobie powiedzieć, a więc... — urwał raptownie.

— A więc — powtórzyła cicho Wanda.

— A więc, ponieważ kuzynka moja, której jestem jedynym spadkobiercą, cieszy się wybornem zdrowiem, czego jej nie mam za złe — bądźmy przyjaciółmi, gdy niczem innym względem siebie być nie możemy.

Wyciągnął rękę, Wanda podala swoją, uściskali się. Szli razem ku Garanowej, rozmawiając jak dobrzy znajomi, spokojnie, obojętnie, a nawet ze strony hrabiego Kazia, wesoło.

Pożegnali się — do widzenia, serdecznem uściśnieniem ręki.

Wanda zamknęła drzwi swego pokoju. Pani Karolina i Marylka nie śmiały do niej zaglądać.

Biedna dziewczyna znękana wypadkami dnia i fatalizmem, który ją prześladował, leżała na kozetce z rozwartemi oczami.

Gdyby przed inżynierem zobaczyła hrabiego Kazimierza, możeby dla samego przeciwieństwa nie pokazywała listu temu, w którego miłość wierzyła. Możeby ziściła pragnienie Adama dla zadosyćuczynienia obrażonej dumie i chęci wydobycia się z zaczarowanego kola.

Dotąd sympatyzowała tylko z tymi, którzy, tak jej się teraz zdawało, polowali na jej posag, a pogardzała bezinteresownymi. Wprawdzie ludzie ci nie byli z jej świata, lecz teraz zaczęła przeczuwać, że wykształceniem, nieskazitelnością ducha i dzielnością swego charakteru, mogli być ponad jej światem. Stanowcze, pełne godności i siły znalezienie się Karola Gerana, przyniatało ją. Chciała go upokorzyć, ukarać za zuchwalstwo i śmiałość sięgania pragnieniem i wzrokiem do niej, gdy sama została upokorzona.

— Pogardził mną — szeptała.

Pierwszy raz w życiu uczuła i zrozumiała boleść pogardy. Była pewną, że ją młody hrabia wybawi. Zawiodła się. Nie miała do niego żalu, był szczery i otwarty, umiał panować nad sobą i zgodzić się z losem. Była jednak pewną, że w hrabi Kazimierzku mieszka poetyczna dusza, zdolna do walki i poświęceń, zawiodła się. Czuliła się upokorzona z otoczeniem swem, z całym światem, po za granice którego przejść nie chciała. Upokorzenie jest bolesnym, przyniatającym ciężarem serca. Zdawało jej się, że jest zmaltretowana i wyśmiana. Cierpiała. Skutkiem rozdrażnienia nerwów przyszedł ból głowy i ciężki sen.

Hrabia Kazio zwierzył się mamie, powtarzając co do słowa rozmowę swą z Wandą. Mama zwierzyła się córce, wnuczce i stryjowi. Hrabianka Ida tryumfowała, hrabia stryj nie dowierzał, przypuszczając, że poetyczna dziewczyna może

umyślnie użyla wybiegu, aby wypróbować serce i bezinteresowność młodego człowieka. Zdaje się, że stary hrabia był najpoetyczniejszym z rodziny.

— W każdym razie — rzekł — znalazła się uczciwie.

— Przezornie — dodała hrabianka Ida — bo również chciała się dowiedzieć, czy przynajmniej stryj Kazia jest bogatym. Tak piękną jest Wanda, że zawsze pod względem majątku może zrobić partję. Podobno jakiś bogaty Niemiec czy Francuz, budujący koleje, stara się o nią. Ten przecież, spodziewam się, posagu nie odważy się żądać. Tegoby jeszcze brakowało!...

— Ależ, moje dziecię, nie jest to żaden Niemiec — przerwał hrabia stryj — dopókiś nie wiedziała jak się nazywa, podobał ci się, rozmawiałaś z nim na balu po polsku.

— Z tyłoma rozmawiałam — odparła.

— W każdym razie żał mi pięknej, szlachetnej i dobrej dziewczyny...

— Życie nasze, kochany stryju, składa się z nadziei i zawodów. Nie poradzimy na to — zdecydował hrabia Kazio, który dotąd siedząc w wygodnym fotelu i pałac nieposzlakowanej prawdziwości hawana, nie mieszał się do rozmowy.

Hrabina matka ostrzegła Sunia, i dlatego zrzucił on temblak, rękę wyprostował i wdział rękawiczki. Widząc to Binio, zdjął z ucha czarny plaster. Spotkali się razem na deptaku.

— Przekonany o pańskiej gorącej a bezinteresownej miłości do panny Maryi Czyżowskiej, a przytem czując dotąd ostrze jego miecza na mej ręce, cofam się.

To powiedziawszy, sklonił się i odszedł.

— Pewno w to wierzy — pomyślał Sunio. — A to osioł — zawołał i rozśmiał się serdecznie.

Binio patrzył za odchodzącym Suniem. Patrzył, myślał i rozważał. Był pewny zasadzki.

— A to osioł, myśli, że mnie złapie — szepnął.

Sen pokrzepił Wandę, i dlatego panie po południu wyszły na deptak, przywitane przez mieszkanki zamku uprzejmie

lecz zimno. Wanda uczuła to pierwsza i odgadła przyczynę. Sunio i Binio zbliżyli się do Marylki, lecz za chwilę wrócili do hrabianki Idy, hrabia Kazio rozmawiał z Wandą, ale spotkawszy się z deputatem do Rady państwa, odszedł z nim. Warszawiacy wprawdzie się klaniali, lecz żaden się nie zbliżył. Warszawianki patrzyły z pewnym rodzajem żalu na Wandę. Jeden tylko hrabia stryj nie opuszczał naszych pań, które widziały osamotnienie, nie mogły jednak zrozumieć powodów. Wanda sama tylko wszystko odgadła, i dlatego stawiała się coraz więcej milezącą i zamyśloną, ludziom zdawało się, że niedostępną.

Rozeszła się wieść o nagłym wyjeździe inżyniera z kilkoma młodymi ludźmi. Dziwiło to panią Karolinę i Marylkę, lecz nie dziwiło Wandy i Warszawianek. Historia listu rozpowszechniana została przez jej autora, i dlatego Warszawianki dziwiły się odwadze Wandy odepchnięcia tak świetnej partyi.

Obóz rozłożony na Miedziusiu zdecydował:

— To jakieś zrujnowane szlachcianki — i nie zajmował się nimi.

— Mamo, wracajmy do domu — szepnęła Wanda, całując matkę na dobranoc w czoło.

— Jeżeli tego pragniesz, moje dziecko — odpowiedziała pani Karolina, pieścąc córkę. — Jeżeli ci się tak podoba..

— Dlaczego, moja Wandziu, chcesz uciekać? — spytała ze łzami w oczach Marylka.

— Uciekać? Któż mówi o ucieczce — odparła.

— Zaledwo jesteśmy trzy tygodnie, zaledwo oswoiliśmy się z ludźmi, którzy nas otaczają, już mamy wyjeżdżać? Ależ to niepodobna!

— Jestem zdania Marylki — poświadczyła pani Karolina. — Na twojem Wandziu miejscu, czekałabym rozwiązania zagadki, co do zamiarów hrabiego Kazimierza.

— Wszyscy mówią, że się w tobie kocha — zawołała Marylka.

— Droga mamo, zaklinam i błagam cię, wyjeżdżamy jutro — odparła Wanda i wyszła z pokoju.

Pani Karolina z Marylką rozmawiały długo w noc pociachu.

Nazajutrz w południe najęty powóz odwiózł nasze panie do Nowego Sącza. Marylka wiozła na kolanach bukiety Sunia i Binia, Wanda od hrabiego Kazia, a pani Karolina od hrabiego stryja, który je żegnał serdecznie, przyrzekając swą wizytę w Czyżowie.

XVIII.

Późno wieczorem cicho zatoczył się powóz przed portyk czyżowskiego pałacu. Adamem i Celinką miotaly jakieś smutne przeczucia.

Jedynie pan Stefan był pewnym, że hrabia Kazimierz oświadczył się, i dlatego panie przyspieszyły powrót. Z miną tryumfatora podał rękę żonie, serdecznie witając Wandę i Marylkę. Smutek na ich twarzach nie zrażał naszego optymisty, kładł go na rachunek bezsenności, długiej drogi, przebytych wrażeń i dlatego wyborny humor nie opuszczał go; dowcipkował i żartował jak zawsze.

Rozbawiona Marylka szczebiotała, pomagała jej Celina. Adam rozpogodził czoło, a nawet poważna Wanda pod promieniami serdecznych uczuć rodzinnych uśmiechała się.

Po herbacie zaciekawiony małżonek uprowadził panią Karolinę, Wanda skarżąc się na ból głowy poszła do siebie, gdy Marylka z Adamem i Celiną spacerując po alei grabowej, opowiadała o tajemniczym i nieprzewidzianym wyjeździe ze Szczawnicy, spowodowanym prośbami Wandy.

Napróżno Celina starała się odchylić zasłonę, napróżno Adam zadawał rozliczne pytania siostrze, tajemnica została tajemnicą. Indagacye ze strony Adama co do stosunku Karola Geran do Wandy, zostały źle przez Marylkę przyjęte. Odpowiedziała ostro i stanowczo, że wobec hrabiego Kazia i partyi jaką przedstawiał, zajmowanie się inżynierem byłoby śmiesznością.

Zwierzienia pani Karoliny zaniepokoiły męża. I on również nie mógł rozwiązać zagadki, zadzwonił, rozkazując poprosić Wandę.

Weszła blada, poważna, z zaciśniętymi ustami, milcząca. Na pytania ojca odpowiadała krótko, lecz stanowczo. Krótkość odpowiedzi i pewien ich chłód rozdrażniły łagodny jego charakter.

— Przepraszam cię moje dziecko, lecz sędzę, że dziwaczysz, stawiając z lekkomyślnością na kartę przyszłość własną i całej rodziny.

Wanda nie nie odpowiadała.

— Milczysz? — zawołał raptownie.

— Mnie się zdaje — mówiła cicho dziewczyna — że postępowano ze mną nieszczerze. Ja to miałam robić partię w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz partią nie byłam. Gdybym o tem wiedziała, gdybym to przeczuwała, zachowanie się moje byłoby ostrożniejsze, uniknęłabym upokorzeń i zawodów. A tak dziś nic więcej o sobie powiedzieć nie mogę, jak tylko żem polowała! Polowanie się nie udało i wracam z próżnemi rękami. Łzy zaświeciły w oczach dziewczyny, czuła, że wybuchnie głośnym płaczem, zerwała się i wybiegła z pokoju.

Pan Stefan oniemiał, załamał ręce i patrzył za uciekającą, nie śmiejąc ani się skarżyć, ani wołać za nią.

— Dzieci — szeptał — własne dzieci robią wyrzuty rodzicom!

Pani Karolina zaczęła płakać.

— Znęcają się nad własnym ojcem — zawołał — maltretują go i upokarzają! Materyalizm wieku wciska się już do najszlachetniejszych serc, dostaje się do najzaczniejszych rodzin. Własna córka wymawia ojcu, że jej nie daje świetnego posagu!...

Pan Stefan wierzył w to co mówił i naprawdę rozpaczal.

— Mężu, a więc to prawda, że dzieci nasze nie mają posagu? — spytała cicho pani Karolina.

— Na razie — dziś, jutro — prawda. Lecz życie nie składa się z dziś i jutra. Nie mają go dziś, będą miały za rok. Przecież sam Czyżów wart pół miliona rubli.

— A więc pewno Wanda — mówiła pani Karolina obcierając łzy — musiała ostrzedz hrabiego Kazimierza, gdy jej się oświadczył.

— Przed czym? — krzyknął pan Stefan.

— Przed tem, że nie ma dziś posagu.

— Skłamała, bo go ma.

— Może się bała tych samych przejść co z Arturem, i dlatego wołała uprzedzić?

— Zbyteczne obawy, zbyteczna delikatność, zbyteczny idealizm... Tym to sposobem dzieci kompromitują rodziców. Ale cóż, dziś przyszło już do tego, że dzieci przeglądają ich rachunki; kontrolują, gotowe wyznaczyć im pensye i burczyć ojca, jeżeli wypali o jedno więcej cygaro.

Pani Karolina nie mówiła, czując i dzielając z samego przyzwyczajenia skargi męża.

— Prawda — rzekła — stało się jednak. Wanda musiała ostrzedz, a tym sposobem zrazić hrabiego — ten się cofnął, a co dziwniejsza, że tego samego dnia, nagle bez pożegnania wyjechał Karol Geran.

— To już mniejsza co zrobił jakiś tam inżynier. Jeżeli ma rozum, to się nie ośmielił zbliżyć do Wandy, a jeżeli jest głupcem, to słusznie został ukarany.

Pani Karolina podzielała opinie męża i w kwestyi inżyniera.

— Wanda drugą partyę i to świetną partyę straciła — szepnęła.

— Nie, nie straciła — przerwał gwałtownie. — Napiszę do hrabiego stryja, lub lepiej, gdy będę na dobrej drodze załatwienia spraw Towarzystwa kredytowego, a tem samem i Czyżowa, pojedę do Galicyi, poznam się osobiście z hrabią stryjem, objaśnię go delikatnie o stanie rzeczy i zaproszę z synowcem do Czyżowa.

Optymistyczna natura pana Stefana rychło znalazła punkt wyjścia. Zawsze prawie potrafił sobie otworzyć szeroki dla wyobraźni widnokrąg, ku któremu się rzucił z właściwą mu w tym kierunku energią.

Adam dowiedział się od matki o wczorajszej rozmowie ojca z Wandą i jego nadziejach ratunku. Napróżno wypytywał się o kolegę i przyjaciela, nie mu nie umiano powiedzieć.

Zwyczajem swoim zwierzył się Adam panu Walentemu. Staruszek przeklinał świat, ludzi, ich materyalizm i żałował, że za lepszych czasów nie przeniósł się do wieczności. Kochał on Wandę najwięcej po Adamie, teraz żalując jej, czcił jak męczennicę.

XIX.

Długo a niecierpliwie oczekiwany dzień wyborów zbliżył się. Pan Stefan w dobrym humorze, pełen nadziei, przygotowany w odpowiednie mowy, wybierał się z uśmiechem tryumfu na ustach.

Wahał się, czy wziąć z sobą Adama. Bał się jego sceptycyzmu, nie wierzył w spryt i zdolności dyplomatyczne, i zostawił go w domu, tłumacząc się tem, że Adam nie jest wyborcą.

Wtajemniczona co do ułożonego planu ratunku rodzina, podzieliła się na dwa stronnictwa. Pani Karolina i pan Walenty wierzyli absolutnie, ciesząc się przyszlę zwycięstwem; Adam porozumiewał się pełnym smutku wzrokiem z Celinką. Wanda zamknięta w sobie, milczała, Marylka, rozmarzona tryumfami szczawnickimi, nie należała do akcyi.

Ciszę czyżowskiego dworu przerwał niespodziewanem pojawieniem się Artur, wnosząc ze sobą chłód i ogólne zdziwienie. Uroczysty nastrój towarzystwa zamaćił przyjazdem swym Króweczyński i uratował sytuację. Kobiety były mu pierwszy raz wdzięczne za wizytę, i umyślnie okazywały wiele przejęmości, Celinka sympatyi.

Wanda* weszła do salonu dopiero wieczorem, traktując gości, jak kiedyś jej zaledwo znajomego. Przygniatała go swoją powagą, a nawet poczuciem swej moralnej wyższości.

Artur, jako skończony egoista, nie sądził i nie określał swego postępowania względem Wandy, zdawało mu się, że

postąpił z nią jak był powinien, i dlatego drażniła go jej obojętność i przygniatające traktowanie.

Egoiści żądają wiecznej, niekończącej się nigdy miłości, podobają im się cierpienia bliźnich dla nich, nie czując się do żadnych zobowiązań ze swej strony. Oni tylko pozwalają się kochać i cierpieć na swoją cześć! Objawy te spostrzegamy w życiu wielkich Cezarów i małych Arturów...

Artur był zły, chmurny, podrażniony dumą i zimnem mieszkankę czyżowskiego dworu, za to Hipolit tryumfował. Szczęście ośmiela, Hipolit się uśmiechał, stał się wymownym i wesołym, nawet w obecności Marylki. To nie do uwierzenia, a jednak tak się działo.

— Nie wie, jak załatwiłem swe sprawy z siostrą i szwagrem, a mimo to ośmiela się nie kochać mnie, i usiłuje upokorzyć — myślał Artur, patrząc z uśmiechem szyderstwa na Wandę. — Widocznie usiłuje mnie upokorzyć; biedna!... Możemy wrócić, gdybym zobaczył dawną jej miłość w promieniach oczu, uczuł ją w oddechu na pół odemkniętych ust, w drżeniu ręki... Wróciłbym, gdyby nie jej i całej rodziny egoizm — mały, niski... Po dowiedzeniu się, że na Klonowie mam dług, traktują mnie z góry, odpychają. Wróciłbym — ale nie znoszę rachuby i targów.

Artur wierzył w to co myślał w tej chwili, lecz jadąc do Czyżowa, zupełnie inne miał zamiary. Chciał zobaczyć smutek i cierpienie zakochanej w nim dziewczyny, politować się nad nią, dać dowód swego wielkiego taktu i siły, swego szacunku dla form, uścisnąć jej czule rękę na pożegnanie, westchnąć i odjechać.

Ludzie wybornie umieją klamać przed samymi sobą, to też klamią, wiele razy nadarzy im się sposobność. Kłamał i Artur, bo tym sposobem zdawało mu się, że się mści.

Nastroiwszy wesołą minę, opowiadał o swej wycieczce na Podole, o siostrze, szwagrze, a nawet napomknął o zaciągniętej pożyczce i nadziei utrzymania się na Klonowie.

Słuchano go z lodowatą obojętnością. Rozdrażniony, odważył się na hazardowny krok i upatrzywszy odpowiednią chwilę, szepnął Wandzie parę ciepłych wyrazów.

Dziewczyna spojrziała nań jak na rzecz, jakby w tem spojrzeniu chciała się spytać: czy tędy droga do zlagodzenia krzywd, które jej wyrządził.

Artur nie zrozumiał spojrzenia, a może nie chciał go zrozumieć; wypowiadał się przed samym sobą, że zrobił co do niego należało, i podług wszelkich praw etykiety, zjadłszy kolację, odjechał. Czuł się męczennikiem egoizmu Wandy, materyalizmu całej rodziny, przestał wierzyć w miłość, narzekał na ludzi, niepokieszony spać się położył i zasnął twardo, jak przystoi na dobrze wychowanego i przystojnego męczennika.

Hipolit głaskany przez Adama, tolerowany przez panie, nabierał z każdą chwilą odwagi, z poza której wyglądał rozum i szlachetność.

— Dlaczego ten biedny chłopiec nazywa się Króweczyński i ma tylko jedną Górkę — powtarzała w duchu Marylka, porównyując go z bohaterami szczawnickimi, Biniem i Suniem.

* * *

Dnia czwartego wrócił pan Stefan. Milezący, zamyślony, pochmurny, poszedł wprost do swego pokoju. Żona i dzieci znały usposobienie ojca w ciężkich przejściach, i dlatego nikt nie ośmielił się przerywać mu samotności. Smutek nie trwał jednak długo, w parę godzin później zgromadził obok siebie rodzinę, nie zapominając i o panu Walentym.

W gorącej mowie przedstawił im nieporadność i niekonsekwencję szlachty, a nawet zapaliwszy się, składał dowody jej złej wiary.

Na własną swoją zgubę, w imię źle zrozumianego konserwatyzmu, obrała i tym razem dożywotniego radcę, zamykając sobie drogi ratunku!

— Pokątne agitacye — kończył pan Stefan — spiski, zawiść, zależność i serwilizm jak zawsze, tak i teraz zwyciężyły, prowadząc do ruiny moralnej i materyalnej czoło narodu!

— Stało się — przerwał pan Walenty, nie chcąc dopuszczać znęcania się nad bracią szlachtą, która pewno postąpiła tak, jak powinna, tłumaczył sobie w duchu staruszek, szanując czoło narodu i przez nie szukając zbawienia.

— Stało się — pochwycił pan Stefan — przegraliśmy na jednym polu, lecz mamy na szachownicy jeszcze dużo pól niezajętych, na których wygrać można i trzeba.

Zrobiła się cisza, wszyscy pragnęli zobaczyć lub przynajmniej dowiedzieć się o tych polach zapowiadających zwycięstwo.

Pan Stefan stojąc na środku pokoju, przenosił wzrok kolejno z pana Walentego na Adama.

— Do stanowczego zwycięstwa — mówił wolno, a głos mu drżał, potrzeba natychmiast — dziś, dziesięciu tysięcy rubli.

— Ale zkąd je wziąć — zawołał staruszek, łamiąc ręce — zkąd je wziąć, nowych długów zaciągać niepodobna.

— Panie Walenty — rzekł pan Stefan uroczyście — kolegowaleś z moim ojcem, mnie wychowaleś.

— Ojcze! — przerwał gwałtownie Adam, domyślając się treści mowy — pan Walenty oddał wszystko, wszystko co tylko miał do ostatniego grosza, a miał całego majątku siedm tysięcy rubli. Nie bierze pensyi od ośmiu lat! Starzec wyzbył się dla nas nadziei spokojnego kątku na ciężkie dni. Z tych pieniędzy zapłaciłeś ojczu najpilniejsze procenta, odbyłeś podróż do Warszawy, mama, Wanda i Marylka pojechały za nie do Warszawy.

— Więc za ciężko zebrane oszczędności pana Walentego bawiłyśmy się w Szczawnicy! — zawołała Wanda, zalała się łzami, wstała i wyszła.

— Wandziu, Wandeczko — wołał pan Walenty, wyciągając za dziewczyną ręce.

Napróżno, nie wróciła.

I znowu nastała cisza. Marylka blada naciągnęła brwi, zacisnęła usta, patrząc nieruchomie. Pani Karolina cicho płakała.

— Niema zatem ratunku — rzekł pan Stefan, i widocznie nie mogąc stać o własnych siłach, zsunął się na fotel. Na kapitały pana Walentego rachował na pewno, ostatni ten zawód zachwiał go i zwałił z nóg.

Wzruszony Adam widząc smutek ojca, przemówił serdecznie.

— Drogi ojcze — co do mnie, nie widzę zrozpaczonego stanu, byle umieć przeczekać, byle parę lat oszczędności i...

— Czekać — przerwał pan Stefan, wybuchając — czekać, gdy procenta przerastają tegoroczny dochód, czekać, gdy Wanda ma dwadzieścia cztery lat, czekać, gdy Celinie i Marylli trzeba przygotować posagi?

— Możeby się obyło i bez posagów — odezwał się nieśmiało Adam.

— I zmarnować dziewczyny za Krówczyńskich lub jakiś tam inżynierów, dziękuję ci — odparł szorstko ojciec.

— Zarumieniona Marylka, wybiegła z pokoju, gdy Celinia z rumieńcami wypieczonemi na twarzy, ścisnęła rękę brata. Teraz dopiero zrozumiała jego smutek, pracę w polu, oszczędność i odmawianie sobie wszystkiego.

— Chciałem dziesięcioma tysiącami rubli — mówił dalej pan Stefan — pospłacać procenta i najpilniejsze długi, pokazać że mam pieniądze, a potem sprzedać las. Daliby najmniej trzysta pięćdziesiąt rubli za morgę, trzysta morgów, sto tysięcy rubli wystarczyłoby przynajmniej na dwa posagi...

— I cóż dalej? Jak gospodarować bez lasu w Czyżowie — zawołał staruszek.

— Dalibyśmy sobie jakoś radę i bez lasu, kochany panie Walenty, a ponieważ nie ma dziesięciu tysięcy rubli, las i bez nich sprzedać trzeba, byle nie odkładać na dziesiątki lat. Gdyby Wanda miała lat dwanaście, Celinka dziesięć, z rozkoszą przystałbym na długoletnie terminy. My dla siebie — zakończył, całując w rękę żonę — nie potrzebujemy.

— Prawda — poświadczyła pani Karolina.

— Gdyby się to powiedziało i robiło przed dziesięciu laty — szepnął pan Walenty — nie byłoby dzisiejszej ruiny.

Pan Stefan udał, że nie słyszy przymówki, a że nie mógł długo wytrwać w rozpacz, rozpogodził lice, widząc przed sobą ratunek i możliwość wyjścia.

Rada familijna zamknięta, opozycji nie było, bo jej być nie mogło. Adam nie śmiał i nareszcie nie mógł skazywać siostry na staropanieństwo; walczyć zaś z uprzedzeniami zamienionemi w przekonania, a nawet dogmat, nie miał sił.

Pani Karolina pierwszy raz dowiedziała się prawdy o stanie majątku, Marylka płakała w swoim pokoju, Wanda zatopiona w myślach, patrzyła przez otwarte okno na szarzące Świętokrzyskie góry. Adam z Celinką chodzili po ogrodzie smutni, radząc i marząc. Staruszek ze spuszczoną głową i zaciśniętymi dłońmi wracał do siebie. Jeden pan Stefan nie tracił fantazyi. Sto tysięcy rubli i Czyżów powiększony o jedną ładną wioskę o trzystu morgach wydobytych z wykarczowanego lasu...

Do optymistów należy świat, uśmiech szczęścia i złote sny...

XX.

Cisza, długa, przygniatająca cisza zapanowała w czyżowskim dworze, jak gdyby w okolicy szalały burze, jak gdyby rzeki wylały, mosty zostały zniszczone.

A jednak nie było burz, murowana droga białą smugą przecinała pola czyżowskie, dobiegając do dworu.

I dlaczegoż droga ta między dworem a traktem, dawniej ludna i ożywiona, dziś prawie pusta?

Upadek przy wyborach pana Stefana oziębł animusz sąsiedzki, przyznanie się podczas zjazdu na wpół do ruiny, wyzyskane przez przeciwników, zniechęciło zamożnych, podrażniło uboższych. Przy każdej sposobności coraz silniej podno-

szone głos, że pan Czyżowski kapitałami towarzystwa chciał ratować swe prywatne interesa, posądzono go o egoizm, sobkownstwo, dumę i lekceważenie szlachty! Nie przebaczano mu jego dowcipu i wesołości.

Partya dożywotniego radcy zacierała z radości ręce, dolewając oliwy do ognia.

Przebaczamy biednemu ubóstwo, lecz nie przebaczymy nigdy upadku, stojącemu na pewnej wyżynie. Gdy się stacza na dół, widzimy w nim człowieka, podobnego nam, i wtedy nie możemy mu darować choćby *mimowolnych upokorzeń, lub zazdrości, jakie dawniej wzbudzał.

Lubimy się mścić i mścimy się z rozkoszą.

Radca tryumfował, powtarzając często:

— Znam ja naszą szlachtę! Jużto ona nie da się za nos prowadzić bankrutom.

Radca znał szlachtę; istotnie często ona daje się prowadzić nie wiedząc komu, gdzie i dokąd.

Żydzi z miasteczka przyznawali się z półuśmiejem do pobieranych od pana Stefana procentów, mówiąc interesentom:

— Jeżeli taki wielki pan jak pan Czyżowski daje dwa-dzieścia, to wielmożny pan jeżeli zapłaci trzydzieści, to i tak będzie mało.

— Bo Czyżowski pan bankrut — wołał pożyczający.

— Nu, nu, co wielmożny pan mówi — nim tłusty schudnie, to chudego djabli wezmą.

I chudy szlachcic gniewał się na żydów, a odgrażał się Czyżowskiemu panu za podnoszenie procentów.

Pomimo że w miasteczku pan Stefan nie miał stu rubli długu, żydzi postanowili przy pierwszej sposobności skorzystać z plotki czy prawdy o ciężkim stanie interesów w Czyżowie.

Gdy wieść gruchnęła o wystawieniu na sprzedaż lasów czyżowskich, w tej chwili rozciągnęli sieci, poprzecinali drogi wiodące do Czyżowa, odpowiednio się zorganizowali i ułożyli plan działania. I tak, pierwszy agent domu handlowego drze-

wem, który zawitał do Czyżowa, dawał dwieście rubli za morgę, drugi sto pięćdziesiąt, trzeci sto, a czwarty osmdziesiąt.

Na czwartym stanęła konkurencya, nikt więcej się nie zgłaszał. A ponieważ żydzi trzymają w rękach handel drzewem, zatem drogi wiodącej do lasów czyżowskich zamkniętej przez nich, nikt nie ośmielił się otworzyć.

Smutno było w czyżowskim dworze. Pan Stefan zposepniał, stracił humor, przysiwiał. Adam z panem Walentym pracowali cały dzień za domem.

Wanda mało wychodziła ze swego pokoju, od Celinki odleciał dowiec, Marylka marzyła o Szczawnicy, pani Karolina coraz częściej plakiwała.

Artur zerwał po ostatniej wizycie zupełnie, na Hipolita nie zwracano uwagi, sąsiedzi rzadko przestępywali próg domu, a szlachta omijała pałac, z którego, podług ich przekonania, wiała ruina.

Udało się panu Stefanowi ułożyć parę świetnych projektów, do ich jednak zrealizowania potrzeba było gotówki, o której roku tego nie mogło być mowy, gdyż cały dochód zaledwo mógł wystarczyć na pokrycie procentów.

— Królestwo za dziesięć tysięcy rubli — wołał zrozpaczonem głosem króla Ryszarda. Ryszard konia, pan Stefan dziesięciu tysięcy nie znalazł.

Ciskał się jak lew w klatce, i padał bezsilny.

— Czemuż te wielkie projekta, ta chęć ratunku nie przyszła przed dziesięciu laty! — rozmyślał pan Walenty i ciężko wdychał. Wtedy była gotówka, był kredyt, uznanie u sąsiadów, wzięcie u szlachty. Wszystko na ostatnią godzinę, a ta ostatnia godzina zwykle dobija nas. Starzec machał rozpaczliwie ręką, kiwał smutnie głową, lzy obcierał i wracał do gazet, w nich, a raczej w przewidywaniu wojny europejskiej szukając zbawienia.

Smutno było w czyżowskim dworze, a w okolo niego jak w okolo zaczarowanego zamku, wznosiły się nie już plotki, lecz potwory fantazyi ludziej.

XXI.

Jeszcze ostatni, ale już pewny środek, ostatnie wysilenie, ostatni ratunek w zwyczajnym biegu spraw ludzkich, posiadał pan Stefan, i z nim postanowił wystąpić.

W tym celu zamknął się w swym gabinecie z Adamem, prowadząc z nim długą naradę ekonomiczno-gospodarską. Adam w kwestyi cyfr uznał za właściwe wezwać pana Walentego, czemu się ojciec zupełnie nie sprzeciwiał, owszem, rad był z tego, spodziewając się poparcia z jego strony.

Przy układaniu sperandy okazało się, że rok przyszedł, jest nadzieja, da więcej dochodu o dwa tysiące rubli; za to w tym roku na utrzymanie domu należy zaciągnąć pożyczki pięć tysięcy rubli.

— No i widzisz, drogi Adasiu, do czego prowadzą twe zabiegi, praca nad siły, szamotanie — rzekł z powagą pan Stefan.

— Za dwa lata będziemy mieli więcej o cztery tysiące, za trzy dochód się zwiększy o sześć...

— A przez te trzy lata zrobimy długu najmniej dwanaście tysięcy! A posagi dla twych siostr... Nie, temi środkami nie dojdziemy do celu.

— Podług mego zdania, nie ma innych środków, mój ojcie — chyba las sprzedać po ośmdziesiąt rubli morgę. Lecz czy dadzą dziś i ośmdziesiąt rubli — to kwestya?

— Nie ma innych środków, i nie może być innych — odezwał się z powagą staruszek, zamykając »wielką księgę rachunkową«.

— Jest jeden pewny i niezawodny — rzekł pan Stefan uroczyście.

Pan Walenty i Adam słuchali ciekawie.

— Lecz środek ten wymaga pewnego poświęcenia z twojej strony, Adasiu.

— Jeżeli idzie o moje poświęcenie, bądź ojciec pewien, że się nie cofnę przed żadną ofiarą.

— O tak, Adaś dla szczęścia rodziny nie cofnie się przed najcięższym poświęceniem — poświadczył z zapalem pan Walenty.

— Kup Czyżów! Zmiluj się nad nami i kup Czyżów. Adam zbladł, pan Walenty pokiwał smutnie głową mówiąc z gorzkim uśmiechem:

— Koncepta się roją jaśnie panu.

— Ależ panie Walenty, w tak ważnej chwili koncepta? Co ci w głowie? Mówię poważnie i seryo. Panna Radłowska już wróciła z wód sama, bez konkurenta. Matka jej oddawna marzy, aby się połączyć z naszym domem. Parweniuszce pochlebiałoby, gdyby jej córka nazywała się na Czyżowie Czyżowską.

— Prawda, prawda — szeptał starzec.

— Cóż więc łatwiejszego? Oddać parę wizyt, uśmiechać się konwencyjonalnie, powiedzieć parę komplementów, oświadczyć się, ożenić, kupić Czyżów, eksperymentować, bawić się, jeździć za granicę, otworzyć salony w Warszawie i siostry powydawać za mąż odpowiednio do ich stanowiska.

Pan Stefan marzył głośno, Adam odwrócony do okna patrzył w przestrzeń. Zobaczył smutek swego faworyta pan Walenty i na migi zwrócił na to uwagę pana Stefana.

— Ależ, mój Adasiu, nie wiedziałem, że cię tak ciężko zranię — zawołał przestraszony ojciec.

— Jeżeli idzie o poświęcenie się dla rodziny, nie cofam się — odrzekł stanowczo młody człowiek.

— Ani też rozpaczć nie masz zdaje mi się potrzeby. Panna Radłowska jest bardzo dobrze w salonie, wojażerka, mówi paroma językami, wprawdzie nieco tłusta, ale za to jest biała, oczy ma małe, lecz za to dużo mówiące.

— Zgadza się — szepnął Adam, chcąc przerwać drażniące go perswazyje.

— Niedługo przyzwyczaisz się, a później polubisz ją. Wieleż to małżeństw kojarzy się bez miłości, a były i są szczęśliwe.

— Jedziemy, jeżeli ojciec sobie życzy, nawet jutro — odparł i wyszedł z pokoju.

Dogonił go pan Walenty.

— Adasiu, domyślam się, że ty marzysz o gorącej miłości, o współczuciu, o poezyi! Ale czyż to nam wolno nawet się kochać w tych ciężkich czasach.

— Bylbym stokroć razy szczęśliwszym, gdybym nie miał nic, znalazłbym sobie odpowiedni grunt do pracy i pracował spokojnie na kawałek chleba.

— I cóżby ci z tego przyszło? A tak spełnisz w życiu wielkie zadanie, wydzwigniesz jeden stary ród. Słyszysz? Przywrócisz do dawnej świetności Czyżowskich. Nie wartoż poświęcić na to jednego życia?... Twoje dzieci...

— Będą głupie — zawołał rozdrażniony w najwyższym stopniu Adam.

— Co ty mówisz?

— Chcesz pan, żeby dzieci próżnej, ograniczonej kobiety i osła mężczyzny, który się żeni dla grosza, były geniuszami?

— Niech będą tylko porządnymi ludźmi.

— Porządnemi osłami! — krzyknął i zaczął biedz z całych sił w pole, aby się uwolnić od uwag, rad i rozlicznego rodzaju pociech, które raniły go i drażniły.

Pan Walenty patrząc za uciekającym, załamał ręce, powtarzając z rozpaczą:

— Sfiksował, na piękne sfiksował! — I wtedy cały swój żal wylał na pana Stefana, zagranicę, filozofię i materializm, bo o pozytywizmie jeszcze nie słyszał. Ponieważ w ostatnich czasach Celinka była największą jego faworytką, a również widział serdeczny stosunek między nią a bratem, poszedł do dziewczynki na naradę, powtarzając całą rozmowę ojca z synem i ucieczkę Adama.

Celina zrozumiała poświęcenie brata, nie tracąc czasu, poszła za nim w pole, odszukała go i razem późno wieczór wrócili.

* * *

Dziedzic czyżowski umiał być energicznym, gdy szło o dogodzenie fantazy i przeprowadzenie planu; nie wiedział tylko, co to jest wytrwałość i pracować nie umiał.

Nazajutrz popołudniu odświeżony powóz wioził panią Karolinę, Celinę i dwóch podług ostatniej mody ubranych panów. Milczeli wszyscy. Jeden pan Stefan uśmiechał się rozkosznie do swych projektów.

Dwór w Kaźmierzowie nie był ani tak starym ani tak okazałym, lecz za to wewnątrz bogato i obficie go udekorowano.

Przyjęcie ze strony pań Radłowskich było czule, ze strony pani Karoliny serdeczne. Pan Stefan błyszczał dowcipem, Adam nie odstępował panny Anny, co pochlebiało jej dumie i próżności.

— Ukorzył się i przyszedł — powtarzała w duchu.

Celinka spacerując z milionową dziedziczką po ogrodzie szeptała jej, że Adam nieustannie się wypytywał, kiedy wróci gniewał się na długi jej pobyt u wód i zdaje się — tęsknił.

Panna Anna uśmiechała się, lecz nie odpowiedziała, powtarzając w myśli:

— Ukorzył się, zgiał dumny kark...

Tryumfując, była wesołą i mówiącą, Celinka potrafiła ją rozbawić i ożywić.

Wizyta skończona, ciężki kamień spadł z serca naszych pań i panów. Adam wracał zamyślony, pani Karolina siłała się chwalić panią Radłowską, pan Stefan mówił obszernie o przysiotach panny Anny, które umiał wynaleźć. Jedna Celinka nie śmiała przez wzgląd na brata odzywać się — i nareszcie udało jej się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, gdyż była pewną, że przez to przysłuży się — ofierze poświęcenia rodzinnego.

— Co ten chłopak chce — myślał pan Stefan — dziewczyna wcale nie głupia i wcale nie brzydka! Zapomniał, że sam przed trzydziestu laty szalał z miłości, walczył ze swym ojcem i cierpiał, bo pani Karolina, ongi panna Karolina nie była wcale świetną partją. Po powrocie do Czyżowa nieustannie odbywały się narady kółka rodzinnego. Celinka nie wiem już wiele razy była wzywana do powtórzenia swej rozmowy z panną Anną. Również musiała opowiadać, jaką przy tym lub owym wyrazie miała bogata dziedziczka minę, czy się uśmiechała serdecznie, czy była zamyśloną, rozmarzoną.

W właściwym podług praw etykiety czasie, oddała wizytę w Czyżowie pani Radłowska z córką. Za dni parę Adam, czyniąc zadość naleganiom ojca, pojechał do Kaźmierzowa sam.

Cała rodzina wiedziała o poświęceniu Adama, lecz nikomu nie przyszło na myśl odwozić go od tego poświęcenia. Pani Karolina, Wanda i Marylka wierzyły w to, że Adam robi świetną partję i dlatego musi być szczęśliwym. Celinka jedna nie marzyła o szczęściu Adama, lecz za to myślała, że mu na świecie będzie dobrze, dostatnio i wygodnie. O rozpacz nie było mowy. Zdaje się, że sam Adam nie rozpaczał.

W parę tygodni od czasu rozpoczęcia konkurów, pan Stefan z synem wyruszyli do Kaźmierzowa w stanowczym zamiarze zainterpelowania dam, czy Adamowi wolno będzie »bywać w domu«, jaśniej mówiąc, starać się o pannę.

Fatalizm widocznie prześladował tę rodzinę, zastali Artura uśmiechniętego, pewnego siebie, tryumfatora.

Złowrogie przeczucia opanowały myśli i serce ojca, stracił na humorze. Przeciwnie Adam zachowywał się z pewnym odcieniem radości, był wesołym i jakby na przekór dowcipnym i ożywionym, Żartował i dużo mówił, chociaż Artur irytował go.

Panna Anna spodziewała się po Adamie ponurego wejścia, ciężkich westchnień, inaczej wszystkich oznak rozpacz — a zobaczyła dobry humor i wesołość. Panna Anna pomimo tuszy była romantyczną, lubiła patrzeć na blade twarze, łzami zwilżone oczy. Lubilałaby nawet usłyszeć wyrazy

pelne grózb, zapowiedzi samobójstwa. Niestety nie usłyszała ich. Musiała ją to gniewać i pewnie dlatego robiła wszelkie możliwe ustępstwa Arturowi, wyróżniając go stanowczo. Artur podał jej ramię, gdy szła do ogrodu; przy kolacyi rozmawiała przeważnie z nim, uśmiechała się do niego.

Ojciec i syn byli pewni, że jest już po słowie. Pan Stefan przygryzał wargi z gniewu i oburzenia, siedząc zachmurzony i posepny. Za to Adam, pomimo wewnętrznego rozdrażnienia i gniewu wybornie się bawił z panią Radłowską.

Projekt oświadczenia upadł, przynajmniej na dziś. Panowie Czyżowscy odjechali; Artur został.

Przez całą drogę ojciec z synem nie zamienili ani jednego wyrazu.

Panna Anna tryumfowała.

— Bankrut ten — mówiła w duchu — gdy nie wiedział o stanie swego majątku, lekcewał mnie, każąc mi rozdawać to co mam!... Dziś, gdy już stracili kredyt, gdy lasu ich nikt nie chce kupić, wyciągają ręce po moje miliony... A jednak Czyżowscy stary ród, weszłabym odrazu do arystokracji, byłabym z nią jak z rodziną! Adam rozumniejszy od Artura i przyjemniejszy, lecz Artur piękny, elegancki, silny, a jak pachnie — zarumieniła się.

— Gdyby Adam ożenił się ze mną i kupił Czyżów, Artur wróciłby do Wandy, do tej dumnej, pięknej, wyniosłej Wandy! Tryumfowałyby potem i śmiała się ze mnie... Nie, nie, nie będziesz go mieć, nie będziesz tryumfować, bankrut nie zostanie moim mężem, ludzieby się ze mnie śmiali, że wtedy dopiero przyszedł tu, gdy wszędzie indziej przegrał.

Zazdrość i ambicja zdecydowały o losach panny Anny, Adama i Artura. Podobne podobnych szukają i dlatego małżeństwa z wyborów często są dobrane.

Po tym monologu do poduszki bohaterka z Kaźmierzowa zaczęła marzyć o sile i piękności Artura i jego pociągającym zapachu.

I znowu narada pana Stefana z panią Karoliną a w obecności Celinki trwała długo. Po debatach postanowiono, aby pan Stefan napisał do pani Radłowskiej list, winszując jej delikatnie wyboru zięcia — pannie męża. Na odpowiedź czekano jak zwykle skazaniec czeka po wyroku śmierci na akt ułaskawienia.

Nareszcie posłaniec wrócił, przynosząc odpowiedź.

Pani Radłowska dziękowała serdecznie za życzenia, i w dół wielkiej swej sympatii dla tak bliskich sąsiadów, ośmiela się zdradzić tajemnicę serca Andzi. Przyznaje, że jest zajęta panem Arturem, i jeżeli nie stanie się coś nieprzewidzianego, zostanie jego żoną. Przytem prosiła o dochowanie sekretu, nawet przed Anusią, chociaż, mówiąc prawdę, Anusia z mamą układały wspólnie list.

A zatem przegrana na wszystkich punktach — drogi ratunku zabarykadowane! Rozpacz opanowała całą rodzinę, nie wyjmując najenergiczniejszej Celinki.

I na Adama wiadomość zręcznej odpowiedzi mamy Radłowskiej oddziaływała przygniatająco. Czuł się upokorzonym, a do myśli ożenienia się z milionową panną już się przyzwyczaił. Układał plany ratunku rodziny, wydania sióstr za męż, podniesienia gospodarstwa w Czyżowie, założenia na jednym z folwarków stacyi doświadczalnej, urzędzenia podług ostatnich zasad nauki — lasu, zaprowadzenia rybolóstwa, chowu bydła... W każdej wiosce należącej do dóbr Czyżowskich i Kąźmierzowa miała być szkoła, kasy oszczędności, wzajemnego kredytu i wiele, wiele innych pięknych i pożytecznych rzeczy!... A tak zostały długi, ciężka walka o jutro i przyszłość groźna a ponura.

Można się prędko przyzwyczaić do myśli posiadania milionów, choćby z dodatkiem tłustej, lecz za to białej żony.

Rozpacz pana Stefana polegała zdawało się na tem, że nie mógł na razie znaleźć ani jednego projektu, ani jednego planu ułożyć. Cierpiał na bezplanowość. Myśl jego rozbijała się o ściany pokoju, jak ptak w klatce.

Wiedział, że należało naprzód ratować Czyżów, przywrócić mu dawną świetność, a dopiero myśleć o dobrych partyach.

Salacka dobrze się знаła z garderobianą panny Anny, i od niej przyniosła wiadomość, którą powtórzyła w wielkiej tajemnicy przed panem Stefanem, że wiele razy też garderobiana z nakazu Salackiej zaczęła chwalić przed swą panią pana Adama, tyle razy panna Anna odpowiadała.

— Szkoda, moja droga, żeś go nie chwaliła wtedy, gdy nie mówiono o złych interesach Czyżowa.

Spowiedź Salackiej dużo rzeczy nauczyła pana Stefana, a mianowicie, że z ludźmi należy się mierzyć równymi siłami.

Pan Walenty zwątpił o wszystkim, gospodarując i rachując raczej z przyzwyczajenia, jak z poczucia obowiązku.

Przyjechał Julek z Warszawy, skończony prawnik, cichy, poważny, oddany nauce młodzieniec. Rozweselił rodzinę, ożywił ją, rozruszał, lecz tylko na chwilę. Matka więcej miała powodów do łez, nie mogła bowiem pogodzić się z myślą, aby syn jej mógł przez pracę ciągnąć zyski ze swego zawodu.

Julek nie miał pojęcia o stanie interesów Czyżowa, nie miał również pojęcia o gospodarstwie. Znajomość prawa rzymskiego, karnego i procedury, okazała się bezużyteczną. Niepraktyczny i przerażający się, wszędzie widział sekwestrację, procesa, ruinę; tęsknił za nauką, profesorami i kolegami. Przemysliwał, jakimby sposobem wydobyć się z domu na szerokie pole nauki.

Miał zamiar jechać do Berlina, Bonn, Heidelbergu, lecz nie śmiał w tak krytycznych czasach występować ze swemi projektami. Marzył o profesorskiej todze, lecz milczał.

Adam jeden zawzięcie pracował. Od świtu do nocy na wózku lub na koniu, orał, siał, włóczył. Sprzedał po cichu swego ulubionego wierzchowca i kupił za niego kości i fosforanów, rzucając je obficie pod pszenicę.

Mało miał nadziei utrzymania się przy Czyżowie, ale robił co mu nakazywał obowiązek. Nareszcie pracował dla zagłuszenia smutku i ciężkich przeczuć.

Pan Stefan widząc mozolną pracę syna, powtarzał do siebie, wzruszając ramionami:

— Ludzi się biedny poeta, myśli że dosianiem o dzieśięć korcy więcej pszenicy, wyratuje majątek i rodzinę.

Pan Stefan w ostatnich tygodniach często zwracał wzrok na Dobiesławice.

Pan Walenty wybrał się do Kielc. Mówiono, że w mieście tem są Niemcy szukający lasów. Umiał troszkę po niemiecku, zabrał szacunkowe wykazy lasów czyżowskich, i nie mówiąc nic nikomu, pociechu pojechał.

Starożytne miasteczko Szydłowiec, umieszczone blisko na połowie drogi między Radomiem a Kielcami, jest dogodnym miejscem odpoczynku dla podróżnych.

Wieczorkiem zajechał do jedyne go zajezdnego domu, konie kazał paść, a sam zjadłszy kolację — położył się. Pokój, w którym stał, przytykał, przegrodzony cienką ścianką z desek, do jadalnej, a zarazem bilardowej sali.

Na godzinę przed północą obudził go gwar i głośnie śmiechy tylko co przybyłych podróżnych, jadących do Jędrzejowa na jarmark z końmi, lub po konie.

Wrzawa i głośnie opowiadania nie pozwalały starsuszkowi zasnąć, zdawało mu się, że poznaje znajome głosy, zapalił fajkę i słuchał.

Rozmowa krzyżowała się, splatała i rozbiegała, tocząc się na temat jutrzejszego jarmarku, zasiewów i polityki. Herbata z arakiem, poncz a przedtem wódeczka rozbudzały wesołość, uspasabiając do wynurzeń.

Pan Walenty domyślał się po zakłęciach i ochrypłych basach *minores gentium* panów ekonomów i pisarzy. Nie dziwił się też, gdy dyskusya wpadła na dwory okoliczne, na właścicieli ziemskich odpowiednio obrabianych, przy wykrzyknikach szyderstwa, oburzenia i przekleństw.

Po nad wszystkimi przewodził bas pana Gębalskiego. Poznał go odrazu, a nie miał już żadnej wątpliwości, gdy szanowny ten mąż zaczął obrabiać Czyżów i jego mieszkańców.

Opowiadał, jak służył wiernie, jak się zapracowywał, jak go sromotnie wygnano, oszukano i skrzywdzono. Pana Walentego nazwał »starym psem«, przytaczając zabawną historię, jak ten »stary pies« umizgał się do jego żony, jak się żona poskarżyła przed nim, jak on się zaczął na »starego psa« i »wyłoił« go cybuchem.

Pan Walenty słuchając uśmiechał się, lecz gdy Gębalski zaczął mówić o ruinie Czyżowa, o wielkich długach przerażających wartość majątku w dwójnasób, krople zimnego potu zaczęły mu spływać po czole. A gdy wpadłszy na pana Stefana nazwał go osłem i głupcem, a Adama lajdakiem, który razem z tym »starym psem« wygnali go, aby resztki z Czyżowa rozdrapać dla siebie — ręce drżeć mu zaczęły. Nareszcie gdy Gębalski przeniósł swój gniew na panią Karolinę i panny Czyżowskie, pan Walenty zerwał się, pochwycił dubeltówkę, położył ją na stole i zaczął się gorączkowo ubierać. Głowa mu płonęła, szczęki latały, nogi pod nim drżały, dławilo go w gardle, piersi gniótl ciężar nieżnośny.

— Milcz ty nikiemniku! — rozległ się silny, świeży głos z przeciwnej strony sali jadalnej.

— Obdzierałeś, skradłeś, niszczyłeś Czyżów, i gdy cię wygnano, mścisz się i jadem swym chcesz powalać tę złą rodzinę!

— Coś ty za jeden? — zahuczał bas Gębalskiego.

— Ja ci pokażę łotrze, co ja za jeden. Ty się raczej pytaj, kto ty jesteś, a sumienie ci na to odpowie: »Kradłem najlepszego z panów, a teraz chcę go zbezczeszczyć, za to, że mi jego syn nie pozwolił kraść więcej.

— Ja jestem takim obywatelem jak pan i radzę nie zaczepiać mnie pókim dobry — przerwał Gębalski, nie tak już głośno jak poprzednio.

— Siedząc parę lat w Czyżowie, ukradłeś tyle, żeś wlaź na dzierżawę i na lichwę pożyczasz. A zamiast błogosławić swego pana, plwasz nikiemniku na niego. Ale ci wara podnosić głos na tę świętą kobietę, która jest żoną jego, a była

twoją dobrą panią, ale ci wara miotać się na dzieci twego pana, bo za to czeka więzienie. Wzywam obecnych na świadków, a od tego kto potakiwał temu łotrowi, żądam dowodów.

Zrobiła się cisza, słychać było odgłos kroków i trzaśnięcia drzwiami wychodzącego.

Staruszek padł na kolana, zalał się łzami, wznosząc ręce do góry.

— Co to za jeden — pytali Gębalskiego towarzysze.

— A któżby — odpowiedział cicho — jeżeli nie ten z Dobiesławic. Ale dam ja mu — rzekł — zaczepiać porządnego człowieka.

— Z Dobiesławic — powtórzyli, i jeden za drugim zaczęli się co prędzej wymykać z obozu.

Widocznie dziedzic z Dobiesławic i jego syn mieli opinię ludzi energicznych, lubiących dotrzymywać obietnic.

— A gdzież uciekacie? — wołał za odchodzącymi Gębalski. — Napijemy się jeszcze po szklaneczce ponczu. Cóżto, boicie się panowie pierwszego lepszego smarkacza?

Zdaje się, że bano się go. Gębalski został sam, usiadł, oparł na rękę wielką swą głowę, i kończąc poncz, powtarzał półgłosem:

— Ja taki dobry obywatel jak ty — rozumiesz? Zaczep mnie tylko, a pokażę ci.

— A wie pan, panie Gębalski, gdzie poszedł młody pan z Dobiesławic? — rzucił pytanie wystraszony gospodarz.

Gębalski oczy wytrzeszczył.

— Prosto do swego przyjaciela, pana Dłużewskiego sędziego, co go przeszłego roku chłopstwo wybrało. Świeciło się w mieszkaniu i zaszedł tam. Anusia na własne oczy widziała.

Gębalski zapłacił za poncz, nasunął czapkę na uszy, kazał zaprzęgać i pojechał nie na jarmark, ale wprost do domu naradzić się z Kosmacińską z domu, kochaną Kundusią, w której rozum wierzył.

Przez drogę sumienie perswadowało mu, że nie był takim obywatelem jak pan Stanisław z Dobiesławic, ale Gębalski

umiał sobie dać radę z własnem sumieniem i dumny był, jeżeli go Kundusia pochwalila, co mu się jednak rzadko zdarzało.

Po zapanowaniu ciszy w sali jadalnej, pan Walenty przywołał do siebie właściciela zajazdu.

Za parę chwil wpadł zadyszany, mały, chuderlawy, szastający się człowieczek.

— Kto to był ten pan, który uciszył Gębalskiego?

— Wielmożny pan nie spał, ten pijak pewno pana zbudził swoim ozorem. Co nie wygadywał!?

— Kto był ten, który mu odpowiedział.

— A przecież go wielmożny pan zna, jak własnego syna.

— Kto? — krzyknął rozgniewany staruszek.

— Młodszy pan Dobiesławski.

— Pan Stanisław! — zawołał.

— Pan Stanisław, bo pan Leon jest starszy pan — odparł filozoficznie mały człowieczek i uśmiechnął się ze swej przezorności i dobrych stosunków ze wszystkimi panami w okolicy.

— Pan Stanisław — powtarzał stary zdziwiony.

— O, o, to mi pan — mówił człowieczek — to mi to pan z panów — takich teraz nie wielu jest. On Gębalskiego nauczył rozumu, tego lajdaka. Żeby nie to, że pija u mnie arbatę z rumem i poncz, jak Boga kocham wygnałbym go za drzwi.

— Każ pan zaprzęgać — dał rozkaz pan Walenty, wybierając się do drogi.

— Wielmożny panie, niema jak po północy.

— Każ zaprzęgać!

— Ha, stanie się po woli pańskiej — odparł urażony człowieczek — a jeżeli sobie panowie dziedzice życzą, to Gębalskiego więcej do mego domu nie puszczę.

— Noga żadnego ze szlachty tu nie stanie, rozumiesz — zawołał staruszek, dając tym sposobem folgę swemu gniewowi i rozstrojonym nerwom.

— I cóż ja winien! Zmiłujcież się panowie, to mi trzeba będzie zwinąć manatki i uciekać za dziesiątą granicę. A bo-

dajby ci ty ekonomiczna duszo ożór kołem stanął — odgrażał się człowieczek na Gębalskiego.

— To w pańskim zajeździe kuja się potwarze na szlachtę, i szlachta ma tu stawać, aby ich słuchać. A to mi się podoba.

— Wygnam, jak Boga kocham, wygnam, niech się tylko pokaże, a nie róbcie mi Jaśnie Wielmożni panowie despektu, abyście mieli zajeżdżać do Herszka. Mały człowieczek pocałował Walentego w rękę, szastając nogami jak tylko umiał najzgrabniej.

Pan Walenty rozbrojony wszedł na bryczkę, a mały człowieczek przerażony pobiegł czatować na młodszego pana z Dobiesławic.

Znalazł go.

— Jaśnie panie — mówił frasobliwie, kłaniając się, tego lajdaka Gębalskiego wygnałem na cztery wiatry, jak mi Bóg miły.

— Cóż mnie to obchodzi — odparł Stanisław.

— Nic, cóżby pana taki Gębalski obchodził, tylko tak sobie powiedziałem, byle coś gadać, bo nawet co innego chciałem Jaśnie panu zakomunikować — dodał tajemniczo.

Stanisław stanął.

— A to jest to — szeptał człowieczek, że pan Walenty z Czyżowa jak raz spał pod ścianką przytykającą do sali jadalnej.

— I słyszał?

— Słyszał wszystko, bo zawołał mnie i pytał się, kto zatkał głowę Gębalskiemu — nie poznał głosu Jaśnie pana.

— Powiedziałeś mu?

— Jak pragnę Boga przy skonaniu.

Stanisław zamyślił się, i nie odpowiadając małemu człowieczkowi, poszedł do swego pokoju.

Wózek, na którym siedział pan Walenty, toczył się po bitej drodze do Kielc. Staruszek czuł się przygnębiionym ostatnimi wypadkami, z rozkoszą powiesiłby Gębalskiego... Stanisław, jego energia, dzielność, szlachetna obrona, upokarzały go.

— A może ja stary nie znam się na dzisiejszych ludziach — zawołał.

Po tym wykrzykniku zaczęła się odbywać w umyśle zagnanego starca reakcja na rzecz Stanisława. Po reakcji przyszedł żal, a nawet wyrzuty sumienia.

— O całym zajściu powiem tylko Adasiowi. Naradzimy się co dalej robić...

W Kielcach znalazł Niemców, kupców lasu, lecz i ci byli pod wpływem miejscowych żydów, a kupowali przeważnie drzewo masztowe.

I tak wrócił z niczem do domu, do późna w noc radząc ze swym ukochanym Adasiem.

XXIII.

Przed samym zachodem rozbiegła się wieść we dworze czyżowskim, że pan Stanisław z Dobiesławie bawi u pana Walentego w oranżeryjce.

Pan Stefan nie chciał robić ustępstw młodemu człowiekowi, który go w jego przekonaniu obraził, lecz kazał szukać Adama.

Służba rozbiegła się za młodszym panem.

Odnaleziony powrócił na spienionym koniu. Pan Stefan czekał na niego na werandzie dworu.

— Adasiu, zachowaj się z godnością, poważnie — mówił mu. — Staraj się wybadać przeciwną stronę z czem przychodzi.

Lecz Adam nie słuchał, zeskoczywszy z konia, biegł całą siłą młodych nóg do oranżeryi, otworzył gwałtownie drzwi i ze łzami w oczach rzucił się w objęcia kolegi i przyjaciela.

Celinka wprowadziła Wandę do ogrodu. Przechadzające się po grabowej alei dziewczynki widziały galopującego na koniu Adama i śledziły za biegnącym do mieszkania pana Walentego. Przestraszone zbliżały się powoli do oranżeryi, obchodząc ją zdaleka od strony świerków.

Pomimo, że okna były otwarte, nie mogły nikogo wewnątrz dojrzeć, lecz za to słyszały dobrze znany im głos, silny, metaliczny, podniesiony. Opanowane wymową, nie były w stanie cofnąć się. Celinka ścisnęła rękę Wandy. Wanda swe wielkie oczy przysłoniła rękami. Słuchały!

... »Jestem egoistą dlatego, że widzę świat i ludzi ja-kiemi są — że mam wstręt do sentymentalizmu, że nie ubieram w tęzowe barwy tego, co mi się podoba, a nie maluję na czarno tych rzeczy, do których nie mam pociągu. Jestem egoistą dlatego, że rachuję. Wszyscy ludzie pracują dla zysku, a wielu szuka zysków natychmiastowych, wielkich, olbrzymich! Ja staram się dobrze rachować i dlatego oczekuję zysków możliwych. Że zaś układam prawdopodobne rachunki, zasługuję na nazwę egoisty, a ci którzy o idealnych, milionowych zyskach marzą, są idealistami.

Zawiedzeni w rachunkach sentymentalni idealiści, co zrobili, lub robią dla siebie, otoczenia i kraju, dla gospodarstwa, nauki i bliźnich? Cierpią nad zawodami, narzekając na gospodarstwo, naukę i bliźnich.

— Stasiu — przerwał Adam — ja cię nigdy nie posądzalem o egoizm, a dlatego jedynie nie spieszyłem się do Dobiesławic, abyś mnie nie posądził, że chcę powtórnie nawiązać pieniężne stosunki przerwane przez ojca.

— Gdybyś je nawiązał, byłoby to z obopólną naszą korzyścią. Twoja drażliwość byłaby uratowaną, gdyż wiedziałbyś dobrze, że nie idzie o żadną łaskę, a o wspólne korzyści.

— Ojciec miał do was żal!

— Za to, że zaproponowaliśmy panu Stefanowi nawodnienie łąk czyżowskich własnym kapitałem, a później procent i kapitał chcieliśmy odebrać sianem, którego przybyłoby o pięćset cetnarów więcej. Myśmy tylko żądali dwieście pięćdziesiąt cetnarów przez lat dziesięć. Innego kapitału nie mieliśmy pod ręką. Za te dwa tysiące rubli byliśmy zmuszeni kupić piętnaście morgów nędznych łąk... I dziś możeby inaczej toczyło

się życie nasze — inne praca nasza wydawałaby owoce, inny byłby wpływ na ludzi, którzy nas otaczają...

Dziewczynki usłyszały odgłos kroków rozbijających się o żwirową ścieżkę, obejrzały się przestraszone. Lokaj niósł na tacy podwieczorek. Bojąc się zwrócić uwagę, cofnęły się pospiesznie; później nie śmiały już powrócić na swe stanowisko.



CZEŚĆ DRUGA.

I.

Twardą, gładką a szeroką drogą, wysadzoną owocowemi drzewami, jechało dwóch mężczyzn. Konie rosłe, półkrwi angielskiej, stapały lekko, a jednak pewnie i śmiało. Jeźdźcy, wido-
cznie zamyśleni, milczeli.

Starszy, chudy, silnie zbudowany mężczyzna, rzucał z po-
za ściągniętych brwi z siwych, dużych oczu, ostre spojrzenia. Twarz jego byłaby surową, gdyby nie uśmiech nieco ironiczny; usta bowiem miał wąskie i zamknięte. Włosy szpakowate, wąs gładki i równy — twarz opalona od słońca. Całość mogłaby służyć za typ żołnierza, choć jeździec nigdy w wojsku nie słu-
żył. Nie przyciągał na pierwszy rzut oka, chociaż i nie odstra-
szał. Czuć było, że więcej myślał jak mówił.

Młodszy, szerokich ramion i dobrego wzrostu, patrzył w przestrzeń daleko, jak gdyby marzył, jak gdyby myśli swe rzucał w świat — do słońca. Oczy miał duże, ciemne, przez które palące się namiętności świeciły; wejrzenie szlachetne, rysy otwarte. Serdeczność z nich wyglądała. Niespokojne ruchy zdradzały drażliwość nerwów. Nie był pięknym, lecz za to sympatycznym, i gdy dłoń silną wyciągnął, można ją było śmiało ucisnąć.

Na szerokim łanie dwadzieścia pługów przewracało ziemię. Jeźdźcy skierowali się w tę stronę. Konie lekko i z wdziękiem przesadziły przydrożne rowy, nie robiąc na jeźdźcach żadnego wrażenia.

Starszy śledził okiem, przeglądając zagon po zagonie, zatrzymywał się prawie przy każdej skibie — młodszy patrzył w przestrzeń, podobny do zakochanego lub znudzonego marzyciela.

Praktykant pilnujący roboty w polu, zdał raport. Starszy dawał rozkazy, młodszy jechał stepo naprzód. Zdawało się, że go nie nie obchodziło, co się wkoło niego działo. Koń parsknął, wstrząsał małym łebkiem i szparko się staczał po pochyłej falistości wzgórza.

Zatętniało.

— Staś!

Młody człowiek stanął i obejrzał się.

Starszy galopując, dogonił go i zrównał się z nim.

— Mój chłopcze, jakiś jesteś nie swój — zakochanyś, czy myślisz się kochać. I zamiast uśmiechać się radośnie do stanu swego serca, udajesz zrozpaczonego.

— Ciężko mi mój ojeze.

— Aż ciężko, to już zaczyna zakrawać na dramat.

— Być może, lecz osobistość moja niknie wśród ciemnego tła krajobrazu.

— Zaczynasz być zagadkowym, co ci się rzadko zdarza, a że ja nie znam się na żadnych alegoriach — proszę cię, mów jasno — otwarcie i stanowczo. To mój zwyczaj.

— Mój ojeze, smutno mi. Żyjemy jak na oazie, gdy wkoło nas pustynia. My trzymamy się dobrze, u nas jest pewna zamożność, ład, porządek, a nawet ślady cywilizacji; wokoło nas tymczasem grozi wszystko ruina.

— I cóż na to poradzić?

— Mamy kapitał, doświadczenie, pewne wiadomości i antykorupceni, oddzieleni jakby chińskim murem — żyjemy sami.

— Sami — przerwał ojciec bo nas nie chcą. — Sami, bo gdy się do nich zbliżamy, usuwają się,

— Może być, że nie umiemy przyciągnąć do siebie.

— Być może — zawołał nieco rozdrażniony pan Leon. Być może, że jestem zbyt szorstki, nieogłębnie mówię ludziom prawdę, nie odstępuję od moich opinii, zbyt stanowczo wygłaszam moje przekonania...

— Nadto surowo sądzisz się drogi ojcze.

I to być może, ale fakt jest faktem, że inaczej nie potrafię — i na starość nie chcę gnać dzikiej natury. Nareszcie ja zrobiłem swoje, to co zrobić powinienem i musiałem. Odziedziczyłem majątek zrujnowany, ożeniłem się bez posagu, z czego jestem dumny — i wytrwalością postawiłem gospodarstwo na stopie, na jakiej dziś stoi. Do tego dopracowałem na ciężkie lata troszkę zapasowego kapitału. Na to wszystko potrzeba było żelaznej woli, energii, wytrwałości, zaparcia się... I nie dziw, że się nieco zdziaczało w dwudziestoletnich zapasach, w walce o byt, i nie dziw, że się nabrało pewnej szorstkości, bezwzględności i uporu. Inaczej być nie mogło.

— Ty najszlachetniejszy z ludzi oskarżasz się o bezwzględność i upór?

— Oskarżają mnie fakta, lecz się zmienić nie potrafię i próbować nawet nie chcę. Ty co innego, mój chłopcze.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że chociaż wiele masz podobieństwa do mnie w energii i stanowczości, to będąc młodym, potrafiś się nagiąć, chwilowo zastosować do ludzi, aby ich w następstwie opanować i prowadzić.

— Już próbowałem — zawołał Stanisław.

— Próbowaliśmy, chciałeś powiedzieć. I próby rozbijały się o moją chropowatość i gwałtowność.

— Nie, nie — stokroć razy nie.

— Mój Stasiu, nie traćmy czasu na wzajemne komplemента — przerwał pan Leon — a mówmy szczerze i poważnie.

— Słucham cię ojcze.

— Prace nasze tak jak i życie rozdzielają się na dwa akta. W pierwszym bohaterem jestem ja. Walczę o posiadanie,

zdobyte organizuję, wyciągając dla siebie możliwą korzyść. Ty się przy mnie uczysz pracy i porządku. Widzisz, że nie żałuję sobie komplementów. Lecz od niedawnego czasu akt pierwszy ma się ku końcowi — i to od chwili, gdy ty prawem nieuniknionego postępu, podlegającego prawom ciężkości — pragniesz iść dalej i musisz iść dalej... Pojmuję ja twój niepokój, zamyślenie i twoją chwilową apatyę. Tęsknoty te oznaczają, że nadchodzi czas na akt drugi.

— Akt drugi, mówisz ojcze?

— Tak, akt drugi, czyli że to co posiadasz, już cię tak gorąco jak dawniej nie zajmuje. Obfitość naszych zbiorów nie zachwyca cię tyle, co w pierwszych chwilach twego gospodarstwa. Chcesz się oprzeć na tem co masz i iść dalej. Pragniesz szerszego horyzontu dla twych myśli i czynów — pragniesz oazę naszą rozszerzyć na okolicę — na powiat — na kraj cały.

Stanisław się zarumienił i spuścił oczy.

— Rumieniec twój, mój chłopeze, mówi mi, żem cię odgadł. Wrażliwa twoja natura radaby wiedzę i energię, którą posiadasz, rozsiać między ludzi.

Młody człowiek zrobił ruch ręką.

— Nie broń się, mój drogi, nie twoja to zasługa — prawa ruchu są jedne i te same — musisz, więc idziesz lub iść pragniesz. Nie będę cię zatrzymywał, bądź pewny. Zdobyłeś jedno, nie naturalniejszego, że chcesz zdobywać drugie. Pragnienia ludzkie są nienasycone. W zwyczajnych stosunkach jesteś dość szczęśliwym i dość bogatym.

— Że pragniesz teraz coś zrobić dla drugih, bardzo to właściwe — inaczej idee umierałyby zasklepione w mózgach jednostek. Wcielenie wymaga apostołów...

— Ależ to kwestya rolnicza — odezwał się cicho Stanisław.

— Porusz ją tylko właściwie, a wiele się to z niej wysnuje kwestyj społecznych i ekonomicznych — wiele namietności rozbudzisz? Musisz stanąć do walki z charakterem na-

rodu, z jego przyzwyczajeniami — i wyobrażeniami. Jest to rzecz trudniejsza, niż się może zdawać młodemu. Ale od czegoż młodość pragnąca wyrwać z posad bryłę świata! Nie wyrwie jej to pewna, lecz zawsze coś zrobić może. No, i ty ni sposobem idzie się naprzód.

— I ja mam pojęcie o trudnościach, zaporach i przeszkodach ze strony tych, dla których pracować radbym. Lecz mi ich żal — są to moi sąsiedzi, rodacy i wogóle dobrzy ludzie.

— Trudności te tem stają się większe — mówił pan Leon — że jesteś moim synem.

— Tego już nie rozumiem.

— A jednak jest to łatwe do zrozumienia. Całe życie walcząc, nauczyłem się ludzi traktować jak przeciwników; obchodziłem się trochę z nimi jak ze zwycięzonymi. Ty odziedziczyłeś po mnie ten sam sposób obejścia się, co więcej, miałeś upodobanie przedstawiać się gorzej, niż w istocie jesteś, często żartowałeś z siebie wobec ludzi, utrwalając fałszywe ich przekonania o sobie. Potakiwałem temu, bo nie cierpię pozowań na rozum, poświęcenie, zasługę, jednym słowem nienawidzę powag. A jednak to usposobienie twoje i rola jaką wśród ludzi przyjąłeś, szkodzić ci będą w przyszłej pracy. U nas w kraju kochają się w pozowaniu i powiatowych powagach. Ludzie namiętnie lubią, gdy się w pośród nich chodzi na koturnach, mówi dużo o sobie, i wszystko traktuje ze stanowiska górnolotnego. Znałem jedną powiatową powagę, która zawsze zjadała na obiad podwójne pieczyście — li tylko z wysokich uczuć obywatelskich, aby taka znakomitość, tak wielce potrzebna dla kraju, mogła żyć zdrowo i długo.

Stanisław roześmiał się serdecznie.

— A jednak wierzono i w tę powagę i potrzebę zjadania podwójnego pieczystego. Tobie nie uwierzą.

— I dlatego, drogi ojcze, ja zmieniam metodę działania z indukcyjnej na dedukcyjną.

— Próbój, działaj, twórz, byleś szedł naprzód.

Środki masz, a ponieważ dużo czasu poświęcisz nowym pracom, ja zostanę przy gruncie jako twój zastępca. Zgadzasz się? — Wyciągnął do syna rękę, pociągnął go ku sobie i pocałował.

— Będziemy pracować razem — przecież mnie ojciec nie opuścisz.

— Wspierać cię będę radą, ale ty bierzesz w swe ręce dowództwo, dajesz inicjatywę. Inaczej być nie może, wiesz sam o tem.

Młodzieńcowi łzy szklily się w oczach, objął ojca w pól i przytulił go do siebie, o ile pozwalały na to konie.

— Dobre miałem przecucie mówiąc, że na rozpoczęcie aktu drugiego podnosi się kurtyna. Patrz — wskazał ręką czarny, poruszający się na drodze punkt, z poza którego wznosiła się długa smuga pyłu — akcja się zaczyna — konie z Czyżowa, jestem prawie pewien, że Adam.

— Niezawodnie Adam — zawołał z radością Stanisław.

— Przyjmij go na progu domu, ja później do was przyjadę.

Rozpromieniony młody człowiek popuścił cugle, pocziwe zwierzę zrozumiało rozkaz, pomknęło galopem.

Ojciec patrzył za synem uśmiechnięty, zamyślony...

— Wypiękniał chłopiec pod promieniami nadziei czynu, pod promieniami wolności. Szczęśliwy na dziś i jutro, póki się walka nie zacznie!

— No, stary, ustąp z drogi, zehodź na drugi plan, dobrowolnie, sam, nie czekając aż cię wypadki usuną. Uśmiechnął się jakoś rzewnie. — Ciekawy jestem, jak sobie radzić będzie? Organizm silny, natura wrażliwa, wymowa, prędkie orjentowanie się — dużo fantazyi... I gdyby tylko mniej sarkazmu, mniej złośliwości, mniej uśmiechu ze słabości ludzkich. Kto wie, czyby mu się dużo rzeczy nie udało. Ha! nieodrodny syn swego ojca. Lecz jakże z ludzi się nie śmiać, gdy mając ratunek w samych sobie, materyały pod ręką, szukają zbawienia na wszystkich drogach, tylko nie tam, gdzie go znaleźć mogą?

Ekonom, objeżdżając pola, podjechał na koniu, żądając rozstrzygnięcia kwestyi agronomicznej. Pan Leon roznamietniony do gospodarstwa, pogalopował z młodzieńczym zapalem na miejsce sporu.

II.

Rozpromieniony, ożywiony Adam, podobnie jak w chwili swego przyjazdu do Czyżowa, szedł pod ramię ze Stanisławem; w uśmiechu jego i w wyrazie twarzy czuć było, że odzyskał serdecznego przyjaciela, a z nim siłę, energię i wiarę w siebie.

Rozmawiali głośno, wesoło, skacząc z przedmiotu na przedmiot, zwyczajnie jak młodzi, przekładający ogólne idee nad szczegóły.

W przechadzce około zabudowań gospodarskich uderzał Adama na każdym kroku ład i porządek, obfitość, bogactwo, a zarazem oszczędność. Nic tam nie było zmarnowanego, wszystko zużytkowane, wszystko na swoim miejscu. Praca i czas oszczędzone, o ile na to pozwalały wynalazki i maszyny. Urządzenie tych ostatnich mówiło o nakładach i rozumie właścicieli.

Budynki skromne, zastosowane do potrzeb. Widocznie nie wysilano się na kosztowną budowę, lecz za to wewnętrzny rozkład odpowiadał wszelkim możliwym dogodnościom.

Wyszukana oszczędność mogła nawet razić ludzi przyzwyczajonych do niedbałości i marnowania rzeczy uważanych za mało ważne. Służba nie przeciążona pracą, czysto i schludnie ubrana, a wyćwiczona w swym zawodzie, cicho lecz dokładnie pełniła obowiązki. Nie uroniono nic i nic nie zmarnowano. Skrzętność ta mogła u nas wyrobić właścicielom Dobiesławie opinię skąpych.

Młodzi ludzie mijali mieszkanie parobków. Przed każdym domkiem odgrodzonym zgrabnym płotem, mieścił się ogródek, zasiany przeważnie kwiatami. Okna na zawiasach pootwierane, przybrano w białe franki.

— To nie do pojęcia — zawołał Adam. — Tu u was, gdzie każda pięćdziesiątka ziemi musi przynosić korzyść, każdy wydany rubel musi dawać procent, ogródki przed domami waszych parobków, a w oknach firanki?

— Dodaj do tego — mówił dalej Stanisław — że nasiona kwiatów rozdają się darmo, że za najlepiej utrzymany ogródek dajemy nagrody trzy ruble, że własnym kosztem sprawiamy firanki. I wszystko to, wyobraź sobie, opłaca się.

-- Opłaca? — powtórzył zdziwiony Adam.

To mówiąc, Stanisław otworzył drzwi do mieszkania jednego z parobków. Czystość i świeże powietrze uderzały. Podłoga wymyta, izba obielona, angielska kuchenka błyszczała w rogu, strojąc izbę. Pierzyny i poduszki obleczone białymi poszewkami.

— Czy też się domyślasz, kto jest sprawcą tego cywilizacyjnego postępu w mieszkaniach naszych parobków? — odezwał się Stanisław gdy wyszli na drogę.

— Nie mam o tem pojęcia. Może surowość twego ojca.

— Nikt inny, tylko kwiatki ich ogródków. Jeżeli obudzisz w ludzkiej naturze a szczególnie w kobietach choćby początkowe poczucia piękna, samo ono dalej rozwijać się będzie. Kwiatki hodowane przez żony parobków w ich własnych ogródkach, swymi żywymi barwami, zawstydzają je i śmiały się z nich dopóty, dopóki nie zapanowała schludna czystość w ich izbach. Należało temu koniecznie pomódz, to jest dać podłogi i na uwieńczenie dzieła posprawić firanki.

— Piękne to i szlachetne ze stanowiska humanitarnego, lecz mówiąc o zyskach i procentach...

— Mamy i to znakomite — przerwał Stanisław — odbieramy je w naszych stajniach i oborach. Porządek i ład jaki tam panuje, winniśmy ogródkom i izdom czystym i schludnym. Cywilizacya ma swoje nieugięte prawa, porządek jest jej pierwszym objawem. Żebyś wiedział jak się wybornie bawia nasi parobcy w swych izbach, nie myśląc o karczmi!

W każdą sobotę od południa zawieszają się wszelkie roboty, z wyjątkiem czasu żniw. Te pół dnia co tydzień przeznaczone jest na nadzwyczajne porządki w stajni, w oborze, w spichlerzu, a przede wszystkim w izbach i ogródkach, na dziedzińcach przed domami i stajniami. Wtedy to czyszcza się uprząż, wozy i narzędzia, myją się żłoby. I nareszcie cała służba idzie do siebie pomódz żonie do odświeżenia domu, naprawienia odzieży... Tym sposobem dla leniwych i nieporządnych nie ma tłumaczenia, że czasu nie staje.

— I ludzie nazywają was egoistami — rzekł smutnie Adam, z pewnym rodzajem wyrzutu, jaki samemu sobie robił w tej chwili.

— Wiele w tym zarzucie mają słuszności — odparł z uśmiechem Stanisław. — Utrzymuję stanowczo, że nieegoistami nie jesteśmy, albowiem starać się o dobrą, czynną i pracowitą służbę, jest tak dobrze rzecz egoistyczna, jak starać się o wysokie procenta. Drogi Adasiu, porzućmy w naszych zwykłych stosunkach wykrzykniki o bezinteresowności, ofiary zostawmy dla miłości, przyjaźni i ojczyzny — lecz za to starajmy się rozszerzyć granice naszych spraw, naszych interesów. Nie bądźmy ślepi, obejmujmy całość, nie zasklepiajmy się w sobie. Ze wzrostem ogólnej pomyślności i nasza pomyślność wzrastać będzie... Przebacz mi ten kaznodziejski ton i rodzaj oratorskich przemówień — Stanisław wyciągnął rękę do Adama — tak długo milczałem, czuję potrzebę wygadania się, a od ciebie w imię przyjaźni żądam ofiary w pobłażaniu i cierpliwości.

Adam pociągnął ku sobie przyjaciela, uścisnęli się serdecznie, oczy ich zapłonęły radością i wiarą w siebie.

— I ja tyle czasu straciłem, blakając się sam bez rady i drogokazu...

— I moja w tem wina — przerwał Stanisław — ja również ten sam czas straciłem nieprodukcyjnie, nie chcąc zrobić pierwszego kroku, nie chcąc pierwszy wyciągnąć ręki! To był egoizm i zacięcie się głupca w nędznym uporze, przynoszącym obopólną stratę, a żadnych korzyści.

— Kto wie, czy bez korzyści — rzekł Adam. — Dawniej znalazłbyś zbyt silną opozycję — dziś radzi nie radzi, zgodzą się na wszystko.

— A więc do dzieła! Ojciec mi daje wszelką wolność działania, sobie jedynie zostawia gospodarstwo w Dobiesławicach.

— Zaczęto masz ojca. Czy wierzy w powodzenie?

— Niezupełnie; lecz utrzymuje, że zawsze coś zrobić można.

— Prawda, zadanie ogromne, obawiam się, abyśmy mu podołać, modolać mogli.

— Musimy, jeżeli zechcemy, takie powinno być hasło nas młodych, biorących się do dokonania dzieła. Czy podołamy, to zależy będzie nie od nas, lecz od ludzi, których w akcję wciągnąć zamierzamy.

— Zawody wywołują niesmak.

— Nigdy, jeżeli nic nie będziemy mieli sobie do wyrzucenia.

Stanisław był gwałtowny i namiętny — porywał słabych i panował nad nimi energią, siłą wymowy i wiarą w siebie, w swą potęgę. Nie dziw, że pociągnął Adama i wziął nad nim przewagę. Adam uwielbiał w nim dzielność i szlachetność — nieugaszone pragnienie walki i pewność zwycięstwa, w które sam nauczył się wierzyć.

Powrócił pan Leon. Przywitanie serdeczne i szczere, sympatyczne wypytywanie się o mieszkańców Czyżowa ze strony gospodarza domu, rozbroiło i przyciągnęło Adama do tych dwóch ludzi na pozór nieco zimnych w obejściu, lecz zacnych i dzielnych.

Pierwsza wizyta skończona, lody przełamane, nadzieja w sercu i dawno niewidziany uśmiech zagościł na ustach Adama, gdy z powrotem zjawił się w salonie czyżowskiego dworu.

— I cóż, i cóż? — rzucano mu pytania z niepokojem ludzi obleżonych, czekających na próżno odsieczy.

— Nadzieja — odpowiedział.

Rozjaśniły się oblicza. Nadzieja jest przyszłością życia, a często życiem samem.

III.

— A zatem dowiodłeś nam, kochany panie Stanisławie, i wyrachowałeś z ołówkiem w rękę, w którym roku, a nawet dniu przyjdzie katastrofa — mówił pan Stefan uroczyście wobec zebranej rodziny. Głos mu nieco drżał, był blade, lecz panował nad sobą.

Stanisław w milczeniu pochylił głowę na znak potwierdzenia. Wanda oparta o framugę okna, patrzyła w przestrzeń, jak gdyby nie słyszała toczącej się rozmowy, tylko za to blade jej usta drgały nerwowo od czasu do czasu.

— I nie ma na to ani rady, ani ratunku?

— Przeciwnie, jest rada i ratunek — odparł poważnie Stanisław — bo gdyby go nie było, milczałbym. Przerażać i straszyc nie jest mojem zadaniem.

Wanda spojrzała na Stanisława, pani Karolina obtarła łzy płynące jej z oczu, nikt nie przemówił słowa, uprawniając tym spssohem młodego człowieka do powtórnego zabrania głosu. Celinka tylko uściśnęła Adama za rękę.

— Reforma zupełna w stosunku do gospodarstwa i pracy. Pan Stefan uśmiechnął się ironicznie.

Mowca zobaczył uśmiech i lekki rumieniec określił mu twarz, zamilkł, lecz po chwili znów zaczął.

— Istotnie dziwnemby było szukać zbawienia po za granicami nas samych, zewnątrz naszych stosunków, po za obrębem naszej możliwości. W takim razie stawiajmy na loteryę, lub grajmy w ruletę.

— Powiedz pan otwarcie — przerwał pan Stefan, że nie ma rady, należy sprzedać Czyżów, za pozostałe pieniądze kupić kamieniczkę w mieście i żyć życiem emerytów lub bankrutów.

— Przeciwnie, żyć tu, walczyć na własnym zagonie i zwyciężyć.

Wanda usiadła przy matce, wpatrując się ciekawie w Stanisława, pani Karolina przytuliła ją do siebie.

— Sądzę, że panu trudniej będzie oznaczyć datę zwycięstwa, jak upadku — rzekł rozdrażniony pan Stefan.

— Bez wątpienia, bo zwycięztwo zależy od nas samych.

— A upadek?

— Stacza się po równi pochyłej, gdy ciężar naszych obowiązków wypadnie nam z rąk.

Do pokoju wsunął się pan Walenty.

— Panie Stanisławie, mów pan otwarcie — odezwała się cicho Wanda.

— A więc powiem otwarcie, praca i oszczędność wyratują nas, Czyżów, kraj — od bankructwa.

— Frazes powtórzony po milion razy — przerwał z niechęcią pan Stefan.

— A czyż nie pracujemy? — zawołał pan Walenty. — Czyż zmarnowaliśmy dzień jeden? Czy to Adaś jeździ do stolicy na zimę — do wód lub za granicę? Cały dzień od świtu do nocy haruje, ile mu tylko sił starczy! Staruszek się zapalił, broniąc swego faworyta.

— Należy jednak, aby wszyscy pracowali — odrzekł spokojnie Stanisław. Jeżeli nie ma podziału pracy — Adaś i ty, panie Walenty, nie dacie sami rady; zresztą są działy, którym podolać nie jesteście w stanie.

— Więc pan żądasz, aby senatorskie dzieci pasaly gęsi i kaczki! Chcesz pan zrobić z potomka Czyżowskich karbowego, z jego żony klucznicę!

Staruszek oburzony obcierał pot z czoła, ręce mu drżały, oczy zaszklily się łzami. Pan Stefan wyciągnął do niego rękę — uścisnęli się.

— Nie ma poświęcenia, któregobym dla dzieci nie zrobiła — odezwała się uroczyście pani Karolina. Mów pan.

— O poświęceniach nie może być mowy — rzekł chłodno Stanisław.

— Więc o czym? — spytał wyniośle pan Stefan.

— O spełnieniu swych obowiązków. Poświęcenie jest rzeczą nadzwyczajną, spełnienie obowiązków — obowiązującą.

Pani Karolina zbladła, pan Stefan marsa nastroił. Staruszek bliski był wybuchu. Widocznie Stanisław nie umiał utrzymać się w swej roli pośrednika i propagatora, sarkazm jego odziedziczony i wykształcony towarzystwem ojca owładnął nim. Sam się zawstydził swej niezręczności, zarumienił i zamilkł.

Wanda przyszła mu na pomoc.

— Panie Stanisławie! jestem pewną, że mówiąc o pracy, zwracałeś się do nas młodszych, jako do dzieci, których obowiązkiem wyręczać rodziców.

— Li tylko to miałem na myśli — pochwycił.

— Zgadza się z panem, Adaś sam nie wystarczy, nasza powinnością pomagać mu. Dziwnem by to było, gdyby ojciec chodził do spiżarni, a my przepędzały cały czas w salonie. Wskaż, co mamy robić, podziel pracę, określ ją i naucz nas.

Celinka rzuciła się w objęcia Wandy, całując ją ze łzami w oczach.

— O ja byłam pewna Wandy — mówiła — wierzyłam, że ona pierwsza wyciągnie do nas rękę. Przyznam się, że już od dwóch tygodni należę do spisku, wciągnięta przez Adasia. Musimy pracować i wypracujemy Czyżów. Nie damy się! Ojciec i mama będą się z początku uśmiechać, lecz później uwierzą. I nikt nas nie wyrzuci ze starego naszego gniazda. Zdobędziemy sobie spokój.

— I staropanieństwo — dokończył pan Stefan.

— Ale w Czyżowie, drogi ojcze — zawołała Celinka. A inaczej staropanieństwo czekałoby na nas w małej wiosce, lub w dworku na przedmieściu. Czy ci tak źle z dziećmi, że chciałbyś ich z domu jak najprędzej wypędzić?

Pani Karolina powtórnie zalała się łzami, pan Stefan również był wzruszony.

— A nareszcie — mówiła dalej Celinka — może nas prędzej zobaczą, gdy będziemy wracać z kurnika, ze spichlerza lub spiżarni?...

Marylka nie należała do rozmowy; chmurna, zasepiona, siedziała na kozetce, patrząc z niechęcią na Stanisława. Staruszek tłumił wzruszenie, nie mógł jednak wytrzymać i wybuchnął!

— A więc senatorskie dzieci do kurnika i spiżarni, po błocie w deszcz, szarugę! i swoim zwyczajem rozpaczliwie machnął ręką.

— Korona nam z głowy nie spadnie — odparła rozpromieniona Celinka.

— Korona się chwieje, musimy ją podtrzymać i zacisnąć — rzekła majestatycznie Wanda. Pracy się nie lękamy, jeżeli idzie o naszą przyszłość i spokój rodziców, prawda Marylko — zwróciła się do siostry, widząc niezadowolenie i gniew, malujące się na jej twarzy.

— Będziemy robić co będzie można, jeżeli to jest nieuniknioną potrzebą — odpowiedziała chłodno dziewczyna.

— Ależ to jedyny ratunek — zawołała Celinka, rozentuzjasmowana na rzecz projektów Stanisława. Żywy jej temperament nie znosił niepewności jutra, wyczekiwania z dnia na dzień, łudzenia się nieprawdopodobieństwami. Żywe jej usposobienie pragnęło czynu, walki. Z rozkoszą wyciągała ręce do tych nadziei, które ukazywał Stanisław.

— Dobrze — wyszeptała cicho Marylka, strojąc buzię arystokratycznym grymasem — zrobię co każecie.

— To co wypadnie na twój dział rozpieszczone dziecko. Nie bój się, ani twa biała buzia nie zczernieje, ani kolor niebieskich oczu nie zbladnie.

— A chociażby i zczerniała i kolor oczu zbladł, to przecież jest drobnostką wobec uratowanego stanowiska, — dodała z godnością Wanda.

Matka pochwyciła ją w objęcia, tuląc do siebie. Pierwszy raz dziewczę to od powrotu ze Szczawnicy ożywiło się, oczy

jej nabrały blasku, głos metalicznego dźwięku, twarz zakraśniała rumieńcem.

Pan Stefan czuł się upokorzonym zapalem dzieci swych do pracy. Przeczuwał, że położenie, które im zgutował, maltretowało ich i zniechęcało do życia. Zazdrościł Stanisławowi, bo widział, jak zajmował miejsce jemu przynależne, jeżeli nie w sercach, to w umysłach jego dzieci. On, ojciec, schodził na drugi plan. Rodzina postanowiła pracować na niego — on, niedołęga, który ją zrujnował, odsunięty, wydziedziczony, siedł na łaskę swych dzieci. Jemu się nie została żadna rola. Mówią o pracy, dzielą się nią, on nie należy do podziału. Myśli te rozpały mu twarz, szarpały nerwy.

— Ależ to są marzenia, — zawołał gwałtownie, każda z was oszczędzi sto rubli, a zdrowie zrujnuje, — i jakież rezultat?

— Wielki, drogi ojezulku — wielki, zawołała Celinka. Mówiliśmy o tem z panem Stanisławem i wybornie nam to wytłumaczył. Zrobimy próbę — i jeżeli się nie uda, cofniemy się ze wstydem.

— W każdym razie przyjemniej jest upaść w walce, jak czekać na przegraną z założonemi rękami — zadecydowała Wanda.

Na oświadczenie Wandy nikt nie odpowiedział, lecz widać było z rysów twarzy dwóch młodych ludzi, że tryumfowali. Stanisław z uśmiechem przenosił wzrok z pana Stefana, na otoczenie — Adamowi oczy świeciły, był wzruszony, milczał i od czasu do czasu ścisnął rękę Celinki.

Pokonany pan Stefan, zagłębił się w fotelu, pochwycił gazetę, machinalnie się w nią wpatrując. Nie wierzył w zwycięstwo, nie chciał spierać się z dziećmi; zresztą nieśmiały.

— Rozkazuj pan — rzekła Wanda odwracając się do Stanisława. Jeżeli zacząć to dziś, zaraz, w tej chwili... Ty-leśmy czasu stracili! Prawda? — zwróciła się do sióstr z zapytaniem.

— Prawda, prawda — odpowiedziała wesoło Celinka, całując ją w usta. Najlepiej odrazu. Uwielbiam energię naszej królowej.

Marylka milczała.

— Ja tylko radzić mogę — rzekł do Wandy Stanisław. Zdaje mi się, że główny zarząd, raczej ogólny zarząd, powinien być udziałem pani.

— Ja biorę na siebie oborę i nabiał, przerwała Celinka. I zobaczycie za rok, ile będę miała dochodu. Panie Stanisławie, mam nadzieję, że pomagać mi będziesz.

— Jeżeli pani pozwoliś, będę jej mentorem w tym zawodzie.

Pan Stefan uśmiechnął się ironicznie, lecz Stanisław nie zwracał teraz na to uwagi.

Z porządku rzeczy na Marylkę przypadają kurniki — mówiło dalej wesołe dziewczę i... i... nie śmiała wymówić. Ten ostatni dział biorę na siebie, aby nie obrażać uszu tej wielkiej damy. Lecz drób musisz mieć pod swą opieką.

— Wszystko co każecie zrobię — odparła zimno Marylka poprawiając rękawiczki. Nie mam zamiaru wyróżniać się, obowiązki swe spełnię, lecz pozwólcie mi powiedzieć, że podzielam opinie taty, jak i odgaduję myśli mamy.

Powstała i wyszła z pokoju.

— A zatem, razem z panem Walentym — mówił spokojnie Stanisław, przygotujemy książki rachunkowe dla pań.

— Jeżeli już taki los przypadł w te ciężkie czasy, że senatorskie dzieci muszą się wycierać po kuchniach i oborach — ha — to już nie mojem zadaniem kłaść się w poprzek przeznaczeniu. Chodźmy do pracy.

Staruszek widocznie pocieszał się rezygnacją. Widział złą, narzekał na nie, skarżył się na niegospodarność pani Karoliny i jej dzieci, lecz radzić nie umiał i gdy przyszło do czynu, żałował ich i płakał nad nimi. Miłość ma swoje prawa, tradycja i przyzwyczajenie często są silniejsze od rozumu, zwyciężając wrodzoną nam energię i dzielność charakteru.

Naradą zakończyła się łzami pani Karoliny, rozdrażnieniem pana Stefana i wewnętrznem zadowoleniem ich dzieci.

— Panie Stanisławie, przemówił pan Stefan w chwili rozejścia się, — słyszałem od Adasia, że masz zamiar wziąć w swe ręce interesa Czyżowa, jak i jego gospodarstwo.

— Co do interesów, zgoda, jeżeli pan na to pozwoliś, będziemy radzić razem, a pracować z Adasiem.

— Znasz pan obecny stan Czyżowa?

— Objaśnili mnie Adaś i pan Walenty.

— A zatem, wiesz pan pewno, że spacerami do obory i kurników moich córek — nie można wydobyć się z kłopotów.

— Musimy pomyśleć o kapitale, stworzyć go i zacząć działać.

Twarz pana Stefana rozjaśniła się. Staruszek zaczął słuchać uważnie — pani Karolina wyprostowała się, siedząc na kanapie.

— Jeżeli pan mówisz o stworzeniu kapitału, to kwestya inaczej się przedstawia.

— A przede wszystkim o stworzeniu własnego kapitału. Jeżeli się organizuje kapitał pracy, można śmiało myśleć o kapitale realnym, gdyż jest jego gwarancya.

— Kto panu gwarantuje?

— Panna Wanda i panna Celina.

Pan Stefan się roześmiał.

— Gwarancya niezbyt pewna!

— Najpewniejsza — przerwał Stanisław. Jeżeli będziemy mieli mleko, którego jakoś i ilość zagwarantują nam córki pańskie, wtedy możemy kiedyś założyć do spółki fabrykę serów lub masła.

— I zbankrutować. Lecz odstępujemy od przedmiotu, — mówiliśmy o interesach Czyżowa.

— Czyli o jego długach — dodał Stanisław.

— Nie przeczę — o jego długach.

— Należy je spłacić. Poświęcając część, uratować całość — sprzedać Bogdanówkę lub Kopaczew.

— Ucinać polę, aby łątać plecy.

— Lepiej jak wycinać plecy dla ratowania polę.

— Któż zresztą na razie kupi?

— Rozparcelować Bogdanówkę. Chłopi morgami rozbiorą, lub gromada od razu całość nabędzie.

— Parcelować — powtórzył zdziwiony pan Stefan — i chłopom oddawać kawał ziemi, której posiadania broniliśmy wszelkimi siłami?

— Lepiej jak Niemcom lub żydom las.

— Ej mój panie — zawołał pan Walenty, któremu Stanisław do żywego dopiekl swą zimną logiką — egoiści nie oglądają się na nic i na nikogo.

— W każdym razie dbają o własny interes i nie dają się wyrugować z zajętego przez siebie stanowiska — odpowiedział ostro napastowany.

Adam i Celinka dawali Stanisławowi spojrzeniami znaki, aby nie drażnił poczciwego starca.

— Ależ opinia, co na to powie opinia — zawołał pan Stefan. Cała prawie prasa powstaje przeciw parcelacyi naszych gruntów, każąc się nam bronić na odziedziczonym kawalku ziemi!

— Właśnie dla obrony odziedziczzonego kawalka ziemi, trzeba część jej rozparcelować. Prasa krzyczy na tych, co części swoich majątków parcelują, a jest bezbronną wobec tych, którzy frymarcza ziemią, skupując od zadłużonych właścicieli majątki, aby je oddać pokawalkowane Niemcom lub łotrom z ciemnej gwiazdy. Ludzi tych przyjmują po towarzystwach i szanują jako szczęśliwych przedsiębiorców. Jeżeli panowie boicie się opinii, ja pozornie kupię Bogdanówkę i rozparceluję lub sprzedam gromadom z Czyżowa i Dobiesławic. Nie boję się opinii, skoro jestem przekonany, że uczciwie i patryotycznie postępuję.

— A to jakim sposobem?

— Potęga społeczeństw polega na średnim stanie. Ani zbyt bogaci, ani zbyt biedni nie spełniają obowiązków względem kraju. Pierwszym się nie chce, są zwykle »nieobceni«, drudzy nie mogą, nie mają za co. Obowiązkiem więc naszym, którzy rozumiemy tę zasadę, to prawo nauki społecznej, starać się o wytworzenie jak największej liczby średnich właścicieli, średnich pięćdziesięcio lub stumorgowych gospodarstw, bo tym sposobem wytworzymy dzielnych obywateli.

— Kiedy, jak, gdy tymczasem spanoszony chłop jest przerażający — przerwał pan Stefan.

— Nie zawsze i nie wszędzie. To zależy, jak się z nim obchodzono od lat trzydziestu. Konsekwencya dziejowa jest nieubłagana. Zresztą syn spanoszonego chłopą będzie lepszy, a wnuk stanie już na gruncie obywatelskim.

W miastach nie będzie przeludnienia z pół inteligencji, szukającej zarobku i często w nędzy marnującej swe siły; bo syn i wnuk właściciela pięćdziesięciu lub stu morgów, wróci do gruntu, bo będzie miał do czego. Nastąpi równowaga sił i rozumu między miastem i wsią. Produkcya się podniesie, a z nią bogactwo i przemysł. Dziś my potrzebujemy jednego lub dwóch pism peryodycznych, jednego tużurka i kapelusza, jednego na dziesięć lat fortepianu. Wyobraźmy sobie dziesięciu naszych sąsiadów, każdy na stu morgach dobrze obrobionych — a wtedy konsumcya pism, książek, tużurków i kapeluszy podniesie się dziesięć razy.

— Ale my tego nie doczekamy — zrobił uwagę pan Stefan, gdy pan Walenty fraszobliwie tarł ręką czoło.

— A Czyżowscy zabierając się do swych przedsięwzięć, które im sławę zrobiły, sądzą, nie zadawali sobie pytań, czy doczekają rezultatów swych prac? Umieć pracować dla przyszłości jest udziałem ludzi dzielnych a nie egoistycznych.

— Jesteś pan cały djabeł — zawołał pan Walenty, rozrzucony wspomnieniami Czyżowskich, a po części przekonany dowodzeniami Stanisława.

— Zanim jednak dojdziemy do tej uśmiechniętej przeszłości...

— Przejścia są straszne — przerwał Stanisław panu Stefanowi — lecz cóżemy temu winni, że żyjemy w czasach przejść. Przejścia z czasów barbarzyństwa do utworzenia się państw, były potworne. Każda reforma pociąga za sobą zmiany, które w chwilach przeobrażenia są ciężkie. Lud nasz w połowie przynajmniej z naszej winy jest jeszcze pod wieloma względami dziki. Dziś niezależny, dopiero się cywilizuje, dajmyż mu możliwość tej pracy, dostarczając mu materyału, jakim jest ziemia. W chwili gdy tak ciężko przebyliśmy uwłaszczenie włościan, nie wytwarzajmy dla przyszłości cięższego jeszcze przejścia kwestyi agrarnej, owszem łagodźmy ją ile możliwości, rozsądnem i uczciwem parcelowaniem. Nareszcie powiedzmy sobie, że my przy dzisiejszym stanie rolnictwa i przy dzisiejszych wymaganiach cywilizacyjnych, mamy w ogólności za mało kapitału, a za dużo ziemi. I dlatego ziemia jest zbyt tania, kapitał za drogi, procenta nas rujnują!

Pozbawiamy się rozsądnie zbytku ziemi na korzyść kapitału, oddając ją młodszym naszym w cywilizacji braciom; oni nam najlepiej za nią zapłacą i najlepiej swój oszczędzony kapitałik umieszczą. Tym sposobem zmniejszą się obszary a powiększy kapitał, który będzie naszą własnością — nie będziemy potrzebowali płacić od niego procentów, oddamy go ziemi na procent — nie będziemy się rujnować, lnb wzbogacać siebie i naszych najbliższych sąsiadów. Wierzajcie, nie tak nie cywilizuje jak własność i z niej płynący dobrobyt.

— A zatem bierz Bogdanówkę i rób z nią co chcesz; parceluj, jeśli ci się podoba, ja się tego nie dotknę — zdecydował pan Stefan, nie chcąc w żadnym razie brać na siebie odpowiedzialności.

Podczas przemówienia Stanisława wpatrywały się w niego Wanda i Celina słuchając ciekawie. Twarz Celiny opromieniona uśmiechem tryumfu ze zwycięstwa, jako należącej do spisku, Wanda była zadumaną, widocznie jakieś myśli walcząc

ze sobą krzyżowały się w jej głowie. Widać to było z zachmurzonego czoła i zapatrzonych oczu.

— A zatem do pracy — zakończył Stanisław, zwracając się z uśmiechem do pięknych dziedziczek Czyżowskich i jednocześnie wyciągnął rękę do Adama.

Proszę o dyktaturę na lat dwa. Marzę o tem, aby Czyżów zrobić gniskiem naszego agronomicznego rozwoju w powiecie, dlatego to dyktatura jest mi potrzebna.

— A ponieważ takim egoistom jak pan wszystko się udaje — zrobiła uwagę śmiejąc się Celinka.

— Chciałaś powiedzieć — przerwał Adam — ludziom takiej energii i wytrwałości.

— W naszych pojęciach egoizm z energią i wyrachowaniem prawie się równoważą.

Stanisław uklonił się Celinie, na co również Celinka odpowiedziała mu filuternym dygiem.

Chęcią zrobienia z Czyżowa ogniska, któreby przyświecało powiatowi, Stanisław rozbroił pana Stefana a również i p. Walentego.

— Dawniej Czyżów — odczuwał się starzec, świecił na całe województwo dzielnością i rozumem, a teraz chcecie aby imponował wielkością kartofli, buraków i kapusty? To mi czasy!... — machnął ręką.

— Czem można, panie Walenty, czem można — odparł Stanisław — dziś tem, jutro czem innem. Jak wypadnie, byle przyświecać, bo jak światło zgaśnie, trudno go zapalić.

— Rób pan panie Stanisławie co chcesz — rzekła smutno pani Karolina — tylko cię zaklinam, nie męcz mi dzieci. — Łzy wytrysły jej z oczu.

— Ależ droga mamó — zawołała Celina rzucając się w objęcia matki — będziemy robić tyle, o ile nam się podoba, a pan Stanisław nie będzie naszym karbowym.

— Znam ja waszą ambicję, inaczej nie byłybyście Czyżowskie — szepnęła tuląc dziewczynkę do siebie.

Tak się skończyła pierwsza wielka batalia, do której z jednej strony stanęły do walki: tradycja, obyczaje, nawyknienia, wychowanie i zakorzenione głęboko w mózgach ludzkich wyobrażenia; z drugiej strony, młodość, jej siła, nieprzerpane prawa postępu, rzeczywistość i nieubłaganych logika faktów. Przed tą ostatnią cofnęła się tradycja i głęboko zakorzenione w mózgach ludzkich pojęcia.

IV.

Minał tydzień. Wanda i Celina korzystając z instrukcyi Stanisława, a mając ułożone przez niego książki rachunkowe, wzięły się z energią młodości do pracy. I zaraz na wstępie wykryły wielkie nadużycia popełniane przez Sałacką i służbę.

Kontrolowana Sałacka zaczęła narzekać, płakać i skarżyć się przed panią Karoliną, jako niezasłużenie straciła zaufanie i wiarę.

— Gospodarowałam lat piętnaście jak gospodaruję dziś, i było dobrze, a teraz wszystko źle, wszystko się niepodoba. Ciągłe rachunki, ciągłe wypytывania, rozkazy. Cóżto, czy ja nie wiem co mam robić? Robię jak robiłam, niczego niebrakowało i było dobrze... A czy to pięknie, a czy to wypada, aby takie paniątka poniewierały się po kuchni, garderobie i oborach? Któż to o tem słyszał! Co na to powie okolica, powiat cały!

Sałacka zalała się łzami. Pani Karolina zrozumiała łzy Sałackiej, podzielała w duchu jej opinie i boleść, lecz nie mogła i nie umiała radzić.

W parę dni po tej skardze, wpadła zarumieniona Sałacka do pokoju pani Karoliny, kładąc klucze na stole.

— Kiedy już do tego, proszę jaśnie pani przyszło, oddaję klucze i odchodzę. Cóżto, z każdego garnka mleka i z każdej kwarty masła będę raporta składała? Nie jestem przyzwyczajona do takiego afrontu. Tu już honor cierpi i nikomu

nie pozwolę sobie ubliżyć. Żegnam jaśnie panią. Służyłam przez lat piętnaście wiernie i jaśnie pani nie powiedziała mi marnego słowa!

— Cóż, moja Sałacka — tłumaczyła się pani Karolina — ja już teraz nie rządę!

— Wiem, wiem proszę jaśnie pani, że to ten z Dobieśławic, tak opajęczył panienki. A bodajbyś z piekła nie wyjrzał! Wypędzeni poczciwi Gębalscy, ja idę za nimi — i wszystko co dobrego wyleci, zostanie sama hołota, z tym, tym...

— Sałacka zapominasz się!

— To i jaśnie pani przeciwko mnie — zawołała łamiąc ręce. W pozie tej wybiegła.

Za Sałacką w parę dni poszedł jej przyjaciel kamerdyner.

— Mamo — tłumaczyła się Celinka — prowadząc rachunki przekonałam się, że Sałacka rocznie defraudowała przeszło tysiąc rubli, pensyi brała dwieście — to już mamy tysiąc dwieście. Wanda obrachowała, że kamerdyner robił nam rocznie straty najmniej ośmset rubli. Otóż oszczędzamy dwa tysiące rubli na samym zarządzie wewnętrznym, tem więcej, że ja zastąpię Sałacką.

— Ty? A więc w ekonomów i szafarki zmieniają się moje dzieci! Jedno zajmuje miejsce Gębalskiego, drugie Sałackiej. Jeżeli dotychczasowe stanowisko mam opłacać tak ciężkiem upokorzeniem, wolę raczej nędzę.

— Mamo, droga mamo, ależ ja jestem taką samą Czyżowską jak przed dwoma tygodniami, tylko czynniejszą, a co najważniejsze, użyteczniejszą — pracującą. Dawniej, gdy brakło książek, a grać nie miałam ochoty, białam się nudów długiego dnia. Ziewałam, ubierałam się, marzyłam, przeglądałam i co najwięcej spacerowałam. Jeżeli się sama uczesała, uważałam to za wielką pracę. Dziś, zawsze mi brak czasu. Rachuję, piszę, odmierzam, przelewam, odlewam. Część na masło, część na sery, to na jutro, to na dziś, wstawiam, wystawiam. Dziś było tyle mleka, jutro mniej lub więcej. »Dlaczego?« pyta pan Stanisław. W tem »dlaczego« moja mamo, kryje się cała filozofia.

Trzeba dociekać, szukać, kombinować, radzić, jaka pasza i wiele jej... Słowem tysiąc kwestyj, dysput i nadziei. Z nabiału zebrałam już blisko sto rubli, które pożyczyłam do gospodarstwa Adasiowi.

— Ten Stanisław uczy was egoizmu i chciwości. Wypędzacie stare, wierne sługi i niedługo o niczem nie będziecie mówili, jak o stajni, bydle i trzodzie.

— Ale za to, droga mamó, nie będziemy więcej mówić o interesach i zbliżającej się katastrofie.

— Dziecko jesteś, myślisz, że oszczędzonemi paroma garncami mleka uratowałabyś Czyżów. I gdyby nie Bogdanówka...

— Bogdanówka zaledwo spłaci bieżące długi. I znów za lat parę sprzedalibyśmy Kopaczew. Gdy tymczasem my, twoje dzieci, podniesiemy dochód Czyżowa o tyle właśnie, o ile potrzeba na spłacenie wszystkich procentów, a zatem dotychczasowe dochody zostaną dla nas.

— Choćby nawet tak było, co niepodobna przypuścić, to pewno przez ten czas zordynarniejecie i nabierzecie niewłaściwych manier. Same wiecie dlaczego poczciwa nasza szlachta jest tak szorstką, bo ciągle się ociera o parobków, służbę i o niczem nie mówi jak o roli i inwentarzu.

— Nie bój się, kochana mamó! Najprzód, Czyżów musi być uratowany, a reszta, dodana nam będzie. Dawniej obfitość czytania męczyła mnie, książki nie budziły interesu — tygodniami nie otwierałam fortepianu; dziś zmęczona pracą tęsknię do książki, schwyconą pożeram i gdy upatrzę wolną chwilę, gram zapamiętałe. Więcej dziś korzystam czytając, lepiej gram — jestem zdrowszą, weselszą...

Weszła Wanda.

— Oczarował was Stanisław i to wszystko — odpowiedziała ze smutkiem pani Karolina. Dawniej raził was jego cyniczny sarkazm i rachunkowość, a dziś?... Coż się to z wami stało!

Wanda szybko odwróciła się.

— Ależ mam, on nas nauczył patrzeć na świat i stosunki jakie one są, uczy nas radzić samym sobie i, co najważniejsza, uczy nas pracować — wydeklowała patetycznie Celinka.

Matka jej pogroziła — dziewczynka się zarumieniła — Wanda za to zbladła.

Szczęściem zadzwoniono na południe.

— Zaczynają doić — zawołała i wybiegła wesoło Celina. Została matka z Wandą.

— Stanisław prawie codzień jest u pana Walentego i Adasia, a rzadziej widuje się z wami, zrobiła uwagę pani Karolina.

— Posiedzenia rolnicze odbywają się w oranżeryjce, a i my tam składamy raporta. Widocznie pan Stanisław nie ma do nas żadnych innych interesów.

Matka z córką zamilkły na chwilę, zwracając rozmowę na inny przedmiot.

V.

Marylka powodowana ambicją i zterroryzowana przykładem sióstr, wytrwała całe dwa tygodnie w ciężkiej, jak ją nazywała, pracy. Często się pokładała, po obiedzie zwykle przespiała parę godzin, lecz milcząc spełniała swe obowiązki jak mogła i umiała.

Matka, pieścąc ją, skarżyła się, że ma buzię opaloną, że zmizerniała, schudła i nawet troszkę zbrzydła.

Uwierzyła dziewczynka na słowo matki — zaczęła się martwić, cierpieć i litować nad sobą. Nie widziała punktu wyjścia, jak tylko ciężką pracę, której nienawidziła. Uważała się za ofiarę upadającą z wysilenia. Całymi godzinami siedząc na ulubionej kozetce w salonie, rozpacziała nad smutnym swym losem i wtedy zwykle cicho płakała.

W jednej z tych ciężkich chwil wszedł Hipolit Krówczyński, a widząc ją samą ze łzami w oczach, zmięszał się,

zarumienil i pobladł nie mogąc słowa przemówić. Nareszcie odważył się na pytanie:

— Pani płacze?

Dziewczynka wyciągnęła doń na przywitanie rękę. Nigdy go ten zaszczyt nie spotkał dawniej, to też pochwycił podaną dłoń i w dowód wdzięczności, popchnięty nieznana mu siłą — pocałował.

Nie broniła mu tego szczęścia.

— Siadaj pan — szepnęła. — Mama w swoim pokoju, ojciec wyjechał, a siostry, jak się pan domyślasz, gospodarują.

— Panie tak ciężko pracujecie?

— Tylko co wróciła z gumna i nóg nie czuję.

— Okropne — zawołał naprawdę przerażony Hipolit.

— Wstaję o szóstej rano, o siódmej już jestem w pracy i tak dzień po dniu, zdaje się całe życie trwać będzie.

To niepodobna, abyś pani tyle się poświęcała dla nędznego zysku paruset rubli. Dla mnie kobieta jest czemś tak świętem, że sama myśl zmuszania jej, już nie do pracy, ale do jakiegokolwiek zajęcia, nie licującego z jej idealnem usposobieniem, obraża mnie.

Hipolit mówił prawdę, zapominając w tej chwili, jak ciężko i nieidealnie pracują kobiety w Górcie. Przebaczymy mu, gdyż patrząc na Marylkę myślał o »ziemskim aniele«. Jestem pewny, że należał do szkoły romantyków, Marysię pozwalał wykrzyzczeć ekonomowi, za to Marylka była aniołem. Widocznie romantycy wpadają w ostateczności.

Marylka w nagrodę za idealizm uśmiechnęła się doń uroczo.

— W imieniu biednych kobiet dziękuję panu — odpowiedziała smutno. — Gdyby to wszyscy mężczyźni byli pańskiego zdania, inaczej by było na świecie!

Hipolit zapędził się, aby po raz drugi ucałować wypieszczoną rękę; jednak nie śmiał, nie miał odwagi i cofnął się okazując wewnętrzną walkę — rumieńcem.

— Przecież brat pani i pan Stanisław powinni mieć wzgląd.

— Adaś jest dobry — przerwała dziewczynka — lecz zawojowany przez pana Stanisława, dla którego pieniądze są Bogiem.

Hipolit uznał za konieczne zmanifestować swój wstręt do pieniędzy; zmanifestował go też potężnem westchnieniem i wspaniałym grymasem rumianej twarzy.

Marylka uśmiechnęła się, na szczęście nie widział tego Hipolit i może dlatego ośmielony milczeniem jej wybuchnął.

— Nie, tego już za wiele, abyś pani narażała życie, traciła zdrowie!...

— A jednak nie ma punktu wyjścia.

— O jest, jest gdybyś tylko pani chciała... — Hipolit zamilkł raptownie, zarumienił się powtórnie i spuścił oczy.

VI.

Dziewczynka uczuła niebezpieczeństwo, które sama wywołała, a obawiając się, aby odwaga Hipolita nie doszła do zenitu w salonie, zaproponowała przechadzkę po parku. Tam czuła się swobodniejszą i była spokojną, że nikt nie przerwie zwierzeń jej cichego niewolnika.

W milczeniu szli tą samą drogą, którą przed rokiem przechodziła Wanda z Arturem. To samo słońce im świeciło, te same białe kamienne posągi uśmiechały się do nich, ten sam zapach kwiatów przenikał powietrze. Ani jednej chmurki na niebie, wiatr przytulił się do drzew, cisza dokoła, że słychać było odgłos kroków młodej pary, stąpającej po zwirze alei.

Cisza ta przerażała Hipolita. Pierwszy raz znajdował się sam na sam z ukochaną, rozumiał, że stanowcza w jego życiu chwila nadeszła. Nieśmiało podnieść oczu na dziewczynkę, serce mu biło, bał się przemówić, wołał wieczne łudzenie się, niż ponurą rzeczywistość.

Stanęli na pamiętym wzgórku.

— Patrz pan, jaki ztąd ładny krajobraz roztacza się dokoła.

— Trzeba być szczęśliwym, aby mózdz swobodnie zachwycać się pięknosciami natury — wygłosił smutnie, a zarazem patetycznie młodzieniec.

— Pan nie jesteś szczęśliwym? — spytała fluternie dziewczyna.

Hipolit odpowiedział ironicznym uśmiechem.

— Jesteś pan młody, nie ubogi, niezależny, mówią, że dobrze ci się powodzi, i jeszcze narzekasz?

— Jako niewolnik skazany na samotność życia całego.

— Czy doprawdy? któż dał taki srogi wyrok? Przyznam się panu, że to niegodnie, niegodziwie.

— A jednak katem moim — szepnął Hipolit bledniejąc — jesteś pani.

Nastąpiła długa pauza. Dziewczynka zarumieniła się, nie śmiała przemówić, nie śmiała podnieść oczu. I dobrze zrobiła, gdyż Hipolit pożerał ją wzrokiem zrozpaczonego bajronisty.

Nareszcie po długiem wachaniu:

— Ja, katem pańskim? — spytała.

— Tak pani — była odpowiedź.

— A to jakim sposobem?

— Czy mi wolno powiedzieć głośno to, o czem pani wiesz oddawna.

— Nie wiem o niczem, lecz mów pan; będę się starała przestać mu dokuczać.

W oczach Hipolita zabłysła nadzieja, ukląkł, wziął rękę dziewczynki i przytulił do ust.

— Wiesz pani, że biedny chłopak, bez głośnego nazwiska. bez form towarzyskich, cichy, bojaźliwy, ośmieliłem się patrzeć na ciebie; za wzrokiem poszła dusza. Kochałem cię — szepnął. Pani widziałaś moją miłość i śmiałaś się; mimo to, ja cię kochałem. Pogardziłaś mną...

— Nieprawda — przerwała dziewczyna.

— Mimo to, kochałem cię — mówił dalej ponuro. — I dziś, choć wiem i czuję, że życie moje przez to będzie złamane, kocham cię. Powstał. A teraz, ponieważ już wiesz wszystko. odchodzę i nigdy nie wrócę.

— Zostań pan — szepnęła.

— I po co — abyś się dalej nademną pastwiła?

— Ja — ja pana lubię.

Hipolit stał zrozpaczony milcząc.

— Ja pana bardzo lubię — powtórzyła głośno — i sprzyjam mu — dodała cicho.

Hipolit z oczami pełnymi łez padł po raz drugi na kolana.

— Nie odpychasz mnie?

— Nie — odparło dziewczę.

— I nie będziesz mieć wstrętu zostać moją?

— Nie chcę być pańskim katem i skazywać go na samotność życia.

Hipolit całował rękę dziewczyny, lzy szczęścia staczały się po jego twarzy. Chciał mówić, głos zamierał mu na ustach. Nareszcie wybuchnął.

— Nie dam ci wielkości, sławy, zbytów, świetnych salonów i blasku świata — oddaję ci tylko biedne moje serce, skromny mój domek i skromniejsze nazwisko. — Będę twoim sługą, niewolnikiem, będziesz królować w Górce, wszystko będzie u twych nóg, patrząc w twe oczy, słuchając rozkazów.

Dziewczynka uśmiechnęła się, oczy jej promieniały blaskiem zwyczajstwa i dumy.

Zaszeleściły gałęzie, Marylce ręka zadrżała. Hipolit się zerwał. Mimowoli przytulili się do siebie słuchając.

Pierwsza oprzytomniała dziewczyna.

— Cóż teraz pocniemy — spytała — jeżeli nas kto widział.

— Musimy powiedzieć prawdę.

— Ale komu?

Hipolit zdumiony rozwarł oczy.

— Rodzicom — odpowiedział po namyśle.

— Tak, prawda, ale nie zaraz. Najprzód pomów pan z Adasiem, z panem Walentym, nareszcie z panem Stanisławem, a potem dopiero powiemy siostrze. Celinka niech rozmówi się z mamą. Ciężka będzie przeprawa z ojcem. Mama popłacze i zgodzi się.

Młody człowiek pochylił głowę na piersi.

— Panie Hipolicie, nie mamy czasu na rozpacz, musimy działać. Poszukaj pan Adasia i powiedz mu wszystko. Wiem od Celinki, iż panu sprzyja. Ja wracam do dworu, mogą nas szukać... Trzeba się spieszyć — dodała filuternie i nie czekając na nowe wybuchy młodzieńca, pobiegła.

W godzinę później zobaczyła z okna swego pokoju Hipolita rozmawiającego z Adamem, widziała jak sobie serdecznie podali ręce, i serdecznie się uścisnęli. Zarumieniła się na ten widok i odwróciła od okna.

— Nie będę wstawać o szóstej — myślała — nie będę doglądać kaczek i kur, nie będę się męczyć i ciężko pracować. W Górcie będę panią, królową; sam mi to powiedział...

Usiadła na kozetce zamyślając się głęboko.

— Mamże więc zostać jako Czyżowska starą panną, pilnującą kurników?... I gdyby ojciec sprzeciwiał się, powiem mu, niech mi znajdzie lepszą partyę. Chłopiec przystojny, za możny, wszyscy mówią, rozumny, ubóstwia mnie.

— Krówczyńska! — zdawało się, że szepnął jej ktoś nad uchem.

Zerwała się dziewczynka i obejrzała po pokoju; nie było żywej duszy.

— Wolę być Krówczyńską, jak nędzarką — odpowiedziała głośno myśli własnej. Rodzina mnie nie odepchnie — o innych nie dbam.

Z tem silnem postanowieniem wyszła; lecz w tej chwili Krówczyński odjechał.

VII.

Adam do pokoju pana Walentego poprosił Celinę. Chciał od jednego, jak mówią, zamachu, stoczyć walkę z dwoma przeciwnikami.

— Krówczyński oświadczył się Marylce — rzekł z powagą — i jak się domyślicie, przyjęty został.

Nie odpowiedziano mu.

— Przypuszczam — mówił po chwili — że przeleża się ciężkiej pracy i woli królować w Górcie.

— Macie, na coście zasłużyli — zawołał w pasyi pan Walenty. Pijcież to piwo, któregoście nawarzyli. Pańskie dzieci do pracy zaprzęgać! I dziwić się, że uciekają z domu! A teraz Wanda i Celina dadzą się wykraść ekonomowiczom.

Staruszek załamał ręce, zapominając na razie stoczonej walki z samym sobą na rzecz Krówczyńskiego.

— Marylka mogłaby przestać pracować; z radością wyręczyłabym ją. Ciężki to będzie cios dla naszego ojca i boję się, aby wieść ta nie powaliła go. Zanadto prędko przychodzą klęski po klęskach na jego barki. Marylka mogła i powinna była poczekać — mówiła Celina.

— Cóż masz przeciw Krówczyńskiemu? — przerwał Adam.

— To samo, co bym miała przeciw synowi Gębalskiego.

— Jest wielka różnica.

— W nazwisku żadna.

— Ojciec Krówczyńskiego zacny człowiek.

— O to nikt nie pyta i o to tu nie idzie.

— Więc o cóż?

— O wszystko! Żyjąc w społeczeństwie, musimy zastanawiać się do jego praw i wymagań.

— Lecz żyjąc w społeczeństwie, nie mamy obowiązku być jego niewolnikami.

— Możemy i powinniśmy pracować ciężko, aby się utrzymać na stanowisku. Lecz uciekać z niego dobrowolnie, bez walki... W takich wypadkach opadają ręce, nadzieja odbiega — serce się kraje!

Dziewczynie zaświeciły łzy w oczach. Nie chciała ich pokazywać, odwróciła się szybko i wyszła z pokoju.

Został Adam, przed nim pan Walenty z założonemi na krzyż rękami.

— O tak — mówił szydersko starzec — Czyżowskie we własnym domu, u siebie, mogą się zapracować, bo im się tak podoba. Lecz Czyżowskie jako Krówczyńskie — to już za daleko... I cóż ty na to Adasiu?

— Że przesady są wyższe nad rozum, obowiązki, słowo dane...

— Jakie słowo? — przerwał staruszek.

— Marylka dała słowo.

— Komu? Krówczyńskiemu?

— Tem więcej, że Krówczyńskiemu. Bo Krówczyński powie, że Czyżowscy kłamią, są nieuczciwi, i on, Krówczyński, będzie się czuł lepszym i zacniejszym od nich. Cóż pan na to?

— Ja na to, że Marylka nie jest pełnoletnią.

— Czyli, że tak młoda, a już zdolna do kłamstwa.

— Zakazuję ci rzucać błotem na własną rodzinę — krzyknął starzec cały zaczerwony.

— Mylisz się pan, bo ja tylko pokazuję plamy, które mogły być, gdyby postąpiono według pańskiej rady, a krzyczysz pan dlatego, że przekonać nie możesz. — I Adam nie czekając na odpowiedź, wybiegł.

Staruszek stał na środku pokoju z rozkrzyżowanemi rękami. Po chwili usiadł, ręce skrył w dłonie — płakał nad losem Czyżowskich i nad samym sobą, a przeklinał w duchu postęp, nowatorstwo, nareszcie chciwość, egoizm i łakomstwo Stanisława.

Adama tylko nie śmiał przeklinać, chociaż mu tak ciężką krzywdę wyrządził.

*

*

*

Późno wieczorem, do pokoju Marylki wsunęły się Wanda i Celina. Dziewczynka z podpartą głową na rękę siedziała w fotelu zamyślona, wpatrując się w białe chmurki oświecone promieniami księżyca.

— Podobno — zaczęła Wanda — mówił nam Adaś, oświadczył ci się Krówczyński.

— I pewno ukarałeś jego zuchwałstwo, jak na to zasłużył? — pochwyciła Celina.

— Przeciwnie — odpowiedziała sucho dziewczynka — propozycję przyjął z wdzięcznością.

— Co ty mówisz? — spytała Wanda.

— Przyjął z wdzięcznością — powtórzyła Marylka.

— Ty, co płakałaś, gdy ci kto wspomniał Krówczyńskiego.

— Było to przed naszym bankructwem.

— Dziś wypierasz się swych zasad, ty, arystokratka do szpiku kości.

— Nie wypieram się, lecz ulegam konieczności.

— Niepodobna! — zawołały razem siostry.

— Więc cóż mam robić, całe życie paść gęsi lub kaczki?...

— Ależ cierpliwości moje dziecko — podchwyciła Celina. — Za parę lat oszczędnością i pracą podźwigniemy się, wtedy pojedziemy z mamą do Warszawy i tam znajdziesz sobie męża.

— Przyznam się wam, że nie wierzę, abyśmy chodzeniem do obory i spiżarni, a nawet pasaniem gęsi mogły uratować od ruiny Czyżów. Zawsze lepiej z Czyżowa iść za mąż i zrobić komuś łaskę, jak gdyby później nam ją robiono.

— Ja wolę stokroć razy zostać starą panną, jak łączyć się z człowiekiem, który mi nie wystarcza — zdecydowała Wanda.

— Nie przesadzajmy o przyszłości. Mogłaś przeczuć, czy Geran wystarczy ci lub nie? Mówiono, że rozumny, a że jest dystyngowany, to sama widziałaś. Odepchnęłaś go, a on mógłby uratować Czyżów.

Wanda nie odpowiedziałszy ani słowa, wyszła z pokoju.

— Widzisz, kochana Marylko, niesprawiedliwie a ciężko dotknęłaś Wandę.

— Bo już mam dosyć tej naszej nędzy, tego kręcenia się w kółko, tych rozpraw o długach i ruinie — tych gęsi i kur, obory, spiżarni... Z wszystkim tem można stracić wesołość, humor, zdrowie, zestarzeć się i — i powiem ci prawdę, droga Cesi, zgłupieć.

— A cóż cię tak nadzwyczajnego czeka w Górze?

— Tam będę panią — będę robić co mi się podoba — gdy tu jestem gorzej niż szafarka.

— Tak ci zaciężyla dwutygodniowa praca?

Marylka nic nie odpowiedziała.

— Lecz cóż powie na to opinia, ludzie?

— Opinia nie będzie stać przy bramie mego dworu — przerwała — a ludzie? Ludzi będę widywać tylko tych, którzy mi się kłaniać będą.

— Ojciec — mama?

— Ojciec nie daje nam posagu, a więc same musimy się ratować. Sędzę, że nie ma prawa gniewać się na mnie. Mama trochę popłacze i zgodzi się.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— Dobranoc.

Dziewczynka została sama w pokoju, patrząc z dumą na białe chmurki, płynące po niebie, w świetle księżyca.

— Celinka nie dała za wygrane, przyzwyczaiła się wierzyć w Stanisława, jego zimny rozsądek pokonywał ją, bała się jego złośliwości, chociaż lubiła rodzaj jego dowcipu. Stanisław należał do starej szlachty, i to ją spowodowało, że na bilecie wizytowym napisała parę słów, prosząc go na śniadanie do Czyżowa.

Spotkali się w ogrodzie.

— Pani droga, cóż wzięte abstrakcyjnie oznacza »Czyż?«
Co najwięcej przypomina wesołego ptaszka, który w porównaniu z okazałą »krową« traci niesłychanie.

— To pan się z tego stanowiska zapatrujesz? — odparła rozniewana dziewczynka.

— Z racjonalnego. Gdyby do nazwiska Czyżowskich nie było przywiązanych parę legend, gdyby ludzie nie przyzwyczaili się wymawiać je z pewnym szacunkiem, gdyby ono nie wyobrażało tysiąca morgów ziemi, a z przeszłości nie znaczyło trzech wojewodów i pięciu kasztelanów, toby było tak pospolite jak każde inne.

— W tem właśnie jest treść.

— Bez wątpienia, lecz dajmy czas Krówczyńskiemu, aby i jego nazwisko przyzwyczaili się ludzie wymawiać z szacunkiem, aby i ono oznaczało tysiąc morgów, aby również często powtarzane było, a bądź pani pewną, będzie tak dobre jak wasze.

— Lecz po cóż my mamy pierwsi starać się o spopularyzowanie Krówczyńskich?

— Fatalizm — jak jest fatalizmem, że Górka leży o pół mili od Czyżowa, a Czyżów w interesach. Nareszcie nie państwo na tem nie tracicie. Krówczyńskiego bierzemy pod swoją opiekę — i jako naszego, będziemy go bronić i protegować.

Celina nie potrafiła się oswoić z myślą, że siostra jej nazywać się będzie Krówczyńską, i dlatego nie mogąc wytrwać w dyskusyi, przerwała ją i odeszła niezadowolona ze Stanisława, pierwszy raz, od czasu jego powrotu do Czyżowa.

— Zasady nasze i ich praktyka już wydają owoce — mówił Stanisław do Adama.

— Nie przypuszczałem tak szybkiego skutku na Marylce — odrzekł Adam.

— Praca i wytrwałość są to najsilniejsze probierze. Marylka nie była zdolna do pracy, lecz za to będzie świetną Krówczyńską — Krówczyński szczęśliwy, spokojny, ręka w rękę z nami pójdzie wszędzie. I tak osiągamy trzy cele. Wydajemy

pannę bez posagu dobrze za męża, co jest dziś trudne, odnosiśmy zwycięstwo nad przesądami — i dzielnego chłopaka pozyskujemy dla naszej sprawy.

Przejdźcie z panem Stefanem co do małżeństwa Marylki wypadło łatwiej niż to przypuszczały córki. Pani Karolina po ostatniej katastrofie wydalenia Salackiej i kamerdynera, na wszystko się zgadzała. Wszystkie klęski wobec upokorzenia, że córki jej stały się szafarkami, bladły w jej oczach.

Hipolit zręcznym manewrem pożyczyl pieniędzy panu Stefanowi na wyprawę narzeczonej. Panie pojechały do Warszawy, Krówieczyński z niemi, i o dziwo! nie raził. Marylka słyszała o nim pochwalne szept, zdawało się nawet dziewczynce, że zazdrości jej bogatego chłopca. I to było głównym powodem coraz większej sympatii z jej strony dla niego.

Ślub incognito odbył się w Częstochowie. Państwo młodzi przez Wiedeń i Sémering pojechali do Włoch, a przez Szwajcaryę i Monachium wrócili, osiadając w przystrojonej i wyświeżonej Górcie.

VIII.

W dalszym ciągu walki i pracy Wanda i Celina nabierały coraz większej wprawy i rutyny, każda w swoim dziale. Adam wzmocniony energią przyjaciela, potężniał, znalazł w swych pragnieniach podporę; charakter jego miękki, ustępujący, hartował się w zapasach, mając przy boku swym siłę, która mu imponowała, zachęcając go do walki. Wydanie Marylki uważał za swe dzieło i to mu pochlebiało. Marylka co dzień była szczęśliwszą i co dzień więcej się przywiązywała do męża. Dobra jej natura wydobywała się na wierzch, szlachetniała i piękniała przy serdecznem cieple, łagodności i rozumie męża.

Pani Karolina milczała, lecz w duchu dziękowała Bogu, pan Stefan od czasu do czasu wzruszał ramionami i irytował się, lecz również milczał, a pan Walenty uśmiechając się, wzdychał i zeicha powtarzał:

— Co za szkoda, że to Krówczyński, że to tylko Krówczyński!

Bogdanówkę sprzedaną pozornie Stanisławowi kupiła gmina Czyżowa, rozdzielając między siebie grunta. Powstał krzyk w całym powiecie, już nie na pana Stefana, lecz na Stanisława. Nie lubiono ojca i syna i tym sposobem z przyjemnością mszczono się na nich. Pan Stefan stał się tylko ofiarą.

— Skorzystali, że Czyżów w interesach, że potrzeba gotówki, kupili za bezcen, a potem ziemię naszych ojców sprzedali chłopom. I jakaż ztąd korzyść dla kraju, dla cywilizacji, dla przemysłu? Czy to chłop dla tego, że ma więcej ziemi, kupi książkę, zaprenumeruje gazetę, zapotrzebuje sukna na ubranie, cukru do kawy?... I jakież z tego rezultaty? Najemnik droższy, konsumpcya wódki zwiększona. Zbogacony chłop staje się więcej jeszcze hardym, opryskliwym i mściwszym. Średnia klasa narodu złożona z większych posiadaczy, maleje na rzecz chłopów i niezadługo stanie jedyny reprezentant kraju ciemny chłop wobec rządu. Straszna przyszłość!

Wszystkie uczucia: konserwatyzm, przywiązanie do ziemi, patryotyzm składały się na potępienie dzielnych naszych szermierzy, ojca i syna.

Słyszeli te skargi pan Stefan, Walenty i Adam. Pan Stefan przyznawał się po trosze, że jest ofiarą, Walenty milczał zmartwiony, a Adam bronił przyjaciół jak mógł, lecz nie obronił.

— Gdybyśmy skończyli na tem, od czego zaczęliśmy, tłómaczył się Stanisław przed Adamem — wtedy nasi sąsiedzi może mieliby słusność. Lecz my nie skończymy na początku, mogą być o to spokojni. Pierwszą podstawą cywilizacji jest własność, posiadanie; drugą, dobrobyt podniesiony po za granicę niezbędnych potrzeb; trzecią — przywiązanie do kraju. Poczucia obywatelskie same przyjdą i same się wyrobiją, byle umiejętnie podać rękę przyszłym obywatelom.

— I to zdaje się najtrudniejsze — podchwycił Adam.

— Raczej tylko na wyrobienie tych uczuć długo czekać należy. Lecz one same siłą konsekwencji i cywilizacyi wyrobić się muszą. Pomagajmy ile możemy do tworzenia środków cywilizacyjnych, to wszystko.

Do rozmawiających zbliżyła się Celina.

— Ciekawa jestem, jak się pan weźmiesz do swych protegowanych, dla których rozparcelowałeś Bogdanówkę?

— Najprzód zaprenumeruję dwa, lub trzy egzemplarze *Gazety świątecznej* i *Kuryera rolniczego*. Jeden do karczmy, drugi dla wójta, trzeci dla pisarza — tak, aby nasz chłopiek gdzie się obróci, spotykał się z pismami. Tym sposobem rozbudzi się w nim ciekawość do spraw dziejących się po za granicami wioski, przyzwyczai się do tych wiadomości a razem i do pism tyle, że po roku już sam je zaprenumeruje.

— A jeżeli to nie nastąpi? — zrobił uwagę pan Walenty.

— Po miesiącu wyczekiwania zaprenumeruję sam, a jestem pewny, że gazetki z radością powitane będą. Po latach dwóch zaprenumeruję po trzech miesiącach wyczekiwania, aż do czasu, kiedy mnie uprzedzą i sami zaprenumerują.

— Wybornie — pochwyliła Celinka — my zaprenumerujemy ze swych oszczędności na każdą wioskę po jednym egzemplarzu, posprawiamy ramki jak w cukierniach w Warszawie, zamykane na klódeczki, same będziemy prowadzić kontrolę. Pozakładamy biblioteczki.

— Zgoda — przerwał Stanisław — lecz nie od razu. Niechaj naprzód przyzwyczajają się do czytania. Miejmy nadzór nad szkołkami; zakładajmy nowe i czytać uczmy.

— Ależ to są w obecnych czasach rzeczy trudne.

— Trudne, ale możliwe.

Celinka się zamyśliła, pan Walenty smutno kiwał głową.

— Mojem zdaniem — mówił dalej Stanisław — powinien się pan Stefan postarać, aby go wybrano sędzią gminnym. Za głosy z naszej gminy ręczę.

— I nasi powinni go wybrać — zawołał Adam — lecz wątpię, czy ojciec przyjąłby ten uciążliwy urząd.

— Jestem pewną, że ojczulko przyjmie — pochwyciła Celina — dobry jest, sprawiedliwy, lud go pokocha.

— A nareszcie — dodał Stanisław — ojciec widząc, jak wszyscy pracujecie, mam nadzieję, nie zechce zostać odosobniony. Nie lubi gospodarstwa, jest jednak czynny i ruchliwy — popierał sprawę swego pomysłu Stanisław.

— Czyż temi tylko środkami przyciągniecie panowie do siebie chłopów? — spytała dziewczynka.

— My nie mamy ani zamiaru ani ochoty przyciągać ich do siebie. Specyalne przyciąganie lub kaptowanie, w naszym programie nie leży, lecz cywilizacya. Jeżeli lud przez cywilizacyę zbliży się do nas, wtedy mam nadzieję nie odepechniemy go, a on się przy lada sposobności nie odsunie. Lecz całą pracę około ludu zakładać na przyciąganiu go — po co, na co i dla czego — sędzę, jest to fałszywa zasada i nie prowadząca do celu. Kaptować lud idealnie, to już rzeczy zwietrzałe i niepraktyczne.

Trzeba dać sąsiadom naszym i ludowi możność dźwignia się i postępu. Czyli trzeba naprzód dać, a potem dopiero żądać.

— Dać — powtórzyła cicho Celinka — lecz cóż my mamy?

— Przedewszystkiem nie traćmy wiary w siebie. Jesteśmy bogaci i wiele, bardzo wiele mamy do rozdania, tylko chciejmy. A tymczasem zacznijmy reformę od samych siebie, od otoczenia naszego.

— Musisz być w Dobiesławicach — zawołał Adam, zwracając się do Celinki. Dziewczynka się zarumieniła; Adam nie widział rumieńców i mówił dalej. — Zobaczysz ogródki przed czworakami, w czworakach podłogi, piece kaflane, okna na zawiasach, w oknach firanki, porządek i ład. Żony i dzieci parobków czysto ubrane.

— A ludzie mówią, żeś pan egoistą — przerwała dziewczynka wzruszona, wyciągając rękę do Stanisława. Ale bo też dziwnie pan umiesz lekceważyć opinię. My same... przebacz pan.

— To ja raczej powinienem prosić o przebaczenie — rzekł Stanisław z uśmiechem. — Postępowanie nasze istotnie było egoistyczne — wszystko chowaliśmy dla siebie, pokazując ludziom li tylko uśmiech litości lub szyderstwa.

— I ludzie się za to mścili — rzekła Celina.

— Pocieszam się tem, że mi zaczynają przebaczać. — Stanisław skłonił się Celinie, dziewczynka rumieniąc się po raz drugi, zawołała z uczuciem:

— Już dawno przebaczyli i to z całego serca, przynajmniej my.

Młody człowiek chcąc odwrócić drażliwą nieco rozmowę, spytał raptownie o Wandę. Celina trochę się zmieszła.

— Zagospodarowana — pochwyciła szybko. — Już to Wanda do czego tylko rękę przyłoży, pracuje nie tylko z wytrwałością, ale nawet z zaparciem się. Spokój jej olimpijski, pogoda, łagodność, zjednywają jej serca wszystkich.

To powiedziawszy, odetchnęła szeroko i uśmiechnęła się. Widocznie kamień spadł jej z serca — czuła, że spełnia obowiązki.

Stanisław zamyślił się, lecz spostrzegłszy, że go Adam obserwuje, podał rękę Celinie i wśród wesołej rozmowy prowadził ją do pałacy.

IX.

W obszernym pokoju, przybranym po myśliwsku, siedział wygodnie w fotelu pan Leon; pałac cygaro przeglądał dzienniki.

Zatętniało na dziedzińcu i za chwilkę ukazał się Stanisław. Ojciec odłożył czytany dziennik.

— No, kochany jedynaku, już blisko pół roku pracujesz, a rezultatów nie widać — spowiadaj się.

— Czekałem tylko, drogi ojcze, na rozkaz, aby złożyć raport.

— Ogólne wrażenie?

— Wyborne!

— Słucham.

— Na początek uregulowałem jako tako nasze przyszłe centrum gospodarcze.

— Mówisz o Czyżowie?

— Spłaciwszy część długów, nauczyłem młode pokolenie pracy i oszczędności, a to do tyła, że dziesięć lat wytrwałości, a mogą być bliżej wydobywania się z interesów.

— Dziesięć lat! — nawet mnie samego cyfra ta przestrasza. Cóż mówią Stefan i panny Czyżowskie?

— Pan Stefan uśmiecha się i milczy, szukając nowych i nadzwyczajnych projektów, które jakoś nie przychodzą. Panny pracują z zaparciem.

— Duma i ambicya popychają je do tego kroku. Lecz gdy wypowiedziałeś fatalną cyfrę lat dziesięciu?

— Nie określałem czasu; a jak się przyzwyczają do pracy, nie cofną się.

— Ależ dziesięć lat to wiek dla dorosłych panien, no i nie wielka sztuka oszczędnością i zaparciem zacząć się wydobywać z interesów po takim przeciągu czasu. A owe wielkie plany i projekta ekonomiczne?

— Drogi ojcze, wszystko zależy od ludzi, od jednostek; gdy tych nie ma, najlepsze projekta drzemą w tece lub w głowie biednego marzyciela, chociażby nim był tak wielki praktyk jak Stefenson.

— A więc, mój młody Stefensonie polski, czekaj jeszcze jakie pięćdziesiąt lat na ludzi.

— Nie czekam ani chwili i dziś rozpoczynam akcję — ludzi nie wielu, lecz pewnych, już, przygotowałem.

— Ludzi i to pewnych, to najciekawsze.

— Nas dwóch, Adam, Krówczyński.

— I?

— Na początek dosyć do założenia ogniska. Inni powoli ściągać się będą.

— Czy inni powoli ściągać się będą, o tem bardzo

wątpię, lecz powziąwszy inicjatywę działaj. Przeznaczony na to kapitał i ja — jesteśmy na twe rozkazy.

— Administracya w Czyżowie pewno idzie dobrze?

— Wybornie!

— Widocznie jednak potrzebuje nieustającej z twej strony opieki.

— Adaś dzielny chłopiec, lecz nieco dla rodziny za słaby.

— Musisz mu pomagać i bardzo słusznie. Panny Wanda i Celina potrzebują również wielu rad. Prawda?

— Tem więcej, że po ucieczce Marylli, cały ciężar gospodarstwa na nich spoczywa.

— Za ucieczkę Marylki Krówczyński powinien ci być całe życie wdzięcznym.

— Okazuje mi to na każdym kroku.

— Dosyć, że mała spletała całej rodzinie figła. Wanda musiała uczuć najwięcej, lecz pewno trzyma się mężnie.

— Wygląda nieco na męczennicę, pracuje i mileży.

— Męczeństwo dla mnie jest nużące na dzień powszedni. Może teraz po smutnych doświadczeniach ta piękna królowa poświęciłaby nieco ze swego majestatu?...

— Nie ojcie, nadto dumna, poważna, surowa.

— Zapomniałeś już o niej?

Stanisław się zarumienił.

— Nie zrobi jednego kroku naprzód — odpowiedział.

— A jednak... dla Artura...

— Pierwszy i ostatni raz w życiu hazardowała. Ambicja w tej dziewczynie jest wielką, może nawet kosztem serca. Dlatego bez szemrania poświęci życie obowiązkom, a nie ustąpi, choćby ustępstwem okupić sobie miała przyszłość.

— I to, pochlebiam sobie, szczęśliwą przyszłość. A może za to ty zdecydujesz się na stanowczy krok?

— Ja, ojcie, zrobić tego nie mogę.

— Ależ to są drobnostki wobec przyszłości życia całego!

— Nie chcę sobie wyzebrywać choćby szczęścia. Powinna mnie przeprosić i wytłumaczyć się.

— Może ma ochotę.

— Nie zdradziła jej żadnym dostrzegalnym znakiem.

— Może straciła do ciebie sympatyę?

— Nie okazuje mi jej. Jest grzeczną, uprzejmą i nadto nie więcej.

— Dumna i dlatego podoba mi się. Nie wątpię, że nareszcie nastąpi porozumienie. Zdradzi się czemkolwiek, jestem pewny. Wtedy ty, rozczulony, pokonany — nie jeden, lecz dziesięć kroków dasz naprzód. Tak to zwykle się kończą tego rodzaju sprawy. Muszę się sam przypatrzeć tej pięknej męczennicy i nareszcie zobaczyć Czyżów.

— Wyborna nadarza się sposobność. Jutro wielka narada sześciu stowarzyszonych.

— Zkądże dwóch przybyło.

— Wanda i Celina, i dlatego narada musi się odbyć w Czyżowie.

— Słusznie; ale widzisz, stowarzyszeni i stowarzyszone — jeżeli jedni mają lat trzydzieści, a drugie dwadzieścia — zwykle... No, dajmy temu pokój — na walną radę stawiam się pierwszy.

X.

Pani Karolina wymówiła się bólem głowy i nie przyszła do salonu. Dość jej było jednego posiedzenia, na którym tyle łez wylała, tyle zniosła upokorzeń. Słuchać nowych zobowiązań do pracy swych dzieci, nie miała, jak mówiła, sił.

I nie dziwny się; wychowała się ona i żyła w przekonaniach, jakoby praca miała upokarzać dobrze urodzonego człowieka.

Za to pan Stefan choć nie stowarzyszony, a z nim i pan Walenty, stawili się. Jeden uśmiechnięty szydersko, drugi smutny i zamyślony. Psuto mu ciągle szyki jego wiary i przyzwyczajęń.

Państwo Krówczyńscy zajechali przed pałac nowym kabrioletem. Służba, konie, uprząż, mówiły o pewnym zbytku

Pani Krówczyńska w kościele ostatniej mody, sprowadzonym z Warszawy, pan Krówczyński w eleganckim tużurku, wyglądali sympatycznie i pociągająco. Hipolit zpoważniał, nabrał pewności siebie, odwagi. Ukryte w nim siły wystąpiły na jaw. Widocznie potrzebował zaspokojenia ambicji i uczuć serca, aby być sobą, by spojrzeć szerzej na świat.

Pan Leon z synem przyjechali razem. Pan Stefan, jako dżentlemen, wybiegł na schody witać sąsiada, na którego się gniewał i lat dwa nie widział. Przywitali się serdecznie i wesoło, jakby się wczoraj rozstali.

W salonie bawiły goście Wanda i Celina. Wejście pana Leona zmieszało nieco Wandę, za to Celina przywitała go rozjaśnioną twarzą i uśmiechem. Marylka, jak zwykle, traktowała wszystkich protekcyjną minką, mrużąc oczy. Widząc to pan Stefan, szepnął do Adama:

— Co uchodziło pannie Czyżowskiej, to staje się śmieszkiem u pani Krówczyńskiej.

— Na każdym stanowisku można być arystokratą lub demokratą — odparł cicho Adam.

— I stanowisko stawia nas w swych prawach, lub czyni śmiesznymi. Ty na przykład jako demokrat?...

Nie było czasu na dyskusję. Stanisław skończył rozmowę przywitalną z Marylką, pan Leon z Wandą.

— A więc możemy zacząć — odezwała się głośno Celina. Stanisław na znak zgody pochylił głowę. Pani Krówczyńska wysunęła się cicho ze salonu, aby odwiedzić matkę. Nudziły ją dysputy gośpodarskie.

Zrobiło się cicho. Pan Stefan i pan Walenty umieścili się na boku, jako zorganizowana opozycja.

— Już czas, abyśmy wyszli z biernego a raczej odpornego stanowiska, na jakie nas siła wypadków i ciężkie przejścia społeczne wepchnęły — mówił Stanisław. — Dotąd ten tylko był zwycięzcą, kto wytrwać umiał, kto się obronić potrafił burzom cisnącym się ze wszystkich stron na głowy biednych posiadaczy ziemskich. Dotąd nie było mowy i być nie

mogło o inicjatywie, o postępie, melioracyach, gdyż musieliśmy walczyć o posiadanie, o utrzymanie się na odziedziczonych stanowiskach. Dziś się dużo zmieniło, stosunki ekonomiczne zaczynają się ustalać i wyrabiać, dziś możemy obliczać nasze siły, mamy zabezpieczone jutro i wolno nam myśleć o przyszłości. Ci co zostali, oparli się i wytrwali — mają więc siły i prawo iść dalej, a do tego potrzeba zszeregować się — wytknąć sobie drogę pochodzenia i systematycznie zmierzać do celu.

— Brawo, brawo — przerwał pan Stefan; wtórowali mu pan Walenty z Hipolitem.

Nieoznaczone ściśle frazesy, wypowiedziane głośno i stanowczo, chwyciły za serce starszych — i zdaje się były im poświęcone.

Dziewczynki a z niemi pan Leon oczekiwały na rzecz.

— Główną wadą naszych stosunków ekonomicznych — mówił dalej Stanisław — jest ogólna bieda. Brak wszelkiego rodzaju kapitału czuć się daje dotkliwie — my jednak wobec tego faktu stoimy z założonemi rękami, mając wszelkie dane do wydobywania się z niemocy.

— Prawda — przerwał pan Walenty — upadamy z dniem każdym.

— A jednak podźwignąć się możemy, gdybyśmy tylko chcieli, a przedewszystkiem gdybyśmy umieli.

— Do rzeczy — przerwał pan Leon zniecierpliwiony omawianiami syna.

— Jako jeden z głównych powodów podźwignięcia, proponuję »solidarność gospodarską«.

— Prosimy o jasne postawienie kwestyi — dały się słyszeć głosy ze strony opozycji.

— Ależ pozwólmy panu Stanisławowi rzecz całą wyjaśnić — odezwała się zarumieniona Celinka.

Stanisław podziękował uśmiechem dziewczynce i mówił dalej.

— Proponuję wspólkę gospodarską, złożoną na początek z Czyżowa, Dobiesławic i Górki.

Zgromadzeni spojrzeli po sobie.

— Kalinowa i Klonów, mam nadzieję, że również przystąpią — przynajmniej będziemy się o to starać. Każda z wymienionych miejscowości ma pewne bogactwa, których brak drugiej, możemy się więc kompensować.

XI.

Hipolit, u którego było prawie wzorowe gospodarstwo, posmutniał, myśląc, że będą od niego żądać na rzecz Czyżowa ofiar, a tu przy potrzebach pani i jej wydatkach, Górka ledwo wystarczyła. Zdaje się Stanisław zrozumiał smutek Hipolita, bo pospieszył dodać.

— Przedewszystkiem żadnych ofiar jedni dla drugich. Spółka nasza jest czysto spółką rolniczo-przemysłową — i jeżeliby który z jej członków przekonał się, że nie ma odpowiedzialnych korzyści, w tej chwili cofnąć się może.

Twarze Hipolita i panien rozjaśniły się, pan Stefan nieco zmarszczył brwi.

— Naprzykład — mówił dalej, zapalając się Stanisław — Dobiesławice i Górka skończą połowę swych siewów — całą swą forszą przychodzą w pomoc Czyżowowi, aż dopóki Czyżów połowy siewów nie skończy. Po skończonych u nas siewach również pomóż ukończyć siewy w Czyżowie będzie naszym obowiązkiem. Toż samo dźiać się powinno przy robotach wiosennych. Czyżów zaś będzie nam za to płacił sianem — którego łąki musimy przygotować do znawodnienia własnym kapitałem, odbierając sobie procent z kapitału sianem.

Pan Stefan zarumienił się, a pan Leon nie śmiał na niego spojrzeć; dziewczynki spuściły oczy. Kwestya nawodnienia łąk poróżniła kiedyś rodziny.

— Na Woli Dobiesławskiej — ciągnął dalej mowca — można zbudować gorzelnię, jeżeli Górka i Czyżów podejmą się dostarczać potrzebną ilość kartofli.

— Zgoda — zawołał Hipolit.

— Ale po skontraktowanej cenie. Przypuszczam, że gorzelnia się nie opłaci, to będziemy mogli kartofle nasze dobrze spieniężyć — i mieć darmo wywary, które wrócą w odpowiedniej ilości do Czyżowa i Górki. Gorzelnia może być wspólną naszą własnością, chociaż my damy kapitał zakładowy, z którego procent będziemy sobie potrać. Do tego przedsięwzięcia możemy również pociągnąć i mniejszych naszych sąsiadów z udziałami jako jednostkę stanowiącą dziesięć korey kartofli.

— Wchodźcie w handlowe stosunki z chłopami i dobrze na tem wyjdziecie — odezwał się ironicznie pan Walenty.

— Spróbujemy — odpowiedziała staruszkowi Celina.

— Zboże nasze — mówił dalej Stanisław — możemy sprzedawać razem na wielkich targach w Warszawie, Toruniu lub Gdańsku. Pilicą do Wisły zaledwo parę mil, drzewo na tratwy dostarczą nam poręby z lasów czyżowskich. Warto będzie poświęcić kosztą przejazdu i nawiązać stosunki z Gdańskiem, mając do zbycia kilka tysięcy korey pszenicy i żyta, jeżeli Kalinowa i Klonów do wspólki przystąpią.

— A jeżeli nie przystąpią? — zrobił uwagę pan Stefan.

— Powinniśmy zacząć od siebie — odpowiedział starszy Dobiesławski. — Przykład dużo znaczy; w naszym położeniu prawie wszystko. Rezultatów prac naszej wspólki nie będziemy trzymać w tajemnicy.

— Niedobory w ziarnie dla wypełnienia potrzebnej nam na eksport sumy weźmiemy od wieśniaków — dodał Stanisław.

Pan Walenty machnął ręką.

— Skoro tylko gorzelnia się rozwinie, gdy na łąkach przeprowadzimy nawodnienie i w kulturze posuniemy się o krok naprzód, wtedy to panie obejmiecie dyktaturę.

— Aż dyktaturę? Czy to nie za wiele — pochwyciła Celinka.

Wanda się uśmiechnęła.

— Założymy fabrykę serów lub masła, co się lepiej opłaci — mówił dalej Stanisław. — Główny zarząd będzie

w rękach pań. Całe gospodarstwo musi się naginać do ich wymagań i rozkazów. A fabryka masła lub serów to korona dzieła, to ideał, do którego ciężko pracując, zdążać powinniśmy.

— Przypominam sobie — przerwała Celina — wiele razy zajmujesz się pan tym ideałem, zawsze patrzysz w niebo.

— Przypominasz mi pani moje arytmetyczne roztargnienia — odpowiedział z uśmiechem młody człowiek.

— Stałam wtedy na straży.

— Abym do stawu nie wpadł; dziękuję pani. W tej chwili cieszę się, że moje marzenia w czyn zmienić się mogą.

— A więc spółka rolnicza — w zasadzie przyjęta — zabrał głos pan Leon.

— Przyjęta — oświadczył z zapalem Hipolit. A że pan Stefan i Walenty milczeli, nie oponując, przeto pan Leon miał prawo oświadczyć:

— Czekamy na ułożenie statutu, inaczej na spisanie kontraktu spółki. Potrzeba pracowników gwałtownie czuć się daje i dlatego ośmielam się prosić o pomoc pana Stefana.

Celina patrzała pytająco na ojca. Oczy jej świeciły radością, Stanisławowi zdawało się, że prośbę wyczytywała z nich.

— Ojcie — zawołał Adam — czybyś zostawił nas samych?

— Pan Stefan nie zostawi dzieci samych — odpowiedział na to Leon.

— Nie, nie zostawi — poświadczył wzruszony pan Walenty.

— O tak, ojczulku — pochwyciła Celina — jeżeli tylko wierzysz w nasze projekta.

— W każdym razie pracować mogę i powinienem, mimo wiary lub niewiary — odparł pan Stefan.

— A teraz prosimy o wybór zarządu — zabrał głos pan Leon.

— Młodzi zaczęli, niech młodzi prowadzą — zdecydował pan Walenty.

— A ponieważ mamy trzech młodych: Stasia, Adama i Hipolita, niechaj oni składają komitet — oświadczył ze swej strony pan Leon.

Młodzi ludzie skłonili głowy. Hipolit był dumny z zaszczytu, a pan Stefan wdzięczny za zięcia. Zdawało mu się, że jego nazwisko było tak niepoczesne, że uznanie jakie odbierał, pochodziło ze względów i szacunku jemu oddawanych. Tego samego zdania był i Hipolit.

— A zatem mamy już władzę — zawołała z radością Celinka.

— Którą przyjmujemy, przerwał Stanisław — tylko tymczasowo, aż do chwili zwiększenia się spółki i ogólnych wyborów.

— Wybornie — poświadczyli starsi.

Czy i pani podziela również nasze opinie? — zwrócił się pan Leon do Wandy.

— Najzupełniej — odpowiedziało poważnie dziewczę.

— A jednak, zdaje się, jak gdybyś pani nie brała udziału w naszych rozprawach.

— Uczę się. Są to rzeczy nowe. Ukazujecie nam panowie inne światy, odmienne drogi. Tyleśmy czasu zmarnowały nieświadomością i z tego powodu nieraz musiałyśmy zrobić coś takiego, czego dziś żałujemy.

— Kocha — pomyślał pan Leon — i żałuje, bo czyż jest ojciec, któryby na miejscu pana Leona pomyślał inaczej. Szanujmy ich miłość i dumę.

Wanda zawsze była piękną, choć smutną, zamyśloną i zamkniętą w sobie. Dodawało jej to więcej jeszcze majestatu, lecz nie pociągało. Duma jej i spokój onieśmiały. Wszyscy przed nią schylali głowy, ale się nie zbliżali. Ojciec sam był nieswój wobec córki po ostatniem przejściu. W jej towarzystwie, tracił na swobodzie, dowcip zamierał mu na ustach.

— Ciekawa jestem, moi panowie — przerwała ciszę Celina — jak pozyskacie przyszłych współników — Klonowa, Kalinowy.

Na wspomnienie Klonowa różowy obłoczek przemknął po bladej twarzy Wandy, ale znikł niebawem. Oczy przysłoniła rzesami, lecz je w tej chwili rozwarła. Widział i rumie-

niec i przymknięte oczy pan Leon, udał jednak, że tego nie spostrzegł, odsuwając się nieznacznie.

— Jak pozyskamy przyszłych wspólników? Pojedziemy do nich z Adasiem. A gdy nam się uda, będziemy się starać o zakładanie podobnych ognisk w sąsiednich okolicach naszego powiatu. Wtedy tylko będziemy mogli skutecznie walczyć w kierunku ekonomicznym, gdy się pozbędziemy opiekunów i pośredników. Ponieważ jednak nie możemy się stykać bezpośrednio z konsumentami, miejmy stosunki z wielkimi domami handlowymi.

— Centra i bezpośredniość stosunków przy decentralizacji w pracy — odezwał się z zapalem Adam — to podstawa ekonomii. Marzyłem kiedyś o wprowadzeniu w czyn tych zasad — tyś mnie uprzedził i wdzięczny ci za to jestem.

— Świetne to teorye — zabrał głos pan Stefan — mnie się jednak zdaje, że nasze projekta od nas się zaczęły i na nas się skończą.

— Cokolwiekbądź się stanie, my przeprowadzimy swoje — odrzekł Stanisław. Zawsze ludzie przypatrywać nam się będą, a potem i naśladować. Taka kolej rzeczy.

XII.

Jarmark skaryszewski był przepełniony, jak mówiono »nabity«. Wprawdzie mniej było szlachty niż dawniej, mniej tych, którzy bawić się chcieli, a więcej tych, którzy sprzedawali lub kupowali. Zawsze jednak było dużo wrzawy i rozpraw, tem więcej, że tematu nie brakło. Dostarczyła go nowo zawiązana spółka, a że Czyżów od czasu rozgłoszenia o bankructwie stracił na popularności, Dobiesławice nigdy jej nie miały, a na Krówczyńskiego patrzano z góry — nie brakło krytyk.

— A to majster z pana Stefana, co? — zagaił w restauracji za stołem, przy obiedzie, okazałych rozmiarów trybun powiatowy.

— Pochwycić takich ptaszków jak Dobiesławskich.

— Ojca i syna, prawda, prawda — powtarzali inni.

— A teraz każe im orać, siać, zbierać, sprzedawać, a sam będzie pieniądze zgarniał i do Warszawki — do Paryża — fiut-fiut!...

— To tak zawsze, — pan wysie szlacheica jak cytrynę, a łupinę wyrzuci precz daleko od siebie!

Bracia szlachta zaczęła smutnie kiwać głowami.

— Ale to państwo jakoś zbladło, od czasu jak Krówczyński wszedł do rodziny.

— Co do mnie, to wolalbym wyjść na dziada jak Krówczyńskiego zięciem nazwać — przysięgam na Pana Boga — wygłosił trybun.

Bracia szlachta spojrzeli po sobie, bo przed ożenieniem się Krówczyńskiego, trybun mając dorosłą córką, był dlań uprzedzająco grzecznym, a nawet mówiono, zapraszał go natarczywie w dom.

— Mnie tam moi panowie, żal chłopca — odezwał się chudy, a wysoki szlacheic, o podgolonych, spieczasto zakończonych, siwiejących wąsach. Żal mi go, powtarzam. Ma jedną wioszczynę, a to tyle znaczy, co garniec owsa dla wielkiej, a chudej szkapy — jaką jest Czyżów.

Śmiech powstał między bracią na dowcip wysokiego a chudego brata.

— Ale jaki ma interes mieszać się do Czyżowa pan Leon — krzyknął trybun — to jak Boga kocham nie zgadnę.

— A jakieżby, jaki, tylko aby swego Stasia wydać za jedną z Czyżowskich.

— I dla tego miałby rujnować się? A toż niech tylko palcem kiwnie, to jedna przez drugą będą leciały, choćby im rowy przyszło przesadzać.

I ten dowcip wywołał ogólną wesolość.

— Moi panowie — zabrał głos chudy a wysoki — bardzo rozsądnie postępuje pan Leon, kładąc swe kapitały w Czyżów

bo jeżeli syna ma zamiar ożenić z Czyżowską, to je przecież wydobędzie napowrót z procentem.

— A prawda, jak Boga kocham, prawda — zahuczał trybun.

— Może i nie ożeni syna, a weźmie Czyżów, jak wziął Bogdanówkę. Majster z niego ho-ho!

— A potem jak Bogdanówkę tak i Czyżów rozdzieli między chłopów.

— Alboż to ci egoiści mają jakie pojęcie o uczuciach obywatelskich? — Tyle pieniędzy, a wyratowaliż choćby jednego z sąsiadów?

— To może i pan Stefan, choć także majster, złapał się na wędkę tej spółki?

— Bo pewno.

— Nie popasie on długo w Czyżowie...

Taką była opinia braci szlachty *minorum gentium* o zawartej spółce.

XIII.

Artur już był po ślubie z panną Radłowską. Mama Radłowska utrzymywała, że młode małżeństwo było tak dobrane, jak dwa ziarna w korcu maku. Podzielamy jej zdanie, albowiem podobne podobnych przeczuwają i często znajdują Państwo młodzi zaraz po ślubie wyjechali za granicę i dopiero w tych dniach szczęśliwie wrócili, osiadając w Klonowie.

Adam nie chciał się pierwszy witać — pojechał sam Stanisław w interesie spółki i przyjęty został uprzedzająco grzecznie, tak przez pana, jak i młodą panią, lecz na zrobioną propozycję odpowiedział Artur, że ma za dużo kłopotów z własnym i żony majątkiem, aby mógł solidaryzować się ze sprawami i interesami sąsiadów. Nareszcie, że pewno będzie tylko gościem w Klonowie, gdyż na zimę wyjeżdża do Warszawy, a wiosnę przepędzi w majątku żony. Rządca zaś jego nie będzie miał czasu zajmować się sprawami spółki. Zresztą mo-

głyby się przy spółce wywiązać nieporozumienia, a on, jak i żona jego pragną z sąsiadami Klonowa żyć w najserdeczniejszych stosunkach. Pani Arturowa dzieliła opinie męża i również ze swej strony wypowiedziała je gościowi. Stanisław odjechał z niczem, smutny i zły na siebie, za propozycje czynione ludziom, w których nie wierzył.

— Lecz któż mógł się spodziewać, że ludzie ci przy całym egoizmie swoim tak mają krótki wzrok na własne dobro. Klonów, gdyby należał do spółki, miałby wyborną opiekę, a rządcą jego byłby pod kontrolą!

— Egoizm zaślepią — wydekłamał z patosem młody ideolog, patrząc na lazuruwe niebo pogodnego wieczoru. Potem przytulił się do poduszek powozu i zaczął rozważać, jak mogła Wanda — ta majestatyczna dumna Wanda — pokochać takiego poziomu człowieka, jakim jest Artur. Był oburzony. Miłość własna ma swoje prawa i swoją rację bytu.

— Zabawni — rzekł Artur do żony — chcą się ratować naszymi kapitałami i naszą zamożnością.

— Dawniej, gdy Czyżów lepiej stał w interesach, nie mówiono o spółkach. Dopiero gdy bankrutują, wzywają sąsiadów o pomoc — odpowiedziała pani Arturowa.

— Niech się poświęcają Dobiesławscy, jeżeli mają w tem interes.

— Naturalnie. Zanim zjawileś się w Czyżowie, Stanisław kochał się w Wandzie. Tyś mu popsuł szyki — a mnie się udało popsuć jej. Pani Arturowa pochyliła swą główkę na piersi męża, a mąż jak przystało na dobrze wychowanego męża, pocałował ją w czoło.

* * *

Raport złożony przez Stanisława z wizyty w Klonowie, zrobił jak najlepsze wrażenie. Pan Stefan tryumfował, Celinka się uśmiechała, żartując na temat tłustej pani Arturowej, jej głębokich westchnień i odpowiedzi pana Artura. Oszczędzano Wandę i w jej obecności nie wznawiano tej kwestyi. Dość na

tem, że w Czyżowie radzi byli z odpowiedzi pana na Klonowie, bo tym sposobem zrywały się stosunki na zawsze.

Pierwsza próba nie adala się, została Kalinowa, do której wybrali się razem obaj młodzi naczelnicy spółki. Obszary Kalinowej przenosiły tysiąc morgów pszennej, ciężkiej ziemi. Wózek wiozący Stanisława i Adama, wtoczył się w zabudowania gospodarskie popodpierane kolkami na wszystkie strony i ze wszystkich stron. Na dziedzińcu kaluże i gruda, resory wózka skarżyły się cichym jękiem. Ścieżki między stajnią a oborą wyłożone były nawozem i słomą.

Młodzi ludzie porozumiewając się wzrokiem i uśmiechem zajechali przed ganek. Siwowłosy milczący sługa o szklannem wejrzeniu pomagał im wysiąść.

W pierwszym zaraz pokoju zastali gospodarza domu zdradzającego jakieś dziwne zakłopotanie i pewien niepokój, przy serdeczności powitania.

Pan Michał sześćdziesięcioletni kawaler, znany był ze swej dziwnej oszczędności i braku decyzji. Przymioty te i wady u ludzi słabej woli, zwykle chodzą w parze.

Pod samemi drzwiami stał ekonom, wysoki, czerwony, o malutkich świecących oczach, głęboko osadzonych, a filuternie jowialnym uśmiechu.

Rzuciwszy okiem na dwóch tych ludzi, odrazu można było poznać przewagę drugiego nad pierwszym. Uśmiech ekonomy, mówił o tem wyraźnie, chociaż niskie jego czoło i twarde, grube, sterczące włosy nie świadczyły o zbytnej inteligencji.

Podano przekąskę. Ekonom napił się ostatni, ukradł chleba, posmarował masłem i cofnął się na swoje miejsce, Rozdano cygara. Stanisław zaproponował przechadzkę po ogrodzie, lecz pan Michał wymówił się katarem. Nie było innej rady, jak przystąpić do rzeczy wobec ekonomy, którego uśmiechu bali się młodzi ludzie.

Po wyjaśnieniu kwestyi spółki pan Michał chrząkał, uśmiechał się, zacierał ręce, lecz na stanowczą odpowiedź zdobyć się nie mógł.

— Wielmożni panowie, — odezwał się z pod drzwi ekonom — jakim był na Kujawach, nie słyszałem o żadnych spółkach, a jakie tam gospodarstwa, proszę tylko popatrzeć. Ale bo mają forse, mają czem robić, bo nie żalują — jak mój pan...

— Cicho, cicho Haraziński — przerwał pan Michał — to do ciebie nie należy — i trzepnął parę razy chustką w stronę ekonomy, co oznaczało zły jego humor.

— Przez spółkę możemy przyjść do potrzebnej nam forsy — odpowiedział łagodnie Adam.

— I cóżbyście, wielmożni panowie, wyciągnęli z Kalinowej — te parę szkap? Alboż to szkapy? To koty! Kiedyż my to kończymy siewy, a jaka u nas orka! Kalinowa zjadłaby spółkę w dwóch latach!

— Nic łatwiejszego, jak sprowadzić odpowiednią ilość dobrych koni, przecież sąsiada dobrodzieja stać na to — odezwał się Stanisław.

Pan Michał przyświadczył młodym ludziom, gniewał się na Harazińskiego, chrząkał — lecz na nic stanowczego nie mógł się zdecydować. Nareszcie oświadczył, że się namyśli, rozważy podany projekt i odpisze.

— Co ty sobie myślisz, Haraziński, aby mnie i moje gospodarstwo ośmieszać — ofuknął pan Michał ekonomy, po wyjeździe gości.

— A czy źle zrobiłem — odparł z filuternym uśmiechem ekonom. Bo i po co ludzi bałamucić i odrazu im nie powiedzieć, że się nic nie robi. A bo by to Wielmożny pan wydał pieniądze na kupienie fornalek, na drenowanie, kości i Bóg wie jeszcze na co? Wchodzić w spółkę z takim gospodarstwem jak dobiesławskie! U nich koń z pod dragonów, a u nas z przeproszeniem koty. Zabiliby je nam w jednym dniu...

— Ale mogą mi w Gdańsku pszenicę sprzedać, kupując kartofle — przerwał pan Michał.

— Abo to Wny pan wytrzyma, gdy Herszek przyjdzie i pieniądze na stole rozłoży?

— Cicho bądź, to do ciebie nie należy. Ty pilnuj gospodarstwa.

Haraziński idąc do domu, powtarzał sobie z właściwym mu uśmiechem :

— Już ja tam nie potrzebuję, aby mi panowie Dobiesławscy wściubiali nosy do mego gospodarstwa. Zastraszylem starego i będzie dobrze.

Haraziński odrazu odgadł niebezpieczeństwo dla siebie, w przyszłej spółce i dobrze się przeciw niej zabarykadował.

Istotnie w parę dni później, pan Michał odpisał Stanisławowi, że z powodu wieku i nadwątłego zdrowia, nie może przyjąć proponowanego układu, lecz radby zboże swoje, razem ze zbożem spółki sprzedawać, ziemniaki zaś po proponowanej cenie odstawi.

W parę dni później rozeszła się wieść, że Herszek kupił od pana Michała pięćset korcy pszenicy. Mówiono, że Herszek miał sposób. Targując się, rozkładał pieniądze na stole, potem straszył, że cena zboża spada i gwałtownie rozłożone ruble zgarniał. Wtedy pan Michał miał się rzucić na żyda, odbierać mu pieniądze, a oddawać pszenicę.

Sprawdziły się przeczucia pana Leona, zabrakło ludzi do proponowanej spółki, jako do rzeczy nowej, wymagającej odpowiedniej kultury pojedynczych gospodarstw i odpowiedniego wyrobienia ich właścicieli.

— Mój drogi — mówił ojciec do syna — ludzie tylko, to jest charaktery stanowią o rozumie, bogactwie i przyszłości narodu. Nie ma położenia, z któregooby się społeczeństwo wydobyć nie mogło, jeżeli w niem dzielne charaktery przeważać będą.

— Lecz na wyrabianie charakterów — odpowiedział syn — składa się przeszłość narodu, jego terażniejszość, stosunki, otoczenie, wychowanie, obyczaje, przesady... Wszystko drogi ojcze, całe dzieje ze swemi dobrami i złemi losami. Ludzie i możność wyrobienia w nich charakterów nie ze wszystkim zależą od siebie.

— Jednak nam, posiadaczom ziemskim, łatwiej się wyrabiać niż milionom wydzielczonych.

— Prawda, gdyby nie zbyt wielki ciężar przygniatających nas przesądów. Nareszcie, gdyby było łatwo, bylibyśmy pewnie inni. W każdym razie nie cofniemy się z obranej drogi. Nigdy!

XIV.

— Może to i lepiej — odezwał się po tych zawodach Stanisław do Adama i Hipolita — żeśmy w trójkę zostali? Wypróbujemy wszystkie możliwe projekta, nauczymy się, nabierzemy wprawy i doświadczenia w naszym kółku, między sobą, bez zawodów, kontroli, krytyk. I wtedy dopiero będziemy się mogli śmiało i energicznie rozszerzać.

— Lecz czy się rozszerzymy? — pytał Hipolit.

— Nie tak nie przyciąga, jak powodzenie. Ludzie nie zobaczą naszych małych zawodów, nie będziemy się nimi chwalić, lecz zobaczą nasze zwycięstwa, bo je pokażemy. Zwycięstwo, powodzenie, dobre rezultaty, nadzieja bogactwa, są rzeczy, przyznacie, pobudzające wszelkie uczucia, działające jednako na rozum, jak i na fantazyę ludzką. Tylko wytrwałości, panie Hipolicie!

— Alboż ja się cofam? — odparł zmieszany Hipolit.

— Może troszeczkę się boisz o twój sprzężaj — wypieszczone konie, wykarmione woły. O twą pszenicę, żyto — abyśmy ich nie sprzedali za tanio.

— Ależ bynajmniej — tłumaczył się zakłopotany.

— Obawy twoje nie są bez słuszności, podobno zaczynasz za dużo wydawać. Mówią, że oszczędności twe topnieją.

— Można kochać — zrobił uwagę Adam — lecz i w miłości, powinien praktyczny pierwiastek przeważać. Przebac mi, lecz jako szwagier i brat...

— Adasiu — przerwał zarumieniony Hipolit.

Młodzi ludzie umilkli.

Tymczasem przejeżdżający ludzie drogą wijącą się między Dobiesławicami, Górką a Czyżowem stawali, patrząc, jak na jednym łanie pięćdziesiąt pługów odkładało skiby przy skibach. Wesóło było, rojno, ochoczo. Zdaleka zdawało się, że wojsko manewruje. Panowie i ekonomi na koniach, podobni byli do oficerów sztabowych, — uwijający się polowi i pisarze do wytycznych, Wśród sztabu widać było dwie amazonki.

Pan Leon dawał konia Celince, a Hipolit musiał kupić natychmiast podobnego Marylli. Celinka rada po załatwieniu swych spraw gospodarczych uciekała w pola na swej »Bałamutce«. Marylla nudziła się sama w domu bez Hipolita, mając wierzchowca, nie opuszczała prawie męża, zapominając o swych arystokratycznych zasadach.

Pięćdziesiąt pługów przewracało ziemię, pięćdziesiąt bron pokrywało siew, a ludzie widząc to, roznosili wieści po całym powiecie. W opowiadaniu cyfra pięćdziesięciu zamieniła się w sto, co zrobiło głębokie wrażenie i poważne nastroczało myśli.

Na Dobiesławskiej Woli stanął olbrzymi komin gorzelni, bo widać go było o pół mili, stał na wzgórkach, przeglądając się w zwierciadlanej szybie stawu. Gorzelnia zadziwiała sąsiadów, budząc w nich wątpliwości i krytyki, tem więcej, że rozchodziły się głuche wieści, że i chłopci do niej należą.

— Rozpoją chłopstwo — szeptali sąsiedzi, rozbudzą w niem dzikie instynkty, zubożą lud...

Roboty około nawodnienia łąk czyżowskich, również intrygowały sąsiadów; tylko o tem dziele nie złego powiedzieć nie mogli. Patrzyli, szeptali i dziwili się, często uśmiechali, lub wzruszali ramionami, lecz pilnie wysłuchiwali każdej wiadomości; najsprzeczniejsze krzyżowały się plotki.

Odważniejsi i ciekawszy zaglądali do Dobiesławic lub nawet do Czyżowa, aby, jak mówili, zasięgnąć języka. Lecz pan Leon swoim zwyczajem uśmiechał się i żartował. Nad jednymi się litował strasząc że do spółki nie należeli — przed drugimi się żalił, że spółka wszystkie jego kapitały pochłania. Pan Stefan, choć udawał, że nie bardzo

ufa spółce, wyprostował się, oczy mrużył, ludzi traktował protekcyjonalnie, z góry, dając im uczuć swą wyższość i łaskę zbliżenia się do nich. Mścił się troszkę za przegraną przy wyborach, a mszcząc się, lubił upokarzać. I tą właśnie postawą swoją dużo dawał im do myślenia, a nawet wlewał wiarę w powodzenie przedsięwzięcia.

Uroczyście wobec zgromadzonych sąsiadów i włościan zalano łąki i spuszczone wodę. Próba udała się wybornie. W dwie i pół godzin woda zupełnie zeszła, trawa perlila się rosą, łamiąc światło promieni słońca.

Krytycy z profesyi odjechali skwaszeni i milezący do domów, za nimi trybun i chudy a wysoki szlachcic.

— Dwóch majstrów wzięło się za czupryny, który którego pobije — szepnął chudy do trybuna.

— A Bóg tam wie! dość, że mają pieniądze. Czyżowski panek puszy się i bracię traktuje przez ramię, a tu człowiek liże i będzie lizał łapę. Gdybym tak bliżej mieszkał, oddałbym im się w opiekę z kretesem.

— Ostrożnie, sąsiedzie, ostrożnie — poczekajmy...

— Czeakać? Na kogo? — Może sąsiad mi pomoże — co? ha — ha!

— A cóż ja mogę?

— O tem dałoby się dużo powiedzieć.

— Ależ do spółki potrzeba kapitałów — zagadywał chudy.

— Pan Stefan je miał? spytał trybun.

— Pan Stefan ma Czyżów.

— A ja swoją Krzykawkę. I jeżeli panu Stefanowi dali pięćdziesiąt tysięcy rubli — to mnie mogą dać dziesięć.

Na tem skończyła się dyskusya,

*

*

*

Otwarcie gorzelni było okazalsze i uroczystsze. Wielki, wysoki komin intrygował. Dużo zjechało ciekawych, tem więcej, że dotąd utrzymywano, jako gorzelnie w naszym kraju nie oplacają się.

»Gorzelnia spółki Czyżów, Dobiesławice, Górka« taki był napis wyłożony złotemi literami, na czarnem tle tablicy. Wjeżdżający goście czytali napis w milczeniu. Tyle wygadano na spółkę — gdy tymczasem ona co parę miesięcy z czemś nowem zaczynała występować. Wszędzie na początku na pierwszym planie był Czyżów, za nim dopiero ukazywały się Dobiesławice. Intrygowało to sąsiadów, boć wszyscy wiedzieli, że kapitały Dobiesławic grają główną rolę.

Budynek gorzelni postawiono z wielką oszczędnością, lecz wszelkie urządzenia w nim, były zastosowane do ostatnich zdobyczy nauki. Gorzelany nie mógł się skarżyć na braki i niedokładności.

Powodzenie zależało li tylko od jego pilności i dokładności w wypełnianiu swego zadania.

— I nie boicie się, sąsiedzi, tyle kapitału ryzykować na przedsiębiorstwo, które u nas straciło rację bytu? — spytał pan Michał, jakając się, bo mu troszkę wstyd było, że się wylamał od spółki.

— Dziś gorzelnię musimy traktować jako odrębny przemysł — prowadzić go dokładnie, skrupulatnie i na większą skalę, niezależnie od gospodarstwa — tłumaczył pan Leon. Nigdybym nie zakładał gorzelni sam, ale mając w spółce Czyżów, Górkę i dwieście na początek udziałów ze strony włościan, każdy po dziesięć korey — odważyłem się. Zawsze będziemy mogli nieźle sprzedać swe ziemniaki, co dużo znaczy — i — i w ostateczności może nam darmo przyjdą wywary, a co będziemy uważać za wielkie zwycięstwo.

— Nie ma co mówić — zabrał głos trybun — wszystko pięknie, okazale, idzie jak z płatka. Bodaj to być panem!

— Kochany sąsiedzie, przed trzydziestu laty na Dobiesławicach miałem własnego majątku najwięcej piętnaście tysięcy rubli.

Na to oświadczenie nikt z obecnych nie znalazł odpowiedzi.

— Cóż to u licha za dziesięciokorcowe udziały włościan? — rzucił pytanie jeden z obecnych.

— Właściciel udziału obowiązuje się przez lat sześć dostarczyć po dziesięć korcy ziemniaków do gorzelni za umówioną cenę, a dopiero po skończeniu każdej kampanii odbiera część przypadającego nań zysku, lub otrzymuje go w wywarach, które mu się dają na rachunek.

— I aż dwustu się znalazło? — pytano.

— Na początek. Mam nadzieję, na rok przyszły będzie ich trzystu, za lat dwa pięćset i wszyscy będą chcieli nadwyżkę brać w wywarach.

— Szczególna okolica i szczególny lud — dały się sły-
szyć głosy.

— Taki sam jak wszędzie, tylko nieco więcej ucywilizowany skutkiem bezpośrednich z nim stosunków — odezwał się Stanisław.

— Dodaj sąsiad i dobrego przykładu — dokończył pan Michał.

Puszczono na młynek kartofle z parnika. Towarzystwo otoczyło kadź, a wtedy zapanował donośny głos gorzelanego, dającego rozkazy.

Robotnicy poubierani w szare bluzy z czerwonymi wypustkami, przepasani rzemiennymi paskami, uwijali się raźnie i cicho. Wszyscy przysięgli, należący do towarzystwa wstrze-
miężliwości; innych nie przyjmowano.

— Mundury te — tłumaczył Stanisław — nie są oznaką naszej fantazyi, leez sprawione dla konieczności, aby na pierwszy rzut oka, poznać swoich ludzi i nareszcie dla porządku. Robotnik czysto ubrany, dba również o czystość tego, co go otacza. Jest to fakt wielokrotnie stwierdzony.

Przyjechał pan Stefan z Adamem, uśmiechnięty, wyprostowany, a zawsze grzeczny i wesoly.

Rozmowa ożywiła się, nabrała pewnej werwy, tocząc się swobodnie, kierowana wprawnie i zręcznie przez pana Stefana.

— Jakże panowie zaopatrujecie się w opał? — spytał jeden z obecnych.

— Lasy Czyżowa i Górki obowiązane są dostawić odpowiednią ilość sagów rocznie za umówioną gotówkę, oprócz dziesiętej części przeznaczonej na kapitał.

— A więc wspólnemi silami?

— Ponieważ gorzelnia jest własnością nas trzech, dla tego sędzę, że się utrzyma — o co się wszyscy staramy. Gdyby tylko Dobiesławice same postawiły gorzelnię, a Czyżów i Górka widząc, że drzewa gwałtownie potrzebujemy, podniosły cenę saźnia z trzech na cztery ruble, musielibyśmy w ręk zamknąć gorzelnię i stracić dwadzieścia tysięcy rubli nakładu. Tymczasem dziś, mając drzewo, jęczmień i ziemniaki własne, nie obawiamy się zwyczajek, nie tracimy czasu na wyczekiwanie; słowem, nie potrzebujemy walczyć, lecz tworzyć, produkować.

Cóż było powiedzieć na te wywody? Loika ich pokonywała opozycję, zamykając jej usta.

Po uroczystości otwarcia, goście zaproszeni zostali na obiad do Dobiesławic, a na wieczorną herbatę do Czyżowa.

Pan Stefan umiał być gospodarzem, umiał przyjąć, każdego ugościć, a że nie od nikogo nie potrzebował, oczarował wszystkich, w czem mu pomagały żona i córki.

I o dziwo! przed rokiem jeszcze okrzyczany za lekkomyślnego utracjusza, psującego wysokiemi procentami kredyt w okolicy — dziś był kochanym, serdecznym, ubóstwianym, panem Stefanem, zniewalającym serca braci szlachty popularnością, dobrocią i serdecznością!

A przecież pan Stefan od chwili swej porażki przy kandydaturze na radcę Towarzystwa kredytowego, nie złego, ani dobrego nie zrobił; za coś więc tracił opinię i za co ją napowrót odyskiwał. Oto pan Stefan dawniej potrzebował szlachty, fetował ich, głaskał, nadskakiwał im, lecz szlachta pomimo, że chciał bronić ich interesów, nie dała się, mówiąc słowami trybuna »wziąć na kawał« i odwróciła się od *panka*. Dziś panek ten nie potrzebował, a jednak był serdeczny i gościnny dla niej, córki jego grzeczne i uprzejme.

— I jakże tu nie kochać — dowodził rozczulony trybun.

— Nie ma jak nasz Stefek! dalibyśmy się za niego porąbać i basta — poświadczyli drudzy.

Pan Stefan nazwany przez szlachtę Stefkiem, został ni z tego ni z owego, najpopularniejszą figurą w powiecie. Dlaczego tej popolarności nie zdobył sobie pan Leon, jest to zagadką, na którą każdy z nas z łatwością odpowie. Rozwiązanie jej da się streścić w tych wyrazach, — był za mądry, za poważny, nie nazywał się Czyżowskim i nie imponował.

Pan Stefan nie odgrywał żadnej wybitnej roli w spółce i nie wiele dla niej pracował, a jednak on zbierał owoce uznania, choć wszyscy wiedzieli komu się ono należy.

Tak to u nas bywa, przyzwyczailiśmy się do tego od lat trzystu i usposobienie to przechodząc z pokolenia w pokolenie, stało się częścią składową naszego charakteru. Nie umiemy się sami oryentować, potrzebujemy gwałtownie firmy, za którą z rozkoszą będziemy gardłować, unosić się nad nią, wierzyć jej, póki jej nie porzucimy dla drugiej. Górą firmy dla firm, bez zasług i potrzeby!

Dobiesławscy znali swoich sąsiadów, swoje społeczeństwo, dla tego bez względu na zachwiane stanowisko pana Stefana, nie zaczęli bez Czyżowa.

— Oj, oj, ten pan Leon to majster, już widzę jak wyciąga pazurki po Czyżów — mówił mrugając jednym okiem chudy a wysoki, do trybuna.

— Co mi tam sąsiad prawisz androny. Dalbym dużo aby i po moją Krzykawkę tak samo pazury wyciągnął. Mają wszystko, bo mają rozum, a my co?...

— I nam rozumu nie brak, ale my mamy coś więcej, mamy serca — odparł z godnością chudy a wysoki. — My mamy, mości dobrodzieju, uczucie, którego nam nikt nie wydrze!

— Ha, ha — zaśmiał się trybun — i cóżeśmy tem sercem zrobili? Wleźliśmy w kieszenie żydowskie że nas nie widać. Gdzież to są, kochany sąsiedzie, twe dzieła dokonane sercem?

— Ba, cóż ja miałem chudy pacholek wielkiego zrobić? Ja kocham, mości dobrodzieju, wierzę; mam nadzieję i nie upadnę, to dosyć!

— A wierz sobie albo nie, cóż to kogo obchodzi. Dobiesławscy nie wiem, wierzą czy nie wierzą...

— Cyniki, egoiści!

— Ale robią i znać będzie to co robią. A po nas zostaną długi i wiara.

Chudy a wysoki patrzył zdziwiony wytrzeszczając oczy na trybuna, nie mógł go poznać, nie mógł się oswoić z jego wyobrażeniami. Dawniej trybun deklamował górnio i szeroko o tradycyi, uczuciu, dokładaniu coraz nowych drew do narodowego Znicza, przeklinając rachunkowy egoizm i cynizm ludzki, a dziś zapomina o zasadach wygłaszanych przed paru miesiącami, które mu dały mir i postawiły go wysoko w uznaniu całego powiatu.

— I czegoż sąsiad tak dziwnie oczy roztwierasz? Dużośmy czasu zmarnowali na deklamacye, teraz trzeba pomyśleć o czynach, o dźwiganiu się z ruiny i iść na naukę do Dobiesławskich. To całe nieszczęście, że człowiek dopiero na starość zaczyna się uczyć rozumu!

— Ha, jedź sąsiad do Dobiesławic na naukę, już ja ci tam towarzyszyć nie będę. Rozumu się uczyć nie chcę, kontent jestem z tego co jest.

— A, bo masz torbę wypchaną i dusisz grosz, a niema zeń nikomu pożytku: ani tobie, ani drugim.

Chudy a wysoki obrażony, nie mówiąc odwrócił się od trybuna i odszedł, a trybun z miną wyniosłą patrzył na niego powtarzając:

— Póki były deklamacye, szukałeś mnie, a gdy mi się sprzykrzyły, uciekasz. Deklamacye nie kosztują!

I trybun z ciężkimi myślami odjechał.

— O, ten Krówczyński ma dobry nos. Umiał się wziąć do rzeczy. Wlaził między panów, ożenił się z Czyżowską i do brze mu z tem. A kto się zmiłuje nad moją córką?!

Takie myśli snuły się w drodze naszemu trybunowi wracającemu do domu.

* * *

— No i widzisz Haraziński — mówił pan Michał po powrocie z Dobiesławie, do stojącego przy drzwiach ekonoma — no i widzisz, straszyleś mnie, a spółka idzie, rozwija się i pie niądze robią. A ja cóż, kartofle im sprzedają za gotówkę po cztery złote korzec, a im wypadną po rublu. Pszenicę sprzedałem taniej... Straszyleś mnie niepotrzebnie.

— A to przecież można dziś przystąpić do tej spółki, ale jak z nią wypadnie, to jeszcze na dwoje babka wróżyła — odparł filuternie Haraziński.

— Co ty pleciesz!

— No, no, wspomni Wny pan moje słowa, a zresztą czyby to Wny pan chciał się poddać takiej kurateli, w jaką wzięli pana Krówczyńskiego z Górki. A toż dyrygują jego fornalkami i wolarkami jak swemi, ani zasiał na czas, ani mu też i zebrać nie dadzą.

— Co ty pleciesz — powtórzył Michał.

— Plotę! jakby mi ekonom z Górki nie mówił, że byli prawie przy połowie siewów, gdy przyszła kartka od pana Stanisława: »Fornalki i wolarki jutro wszystkie na Kopaczów«. I nie pomogły prośby i groźby ekonoma. Fornalki i wolarki pracowały z początku na Kopaczowie, później przypędzono je do Czyżowa na cały tydzień — pan z ekonomem doglądali ich konno. Taki był rozkaz tej tam spółki. A dalbym ja im, żeby mi siewy przerwali! Haraziński pogroził.

Zapomniał Haraziński dodać, że poprzednio fornalki czyżowskie pracowały w Górze.

— Nie rozumiesz, oni mu za to płacą — odparł Michał — bo to jest jakby jedna całość. Łąki mają swoje, gorzelnię, a co będą jeszcze mieć?!!

— Ha, to niech się wielmożny pan wkupi i niech sprawi ośm nowych fornalek. Konie muszą być rosłe, wolów ze trzy-

dzieści sztuk, ale wielkich jak hamany. Pieniądze dać na gorzelnię i iść pod rozkazy panów Dobiesławskich. Mnie wszystko jedno gdzie się, czy w Kalinowie czy w Czyżowie; tak tu, jak i tam święta ziemia.

— Ale ty tego nie rozumiesz — odparł pan Michał, lecz już bardzo słodko i bardzo cicho.

Tak się skończył pierwszy zapal pana Michała i pierwsze jego rozgorączkowanie się na rzecz spółki. Widocznie robiła ona wrażenie.

XV.

— No to i znowu się panowie zjeżdżają, jedzą, piją, a radzą — odzwał się do gromady w karczmie czyżowskiej, jeden z gospodarzy, który również lubił pić i radzić.

— Oj, oj radzą ci radzą! Bóg łaskaw, że im gęby od gadania nie puchną — świadczył kum spoglądając łakomo na półkwarcie wódki trzymanej w ręku gospodarza.

— A o czym to tak radzą, moi mili? — pytał drobny, niski a wygolony człowieczek.

— Bóg ich tam wie. Dość że radzą.

— Ot tak na przykład, choćby co niebądź. Na przykład, mili gospodarze, jak uważacie? — nalegał mały człowieczek.

— Jakto, nie wiecie, a z kądże to przychodzicie, z za morza — odpowiedział mu w białej płótniance rosły, dobrze zbudowany, a zdaje się zamożny chłop z Dobiesławie.

Mały ogolony człowieczek uśmiechnął się słodko i obliżał.

— O pewno że nie wiedzą — mówił — coby wiedzieli poczciwcy.

— A może i wiedzą — odparł gospodarz trzymający półkwarcie wódki — ale nie na to wierzymy, abyśmy tam spowiadali się jakiemuś wywłóce.

— A to się wie — świadczył kum.

— Jak ty śmiesz chłopie wywłoką mnie traktować, ja ci pokażę — wołał zaczerwieniony człowieczek.

— Zgodą, zgodą gospodarze — uspakajał zwaśnionych barczysty w białej płótniance chłop. O czem radzą to wszyscy wiemy, bo radzą głośno. Na tej naradzie i ja byłem.

— Ho, ho, panowie z chamami radzą — odezwał się mały człowieczek.

— A żebyś wiedział że radzą, a ciebie by za drzwi wyrzucili. Rozumiesz?

Białą płótniankę otoczyli gospodarze z okolicznych wiosek, wracający z jarmarku.

— Radziłem i ja, to wiem co gadają i co robią. Kto nie chce drze nas ze skóry, a panowie Dobiesławscy, radzą żeby nas nie darli.

— I pewno was namawiają, żebyście podatków nie płacili — krzyknął człowieczek.

— Stul pysk — odparł wieśniak z Dobiesławic — bo Walkowi Gomule sam dziedzic pożyczył ośmnaście rubli, aby zapłacił do rządu co się należy i nie ściagał na siebie egzekucyi. Dobrzy paniska!

— Mówcie, mówcie sąsiedzie i cóżeście uradzili?

— Żeby nam lepiej było, a będzie lepiej kiedy nas drzeć ze skóry nie będą.

— A to się wie że lepiej — dały się słyszeć głosy.

— W Dobiesławskiej Woli stanęła gorzelnia. Pan płaci tego roku ziemniaki po cztery złote korzec, a gdy dobrze sprzeda okowitę, to dopłaci gotówką albo wywarami temu, kto się podpisze, że ziemniaki swoje odstawiać będzie przez sześć lat rok po roku do gorzelni dobiesławskiej. Jeżeli się zgodzi, to na każde dziesięć korcy dostaje papier, że co będzie zbywać po sprzedaniu okowity nadto co już dostał, to mu dopłaca.

— Macie także papier? — pytali.

— A cobym go nie miał, a że dostawiam dwadzieścia korcy kartofli, mam dwa. Wyjął z zanadru stary, podarty pulars i powoli wydobył z niego dwie ćwiartki zapisanego papieru.

— Czytajcie, czytajcie — dały się słyszeć głosy.

— Cóż, kiej nie umiem; ale wierzę na słowo Dobiesławskim panom.

— Pokażcie-no — wołał stanawszy na stole mały człowieczek — pokażcie-no ten papier, ja wam przeczytam.

Podano mu papier, mały człowieczek popatrzał, pokiwał głową i oddał go złażąc ze stołu.

— Postawcie kwartę araku, to wam przeczytam.

— Patrzajcie, takiś to drogi?

— A cóż to, darmo będę sobie psuł gębę dla chamów?

— A no to se ją schowaj!

Mały człowieczek nasunął czapkę na uszy i mruczając wyszedł trzaskając drzwiami.

— Patrzajcie jaki to smyk, lekkiego chleba mu się zachciwa. Wietrzy jak pies, ale ty tu nie wywietrzysz — odezwał się gospodarz z Dobiesławie.

Papier ten, mówię wam, znaczy tyle, że i człek z dzieścioma swemi korcami taki dobry jak i ten ze stoma, abo nawet z tysiącem.

— Z tysiącem?! — powtórzyli.

— Bo tak samo do obrachunku przystępuje co i ten co tysiąc dał korey i tak samo go obliczą i profit jaki na niego wypadnie — wyplacą.

— Patrzajcie gospodarze! a kto tu kiedy o tem słyszał, żeby państwo było dla chłopów takie ludzkie.

— Rzetelne, ani słowa.

— Ale takich wiele nie znajdziesz — odezwiała się ciemna sukmana. — My tam o tem wiemy najlepiej co odstawiamy buraki do cukierni. Cyganią aż miło. Człek przywiezie dzieścię korey, oni rachują sześć i za tyle placą. A nie chcesz to se bierz i odwoż do domu. I cóż z burakami robić, komu sprzedać? Trza brać! Żeby nie to, że za podatki wołają, tobym wołał bydleć paść.

— Oj macie racya kumie, że drą ze skóry!

— A to wiedźcie teraz o tem, że u nas panowie radzą, żeby ze skóry chłopów nie drzeć. Młodszy pan Dobiesławski kupuje ziarno, i abo płaci zaraz wszystko, abo połowę jak kto chce, ale temu komu zapłaci połowę, to gdy powiezie zboże do Gdańska i sprzeda, to mu tyle wypłaci ile wypadnie, ino sobie spław potraci.

— Patrzajcie, patrzajcie — powtarzali gospodarze z innych wiosek smutnie wstrząsając głowami.

— A wy cóżeście ze swem ziarnem zrobili? — spytał w nowym kożuchu stary, jak widać było z miny, zamożny gospodarz.

— Ja dałem młodszemu panu i wziąłem ino pięćdziesiąt rubli zaliczki. Jak sprzeda, to resztę mi odda.

— Ej, moi sąsiedzi, czy to czasem nie podrywka. Ciarachy lubieją ludzi podrywać jak się patrzy. Już ja tam żadnemu ciarachowi nie wierzę.

— A to se nie wierźcie — zawołał gospodarz z Dobiesławic — ja wierzę moim panom, bo z nimi o miedzę trzydzieści lat somsiaduję i nigdy nie potrzebowali cudzego. Mają swego dosyć, pomagają ludziom za dobre słowo, a i teraz jeżeli co robią to i nie tak bardzo dla siebie, bo im nie brakuje, a ino dlatego, bo widzą, że kto nie chce, ludzi nie obdziera. A głupi ludziska idą na ten lep jak muchy do miodu.

— To wam tam i dobrze, ale nas sieroty kto wesprze?

— Idźcie do waszych panów, abo odstawiajcie zboże do Dobiesławic. Ostańcie z Bogiem.

— Ostańcie z Bogiem — powtórzyli chórem gospodarze.

Sąsiad dobiesławski wyszedł, siadł na wóz, śmignął batem i pojechał.

— Wbiłem im we łby kliny, będą mieli o czem radzić i swarzyć się. Powoli to sobie wykalkulują, że nie źle z dworem żyć dobrze. — Żeby to wszystkie dwory były podobne dobiesławskiemu dworowi! Ale cóż, inni panowie uciekają od chłopów jak od zapowietrzonego!

Tak rozumował Bartłomiej Purchla, pan na dwudziestu morgach gruntu, sąsiad i przyjaciel dobiesławskiego dworu.

— Ciarachy — wołał za odchodzącym gospodarz trzymający w jednym ręku półkwarcie z wódką, a w drugiej kieliszek. — Ciarachy, wierzcie im a daleko zajedziecie. Ciarachy ino tyje na chłopskim pocie. Znam ja ich. Już wy mnie nie otumanicie!

— Abo prawda, abo prawda — świadczył kum, spoglądając łakomie na półkwarcie.

— To lepiej słuchajcie jakiego wywłoki, który was ciągnął za język — odpowiedziała szara sukmana.

— I nie wyciągnął — odparł gospodarz.

— Bo nie miał co. Ale gdyby co było...

— Ja ta się obejdę bez ciarachów i bez wywłoki. My ta gospodarze damy sobie radę sami i nie potrzebujemy, żeby kto nad nami przewodził. Prawda kumie?

— Oj prawda, prawda. Co nam do panów a panom do nas — świadczył kum.

— Mnie się widzi, że najlaciej wódka nad wami przewodzi.

— To za swoje — odparł urażony. I gospodarz przepijał do kuma, kum do gospodarza, sami odosobnieni, gdyż koło okna skupiła się gromadka. W środku stała szara kapota. Radzono, jakby to dobrze było, gdyby się znalazło więcej panów podobnych Dobiesławskim panom.

Tymczasem Bartłomiej Purchla szczęśliwie dobił do zagrody, koniki odprzągł, zasypał im obroku, rozdał obwarzanki dzieciom, zjadł kolację z rodziną i już dobrze wieczorem poszedł do dworu do młodszego pana.

— Cóż powiecie mój Bartłomiej — odezwał się Stanisław. Byliście gdzie?

— Na jarmarku, Wielmożny panie.

— Widzieliście się z kim, macie co nowego? Popieraliście naszą spółkę?

— Na jarmarku tłok, gwar, ciżba wszędzie, toż niema sposobności do rzetelnej pogadanki. Ale za to zajechał do

karczmy czyżowskiej, tam zastałem kilkoro gospodarzy i wtedy się gadalo.

— I cóż, i cóż?

— Okrutnie im się nasze spółki podobały i radziły bardzo. Cóż kiedy niema ich kto wesprzeć, oświecić!

— Radziliście, aby zboże przywozili do naszej spółki?

— Radziłem ale i nie tak bardzo, bo to lud podejrzliwy i łatwo da się zbalamucić. Namawiać go albo ciągnąć, to tyle co go odpychać. Taka to już natura koźla. Mówilem, ale tylko o sobie i widziałem, że mi jakoś zazdrościli. To i dosyć na początek.

— Niezawodnie, teraz sami będą myśleć, rozważać i sądzić,

— Pewno, pewno. Mam ja kuma w Chrustowie, gospodarz jak się patrzy. Namówię aby przywiózł zboża choćby z dziesięć par, to się zaraz ludzie o tem dowiedzą. A i kum ma gębę nie tylko od jedzenia. Będzie nam pomagał.

— Wybornie, kochany Bartłomieju, wybornie. A w gminie ludzie co mówią? a nasi jak się zachowują, pomagają ci?

— W gminie jak w gminie. Jeden mówi, że jak im trzeba grosza, to sobie na jarmark zawiozą korzec albo dwa i za gotowiznę sprzedadzą; inni, że ich ojcowie nie sprzedawali światami, to i oni nie będą. Zaledwo naszych kilku zostało przy swoim. Ale gdy zobaczą, jak się pieniędzy weźmie odrazu kilkadziesiąt rubli, i człek kupi sobie szkapę, albo jaką galantą jałowicę, to się poskroba w głowy.

— A gorzelnia?

— O! temi wywarami to ich pan jakby miodem pogłaszał. Chłop łakomy na wszelką paszę. Placi pan zaraz i jeszcze potem wywary daje, abo pieniądze. To nie cukiernia. Na cukiernię narzekali okrutnie.

— Na nas nie będą narzekać — rzekł z uśmiechem Stanisław, podając sąsiadowi i przyjacielowi szklankę herbaty dobrze osłodzonej i obficie przyprawionej arakiem.

Sąsiad i przyjaciel pocałował sąsiada w rękę, pił, sma-

kował i uśmiechał się opowiadając ważniejsze zdarzenia na jarmarku i w gminie.

— Powiedzcie mi, Bartłomieju, nie obralibyście czasem pana Czyżowskiego na sędziego?

— A czemu nie — odparł Bartłomiej. — Pan z panów, grzeczny, dobry, krzywdy nikomu nie robi, a i nie zleknie się byle kogo. Takich chłopstwo lubi.

— To może w swoim czasie pomówimy i o tem a was proszę napomknijcie w gminie o panu Czyżowskim, jakby to dobrze było, aby taki pan został sędzią. Tylko tak od siebie.

— A toć my w gminie wszystko od siebie wypowiadamy, a i tak pomawiają nas, że ino ze dworem trzymamy i dworowi świadczymy. Ale my tam na takie bzdurstwa nie zważamy.

Bartłomiej zbliżył się do stołu, postawił próżną szklankę, podrapał się z lekka po głowie i z filuternym uśmiechem zaczął:

— Rozmaite tam gadania po wsi i po jarmarku chodzą o paniezu.

— Słucham mój Bartłomieju.

— Kiej jakoś nie śmiem.

— Śmiało, śmiało, proszę was.

— Ludzie mówią, że panicz dlatego tak wspiera Czyżów i często tam zagłada, że pono bardzo świadczy jednej z panienek.

Stanisław lekko się zarumienił.

— A z którąż mnie swatają?

— Różnie, jedni mówią, że starszej nie pominie, bo ci piękna jak malowanie i taka pani jak święta, abo królewna. Ale służba czyżowska inaczej powiada.

— Cóż powiada?

— Powiada, że panicz jeżeli się ma do której i jeżeli której świadczy, to młodszej. I ta, ani słowa, ładna panienka, i wesola, i przemówi do człowieka i rozśmiej się. Zagadala i do mnie: »To wy jesteście Bartłomiej Purchla z Dobiesła-

wie, co was młodszy pan lubią? Klaniajcież mu się i nie opuszczajcie w żadnej potrzebie...» Jużby tam po prawdzie nie było lepszego męża nad panicza.

— Jeżeli co robię dla Czyżowa, mój Bartłomieju, to robię po przyjaźni, jak i Czyżów dla mnie, a wam dziękuję za dobre słowo. Bądźcie zdrowi!

Bartłomiej się sklonił; chciał odejść, lecz zatrzymał się przy drzwiach.

— Cóż tam jeszcze powiecie?

— Jutro paniczu sięję, żeby to wielmożny pan użyczył mi paru koni choć na pół dnia z bronami, bo mojemi muszę orać. A i tak zapóźniłem się z robotami w polu.

— Zobaczą jutro rano, może znajdę parę luźnych szkap.

— No, to dziękuję wielmożnemu panu.

— Bądźcie zdrowi!

Bartłomiej kontent poszedł.

— Moi sąsiedzi — mówił do siebie Stanisław — zawołaliby, że chłop nic nie robi, aby nie miał na myśli własnego interesu... A któryż z nich tak się gwałtownie poświęca, że aż zapomina o swych interesach? Ta tylko różnica, że chłop mniej wykształcony, wypowiada otwarcie swe pragnienia a pan brat obwija je w bawelnę.

Bartłomiej gardłuje w naszej sprawie, to i słusznie że chce pewnej nagrody. A że kontentuje się parą koni na pół dnia, to tylko mówi o jego naiwności i o jego małych potrzebach.

Gdyby wszyscy sąsiedzi mieli choćby po jednym w gminie uczciwym przyjacielu, jak ja ich mam kilku, i przez nich chcieli kierować sprawami gmin — ha, wtedy inne byłoby nasze stanowisko wśród ludu i inaczejby gminy nasze wyglądały!

Króweczyński w gminie Górki jest jak u siebie, chłopci są jemu oddani, on im, dlatego też i cywilizacya wśród tego ludu jest nieco wyższą. Lecz Czyżów, Adaś, Celinka, nie mają nikogo! Trzeba im ludzi koniecznie wyszukać.

Swatają mnie pocziwcy — zawołał i rozśmiał się serdecznie.

XVI.

Przed ganek dworu w Dobiesławicach zatoczył się wózek ciągniony przez dwa siwki w krakowskich chomontach. Z bryczki wyskoczył trybun ocierając chustką sumiaste wąsy.

Pan Leon wyjrzał na ganek i nie chciał oczom wierzyć.

— Trybun w moim domu — szepnął — a to zjawisko!

Tymczasem trybun wszedł zamaszysto, uśmiechnięty, witając się czule i serdecznie.

— Sąsiedzie dobrodzieju, cóż u Pana Boga, mieszkamy o miedzę, a widzujemy się raz około Wielkiej nocy na rynku miasteczka, lub w oberży. A czy to tak powinno być?

— Zastaliście mnie w Dobiesławicach, panie Anastazy, gdyście odbierali swoją Krzykawkę!

— Prawda, *mea culpa*, ale bo to człek niema czasu nawiedzać nawet najbliższych, haruje od świtu do nocy!

Weszli do saloniku, a że zaledwo wydzwoniono na popłudnie, pan Leon kazał podać przekąskę. Trybun pil, jadł — sypał koncepta jak z rękawa i śmiał się głośno. Mimo to nie uszło przed wzrokiem pana Leona pewne zakłopotanie gościa. Miał jakąś tajemnicę, może interes, i radby go wypowiedzieć, lecz śmiał i dlatego pan Leon postanowił mu pomódz zachęcając do zwierzeń.

Gospodarz i jego gość zapalili cygara, rozsiadając się wygodnie w fotelach.

— Jakże tam gospodarstwo u sąsiada, urodzaje pewno świetne? W Krzykawce ziemia wyborna.

— Jużto co do ziemi, prawda, pierwszej klasy — ale kłopotów, interesów, Boże zmiłuj się! Mówię szczerze i spowiadam się jak przed ojcem, że rady sobie dać nie mogę.

— Należałoby w takim razie zaoszczędzić się parę lat, długi płacić.

— Już zapóźno, kochany sąsiedzie. Procenta mnie pożerają, kłopoty jak myszy Popiela zagryzą!

— Małe długi zmienić na jeden duży i zostać w Krzykawce dzierżawcą wierzyciela; sądzę, niema innego punktu wyjścia.

— Bylby, bylby, gdybyście chcieli!

— A to jakim sposobem? — spytał nieco zdziwiony pan Leon.

— Żebyście mnie, tak oto razem z dziećmi i Krzykawką przyjęli do spółki.

— Znasz sąsiad nasze statuta?

— Czytałem; lecz tu nie chodzi o statuta, ale o rzecz, o ratunek uczciwego obywatela. Weźcie Krzykawkę ze wszystkim co na niej jest, a mnie dajcie tysiąc rubli na rok, dwór, ogród i parę morgów ziemi. Oto wszystko co potrzebuję, czego pragnę, co mi wystarczy do śmierci, byleście dzieciom moim oddali czystą Krzykawkę.

— Ależ to niepodobna — zawołał pan Leon. — Jeżeli się sami nie wyratujecie i ratować nie chcecie, to cóż my na to poradzić możemy?

— Możecie, gdybyście chcieli. Myślicie, że wam będę przeszkadzał? Ja o niczem nie chcę wiedzieć, na nie patrzeć, róbcie co chcecie.

— My mamy obowiązki, którym zaledwo jesteśmy w stanie podolać!

— Ho, ho, podolicie wszystkiemu.

— Krzykawka leży przeszło o milę od Dobiesławie, czyż można w takiej odległości gospodarować?

— Myślałem i o tem — odparł trybun. — Pan Stanisław może być w Krzykawce dwa razy na tydzień, a mnie możecie zrobić ekonomem. Dacie mi 400 rubli i ordynaryę, a będę święcie robił co każecie. Służba nie drużba, Krzykawkę przecie znam i wiem jak i co potrzeba. Ludzie mówią, że złym gospodarzem nie jestem.

— Kochany sąsiedzie, najlepiej będzie, gdy zostaniesz sam u siebie swoim własnym ekonomem. Wydawaj tyle co

ekonom, a w dziesięć lat oczyścisz Krzykawkę i wrócisz na swe stanowisko. Lubiciany jesteś w powiecie, sąsiedzi ci pomogą.

— Kto? co za sąsiedzi? — krzyknął trybun. — Nagadać się, wydeklamować, wypić jeżeli co jest, przegrać parę partyj, poobmawiać nieobecnych, sprzedawać drogo jeden drugiemu szkapę, napolitykować co wlezie, na imieniny palnąć mówkę i sąsiedztwo się kończy. Zresztą bogaci trzymają się za ręce, biedni znów garną się do siebie.

— My ci, kochany sąsiedzie, w przedstawiony przez ciebie sposób żadną miarą pomódz nie możemy; nie jesteśmy instytucją stawiania na nogi zadłużonych majątków.

— Więc, czemuż u Pana Boga jesteście?

— Spółką pracy i wzajemnego dźwigania się.

— Wydźwignijcież i mnie.

Pan Leon uśmiechnął się, otworzył kasę i wydobył z niej paczkę storubłówek.

— Cóż to? jałmużna? — krzyknął trybun.

— Zaraz, drogi sąsiedzie — mówił pan Leon wracając z pieniędzmi.

— Sądziś pewno sąsiad ziemniaki?

— Sądzę, lecz już je sprzedałem.

— Siejesz pewno pszenicę i jęczmień?

— A przecież na Krzykawce same pszenne grunta.

— A więc oto tysiąc rubli jako zaliczka na przyszłoroczne ziemniaki i pszenicę lub jęczmień. A oto twój udział do gorzelni na sześćset korcy ziemniaków. Resztę oddasz pszenicą lub jęczmieniem. Zgadzasz się?

— A cóż mam robić — odparł trybun z uśmiechem, zgarniając pieniądze.

— No i tak mimowoli zostałeś naszym spółnikiem gorzelni i wywozu zboża.

— Tak, prawda — odparł — gdyby mnie tysiąc rubli zbawiły!

— Zawsze cię jednak wesprą — resztę trzeba dorobić oszczędnością.

— Nie pomoże i oszczędność — rzekł z westchnieniem i smutnie głowę zwiesił.

— Masz sąsiad folwark przy Krzykawce? — spytał raptownie pan Leon.

— Mam.

— Wiele morgów?

— Będzie ze sto.

— Zabudowania są?

— Dworek, w którym mieszka ekonom, stajnia, obora, dwie stodółki i szpichlerz.

— Jaka ziemia?

— Wysiewam od dwunastu do piętnastu korey pszenicy, resztę żyta.

— Rozparceluj ten folwark.

— Nie, nie, na to się zgodzić nie mogę. Dziesięć lat gardluję przeciw parcelacyi — i miałbym teraz na starość tak się sponiewierać!

— Sprzedaj sąsiad mnie.

— Żebyście rozparcelowali jak Bogdanówkę?

— Co zrobimy, to już do sąsiada nie należy — już my za to odpowiemy.

— Kiedy Krzykawka bez folwarku, to jak surdut bez rękawa. Zresztą mam projekt Felunia bogato ożenić, a wtedy kupi całą Krzykawkę.

— Jeżeli wszyscy będą tylko spekulować na bogate ożenienie synów, to zkądże się weźmie tyle bogatych panien?

— Ależ sąsiedzie, Feliks mój przystojny chłopak, skończył szkoły, był na wystawie w Paryżu, mówi nieźle po francuzku, tańczy jak baletnik warszawski, umie się podobać, wygadany, dowcipny — no, i rozumie się należyście czytany. Jeżeli Feliks nie zrobi partyi, to chyba nikt już nie robi.

— Pan Feliks gospodaruje pewno przy ojcu?

— O nie, młody jeszcze chłopak, jest w Warszawie, umieściłem go w banku polskim. Dostaje małą pensyjkę, ja dokładam, bo przecie musi w świecie żyć, robić znajomości,

bywać. No i widzi sąsiad, gdyby się rozniosło, że sprzedałem folwark, pewnieby wieść ta zaszkodziła chłopcu w Warszawie. A nużby się dowiedziano, że parceluję, a prasa zaczęła krzyczeć?

— Któżby tak zaraz rozgadywał — odparł pan Leon z uśmiechem.

— Usłużnych przyjaciół nie brak. Nie zapominaj także sąsiad, że mam córkę w domu. Sprzedam folwark, zawołają »bankrut« i dziewczynę osadzę na lodzie.

— Zdaje mi się — mówił pan Leon z tym samym dobrotliwym uśmiechem — że sąsiedzi i tak znają wasze interesa i pewno o nich mówią.

— Niezawodnie; ale się trzymam i zawsze jestem panem na całej Krzykawce. Gdy zabraknie folwarku, powiedzą: »jakiś tam wioskowy szlachciura«.

— Więc dla tak błahych powodów wyrzekasz się sąsiad spokoju, a nawet jedynego ratunku?

— Cofam się przed opinią — i robię to dla dzieci. Niema poświęcenia, któregośmy nie uczynili dla naszych dzieci.

— I dla własnej próżności — kończył w duchu pan Leon.

— Zresztą folwark to moja spiżarnia, jak kiedyś Polska była spiżarnią Europy — dodał z zapalem trybun.

— A mimo to opłaciwszy folwarkiem długi, a urządziwszy wzorowo Krzykawkę, możnaby mieć czystego dochodu przeszło dwa tysiące rubli; gdy teraz sąsiad oddajesz się nam z zamkniętymi oczyma za tysiąc.

— Oddaję się, bo tym sposobem folwark zostalby przy mnie i dla moich dzieci.

Wszedł Stanisław.

— Stasiu, kochany sąsiad został naszym wspólnikiem — odezwał się do syna pan Leon.

— Witam go z radością, chociaż Krzykawka nieco oddalona od naszego centrum. Wpływ sąsiada dobrodzieja dużo nam pomoże.

— Tymczasem oddaję wam ziemniaki i zboże. A że nie chcecie wziąć mnie w arendę, cóż na to poradzę! — I try-

bun, czując w kieszeni gotówkę, zerwał się, a wyściskawszy pana domu i jego syna, wyjechał, kazawszy skrócić do miasteczka. Pilno mu było pokazać żydom pieniądze i część długów zapłacić.

— Stasiu, wyobraź sobie — mówił pan Leon do syna — przez cały czas wizyty trybuna nie powiedziałem nic takiego, co by go mogło drasnąć, nawet się nie uśmiechałem zbyt wyraźnie.

— Wielkie to zwycięstwo — odparł Stanisław. — Lecz trybun coś wspomniał oddaniu się nam warendę?

— Chce tego i prosi o to. Radby nam oddać Krzywkę w zarząd, a sam pójść do nas na ekonomę, na tejże samej Krzywaczce. To zabawne.

Stanisław się zamyślił.

— Drogi ojeze, jakaś mi nowa myśl zawitała w głowie. Projekt trybuna podoba mi się, da się coś z niego zrobić. W każdym razie jest to uczciwa osobistość i do popularności u szlachty dużo nam pomódz może.

— Mój Stasiu, jak się to zmieniają usposobienia. Dawniej żartowaliśmy z opinii, dziś szukamy sposobów i środków, aby ją zdobyć!

— Wszystko to robi myśl o pracy dla idei.

— Toż samo można powiedzieć o osobistej ambicji, lub chęci wielkich zysków.

— Prawda, lecz my o tem wiemy, że pracujemy dla idei i to nas pociesza.

Stało się jak przepowiedzieli co do trybuna. Wpadłszy do miasteczka, zaczął on głośno rozpowiadać żydom i znajomym o przystąpieniu swem do spółki, o tem, że spółka krzywdy nie da mu zrobić i że go w potrzebie obroni. Na dowód okazywał pieniądze, placąc bieżące długi.

Żydzi spoglądali na trybuna poważnie, wstrząsając w milczeniu głowami.

— Winszuję wielmożnemu panu — mówił Aron — jak Dobiesławscy wyciągną do kogo rękę, to ten niech będzie

kontent, ale oni nie bardzo lubią wyciągać do kogobądź ręki. Trzeba być *fein*!

— A cóż to sobie Aron myśli, że ja nie jestem *fein* — któż to może mi zarzucić?

— To też ja winszuję wielmożnemu panu — przyjaźń Dobiesławskich to więcej znaczy, jak te tysiąc rubli, które wielmożny pan od nich dostał.

— A zkaǳe Aron wie, że tysiąc?

— Widziałem — odparł obojętnie Aron — chociaż nie widział, lecz chciał się przekonać, bo był pewny, że jeżeli trybun dostał więcej, to zaprotestuje i pochwali się. Przyjaźń to dużo znaczy. Na ten przykład dziedzic Czyżowa był już pół bankrut — panowie Dobiesławscy przyszl — i znów pan — wielki pan, chociaż zaledwo rok jak gospodarują u niego. Prawdę powiedziawszy to i pan Adam *fein* dobry i grzeczny. Jak on pracuje dla Czyżowa, choć nic z niego nie bierze! Takiego syna to szukać na całą okoliczność. Wielmożnemu panu dzieci nie pomagają — a jak dzieci nie pomagają, to dużo kosztują. Wielmożny pan wie lepiej o tem jak ja.

Trybun odwrócił się od Arona, a wtedy żyd szydersko się uśmiechnął.

— Głupi żyd — pomyślał, spacerując po rynku — nie rozumie się na mojej polityce co do Felunia. Ale on tu im wszystkim zaimponuje, gdy przywiezie z Warszawy żonę i sto tysięcy rubli! Choćby nareszcie sześćdziesiąt — dodał pocichu i roześmiał się.

* * *

W tym samym czasie, kiedy trybun oddawał się w arendę panu Leonowi, przed dwór czyżowski zajechał chudy a wysoki, znany nam szlachcic, specjalnie, jak się wyrażał, za osobistym interesikiem. Wprowadzono go do pokoju pana Stefana zwanego kancelaryą.

Pan Stefan wiedział, że chudy a wysoki był dotąd jego zawziętym przeciwnikiem — i dlatego przyjął go z otwartemi rękoma, z uśmiechem, grzecznie, nawet kordyalnie.

— Witam sąsiada dobrodzieja! a przecież przypomniałście sobie drogę do Czyżowa. Najtrudniej wybrać się raz.

— A czy to ja tak mogę — gospodarstwo, kłopoty. A czyż mi to wolno zbyt często naprzykrzać się — tłumaczył się pan Piotr, robiąc słodziutką minkę.

— Ależ bardzo proszę — zawsze i o każdej porze.

— I dziś nie przeszkadzałbym, gdyby nie interesik.

— Słucham — mówił pan Stefan, biorąc pod chude, kościste ramię pana Piotra.

— Mówiąc otwarcie, szczerze i odrazu, chciałbym informacyi co do owej okrzyczanej spółki, o której rozpowiada cały powiat. Pan dobrodziej jako interesowany, pewno najlepiej...

— Przecież mamy nasze prywatne statuta, czyli tak nazywany kontrakt spółki. Nie znasz go sąsiad?

— Znam wybornie — odparł Piotr — lecz zwykle w rzeczach pisanych czyta się między wierszami. Właśnie radbym to odczytać, jeżeli łaska pana dobrodzieja.

— Nic darmo — to zasada spółki jedyna, wielka, niewzruszona. Zaorzą ci pole — płąć — zawłoką — płąć — dadzą ziarna — płąć — i tem co masz najlepszego. Czyżów, jak wiecie, ma wyborne nawodniane łąki, potraw często lepszy od siana; nim więc musi płacić. Wielka sztuka, że Dobiesławice mają dużo koni, bo mają pastwiska nadrzeczne, ale siana nie mają — i dlatego orzą w Czyżowie, żeby później zabrać siano.

— Ale Bogu dzięki Czyżów zaczyna miewać urodzaje, jakich nie pamięta.

— Bo też pracujemy — zawołał pan Stefan. — Ja, syn mój nie zsiada z konia, pan Walenty, córki nawet. A przecież je nie wychowałem na szafarki!

— O brcń Boże — poświadczył pan Piotr.

— Pracujemy, więc mamy. Ałaś był w Grignon, w Gembloux, jest skończonym agronomem, zna się na roli jak niemiecki profesor.

— Ale spółka pomaga?

— I bierze — dodał pan Stefan.

— Kartofle na gorzelnię.

— Po cztery złote z odstawą na miejsce, to nie sztuka.

— Lecz ma podobno dopłacać?

— Być może, jeżeli spirytus będzie w wielkiej cenie, a jeżeli spadnie, nie nie dostaniemy i za wywary przyjdzie płacić gotówką. Przypuszczam szczęśliwy wypadek, że kapnie nam coś w tym roku, to trzecią część tego dochodu zostawiają jako kapitał na zapłacenie niedoboru na rok przyszły.

— To tak? — odezwał się gość, przedłużając chudą a długą twarz.

— Tak, tak, a ludzie myślą, że spółka to wielkie dobrodziejstwo ludzkości — tłumaczył pan Stefan, chcąc dać do zrozumienia, że nie spółka jego, lecz on spółkę ratował — był jej podporą i dźwignią.

— Dobiesławscy musieli jednak podszarpać się nieco — postawili gorzelnię, kupują zboże na wywóz do Gdańska.

— Prawda, prawda — kasa ich pewno zcieńczała, ale dadzą sobie radę. Jużto o nich można być spokojnym — chociaż zacni ludzie. Stanisław daleko zajdzie, sama energia! ale umięją rachować. Tem lepiej dla nich!

— Tem lepiej dla nich — poświadczył pan Piotr — tylko że mogą się i przerachować.

— Zawsze im czyste Dobiesławice zostaną! Możebyś pan miał ochotę do spółki należeć?

— Nieco za daleko mieszkam — tłumaczył się — kartofli mało sadzę, zboże odstawiać do Gdańska wielkie ryzyko, ale jeżeliby spółka potrzebowała gotówki, nie wiele, z pięć, ośm tysięcy rubli, służyłbym. Naprzykład sąsiad dobrodziej, jako jeden z firmowych...

Panu Stefanowi roziskrzyły się oczy, lecz je przysłonił rękami — uśmiechnął się, usiadł. Myśli jak błyskawice przelatwały mu po głowie, a pan Piotr oparłszy ręce na kolanach, zdawał się oddawać kontemplacji i czekał cierpliwie.

— Należę wprowadzić do spółki, ale nie załatwiam tego rodzaju interesów — zaczął wolno pan Stefan.

— W takim razie bez spółki się obejdzie — szepnął pan Piotr.

— Jakto bez spółki?

— To jest chciałem powiedzieć, jeżeli sąsiad dobrodziej dla siebie pragnie pożyczyc.

Panu Stefanowi projekta zaczęły się krystalizować.

— Dla siebie możebym i wziął, nie wiem, bo teraz nie potrzebuję. Ale jeżeli sąsiad nie masz co z gotówką zrobić i na razie nie masz miejsca dla niej, to parę tysięcy, przyznam się, wziąłbym.

— Tak na przykład z pięć — pytał pan Piotr.

— Pięć wystarczy, ale nie dłużej jak na rok.

— Wybornie, będę właśnie miał rok czasu wyszukać sobie jakiej dobrej lokacji. A więc pięć?

Pan Piotr wyjął pulares i zaczął sturubłówki rachować. Pan Stefan tymczasem dla ostrożności zamknął drzwi na klucz.

Pieniądze odliczono.

— A teraz pozwolisz sąsiad dobrodziej, abym sobie wziął pięć sztuk jako procencik. Proszę przygotować skrypt.

— To już sąsiad nie zabieraj tych pięciu sztuk, a napiszę skrypt na pięć tysięcy sześćset.

— Zgoda!

I pan Stefan napisał skrypt a wziął pieniądze, pan Piotr dał pieniądze a schował skrypt.

Obaj byli w wybornych humorach, zadowoleni z siebie, czuli i serdeczni. Pan Stefan przybrał ton protekeyonalno pański, pan Piotr zdawał się być wdzięcznym za te oznaki łaski. Po śniadaniu rozstali się jak dwaj przyjaciele. Gospodarz

odprowadził gościa na ganek, polecając mu ucałować rączki pani Piotrowej, radził dobrze się odziać, i broń Boże nie zaziębić.

Pan Piotr przysiągł wdzięczność dozgonną za tę troskliwość gospodarza.

Bartek zaciął konie, bryczka zniknęła za bramą. Teraz pan Piotr podziękował Bogu, że mu się udało ulokować bezpiecznie i na dobry procent ciężko zapracowany grosz, a pan Stefan również dziękował Bogu, że los tak szczęśliwie, zdrowo i cało przywiódł do czyżowskiego dworu szlachcica.

— Jeżeliby pan Stefan zawiódł — rozumował przez drogę kapitalista — to Adam, spółka, Dobiesławice, Stanisław... nie zawiada!

— Jeżeli plan się uda — a musi się udać — mniejsza o pięć tysięcy rubli — myślał sobie pan Stefan. — Stać mnie przecie będzie jeszcze na tyle!

XVII.

Pan Stefan jako minister spraw zagranicznych spółki, więcej przemyślał nad wielkimi projektami, niż nad wypadkami lub interesami dnia.

Wielkie projekta pod czaszką pana Stefana rodziły się i dojrzewały, z szybkością sztucznej wegetacji, lecz na wykonanie ich brakło mu, jak sam mówił, forsy. Upragnioną forę dostarczył szlachcic.

Nie mówiąc ani słowa o pożyczce, pan na Czyżowie zdradzał dzień cały wyborny humor. Dowcipkował, uśmiechał się, żartował z pana Walentego, prześladował Celinę o zbytnią oszczędność, Adama o zapal do gospodarstwa. Opowiadał, jako Stanisław jest przekonany, że zbawia kraj, dziwił się jego zarozumiałości, a jeszcze więcej naiwnej wierze pana Leona w syna.

Dzieci cieszyły się z wesołości ojca, nie mogły jednak odgadnąć przyczyny. Jeden pan Walenty widział wyjeżdżają-

cego pana Piotra, zaczął się domyślać, podejrywać, nie śmiał jednak głośno podejrzeń wyjawiać.

Wieczorem w pokoju pani Karoliny przy zamkniętych drzwiach odbyła się tajemnicza narada małżonków, skutkiem której pan Stefan pojechał w bardzo pilnym interesie do Warszawy, poczem miał odwiedzić syna kończącego prawne studia w Krakowie.

Nikt nie śmiał przeciw temu protestować, tem więcej, że pani Karolina nagliła. Nikt nieśmiał pytać o środki na podróż, jeżeli ich sam nie żądał.

I tak zdziwioną rodzinę zostawił na schodach przed zajazdem palacu czyżowskiego, a sam w bobrowem futerku, czapce na uszach, pałac dobre cygaro, uśmiechnięty do swych projektów, jechał wprost do Radomia, aby ztamtańd ekstra-pocztą na Białobrzegi, Grojec i pamiętny w dziejach Raszyn, dostać się do Warszawy.

Lubił, jak sam mówił, Warszawkę, jej ruchliwość, wesołość, szyk i swobodę.

Odświeżony, wesoly, wielki pan — poszedł na obiad do Bouquerella, tam znalazł dobrych znajomych, którzy go przyjęli z otwartemi rękami, dziwiąc się długiemu pobytowi na wsi.

Pan Stefan przybierając tajemniczą minę, dawał do zrozumienia, że wielkie obowiązki obywatelskie każą mu wytrwać na stanowisku, a stanowiskiem tem jest Czyżów, spółka i odrodzenie rolnictwa.

Opowiadanie pana Stefana przyjęto do wiadomości, nie zastanawiając się nad niem dla braku czasu, który poświęcony został miejskim plotkom, zakulisowym nowinom, układaniu partyi na wieczór i tym podobnym ważnym sprawom dnia.

— To nie tu — pomyślał pan Stefan i oddał się całej przyjemnej gawędce.

Wieczorem po wysłuchaniu z godnością i nabożeństwem opery, zaszedł na kolację do Stępkowskiego. Wesoło tam było, czasem głośno. Twarze zarumienione, usta układały się do uśmiechu, rozmowa toczyła się swobodnie. Towarzystwo roz-

dzielone na stoliki i grupy, łączyło się od czasu do czasu w chwili opowiadania ważnej wiadomości. I tu pan Stefan znalazł znajomych, lecz innej, sympatycznej kategorii, tych, co zajmowali się szczerze sprawami kraju. Każdy uczciwy projekt, i na szerszą skalę czyn, porywał ich. I dlatego pan Stefan znalazł tu pole do popisu.

Powitano go serdecznie, posadzono na kanapie i po zwykłym wstępie rozmowy, zaczęto wypytywać co nowego słychać po wsiach, na prowincyi.

Na to tylko czekał pan Stefan. Ponalewał kieliszki, trącał się po kolei, każdemu ze znajomych powiedział serdeczne słówko, i wtedy z początku cicho i wolno, zaczął opowiadać o założonej pod protektorem Czyżowa spółce rolniczej. Umiał opowiadać. Z opozycjonisty w Czyżowie, zmienił się w Warszawię w jej protektora i obrońcę. W miarę jak mówił, rozpałał się, podnosił głos, nabierał energii i werwy.

Przyjaciele i znajomi tych, którzy siedzieli przy stole pana Stefana, zbliżyli się. Utworzyło się kolo słuchaczy, a wtedy pan Stefan korzystając z tak szczęśliwej sposobności, wygłosił filipikę na cześć spółki, której był filarem. Słuchano go z rozrzwinięciem. Kilku obecnych reporterów robiło notatki. Pan Stefan widział to i w duchu tryumfował.

Skończył; uniesieniom, owacyom i powinszowaniom nie było końca. Zgromadzeni byli w swoim żywiole.

Warszawiacy przeważnie są optymistami lubiącymi się unosić, wzruszać, chwalić i wierzyć zbyt w siebie i drugich.

Najstarszy wiekiem z przyjaciół pana Stefana wznosił toast na cześć odrodzenia pracą, jednością i rozumną organizacją. Pan Stefan w gorących słowach podziękował, zwracając się do młodzieży złożonej z trzech reporterów i dwóch synów posiadaczy ziemskich.

Powtórne, a tak popularne przemówienie pana Stefana wywołało entuzjazm w całym gronie towarzystwa. Przeniesiono się do ostatniego pokoju — i tam kółko dobrze znajomych dalej swobodnie debatowało.

Dziedzie Czyżowa jednym zamachem zdobył sobie uznanie i popularność. Długo w noc rozprawiano, uchwalono jedno projektu, dyskutując nad drugimi. Rad, przestróg, zachęt, a głównie wielkich nadziei co do olbrzymich rezultatów nie brakowało. Skrajni optymiści już widzieli kraj cały zorganizowany w wielkie powiatowe spółki.

Tak przeszedł pierwszy dzień pobytu naszego przyjaciela w Warszawie.

Nazajutrz rano przyniesiono mu *Kuryera porannego*. Artykuł wstępny opowiadał o spółce czyżowskiej, oddając należną cześć jej założycielom. Przeczytał głośno raz i drugi i uśmiechnął się, zatarł ręce i rzekł do siebie.

— Połowa zwycięstwa!

Zanim zdołał wyjść z hotelu, wszedł reporter poważnego pisma, chcąc sprawdzić wiadomość podaną przez *Kuryera* a zaciągnąć więcej danych.

Pan Stefan przyjął gościa jak przyjmuje minister korespondenta renomowanego dziennika, chłodno, z godnością, oględnie, lecz na pytania rad odpowiadał, oświadczać z góry, że niema żadnej potrzeby z tego, co się już dokonało, robić tajemnicy. Reporter notował, pan Stefan opowiadając dyktował prawie.

Tego samego dnia przed wieczorem pewne codzienne pismo ogłaszając światu o przybyciu do nas dziedzica Czyżowa, jako jednego z firmowych spółki, skreśliło obrazowo cel i działanie tejże spółki, wynurzając wdzięczność kraju jej twórcy i propagatorowi.

Dopiero po przeczytaniu tego rodzaju manifestu, postanowił pan Stefan iść do klubu.

Przyjęto go z pewnym przychylnym szmerem. Zrozumiał on ten szmer i dlatego wyprostował się, uśmiechnął i patrzył dumnie.

Po chwili otoczyło go male a dobrane kółko, rozpytując o szczegóły, na które umiał odpowiedzieć i odpowiadał z pół uśmiechem protekeyi i łaski wielkiego pana.

— Jakimże sposobem będziecie odstawiać zboże do Gdańska?

— Najprostszym — odpowiedział — własnymi statkami.

— Własnymi! — powtórzono — to chyba jesteście Krezusami!

Tu pan Stefan w odpowiedzi zaczął mówić o pracy, oszczędności, umiejętności skorzystania z każdej nadarzonej sposobności — i o wielu innych kwestyach, dających możliwość zbgacenia siebie i drugih.

— Ach naucz nas tej sztuki — prosił go jeden ze znomych.

— Sluchamy, sluchamy.

— Mniej wydawać aniżeli się ma.

Roześmiano się.

Jeden z obecnych postanowił na jego cześć wyprawić obiad, spraszając doborowe grono panów posesyonatów. Prasa fakt ten przyjęła bardzo przychylnie, oddając zasłużone pochwały uznania zaproszonemu.

I tak w paru dniach pan Stefan stał się popularnym w Warszawie, lubiącej popularyzować od jednego zamachu ludzi więcej lub mniej znanych.

Po obiedzie w zamkniętem kółku, część naszego inteligentnego a pocziwego mieszczaństwa, nie pozwalająca się w inicjatywie dawania obiadów nikomu wyprzedzić, zaproponowała w jednym ze swoich kół obiad składkowy na cześć pracownika odrodzenia naszych ekonomicznych stosunków. Patriotyzm nakazuje w tak ważnych wypadkach stanąć do apelu i dlatego zapisało się kilkudziesięciu uczestników, między którymi znajdowali się i przedstawiciele prasy.

Nie powtarzam toastów i mów wygłaszanych na cześć rolników i rolnictwa, obywatelskich uczuć, miłości kraju, poświęcenia, pracy, kultury, organizacyi, zgody i braterstwa. Przemówienia tego rodzaju są znane, a wypowiedane dla zdobycia popularności i rozgłosu mowców.

Przy końcu odpowiedział pan Stefan raz, lecz energicznie i gorąco. Dzienniki mówę tę powtórzyły w całości i tym sposobem dzieło zostało uwiecznione.

XVIII.

Zawsze pierwszy pan Walenty odbierał gazety i nikt mu nie zaprzeczał tego przywileju. Czytał je sam w swoim pokoju, a dopiero potem odnosił do dworu. Zwykle rzucił się naprzód na politykę, a później dopiero wracał do spraw bieżących. Czytał je właśnie i ręce zaczęły mu drżeć, oczy łzami zachodzić, serce bić gwałtownie.

— Czyżowski, Czyżowski — powtarzał — stara krew, stary ród!

Nie mógł usiedzieć w swoim pokoju, schwycił gazety, zapomniał czapki i tak z gołą głową biegł ile mu sił starczyło.

— Górą Czyżowscy! niech żyją Czyżowscy! — wołał przerywanym głosem, gdyż tchu mu w piersiach brakło.

— Co się stało? — pytała wystraszona pani Karolina.

— Wybornie, cudownie, wspaniale! Wołaj droga pani dzieci, niech słuchają, cieszą się i płaczą, jak ja stary płacę z radości.

Pani Karolina zadzwoniła, polecając służbie szukać panien i Adama.

Za chwilę rozciekawieni nadbiegli, pan Walenty przez ten czas odpoczął, rozłożył gazetę i zaczął czytać podniesionym głosem, starając się deklamować czule, lub groźnie wygłaszać wspanialsze ustępy. Był to opis uroczystości obiadu danego na cześć pana Stefana.

Z początku czytanie szło jeszcze jako tako, mimo cieniowania i modulacyi w głosie, lecz gdy przysza kolej na wydeklamowanie mowy pana Stefana, zaczęło staruszka dławić w gardle, nareszcie lzy z oczu strumieniem wybuchły. Ocierając je, oddał gazetę swemu faworytowi, aby ją dokończył.

Adam czytał przez wzgląd i uszanowanie dla matki.

Pani Karolina upojona sławą męża, zaczęła również robić wyrzuty synowi, że lekceważy swe stanowisko, że zagranicą przewróciła mu w głowie i że się poddał pod władzę Stanisława, który na niego niekoniecznie dobry wpływ wywiera.

Żadne z dzieci nie odpowiedziało na jej zarzuty. Staruszkowi się zdawało, że to żal i skrucha. Na wspomnienie Stanisława zarumienili się wszyscy troje ze wstydu na samą myśl, co mu odpowiedzą na jego pytania i zarzuty. Co mu powiedzą, gdy się dowie, że ojciec ich ustroił się w nieswoje pióra. Nie śmieli spojrzeć na siebie, nie śmieli przemówić do siebie słowa. Staruszkowi dziwnem się zdawało to ponure milczenie dzieci; nie rozumiał go. Czyż pan Stefan nie był jednym z firmowych spółki?

— Moi państwo, ani jednego słowa uznania dla ojca? — pytał zdziwiony.

Pani Karolina radaby dodać: »gdyby to był Stanisław«, lecz nie śmiała.

Nazajutrz raniutko pan Walenty sam pojechał na pocztę i przywiózł oprócz gazet, na które się gniewał, że tak prędko zapomnialy o wielkości Czyżowskich, dwa listy od pana Stefana. Jeden był do pani Karoliny, drugi do syna.

Pani Karolina listu swego nie pokazała dzieciom, Adam przeczytał swój i podał Wandzi.

W tej chwili ukazał się w salonie Stanisław. Dziewczynki zarumienily się silnie, Adam nieco pobladł.

Widocznie Stanisław rozumiał rumieńce i błądź dzieci pana Stefana, bo witając się z niemi serdecznie, pierwszy przełamał lody.

— Pan Stefan dzielnie się znalazł w Warszawie; świetnie bronił naszych zasad. Wyborny z niego mowca i dobrze się stało, że z Warszawy wiadomość o wielkości naszej spółki

rozniesie się po kraju i powiecie. Ludzie nauczą się nas szanować i wierzyć nam.

Celina wzruszona, powodowana wdzięcznością, uściśnęła mu podaną rękę tak jakoś serdecznie, że aż od ciepła tego, od jego prądu, serce młodzieńcowi zabiło. Spojrzał na dziewczynkę, ręka mu lekko zadrżała. Puścili się raptownie, zmieszani prawie niepostrzeżenie i w jednym mgnieniu oka wrócili do równowagi. Cała ta bezwiedna gra uczucia trwała chwilę, a jednak widziała ją Wanda, raczej przeczuła, na ustach jej zabląkał się smutny uśmiech i powoli zgasł.

Cichy dramat, pełen przeżyć, rozkoszy i cierpień odgrywał się w trzech młodych sercach. Jeden Adam widział tylko uratowanego ojca w oczach sióstr przez przyjaciela i rzucił mu się w objęcia.

— Stasiu, każesz się nam kochać — zawołał.

Wanda i Celina odwróciły się szybko ku oknu.

— Gdybyśmy mogli kierować wypadkami i losami naszymi, gdybyśmy mogli otwierać ludziom czaszki i wytłaczać na ich mózgach nasze przekonania, gdybyśmy mogli ich myśli uszlachetnić, wzrok wzmocnić, aby się przyzwyczaili patrzeć i widzieć dalej — jak swe podwórza i gumna, gdybyśmy posiadali tę siłę, wierzę, że spółka nasza rozwinęłaby się. Dziś zaś wszystko zależy od szczęśliwych okoliczności i powodzenia. Za wozem powodzenia ciągnionym przez szczęście, idą tłumy. Pan Stefan zdaje się otworzył nam drogę dla wozu naszej pomyślności.

W tej chwili zaanonsowano Frania, syna pana Izydora. Młody człowiek ubrany we frak i białe rękawiczki — przed obiadem — wszedł do salonu cały zarumieniony, nieśmiały, a tem samem i niezgrabny.

Wanda z Celiną zamieniły spojrzenia. Celina przypominając sobie dzień zjazdu i melancholijny wzrok młodzieńca wlepiony w nią, zarumieniła się. Uczuła się winną. Kokietowała wtedy na prawo i lewo, a jak ojciec mówił, dyplomatyzowała.

Adam przyjął gościa uprzejmie i ośmielił go nieco.

— Przeczuwam, że to przyszedł nasz spółnik — powiedziała wesola dziewczynka, wysuwając się naprzód aby pomagać Adamowi. Wanda i Stanisław zostali sami.

— Istotnie, nie gniewasz się pan na ojca? — mówiła cicho Wanda, a była blada i nieśmiała.

— Przeciwnie, pani, wdzięczny mu jestem. Bo jeżeli prawda co przeczuwa panna Celina, są to skutki, tak mi się zdaje, agitacyi pana Stefana w Warszawie. — Mówiąc to, wskazał oczami przybyłego młodzieńca.

Zaledwo pierwsze lody wstępnej rozmowy przełamane zostały, młody człowiek oświadczył, że ojciec wziął dla niego donacyjny majątek w dzierżawę na lat dwanaście, odległy o pół mili od Czyżowa i Dobiesławic, i dlatego on umyślnie przyjechał z prośbą, aby go przyjąć do spółki. To powiedziawszy, przypadkowo spojrział na Celinę i zarumienił się.

Stanisław i Adam zadawali mu pytania, na jakich warunkach i w jakiej rozciągłości radby wejść w stosunki ze spółką.

— Podobno panów jest tylko trzech, a zatem jeżeli mnie przyjmiecie na czwartego, będę wam wdzięczny.

— Jedynie odległość mogłaby stanąć temu na przeszkodzie — odparł Stanisław.

— Przeszkoda ta nie egzystuje dla mnie, niedogodności płynące z niej przyjmuję na siebie, o pomoc w siewach, uprawie i zbiorach nie proszę — sam zaś w razie potrzeby na każde wezwanie stawię się we dwadzieścia cztery konie.

— To wspaniale — rzekła Celina.

— Nie chcemy nadużywać pańskiej ofiarności — pochwycił Adam.

— Wiem o tem wybornie, że panowie nie przyjmujecie żadnych ofiar, choćby dlatego, aby nie osłabiać dobrego wrażenia o sprawach spółki. Jeżeli występuję z gotowością pomocy, to dlatego, że u mnie grunta są przedewszystkiem przepuszczalne i lekkie, a nie mam drzewa, które posiada Czyżów.

I znowu Celina i Wanda spojrzwały na siebie — Stanisław się uśmiechnął zwycięzko — Adam podał rękę młodzieńcowi.

— Wybornie się rozumiemy. Folwark nasz Dąbrówka leży najbliżej wydzierżawionego przez pana majątku. Otóż, uprawisz grunta Dąbrówki, za drzewo z lasów czyżowskich; o cenę się zgodzimy.

— Z góry na oznaczone warunki zgadzam się. — Po-
wiedzeniu temu towarzyszyło spojrzenie na Celinę. Dziewczynka się uśmiechała, patrząc w przeciwną stronę.

— Czy i co do gorzelni i wspólnej sprzedaży zboża przystępujesz do spółki?

— Jeżeli panowie raczycie mnie przyjąć, z rozkoszą.

— Trzecia część zysków po potrąceniu wartości kartofli płatnych z góry, zostaje jako rezerwa przy gorzelni.

— Nie pojmuję innego układu — odparł żywo młodzienc.

— Tak się wybornie rozumiemy, a dotąd nie znaleźliśmy się prawie.

— Dopiero rok jak opuściłem Puławę, a od paru miesięcy gospodaruję na sobie — odpowiedział.

— A więc pan jesteś Puławiak, obeznany z ekonomią i rolnictwem więcej, niż nasi poczciwi rutyniści, nazywający się praktykantami — odezwał się Stanisław.

— I dlatego — dodał Franio — rozumiem tylko albo małe gospodarstwo od trzydziestu do stu morgów, albo zcentralizowane maszyny. Jedne z drugimi powinny żyć w zgodzie, bo się wspierać wzajemnie mogą, a wtedy i użytecznymi jedne dla drugich być muszą — z obopólną korzyścią.

— O tak — zawołał Adam — tam gdzie korzyść, tam i racja bytu.

— Bez wątpienia — odparł rozpromieniony Franio, gdyż przeczuwał, że dobre zrobił wrażenie. — Kontrakt spółki jestem gotów podpisać — dodał po chwili milczenia.

— Każdemu przystępującemu zostawiamy rok czasu na próbę i obliczenie korzyści — odpowiedział Adam.

Franio schylił głowę.

— Tymczasem — zabrał głos — mam do zaofiarowania dwa tysiące korey kartofli, osiemset korey żyta i dwieście pszenicy. Odstawiam na wskazane miejsce.

— Zboże nad brzeg Pilicy, kartofle do gorzelni — objaśnił go Stanisław.

— Możeby dobrze było mieć własny skład na zboże nad brzegiem rzeki, aby na wiosnę odrazu na tratwy i galary ładować, a tem samem przewóz łatwo i tanio skutecznie w zimie?

— Mamy stary młyn nad samym brzegiem, który tymczasowo zamienimy na skład naszego zboża — odpowiedział Adam.

— Tysiąc, do tysiąca pięćset korey zboża obowiązuję się przewieźć własnymi fornalkami w miesiącach grudniu i styczniu.

Pani Karolina przerwała gospodarskie rozprawy i wynurzenia. Adam pospieszył przedstawić matce gościa jako nowego współnika. Pani Karolina była pewną, że to wpływ mowy jej męża, przeczytanej w gazetach, i dlatego przyjęła młodzieńca dość łaskawie.

Wezwano do obiadu; Franio siadł przy Celinie. Niestety! nieśmiałość wróciła i opanowała go. Stracił swobodę okazywaną podczas rozpraw gospodarskich. Adam chcąc koniecznie ożywić go, poruszał rozliczne kwestye, spraw ogólnoludzkich, literatury, sztuki, nawet polityki. Napróżno! Młodzieniec milczał lub odpowiadał jednym nie znaczącym frazesem. Nie było rady, trzeba było wrócić do gospodarstwa.

W tej chwili stała się metamorfoza — Franio się ożywił, mówił dobrze, odważnie i przekonująco.

Celina była pewną, że promienie jej oczu i uśmiech czarowny, czyli dyplomatyczne manewry podczas zjazdu sprowadziły młodzieńca do Czyżowa. Była z tego troszkę dumna, lecz niestety przekonała się, że Franio znał korzyści spółki i dobrze je rozumiał. I gdyby nie rumieńce Frania w chwili, gdy na niego spojrzała, zwątpiłaby o sobie. Rumieńce były wymowne. Mamy prawo przypuszczać, że gdyby Franio był również dobrze obeznany z innemi kwestyami spraw ludzkich,

ile z rolnictwem, byłby mimo rumieńców również wymowny. Niestety! wychowany i nauczony, że rolnictwo jest wszystkim, alfą i omegą rozmów ludzkich — jest Bogiem, na nie innego nie zwracał uwagi, nie myślał jak tylko o rolnictwie.

W towarzystwie mężkiem, gdy oprócz gospodarstwa toczyła się rozmowa o koniach, psach, polowaniu i plotkach powiatu, dobrze dotrzymywał pola; gdy rozprawiano o czem innem, nie brał w rozmowie udziału i dobrze mu z tem było. Dziś, pierwszy raz uczuł się zawstydzonym i upokorzonym, przekonał się, że oprócz rolnictwa nie wie — i nie wie. I to go wobec kobiet onieśmiałło.

XIX.

W powiecie zawrzało po przeczytaniu gazet warszawskich o zwycięstwie i owacyach wyprawianych na cześć dziedzica Czyżowa. Zazdrość i gniew opanowały stronnictwo dożywotniego radcy. Zaczęto wydobywać wszystkie domniemywane wady pana Stefana i jak starą płachtę rozwieszać do słońca, rachując na niej dziury. Sprawdziło się nasze rodzinne, wyborcze nas charakteryzujące przysłowie: »Kto wychyla głowę po nad korzec, to go w łeb strychulcem«.

Gdyby pan Stefan był uprzywilejowanym piastunem godności, gdyby je dzierżył po ojcu, gdyby miał do tego tytuł kupiony w Rzymie, lub zdobyty na jednym z dworów — to przez wrodzony u nas serwilizm mógłby rządzić i panować jakby sam chciał. Lecz niestety, dziad i ojciec pana Stefana należeli do nieposzlakowanych, nie wycierali przedpokojów, nie kłaniali się, a znów nie byli tak wiecy, aby ich szukać miano, i dlatego pan Stefan przychodząc na świat, nie przyniósł ze sobą niezachwianych praw panowania. Gdy mu się powodziło, był kochany i pieszczony, gdy upadał, odwracano się, gdy się znów podnosił, uśmiechano się doń znowu. Lecz gdy chciał pływać po wielkich wodach popularności, nie już powiatu

a kraju całego, i bez pozwolenia braci szlachty śmiało wystawiał głowę po nad korzec — nie dziw, że brał w łeb strychulcem! Gdyby rolę pana Stefana w Warszawie odegrał pan Leon lub Stanisław, byłiby źli, lecz musieliby milczeć.

A więc wrzało w powiecie. Niedawny bankrut dziś prawi nam nauki moralne, uczy gospodarstwa, oszczędności, pracy!? Śmiano się ironicznie, kwaśno, a nawet boleśnie.

— Czemuż to ja nie założyłem tej spółki — mówił głośno dożywotni radca — sąsiedzi sialiby, orali, pracowali za mnie, a ja jeździłbym do stolicy opowiadać o uwojej wielkości i zjadać wyprawione dla mnie obiady!...

— Trzeba mieć takich sąsiadów jak Dobiesławscy — odpowiedział trybun. — Nie żalują ani worka, ani pracy, ani starań.

— A cóżto sąsiad mnie posądzasz o skapstwo? — zawołał radca.

— Nie posądzam — lecz spółki radca nie założysz.

— Bo nie mam czasu, bo obowiązki obywatelskie trzymają mnie przy biurze w mieście.

— Dla takiej spółki możnaby obowiązki komu innemu, biedniejszemu powierzyć.

Radcą udał, że nie słyszy odpowiedzi trybuna.

Wrzało w powiecie. Każdy chwycił za strychulec i wywijał nim jak umiał. Najwięcej im dopiekł jeden ustęp mowy pana Stefana, w którym wyrażał nadzieję, że właściciele z okolic związanej spółki poznają niedługo dobrodziejstwa solidarności, porzucą dotychczasową apatyę i pracować zaczną razem wspólnie...

Chciano protestować, ale jak? Nikt pierwszy i głośno nie miał odwagi wystąpić. Szeptano między sobą, że Ksawerek, korespondent amator do jednego z dzienników, miał napisać siarczystą replikę na mowę pana Stefana. Ksawerek dawał nawet do zrozumienia, że to zrobił; czekano drukowanej repliki, lecz napróżno. Ksawerek milczał pośepnie, a niektórym z przyjaciół opowiadał, że pan Stefan tak silne ma plecy

w Warszawie, że nie do dzienników przeciw niemu nie chcą przyjąć. Przyjaciele powiedzieli przyjaciółom i w parę dni powiat cały wiedział o silnych plecach pana Stefana. Porozprawiano raz jeszcze na ten temat, zazdroszczono panu Stefanowi, zazdroszczono i spółce, przepowiadano upadek i zrobiło się cicho. Kłopoty gospodarskie i finansowe, zwróciły uwagę na własne sprawy.

* * *

Adam ze Stanisławem oddali wizytę Franiowi, przyjęci serdecznie, odplacali się równą serdecznością. Po wyczerpaniu wszystkich kwestyj spółki, a nawet skorzystaniu z niektórych rad gospodarza, zwrócono rozmowę na inny przedmiot. Franio zamilkł i posmutniał, musieli więc powrócić do rolnictwa.

Korzystając jednak z pierwszej sposobności, odjechali.

Młodzieniec został sam — wstyd mu było siebie samego — żałował, że pojechał do Czyżowa, że przystąpił do spółki... Wszystkiego żałował, do wszystkiego miał żal — a największy do siebie.

— I cóż mi z tego, że mam majątek — skarżył się — że go nie stracę, że umiem siać, zbierać i pieniądze chować? Co mi z tego wszystkiego przyjdzie?

Przyszła mu w tej chwili na myśl Celina, jej wesołe pytania, uśmiech jej matki i litościwe spojrzenia Wandy.

— Jestem głupiec — wołał — ostatni głupiec, z którym wykształceni ludzie nudzą się i uciekają od niego, kobiety się śmieją, lub litują. I cóż mi z tego przyjdzie, że będę miał o dziesięć tysięcy rubli więcej — i o dziesięć tysięcy więcej upokorzeń w życiu...

— Co mi z tego — powtórzył cicho, i lzy zaświeciły mu w oczach.

W młodości rozpacz krótko trwa — zwycięża ją zwykłe nadzieja i wiara w przyszłość.

— Jestem głupiec, to prawda — rozważał — lecz mam 25 lat, a przed sobą pięć lat czasu. A czy panna Celina cze-

kać będzie?... Może mi pomagać! Gdyby tylko chciała! Jeżeli Krówczyński się ożenił, to przecież ja... Godziemba... Gdzież Krówczyńskiemu do Godziemby! a i biedniejszy nie jestem!...

Zapomniał Godziemba, że Krówczyński był od niego dziesięćkroć wykształcniejszy, więcej obyty w towarzystwie i sympatyczniejszy, podczas gdy on, Godziemba, mógł tylko imponować znajomością rolnictwa, siłą muszkułów i zwięzłością budowy.

Chwile jednak herbowej dumy krótko trwały. Godziemba przypomniał sobie uśmiech pani Karoliny i protekcyjonalną pomoc w rozmowie ze strony Celinki...

Nazajutrz rano kazał zaprzęgać — wskoczył na bryczkę i w godzinę był w Dobiesławicach.

Pod pozorem obejrzenia gospodarstwa wyjechali młodzi ludzie konno w pole. Tam dopiero Franio z prostotą i naiwnością szczerze opowiedział Stanisławowi, jak nie miał sposobności pracować nad własnem ukształceniem humanitarnem, jak na tem cierpi, o ile się czuje upokorzonym w towarzystwie ludzi rozumnych, i nareszcie prosił o pomoc.

— Pracować — odparł Stanisław. — Masz pan 25 lat i zdolności. Przez pięć lat dużo nauczyć się można. Z rozkoszą będę panu pomagał. Masz pan odwagę wydać odrazu sto rubli na książki?

— W tej chwili — odparł z zapalem młodzieniec.

— Wracamy do domu, napiszę panu tytuły książek, które kupić trzeba. Jakie pan prenumerujesz pisma?

— *Gazetę warszawską*, i to głównie dla »Korespondenta rolniczego«.

— To za mało. Należy zaprenumerować ze dwa pisma rolnicze specyalne, i ze dwa polityczne, wręcz przeciwnych dążności, abyś pan wiedział, jak się ścierają opinie, jak walczą ze sobą i jak z tych walk powoli wytwarzają się stronnictwa.

Godziemba nie odpowiedział, albowiem idąc dotąd śladami wielu młodych Godziembów i Półkoziów, małe miał pojęcie o walkach opinij i wytwarzaniu się stronnictw. Wiedział tyle, że jako Godziemba i tylko dlatego, że jest Go-

dziembą, a mieszka na wsi, był chwalony i idealizowany w całej prawie prasie. Wprawdzie nie wiedział za co, dlaczego i po co, lecz ponieważ zbyt często mu to powtarzano — uwierzył na słowo i zaczął się uważać za istotę wyjątkową. I gdyby nie oczy Celinki, uśmiech pani Karoliny, rozum Stanisława, szlachetne obejście się Adama — wierzyłyby do końca życia.

Pan Stefan pracował w Warszawie, poświęcał się, cieszył powodzeniem i ręce zacierał.

— Więcej zrobiłem przez tydzień — mówił do siebie — dla spółki naszej i imienia Czyżowskich, jak oni przez rok. Mamy opinię i sympatyę kraju całego.

Tymczasem po salonach rozglądał się między młodzieżą, szukając odpowiednich zięciów. Dużo było kandydatów potrzebujących gotówki, bardzo mało gotowych ją ofiarować, a i ci byli albo już zajęci, albo takie na nich pozostawiano sidła, że niepodobna było nawet marzyć o wywiezieniu ich do Czyżowa. Również i posażne panny w tych sferach trzymano w obłęzieniu.

Lecz nie ten był cel podróży, nadziei i ambicyi pana Stefana. Lwów się do niego uśmiechał, a w nim hrabia stryj i hrabia Kazio. Na Lwów działał przez Warszawę, wiedząc, że to co jest głośnem w Warszawie, staje się również głośnem w całej Polsce.

Wkrótce się spostrzegł, że co chwila stawał się pospolitszym, i to go zaczęło mocno gniewać na Warszawiaków i Warszawę, a ponieważ już dość czasu minęło, aby sława spółki rozeszła się i utrwaliła przez pośrednictwo pism, wyjechał do Krakowa odwiedzić zagrzebanego w książkach syna, a ztamtąd wprost pospiesznym pociągim ruszył do Lwowa.

Stał w hotelu Georgea, miał list rekomendacyjny do jednego z panów, drugiego sam znalazł osobiście. Szczęściem zastał ich we Lwowie i dlatego wieczorem znalazł się w kasynie końskim. Lecz tam, o dziwo, nic nie wiadano o spółce i warszawskich jego tryumfach. Coś sobie zaledwo przypominano o obiedzie.

— Gdzież są reprezentanci towarzystwa rolniczego? — pytał zdziwiony.

— Księżę prezes za granicą, wiceprezes na polowaniu, a sekretarz tak był zajęty czynnościami swego biura, że nie miał czasu na odczytywanie pism warszawskich.

— Prasa wasza, ta potęga konstytucyjnego kraju?

— Cicho — szepnął mu jeden ze znajomych. — Jeżeli nie chcesz skompromitować się, a nawet popaść w podejrzenie, nie rozpytuj się o prasę i nie szukaj jej. Prasa tutejsza nie ma żadnej opinii, wzięcia, uznania. Złożona z samych zakapturzonych radykałów, rewolucjonistów a nawet, powiem ci prawdę, mówią — i z pozytywistów!

Pan Stefan się uśmiechnął.

— Nie śmiej się, przysięgam, że mówię prawdę.

— Ależ mój drogi, co polityka może mieć wspólnego z pozytywizmem?

— Widzisz to, że oni w Boga nie wierzą. A jeżeli chciałeś mieć stosunki z prasą, należało się zatrzymać w Krakowie, bo tam prasa jest nasza.

Dyskusya się przerwała zaproszeniem gościa do partyi.

Pan Stefan dobrze grał, i na propozycję, aby grać punkt po guldenie, odrazu przystał, tem więcej, że to jest zwyczajna norma gry w kasynie między lepszymi graczami.

Pomimo, że pan Stefan grał dobrze, przegrał sześćset punktów, wyjął pulares pokaźnie wypchany i zapłacił z uśmiechem dzentlemana. Pulares i gra po guldenie punkt, postawiły pana Stefana w opinii towarzystwa kasynowego wyżej, niż wszelkie spółki i owacy warszawskie. Zrozumiał wartość stanowiska swego i gniewało go to mocno. Pewnym był, że w klubie spotka się z hrabią stryjem lub hrabią Kaziem, nie widział ich, a nie chciał się o nich wypytywać — i kwaśny, niezadowolony wrócił do siebie.

Zrażony do kasyna za to, że jego wielkość oceniono na grubość pularesu i wysokość gry w preferansa, postanowił na złość zajrzeć do prasy. Znał paru redaktorów warszawskich

i w ich imieniu poszedł zanieść wyrazy pozdrowienia redaktorom lwowskim.

Ludzie, których poznał, nie byli ani straszni, ani radykalni, ani niebezpieczni. Przyjęto go serdecznie i otwarcie. Przypomniano sobie powody owacyi w Warszawie i również nie poskąpiono mu uznania w szpaltach miejscowych pism.

Miasto zaczęło dość głośno mówić o przybyłym gościu. Jedyne tylko towarzystwo kasynowe nie wiedziało o zasługach bohatera.

Tymczasem pan Stefan rozmawiając z ludźmi o ludziach, powoli a nieznacznie dowiedział się — jako hrabia stryj sympatyczny szlachcic, straciwszy majątek, posłował w Radzie państwa, że siostrzeniec jego, hrabia Kazio, gładki i wykształcony, wesół koleżka, a przyjemny sybaryta, przewyższył stryja co do szybkości ulatniania na gorącym ogniu wiedeńskim swej fortuny. I gdy hrabia stryj cofnął się, zachowując sobie część, to hrabia Kazio, jako rycerz nie znający rejterady, wytrwał na stanowisku do ostatniego guldena. Po powrocie do Lwowa starał się o bogate panny, jednak bez rezultatu. Obecnie przebywa na wsi u siostry, agitując za własną kandydaturą.

Wiadomości te zebrane i po parękroć razy sprawdzone, przygniotły naszego dyplomatę. Dla pozoru tylko doczekał się powrotu wice-prezesa towarzystwa rolniczego, od którego się dowiedział, że towarzystwo chwali spółkę, że radeby widzieć podobne w Galicyi, lecz zadaniem jego jest popieranie interesów ogólnokrajowych.

Misya się nie udała. Tyle zabiegów, plan tak dobrze ułożony i świetnie przeprowadzony w Warszawie — nie powiódł się. Okazało się, że nie było dla kogo robić tyle wysiłków. Zły i troszkę zawstydzony wrócił do domu.

Przywitano go radośnie. Przywiezione prezenta zajęły wszystkich. O nikim nie zapomniał — Hipolit, pan Leon, Stanisław odebrali swoje, pani Karolina i każda z córek swoje. Pan Walenty nowe książki rachunkowe wspaniałą czapkę

futrzaną. Cała służba, nie wyjmując parobków, była obdarowana wedle zasług i stanowiska.

— I jakże tu nie kochać ojezulka — mówiły dzieci.

— I jakże tu nie kochać starszego pana — gwarzyła między sobą czeladź w kuchni.

— Niech co chce będzie, ale jednak z tego Stefana sympatyczna figura — mówił, uśmiechając się pan Leon do syna.

— Ma wady nasze rodzinne, ale i przymioty znamionujące charakter polski. Jedne i drugie ciągną nas do niego.

I znowu w pokoju pani Karoliny odbyła się przy zamkniętych drzwiach długa narada. Przy końcu pan Stefan zaczął mówić o Karolu Geranie i zdawało się, że zaczynał nieco żalować niespodziewanego jego wyjazdu ze Szczawnicy, przecież co czemu pani Karolina miała ochotę protestować, lecz nie śmiała, widząc męża przygnębionego nieudaną wyprawą.

Przyjazd panów Dobiesławskich przerwał familijną naradę.

— W domu wśród nas samych walczę, — mówił rozpromieniony gospodarz, wyciągając ręce do gości — lecz wśród obcych bronię, zwyciężam i nareszcie sam jestem zwyciężony. I teraz mnie macie *sans peur* — *et reproche*!

XX.

Lody pękły, a łamiać się drobno, eicho spłynęły do Wisły. Niebieskie wody Pilicy falowane wiosennym wiatrem, rozweselaly piaszczyste brzegi.

Miejscowość starego młyna dziwnie ożywiony przedstawiała widok. Spuszczano drzewo na wodę, układając tratwy, szufłowano zboże, przenosząc je na zaimprovizowane statki. Młodzi ludzie, Stanisław, Adam i Hipolit, pracowali każdy przy wyznaczonym dziale. Franio Godziemba pomagał im i wtedy był w swoim żywiole. Pracowano po całych dniach, zaledwo na noc wracając do domów. Zwykle po południu odwiedzał młodzież pan Stefan z jedną ze swych córek, aby się rozerwać wrzawą i niezwykłym ruchem.

Nareszcie jedna za drugą ruszyły tratwy przy okrzykach i wiwatach zgromadzonego ludu, unosząc całą porębę z lasu Czyżowskiego, a do tego pięć tysięcy korey pszenicy i trzy tysiące korey żyta. Cyfra pokaźna i jak na początek imponująca.

Stanisław, obawiając się znowy domów handlowych w Gdańsku, mogących się zacząć na nowicyusza i obciąć go, sprzedał zboże i drzewo w Toruniu, a dopiero z gotowym kontraktem sprzedaży udał się do Gdańska, aby tam porobić odpowiednie znajomości i stosunki na przyszłość, co mu się w zupełności udało.

Gdy wrócił do Torunia, zastał już swą flotyllę na miejscu, drzewo i zboże wydał, ludzi spłacił i puścił do domów, sam wziął pieniądze i prosto, zatrzymując się zaledwo dwa dni w Warszawie, zdążył do Dobiesławie.

Przyznać należy, że po obliczeniu czystego zysku — interes nie był świetny. Zbyt małą ilość zboża wyprawiono, a więc i ciężar kosztów wypadł na każdy korzec zbyt znaczny. Przytem w Toruniu ceny zboża są zwykle mniejsze, aniżeli w Gdańsku. W każdym jednak razie w porównaniu z cenami miejscowemi zysk wynosił na koreu pszenicy i żyta pół rubla.

Sąsiedzi uśmiechali się, wzruszając ramionami; znane albowiem jest usposobienie nasze, wymagające we wszelkich przedsiębiorstwach odrazu wielkich, nadzwyczajnych korzyści. Dlatego to często nie mamy żadnych — zniechęcamy się prędko i cofamy. pospiesznie. Już to o zbytnią wytrwałość nikt nas posadzić nie może. Dla tych to, między innemi powodów, nie możemy rozwijać się szybko i ekonomicznie.

Za to włościanie, którzy oddali swe zboże w komis, byli uszczęśliwieni. Wypadło im blisko po rublu czystego zysku na koreu, gdyż zawsze są wyzyskiwani przez handlarzy po małych miasteczkach.

I tak spółka przy pierwszym swoim wystąpieniu zarobiła wprawdzie tylko cztery tysiące rubli, lecz zjednała sobie lud, utrwaliła stosunki handlowe z Gdańskiem i Toruniem, i nauczyła się wielu rzeczy fachowych. Te rezultaty zachęciły

młodych ludzi do dalszej pracy i energii. Celinka tryumfowała głośno, Wanda milczała poważnie.

Pan Stefan uśmiechnął się, jak cichy zwycięzca. Drzewo sprzedał nadspodziewanie dobrze. Gdy obliczył, morga lasu wypadła mu więcej nad trzysta rubli. Wielką miał ochotę cały las przepławić do Torunia, lecz bał się córek, Adama i Dobiesławskich.

— Że też mnie ta idea pierwszej przed dwoma lub trzema laty nie przyszła do głowy — Wandę wydalbym za męża i nie potrzebowałbym opieki Stanisława!... Ale cóż Adam! zamiast się zająć interesami po ludzku, deklamuje, pozując na bohatera rolnictwa. Bohater rolnictwa! — powtórzył głośno i rozśmiał się ze swego konceptu.

Spółka na wielkiej naradzie, odbytej w Górze, uchwaliła nadwyżkę zarobku, przypadającego jej w udziale ze sprzedaży zboża w Toruniu, obrócić na zamianę młyna w spichlerz spółki nad brzegami Pilicy. Nie byli z tego postanowienia zadowoleni pani Króweżyńska i jej ojciec, ustąpić jednak musieli.

Jeżeli sprzedaż zboża nie świetnie się powiodła na początek, to górzelnia wydała spodziewane i oczekiwane rezultaty skutkiem czego prawie wszyscy włościanie Czyżowa, Górki i Dobiesławie pobrali udziały i przez to otrzymali zaliczki, a w danej potrzebie i kredyt. Tym sposobem najwłaściwiej utrwaliły się dobre stosunki między gminą a dworem i dobre wzajemne wpływy. Idealizm tak małą odgrywa rolę wśród ludzi na jednej wysokości cywilizacji — czyż może mieć jaki wpływ, lub być probierzem stosunków między dworem a chatą?

Lud, pomimo że niektóre jego jednostki zaledwo są w wyjątkach swych sentymentalne, mało ma w sobie czułości, nie rozumie jej i nie uznaje, oceniając stosunki z ich realnej wartości. Po cóż gwałtem ten nie nasz a chorobliwy pierwiastek, narzucać na przewodnika dworom, tem więcej, że gmina patrzy na nie z niedowierzaniem i nie wierzy naszym umiżgom bezinteresowności? Po cóż to, gdy mamy tyle wspólnych dróg racjonalnych i prawdziwych?

Również pomimo braku sentymentalizmu, a nawet wystrzegania się go przez stowarzyszonych, cztery gospodarstwa wzrastały i rozwijały się, prowadzone umiejętnie przez Dobiesławskich ojca i syna.

Wielka zasada, a może lepiej niezachwiane prawo ekonomii, decentralizacyi w centralizacyi znalazło potwierdzenie. Decentralizowali się w szczegółach, w gumnie, oborze, stajni i uprawie, a centralizowali w ogólnych potrzebach i wzajemnej pomocy. W dzisiejszych warunkach ekonomicznych, mniejsze, stu-morgowe gospodarstwa najlepiej się procentują, gdyby umiały się jeszcze łączyć...

Lecz nie wymagajmy odrazu rzeczy niepodobnych.

Franio Godziemba czytał, uczył się, pracował, jak mógł, nad sobą, popisując się zdobytą wiedzą przed Stanisławem. Opowiadał mu jako wielkie nowiny treść znanych wszystkim utworów i dzieł. Mówił dużo o *Panu Tadeuszu*, i *Szkicach Szajnochy* jako o rzeczach przez siebie odkrytych.

Stanisław uśmiechał się, lecz podtrzymywał rozmowę i dyskusję, aby zachęcić do dalszej pracy młodzieńca. Wobec jednej Celiny Franio tracił o tyle odwagę cywilną, o ile wobec kwestyj gospodarskich nabierał wymowy. Mimo to między Franiem a wesołą dziewczynką utrzymywały się ciągle stosunki. Celinka objęła tekę ministerstwa oświaty ludowej w gminach i wioskach należących do spółki, Franio narzucił jej się na sekretarza, nie mogła go więc nie przyjąć, tem więcej, że był sprytny i energiczny.

On to rozwoził książki i odbierał przeczytane, trzymał w porządku biblioteczeki — on to pilnował, aby po karczmach pisma były szanowane, ramki do nich w porządku. On zachęcał zamożniejszych gospodarzy do składek na kupno nowych książek i prenumerowania pism ludowych. Celina odbierała raporta, dawała rozkazy, układała plany na przyszłość.

Niepodobna było dziewczynce samej kontrolować karczem, odwiedzać wioski, sprawy te załatwiał Franio, patrząc w jej oczy jak w tęczę.

Z początku bawilo dziewczynę przywiązanie do niej, z przyjemnością śledziła rozwijające się w nim uczucie, lecz później zaczęła się bać. Wyrzuty sumienia choć niesprawiedliwe zaczęły ją prześladować. Stała się więc wobec chłopca poważną, surową, uroczystą, co przy jej żywym usposobieniu czyniło ją nieco śmieszną.

Widzieli tę zmianę w obejściu z Franiem ojciec, Adam i Stanisław. Ojciec i Adam uśmiechali się, Stanisław się zamyslił i smutniał, bez powodów i przyczyn, gdyż spółka rozwijała się z dniem każdym, coraz lepiej i coraz świetniej, budząc powszechną zazdrość. Stronnictwo dożywotniego rady czuło się nieco odosobnione, widocznie samo schodziło na drugi plan. Hasła tradycyi i konserwatyzmu nieustannie wznowiane i głoszone niewiele pomogły. Na tradycję nikt się nie rzucił, gdyż ona sama przy ciągłym ruchu społecznym i postępie nieustannie się przeobrażała — a konserwować, powiedziawszy prawdę, nie było co, przy braku wszelkich zasobów.

Radzono więc, aby coś stworzyć i zaćmić działanie spółki zastosowanej do małych rozmiarów. Po długich debatach urządzono nareszcie »Kółka rolnicze«, zasadzające się przeważnie na radzeniu o wspólnej biedzie, na odczytach dyletanckich wypracowań i kupnie materyalów do potrzeb gospodarskich z pierwszej ręki. Po gawędkach bawiono się wesoło i ochoczo.

»Kółka« zaspokoili ambicję tych, którzy coś robić i znać chcieli, lecz dla tych, którzy potrzebowali pomocy, poparcia, obrony, na mało co się przydały.

— Radząc, powychodzimy ze swych starych gniazd z torbami — wołał zrozpaczony Trybun.

Chciał założyć podobną spółkę jak w Dobiesławicach, lecz cóż, zabrakło mu do tego odpowiednio wykształconych sąsiadów i na początek choćby małego kapitału.

— Ludzi nie ma — mówił smutnie, wstrząsając głową — ludzi u nas nie ma... Gdybyśmy mieli ludzi, byłyby i kapitały i dobrobyt. Spółki rodzilyby się jak grzyby po deszczu! Ludzi mi dajcie, a wyratuję kraj cały!

— Kochany Trybun — mówił słodko do sąsiadów chudy a wysoki — radby naszymi pieniędzmi płacić długi, a fernalkami i wolarkami uprawiać swe pola. Co innego Dobiesławice i Czyżów. Jedni mają kapitał, a w drugim są skarby! Cóż jest w Krzykawce?... Sąsiedzi żartowali z Krzykawki i tak się skończyły nawoływania Trybuna.

XXI.

»Radźcie, jeżeli macie głowy na karkach, serca i chęć do podania rąk zagrożonym w swej egzystencji współobywatelom«.

Tej treści list, wręczony przez umyślnego posłańca z Krzykawki, odebrał Stanisław.

— Pora zdaje się nadeszła — pomyślał młody człowiek, wyjmując z biurka parę arkuszy zapisanego papieru.

»Statuta Towarzystwa wzajemnej pomocy obywateli ziemskich«. Taki u nagłówka wypisany był tytuł.

Młody człowiek czytał, rozważał, poprawiał, czasem się uśmiechnął, czasem brwi zmarszczył i tak był zaczytany, że nie słyszał wejścia do pokoju ojca, prowadzącego do Adama.

— O czym dumasz Brütusie — odezwał się pan Leon, kładąc rękę na ramieniu syna.

Młody człowiek odwrócił się, powstał, pocałował w ramię ojca, uściskał Adama.

— Jakby przeczcieniem wiedziony, czekałem na was — mówił wesoło. — Oto jest list Trybuna, a oto moja odpowiedź — czytacie.

»Podpisani zawiązują »Towarzystwo wzajemnej pomocy obywateli ziemskich« z siedzibą?... Decydujcie: w Górcie, Czyżowie czy Dobiesławicach?

— W Dobiesławicach — zawołał Adam.

— Lecz gdzież są podpisani? — przerwał pan Leon.

— Podpisani będą powoli przybywać.

— A kapitały?

— Powinny nam dostarczyć banki, jeżeli swoich nie zbierzemy.

— Na ośm procent — to za drogo — odparł pan Leon.

— W takim razie z własnych oszczędności musimy tworzyć kapitał i prywatną drogą musimy się o niego starać. W każdym razie dobrze zorganizowane Towarzystwo, oparte na wzajemności z nieograniczoną poręką, może kapitały ściągać nawet z zagranicy.

— Z nieograniczoną poręką, ależ to wielkie ryzyko — zrobił uwagę pan Leon.

— Dopóki my administrację będziemy mieli w swych rękach, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. W każdym jednak razie nie ma innego punktu wyjścia. »Towarzystwa z ograniczoną poręką nie dostają pieniędzy, z nieograniczoną dostają«. Czy może być w tym przedmiocie dyskusja?

— Jakiż cel Towarzystwa? — spytał Adam.

— Najkrócej, wzajemna pomoc posiadaczy większych obszarów, a podług Trybuna, ratunek, czyli inaczej porządkowanie długów hipotecznych, zmienianie wekslowych i żydowskich na hipoteczne, polepszanie gospodarstw przez udzielanie rad, sprowadzanie ludzi fachowych, urządzenie osobnego kredytu na te cele, zachęcanie do oszczędności, pracy i gospodarności. Dalej, wyrabianie solidarności wśród posiadaczy ziemskich, utrwalanie sądów polubownych we wszelkich transakcjach administracyjnych i handlowych... Nareszcie w rozwinętem działaniu coraz nowe będą przybywać potrzeby i środki do ich zaspokojenia.

— Nieograniczone poręczenie odstraszy braci szlachtę, zaręczam wam — zdecydował pan Leon.

— Nic to na początek nie szkodzi, tymczasem zawiązuje się w towarzystwo nasza »spółka«, choćby tylko z trybunem i paroma dzierżawcami, którzy z radością do niego przystąpią. Niech nas wszystkich będzie przy zawiązaniu dziesięciu, to wystarczy. Rozpoczynamy pracę, biorąc w »arendę« trybuna,

i bądź co bądź stawiamy go na nogi. Jakże drogi ojcze i ty Adasiu, zgadzacie się?

— Ależ najzupełniej, choćby tylko dlatego, że ustawać w pochodzie, to znaczy upadać — odparł pan Leon.

— Na idealne »Kółka« należało czemś odpowiedzieć i odpowiadamy: »Towarzystwem wzajemnej pomocy obywatelskiej« — zawołał z odcieniem tryumfu Adam.

— To już drogi Adasiu mniejsza, czy nam należy odpowiadać lub nie na idealne kółka, które nikomu nie złego nie robią, a zawsze ludzi zbliżają do siebie. Idzie nam o coś więcej, jak o odpowiedź, gdyż o ratunek całej klasy w społeczeństwie, pod skrzydłami której wytworzą się i dojrzeją do cywilizacji i pracy organicznej mniejsze posiadłości.

— Pod skrzydłami, powiadasz — powtórzył z uśmiechem ironii Adam, jako idealny demokrat, a raczej demokrat z katedry. Ciekawy jestem, jakie to my mamy skrzydła.

— Po prostu samej tylko obecności. Samą tylko egzystencją swą, mieszkaniem we dworach i dworkach jesteśmy ochroną. Mało robimy, bo wiele robić nie możemy, a to co robimy, jest raczej zabawką; lecz egzystujemy, to już dosyć. Myślimy, mówimy, modlimy się po polsku, żyjemy obyczajem polskim, i mimowolnie jesteśmy wzorami dla mniejszych, czyli uboższych naszych braci. Wyobraź sobie, co by było, gdyby dwory i dworki zajęli Niemcy i żydzi? Za sto lat małe posiadłości mówiłyby wprawdzie po polsku, lecz przy obcych wstydziłyby się swego języka, jak to do niedawna miało miejsce w Czechach, a do dziś na Szlaku polskim. A gdy my wytrwamy, wstydzić się nie będą, cywilizacja pójdzie szybko — przeobrażenie rozwijać się będzie prawidłowo, na zasadach etyki.

— Jakie przeobrażenie? — zawołał pan Leon.

— Naszej idei — decentralizacji dla produkcji, a centralizacji dla przeróbki.

— Więc tę ziemię, którą trzydziestoletnią pracą podniosłem do możliwej kultury — ziemię, która jest świadkiem

mej wytrwałości a nawet miłości, nie mówiąc o tem, że od dwustu lat jest w naszych rękach...

— Musimy powoli rozdrabniać, jak rozdrobniliśmy Bogdanówkę czyżowską — powiedział Stanisław.

— Ależ ja nie mam długów!

— Dlatego rozdrobnienie Dobiesławic na korzyść większej produkeyi nastąpić może później, o wiele później.

Pan Leon zacisnął usta i zmarszczył brwi.

— Lecz zato zostaną nam — mówił dalej Stanisław — wielkie fabryki, gorzelnia — może postawimy kiedyś przedziałnię, a nareszcie utrwalimy handel zbożem.

— I z obywateli zmienimy się w przemysłowców i handlarzy.

— Obywatelami kraju zawsze zostaniemy, gdyż obywatelstwo nie zasadza się na posiadaniu ziemi, lecz już taka kolej rzeczy, jeżeli żyć i coś znaczyć na świecie mamy.

— Jeżeli tak, to po cóż pracować i po cóż się bronić, stowarzyszać, walczyć?

— Ależ tu nie idzie o ustępstwo, tylko o przeobrażenie i zmianę roli. Jeżeli się nam podoba zostać, to możemy, ciesząc się trzema procentami dochodu, jak teraz cieszymy się sześcioma lub ośmioma. Możemy zostać, lecz wtedy nie będziemy mieli racji bytu, dlatego, że gdy ziemię naszą oddamy dwudziestu dzierżawcom lub posiadaczom, każdy z nich będzie mógł mieć ośm do dziesięciu procentów, a my trzymając całość, trzy. Centralizując zaś produkta na przeróbkę i przerabiając je, powinniśmy mieć dziesięć, a przytem podnosimy bogactwo narodowe.

Pan Leon popatrzał się na syna.

— Czy przy takiej perspektywie masz odwagę pracować dalej?

— Tem większą, mój ojcze — odparł Stanisław, bo nie tylko pracuję dla siebie, ale dla nieznanych, którzy po nas przyjdą. Niechajże zastaną już podniesioną kulturę i cywilizację, a wtedy muszą iść dalej. Nareszcie pracując spełniamy

obowiązek i bronimy się; nie wyrzucą nas, a gdy ustąpimy, to w formie przez siebie wybranej i w najkorzystniejszych dla nas i społeczeństwa warunkach.

Widocznie jestem już za stary w stosunku do waszych pojęć — smutno mi.

To powiedziawszy p. Leon wyszedł.

— Ojeze! — wołał za nim syn, lecz napróżno. A ty Adasiu? zwrócił się do przyjaciela.

Adam wyciągnął do uścisku rękę.

Co do nas, mówił, rozumiemy się wybornie; należało jednak ojca oszczędzać i nie rozczerowywać.

— Co za rozczerowanie? — przerwał Stanisław, więcej o pół miliona lub o cały milion obywateli w kraju, dość zamownych do przyjęcia i rozwoju cywilizacyi!...

— Ojciec twój najzacniejszy z ludzi, lecz wychowany w wyrobionych przez siebie pojęciach, przyzwyczaił się patrzeć na świat z pewnego punktu widzenia. Wytworzył w sobie i utrwalił ideały wielkiej własności i jej wpływu, z którymi trudno mu się rozstawać. I ja z początku walczyłem z panem Walentym.

— Walentego porównywaśz z moim ojcem?

— Pan Walenty jest szlacheicem z ośmnastego wieku, twój ojciec z dziewiętnastego. Ta między nimi różnica.

— A my?

— My jesteśmy z przyzwyczajęń i upodobań również z dziewiętnastego wieku, tylko że za dużo myślimy i rozprawiamy o wieku dwudziestym.

— A więc zostaniemy w dziewiętnastym, nie drażnimy naszych ojców i pracujemy dziś dla jutra, nie pytając o resztę — zdecydował Stanisław.

»Towarzystwo wzajemnej pomocy obywateli« zostało założone. Oprócz znanej nam »spółki«, przystąpili do niego Trybun i trzech dzierżawców, którzy z zapalem przyjęli w zasadzie nieograniczoną porękę. Na pierwszy początek towarzystwo wzięło w kuratelę Trybuna, czem cała okolica była zdziwiona.

Chudy a wysoki opowiadał sąsiadom do ucha, że Trybun za rok wyleci z Krzykawki, na co mu odpowiadano, że Trybun oczyści Krzykawkę i śmiać się będzie z Dobiesławskich, że Trybun majster, słyszy jak trawa rośnie... Mała tylko garstka ludzi przypatrywała się z ciekawością działaniom stowarzyszenia, wzdychając, aby i oni mogli należeć do wspólnej pracy, a przez to i pomoc w interesach otrzymać. Wzdychali, lecz nie mieli odwagi — «nieograniczona poręka» przerażała ich i odstraszała.

Trybun wzięty w kuratelę, irytował się w duchu, a często przy zamkniętych drzwiach w swoim pokoju wybuchał, odgrażał się i gniewał. Nie było jednak sposobu cofnąć się, musiał słuchać i spełniać rozkazy dyrekcji towarzystwa. Co było dla niego najcięższem, to, że nie był panem swych dochodów.

Cierpiał na tem najwięcej Felunio, przyczepiony, jak mówiono w okolicy, do Banku polskiego w Warszawie.

Pensję, jaką odbierał od ojca, zredukował mu zarząd do trzeciej części. Młodzieniec zaczął rozpaczać, pisać siarczyste filipiki, wymawiać ojcu, że mu los zagraadza, że mu rujnuje karierę, że go kompromituje wobec całej Warszawy... Podobny ton listów rozgniewał Trybuna i dał również powód do wymówek i pytania, dlaczego dotąd siedząc pięć lat w Warszawie, nie ożenił się i nie zrobił kariery. Na to Felunio ze swej strony oskarżał świat cały: Warszawę, kobiety, a najwięcej Warszawiaków. Oni to, pełni blagi, intryg, podejścia, zazdrości, zniszczyli najpiękniejsze jego plany i projekta, rwali złote nici jego kombinacyj miłosnych, dokuczali mu i prześladowali za to, że jest od nich przystojniejszy i rozumniejszy. Na końcu listu dodał, że obecnie ma na oku świetną partję i pewny jest, że mu się uda, gdyż intrygi Warszawiaków nie mu w tym wypadku przeszkodzić nie mogą i oświadczy się, byleby miał 600 rubli.

Zakochany w swym jedynaku ojciec, licząc również na jego karierę, pożyczył cichaczem w miasteczku sześćset rubli na wysoki procent i posłał je do Warszawy. Od tej chwili urwała się korespondencya; listy z Warszawy nie przychodziły,

na posłane z Krzykawki nie było odpowiedzi. Milczenie w tak ważnej chwili zaintrygowało Trybuna; przestraszył się.

— Może chory — powtarzał w duchu, nie śmiejąc wobec żony mówić o tem głośno.

Nie namyślając się długo, pojechał do Warszawy i zaraz na wstępie dowiedział się, że Felunio odczepił się od banku, lecz w zamian za to, przyczepił się do jednej z bohaterek sceny ogródkowej i razem z nią pojechał do Lublina.

Rozwiali się nadzieje ojca, jego »marzenia i złote sny«. Przed ganek Krzykawki zajechała bryczka — wysiadł z niej naprzód Trybun, za nim blady, wychudły Felunio, z miną bajronistycznie melancholiczną.

Wieczorem opowiadał matce w jej pokoju, że Anielka ma wielki talent, że talent może łatwo zmienić w geniusz, że Anielka już się zaczęła uczyć po angielsku, że miał zamiar razem z nią jechać do Ameryki po miliony, tylko ojciec wszystkiemu przeszkodził.

— Zawsze mój Felciu — rzekła matka — aktorka jest aktorką. A jak się tu rozpatrzysz po okolicy, znajdziesz sobie uczciwą i nieubogą szlachciankę. Przecież jesteś młodzieńcem z Warszawy i potrafisz podbijać serduszka wiejskich panien.

Zarząd »Towarzystwa« nie podzielał opinii matki Felunia. Młodzieniec został przeniesiony na folwark, który miał być spichlerzem Krzykawki, z warunkiem, aby co tydzień składał raporta gospodarskie.

Tym to sposobem z Krzykawki spadł wielki ciężar, przenoszący tysiąc rubli, jako koszt utrzymania Felunia w Warszawie.

Dodajmy do tego usunięcie przez towarzystwo wysoko oprocentowanych długów, gospodarstwo poprawione, wzmocnione w inwentarz i energicznie prowadzone, oparcie się choć moralne o kapitały »Towarzystwa« nieograniczonej poręki, a łatwo zrozumieniy, że wszystko to razem szybko wznosić musiało Krzykawkę. Trybun nabierał rezonu, właściwej muby i głośnej wymowy, a że był sprytny i pojętny, stał się zapamiętałym rzecznikiem »spółki i Towarzystwa«. Napadał

na nieprzyjaciół przewrotów i nowatorstwa w okolicy, uważając ich za swych osobistych wrogów. Zerwał wszelkie stosunki z wysokim a chudym, duszą zaś i sercem przyłągał do Dobiesławic.

Nawet Felunio, widząc dobre przykłady dla siebie w Stanisławie i Adamie, zaprzyjaźnił się z Franiem i razem zaczęli nad swem wykształceniem pracować.

Tak więc Trybun odnosił podwójne zwycięstwo: ratował majątek i syna.

XXII.

Dobiesławice pracowały, a Czyżów nabierał z każdym dniem blasku i splendoru w całej okolicy.

Wszyscy wiedzieli o pracy i zasługach Dobiesławskich, a jednak jeździli korzyć się, winszować i podziwiać — do Czyżowa. Takie to już nasze, wyrobione wiekami usposobienie; trudno z niem walczyć i przeciw niemu powstawać. Przytem pan Leon był nieco sztywny i zimny, Stanisław poważny i sarkastyczny, gdy tymczasem pan Stefan wesół, uśmiechnięty, dowcipny — wielki pan — Adam miękki, serdeczny i łatwy w obejściu. Nie dziw więc, że przyciągali do siebie ludzi różnych stanowisk, pojęć i charakterów. Dodajmy do tego nazwisko Czyżowskich, dwie piękne panny w domu — pałac, ogród — wszystko, co ludzi czarowało i pociągać mogło.

Dobrze się zaczynało dzać panu Stefanowi: długi powoli znikaly, dochody wzrastały, chociaż część ich więzioną była jako kapitały zakładowe i żelazne. Gniewał się o to pan Stefan, ale tylko w duchu, gdyż głośno protestować nie śmiał.

Układał wielkie plany wyprawy na zimę do Warszawy z żoną, Wandą i Celiną, głównie jedynie, aby córkom znaleźć mężów. Należało się spieszyć, gdyż Wanda kończyła dwudziestą szóstą wiosnę, Celina dwudziestą czwartą. Oszczędności, robione przez córki, cieszyły go, ręce zacierał, marząc, z jakim szykiem urządzi dom, i jak świetnie wystąpi w stolicy.

Marzenia te przerwał chudy a wysoki, swym listem, upominając się o zwrot pożyczki.

Nie oddać natychmiast, znaczyło skompromitować siebie, spółkę i Towarzystwo. Pan Stefan znalazł chudego — domyślał się, że gwałtowność żądania stanowiła próbę zamożności spółki. Nie było punktu wyjścia, należało przyznać się przed synem i panem Walentym, i żądać od nich gotówki. Wstydził się pożyczki zrobionej po za plecami spółki, chociaż powtarzał głośno:

— Przecież to moje, czyż mi nie wolno rozporządzać moją własnością?

Mimo to nie chciał się widzieć z Adamem i posłużył się listem, wyjaśniającym całą sprawę. Adam natychmiast odeśłał dług, lecz siostrą powiedział, że oszczędności przeznaczone na podróż do Warszawy, zostały wydane. Wanda przyjęła tę wiadomość z obojętnością. Celina z uśmiechem radości.

— I z czegoż się cieszysz? — pytał z wymówką Adam.

— Bo jeżeli mam pójść za męża, to dlaczegoż nie miałabym znaleźć męża w Czyżowie.

— Masz trzech do wyboru, lecz siostra...

— Mną, proszę was bardzo, nie zajmujecie się — odpowiedziała sucho i zimno, a nawet rozkazującym tonem Wanda.

— A to dlaczego? — spytał Adam.

— Bo za męża nie pójde, oświadczam to stanowczo, a że nie mówię o tem głośno, to tylko przez wzgląd na mamę. I aby ukryć lzy cisnące się do jej oczu, szybko odeszła.

Adam wpatrywał się w Celinę.

— Czy znasz, lub domyślasz się tajemnicy serca Wandy.

— Może żałuje Gerana — odparła.

— Zdaje się, że nie — lecz nie mówmy o tem więcej — niechaj się stanie to, co się stać ma, a nawet teraz — powinno.

— O czem mówisz, Adasiu — spytała Celina. — Cóż to się ma stać? Czy nad naszymi głowami zawisło jakie straszne fatum?

— Nie zawisło i niech się zadość stanie przeznaczeniu, czyli podług dzisiejszej formułki: loice faktów. — Pocałował

dziewczynę w głowę i poprowadził na ganek do pijącej herbatę rodziny.

Lud tłumnie przystępował do spółki w pewnych jej działach, a głównie do gorzelni i do handlu zbożowego. Udział w tych przedsiębiorstwach dobrze na niego oddziaływał. Zamożniał, za zamożnością szła cywilizacja. Powoli zaczęła się wyrabiać solidarność między dworem a chatą, oparta na najważniejszym czynniku: na wspólności interesów. Deklamacje, westchnienia, idealne opieki, upadały jedno po drugim, a zostawał, jako niewzruszona podstawa — wspólny interes. I dziś lud z narażeniem życia broniłby własności Dobiesławic i Czyżowa, gdyż tam miał złożone swe kapitały i nadzieje. Nie było mowy wśród niego o napaści na las czyżowski lub pastwiska dobiesławskie. Wszelkie spory serwitutowe i zachcianki ich wznowienia, upadły raz na zawsze.

Sąsiedzi przekonywali się, że gospodarstwa w Górcie i Dobiesławicach nie upadały, a gospodarstwo w Czyżowie podnosiło się szybko i racjonalnie, o czem świadczyły urodzaje. Niechęć i niedowierzanie z każdym dniem topniały.

Chudy a wysoki kupił niedaleko Dobiesławic wioskę, przystąpił do »Towarzystwa« i zażądał podobnej kurateli jak ta, której podlegała Krzykawka, lecz projekt został odrzucony. Zrozumiano, że chciał mieć bezpłatny nadzór nad wioską i nie dano się złapać.

Sąsiedzi śmieli się z nieudalego projektu pana brata, a pan brat rad był wycofać się z »Towarzystwa«, lecz nie mógł, gdyż przystąpienie co najmniej do lat sześciu obowiązywało.

Wśród takich stosunków niespodziewanie zjawił się w Dobiesławicach pan Artur z Klonowa, zawsze wytworny i elegancki, ale noszący na twarzy znamię pewnego zmęczenia, niemal przygnębienia.

Po wstępnej rozmowie zaczął się skarżyć na złe gospodarstwo w Klonowie, na brak ludzi fachowych, na drożyznę najmu i złe urodzaje.

Stanisław słuchał tych żalów z wielką powagą, czekając cierpliwie na rozwiązanie zagadki.

I niedługo czekał; pan Artur wyraził bowiem życzenie przystąpienia do spółki, na co jednak nie zgodził się Stanisław ze względów, że spółka ma już uregulowane interesa, a w Klonowie gospodarstwo zbyt jest zaniedbane. W zamian jednak zaproponował panu Arturowi utworzenie drugiej spółki z siedzibą w Klonowie. Przestraszył się ogromu pracy i odpowiedzialności mąż Radłowskiej z domu, a chcąc koniecznie wesprzeć się na Dobiesławicach, przystąpił do Towarzystwa wzajemnej pomocy.

Na tej podstawie przyrzeczono mu pomoc, a nawet kredyt na melioracye, gdyż okazało się, że i dobra odziedziczone po żonie, również nie cieszyły się zbyt pomyślnym stanem. Radłowska z domu kazała się kochać, nie odstępować na krok, obwozić po zagranicy, zawsze służyć sobie i zawsze wdychać. Tego było troszkę za wiele dla zimnego usposobienia Artura; zaczął się nudzić, a nareszcie męczyło go to. I nieraz patrząc z okien dworu klonowskiego na szczyty pałacu w Czyżowie, żałował i tęsknił, wpadając w długą zadumę.

— Arturze, czy ty mnie kochasz — przerywał mu głos drżący uczuciem i skargą. Przed nim stała blada, lecz pełna, okrągła, okazała postać Radłowskiej z domu.

— Kocham — odpowiadał sucho, powstawał i wychodził z pokoju.

Wtedy Radłowska z domu obcierała zwilżone łzami oczy chusteczką.

* * *

Przystąpienie Artura do Towarzystwa dużo narobiło wrzawy w okolicy. Uważano go za najzamożniejszego obywatela z całych trzech powiatów. »Nieograniczona poręka« zaczęła teraz imponować, i nareszcie stała się magnesem dla sąsiadów. Szczęściem statutu Towarzystwa były dobrze i stanowczo określone, wymagania od stowarzyszonych jasno postawione, i dla-

tego przyjmowano ludzi czujących się na siłach, rozumniejszych i energiczniejszych.

Jeżeli stowarzyszenie wzrastało, to spółka trzymała się w mierze, rozwijając się tylko sama w sobie, nie mogąc znaleźć lub wyrobić naśladowców.

Niespodzianie umarł na apopleksję pan Izydor, ojciec Frania. Młody człowiek, jako jedynak, odziedziczył po nim wioskę i zapasowy kapitał. Dzierżawę odstąpił bliskiemu krewnemu z warunkiem, aby dotrzymał kontraktu spółki, sam zaś objawszy majątek, w tej chwili zaczął z właściwą mu energią zawiązywać »spółkę rolniczą«, wciągając do niej młodszych i ruchliwszych sąsiadów. Tym tylko zbiegiem okoliczności stanęły dwie spółki rolnicze w jednym powiecie. Widocznie obywatelstwo wiejskie nie było odpowiednio wykształcone, aby mogło samo w sobie wytworzyć organizację — tę najtrudniejszą do zdobycia praktyczną wiedzę społeczeństwa.

Franio spoważniał, nabrał odwagi i pewności siebie, a przez bywanie w Czyżowie oglądy towarzyskiej, a że dużo czytał, zaczął wierzyć w swój rozum. Odziedziczona wieś, dobrze zagospodarowana i gotówka w kasie, podniosły wartość młodego człowieka w jego własnych oczach. Kochał i mileżał doń, ukrywał uczucie na dnie swego serca, lecz dziś pan na Karczówce, postanowił otwarcie wystąpić.

Pojechał do Czyżowa, zastał samego pana Stefana, i korzystając z nadarzonej sposobności, oświadczył się o rękę Celiny.

Dziedzie Czyżowa słuchał zwierzeń młodego człowieka z półuśmiechem protekcyi i przebaczenia, a gdy zaczął opowiadać o zamożności Karczówki i ilości pieniędzy zostawionych przez ojca, przerwał mu z pobjaźnieniem:

— Kochany panie Franciszku, szanuję pana jako dzielnego i prawego młodzieńca, lecz pozwól spytać się co panu odpowiedziała Cesia.

— Panna Celina nie mi nie powiedziała.

— Mówiłeś z nią?

— Nie jeszcze.

— Rozmów się, a potem wróc do mnie. Masz we mnie przyjaciela.

Po powrocie ze spaceru żony i córek pan Stefan powtórzył swą rozmowę z Franiem, ubierając ją dodatkami własnego pomysłu. Tajemnica młodzieńca stała się głośną, tem więcej, że zamysłony chodził wielkimi krokami po ogrodzie, czekając na zjawienie się Celiny. Sprytna dziewczynka ukryła się w swym pokoju, śledząc z okna melancholijno-ponurą minę zakochanego.

* * *

— Franio oświadczył się ojcu o Celinę.

— I cóż? — pochwylił Stanisław.

— Zdaje się, że z Celiną jeszcze nie rozmawiał — odparł poważnie Adam.

Wśród krzaków na ścieżce przemknęła się biała sukienka. Adam pobiegł wyprowadzić list na pocztę, Stanisław zwrócił się do dziewczynki. Widocznie był wzruszony, a mimo to siłił się na uśmiech.

— Panie Stanisławie! tak rano i już z Dobiesławic! Musi być coś bardzo ważnego — szczebiotała wdzięcznie Celina.

— Chciałem pierwszy pani powinszować.

— Mnie powinszować? — pytała zaploniona — mów pan.

— Wyboru...

— Jakiego?... cóż to miałam wybierać?

— Franio jest dzielny i dobry chłopiec.

— Dokończ pan — rzekła sucho.

— I będzie z niego również dobry mąż.

Dziewczyna z zaciśniętymi ustami patrzyła w oczy młodego człowieka. Nie mógł znieść tego wejrzenia, zapłonął i spuścił oczy.

— Radzisz mi pan, abym została żoną pana Franciszka? mówiła sucho, choć jej głos drżał.

— Pani nie żadasz rady, gdyż już bez niej postanowiłaś.

— Przeciwnie, nie postanowiłam i proszę o radę.

— Iść za popędem serca.

— I zostać żoną pana Franciszka?

— Jeżeli tak mówi serce.

— Dobrze — szepnęła, skłoniła się i odeszła.

Lecz zaledwo uszła parę kroków, wybuchła tak serdecznym płaczem, którego widocznie powstrzymać nie mogła, że serce Stanisława zaczęło mocno bić. Poskoczył do dziewczynki, ujął ją za rękę i pocałował.

— Przepraszam — szepnął — nie chciałem pani dokuczać.

Dziewczynka jednak nie mogła się utulić z żalu, i płacz, tamujący jej oddech, nie ustawał, mimo to nie usuwała ręki z dłoni młodego człowieka.

— Pani — mówił zcicha — musisz mnie nienawidzić i gardzić mną.

Dziewczynka chcąc ukryć rumieńce, pochyliła głowę na piersi.

— Kocham cię — wygłosił, i, jeżeli dotąd milczałem, to jedynie z obawy, aby nie być odepchniętym.

Za całą odpowiedź przytuliła się do niego.

Płacz ustał, słychać tylko było przyciszony szep.

Widział tę scenę zdaleka pan Walenty, podniósł w górę ręce, wzrok utkwil w niebo. Nareszcie jedna Czyżewska robi partję, jaką zrobić powinna, wyszeptał.

Za parę chwil później wszedł zdyszany do dworu. Pan Stefan z żoną i Wandą siedzieli przy śniadaniu.

— Wielka nowina! nadzwyczajna!

— Wygrałeś na loteryi wielki los? — przerwał ciekawie pan Stefan.

— Jeszcze lepsza.

— Koalicja przeciw Prusom?

— Bagatela — Stanisław oświadczył się o Celinę! gruchają w grabowej alei.

— A to osioł! — zawołał pan Stefan.

Wanda blada wyszła pospiesznie z pokoju.

— Osioł? — powtórzył staruszek. — Bójcie się Boga!...

— Powinien się oświadczyć o Wandę! — przerwał mu w gniewie pan Stefan. — Widziałeś pan, jak Wanda zbladła i idąc chwiała się.

Pani Karolina wybiegła za córką.

— Ale go dawniej Wanda odepchnęła dla tej lalki Artura! Tego rodzaju ludzie jak Stanisław, nie wracają. A i za to, co się stało, dziękuj pan Bogu. Dobiesławscy, szlachta stara i czysta jak łąka — Stanisław za lat parę milioner.

— I żonę będzie kwasil w Dobiesławicach w oborze i gorzelni! Wanda robiłaby z nim coby chciała, zresztą starsza. A tak może mi się najpiękniejsze dziecko zmarnować. Muszę jechać z nią przynajmniej na całą zimę do Warszawy.

Wzruszony i rozgniewany starszek poszedł prosto do grabowej alei, ucałować faworytkę, pobłogosławić i popłakać razem z nią nad jej szczęściem.

Pan Stefan został sam, chmurny i zamyślony. Nie lubił jednak ani długo myśleć, ani długo się chmurzyć. Widocznie jakaś szczęśliwa myśl zrodziła się w jego mózgu, gdyż się roześmiał i zawołał.

— Teraz muszą dać pieniędzy. Jadę do Warszawy — sława Czyżowa jest głośna, Wanda zawsze piękną i nareszcie znajdę sobie zięcia z mego wyboru. Celina ma to co chciała. Mówiąc nawet prawdę, dziewczyna ta dużo się zmieniła, trąci troszkę szafarką, przypominając córki fermerów. Stanał, namyślając się, czy iść do Wandy — czy też do pary narzeczonych.

— Do Wandy nie pójde, należy szanować dumę dziewczyny i nie widzieć tego, co się dzieje w jej sercu. Co one tak raptownie odkryły w tym Stanisławie? Dzikie czasy — lecz cóż robić?!...

Z rezygnacją poszedł do ogrodu. W grabowej alei zastał tryumfującą Celinę, uśmiechniętego i rozrzuwionego Stanisława, a przy nim Adama i pana Walentego. Z oczu tej gro-madki tryskało szczęście. Dziewczyna rzuciła się w objęcia ojca.

*

*

*

Należało załagodzić sprawę z Franiem — misyi tej podjął się Adam.

Młody człowiek dowiedziawszy się o smutnym dla siebie wyroku, okazywał skłonność do rozpacz, lecz wymowa Adama dobroczynnie podziałała na jego rozdrażnione nerwy. Uspokoił się, przysięgając sobie, że spółka gospodarska przez niego założona i prowadzona, musi zaćmić spółkę stworzoną przez Stanisława, że tym sposobem zemści się i znajdzie godne siebie zadośćuczynienie.

Franio wszedł już na drogę, z której cofnąć się było mu niepodobna, nauczył się już uznawać i szanować swą cywilizacyjną misję, a był tyle wykształconym, że potrafił iść o własnych siłach, bez dalszego wpływu Stanisława i Celiny.

Tak się to przeobrażały usposobienia, a wyrabiali ludzie do podjęcia prac, które stały się ich koniecznością i ochroną. Zrozpaczony Franio pocieszał się przyszłą sławą i wielkością, a w długotrwałą jego rozpacz nikt z otaczających nie wierzył.

* * *

Ślub Celinki, odbył się w towarzystwie dwóch tylko rodzin. Pana młodego prowadziła do ołtarza Wanda, wprowadzie błada i uroczysta, zawsze jednak majestatycznie spokojna. Panna młoda za to promieniała pięknnością, ujmującym wdziękiem i swobodą.

— Jaka dobrana para! — szeptał zgromadzony tłum w kościele.

Wieczorem odbyła się zabawa urządzona dla najbliższych maluczkich sąsiadów Czyżowa i Dobiesławie.

* * *

Pan Stefan dostał pieniędzy; dostarczył mu ich Adam. Nie namyślając się, pojechał z panią Karoliną i Wandą do Warszawy. Po półrocznym jednak pobycie wrócił — Wanda nie znalazła męża.

— Miałaby partję — tłumaczył się przed Walentym i Adamem ojciec — lecz cóż? taka była zimna i uroczysta, że kandydaci zbliżyć się do niej nie śmieli. Gdyby się o nią starał udzielny książę, możeby się wtedy zdecydowała. Dziwna kobieta!

Tymczasem Wanda po powrocie zajęła swe dawne stanowisko. W Czyżowie znalazła duże zmiany. Spółka mleczna, marzenie Stanisława, z której dawniej śmiała się Celina, a dziś zachwycala się nią pani Stanisławowa — przysłała do skutku. Sprowadzono ze Żmudzi obeznanego ze swym fachem serkara, sprowadzono maszynę do robienia masła i dalej do pracy.

Próby wypadły znakomicie. Nie chcąc waleczyć z uprzedzeniami narodowemi, według których to tylko dobre co obce, porobiono kontrakta dostawy masła i sera do Hamburga. Dopiero z Hamburga tenże sam ser wracał do kraju z etykietami zagranicznymi — był chwalony i przepłacany.

Spólnikom, włościanom, porozdawano odpowiednie do zbierania mleka blaszane naczynia, nauczono ich trzymać je w czystości, i każdorazowy udój odnosić do fabryki. W zamian, oprócz zapłaty, spółnicy dostawali odpowiednią ilość maślanki lub serwatki dla trzody.

Tym sposobem hodowano w wielkiej ilości trzodę najprzedniejszej rasy — i odstawiano ją także wprost do Hamburga.

Bogactwo spółki i okolicznych włościan wzbudzało ogólną zazdrość. Pan Stefan, choć już dobrze posiwał, nie tracił humoru i fantazyi, rozpalając się z każdym dniem więcej do interesów. Przyjął urząd sędziego i roztrzygał sprawy ku wspólnemu zadowoleniu wyborców. Pretendentów do spółki założonej przez Frania, było nad potrzebę i możność. Powodzenie pociąga i zwycięża.

Drugiego roku po ślubie Stanisław wybrał się z żoną na przejażdżkę po Europie. Hipolit z Marylką postanowili im towarzyszyć — zapraszano Adania, lecz się wymawiał tem, że ktoś musi zostać na gospodarstwie, że zna zagranicę, że nie lubi kolejami jeździć...

Dopiero pan Walenty zdradził pociechu tajemnicę swego faworyta. Widział go nieraz, gdy objeżdżając folwarki, skręcał raptownie na drogę do Łętowie, wypuszczał konia galopem i zniknął w gąszczu drzew otaczających dwów.

W Łętowicach mieszkała wdowa z dwiema córkami, które pięknoscia i dobrocią służyły równie jak matka, na całą okolicę.

To więc było przyczyną, że tylko dwie pary szczęśliwe i zakochane wybiegły z gniazda, pobując po szerokich szlakach cywilizacyi zachodniej.

Pan Stefan miał wielką ochotę towarzyszyć dzieciom, został jednak w domu przez wzgląd na żonę i Wandę. Pani Karolina powtarzała często, że nieby jej do szczęścia nie brakowało, gdyby tylko jej ukochana Wanda znalazła męża!

Niespodziewanie i raptownie Adam wracając z Warszawy, przywiózł ze sobą swego kolegę Gerana, znanego naszym czytelnikom ze Szczawnicy. Pan Stefan troszkę się krzywił, pani Karolina wzruszała ramionami, lecz oboje milczeli, nie chcąc wpływać na Wandę. Mimo to, Wanda bez wszelkich wpływów wytrwała na swem stanowisku. Geran nie ośmielił się zbliżyć, ona nie raczyła go ośmielać, zostali tylko przyjaciółmi i to na zawsze, gdyż kolega Adama zaczął mu towarzyszyć w wycieczkach do Łętowskiego dworu i targować od Artura Klonów. Kupił go niezadługo i osiadł w nim, przystępując jako siła nadzwyczaj pożądana do spółki czyżowskiej.

Tak więc Wanda, zamknięta w sobie, pracowita, milcząca — została sama. Niezadługo odbyły się dwa śluby, i dwa młode małżeństwa powiększyły kółko naszych serdecznych przyjaciół.

Dolega, d. 25 czerwca 1882.

